



**LINIE WROGA I
POWRÓT REBELII**

AARON ALLSTON

**Przekład
ALEKSANDRA JAGIEŁOWICZ**



Tytuł oryginału
ENEMY LINES I. REBEL DREAM

Redaktor serii
ZBIGNIEW FONIAK

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
BARBARA CYWIŃSKA
RENATA KUK

Ilustracja na okładce
DAVE SEELEY

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 2002 by Lucasfilm, Ltd. & TM.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2002 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-0156-X

Moim Przyjaciołom

ROZDZIAŁ

1

System Pyria, okupacja Borleias, dzień pierwszy

- Bóg nie może umrzeć - oświadczył Charat Kraal. - Dlatego też nie może obawiać się śmierci. Kto zatem jest dzielniejszy, człowiek czy bóg?

Charat Kraal był yuuzhańskim pilotem - humanoidalnym, nieco powyżej dwóch metrów wzrostu. Jego skóra w miejscach, gdzie nie pokrywały jej geometryczne tatuaże, była blada i poznaczona bielszymi, lekko połyskującymi kreskami dawnych blizn. Przed wielu laty jakaś katastrofa wyżarła mu środek twarzy, łącznie z małym nosem, charakterystycznym dla Yuuzhan Vongów, pozostawiając jedynie pokryte brązową skorupą pasma ścięgien i dwa poziome otwory zatok. Czoło opadało ku łukom brwiowym mniej stromo niż u innych przedstawicieli gatunku, przez co przypominało czoło człowieka. Dwaj wojownicy próbowali z tego zadrwić, lecz zginęli za swój żart. Ukrywał ten szczegół tak starannie, jak to było możliwe, wrywając resztki włosów nad czoła i ozdabiając je tatuażami, które odciągały spojrzenie w bok i ku górze, z dala od wstydliwego zniekształcenia. Pewnego dnia zasłuży na implant, który jeszcze lepiej ukryje ten defekt i tym samym zakończy jego cierpienia.

Miał na sobie okrywacz oogolith, przezroczysty kombinezon yuuzhańskich pilotów, a pod nim prostą przepaskę biodrową. Obie części garderoby były żywymi stworzeniami, wymyślonymi i hodowanymi po to, aby spełniały jedynie tę funkcję, której od nich wymagano - wspomagały Yuuzhan Vongów w ich drodze ku chwale.

Siedział w kabinie skoczka koralowego, nieregularnego w kształcie, podobnego do skały statku bojowego swojego ludu, lecz na razie nie włożył jeszcze kaptura świadomości. Podobna do maski istota utrzymująca kontakt umysłowy pomiędzy nim a statkiem, pozwalająca mu odczuwać doznania skoczka własnymi zmysłami i pilotować go zręcznością myśli raczej, niż siłą mięśni i szybkością reakcji, spoczywała z boku, zbędna, póki koralowy skoczek przemierzał przestrzeń w rutynowym locie patrolowym.

Pilot i jego partner, Penzak Kraal, znajdowali się na odległej orbicie ponad światem Borleias. Planetę niedawno dopiero wydarto z rąk niewiernych tubylców tej galaktyki, aby stała się teatrem przygotowań do ataku Yuuzhan Vongów na Coruscant. Borleias był zielonym, przyjemnym światem, nie przeladowanym martwymi, suchymi

domostwami niewiernych, nieskażonym nienaturalnymi urządzeniami technicznymi - jedynie baza wojskowa, obecnie zrównana z ziemią obrażała Yuuzhan Vongów światłem okupacji przez niewiernych.

Głos Penzaka Kraala rozlegał się z małego villipa w kształcie głowy, zamontowanego w ścianie kabiny tuż pod sklepieniem. Większość skoczków koralowych nie była wyposażona w villipy, działając jedynie w oparciu o telepatyczne sygnały koordynatorów wojennych, yammosków. Długodystansowy statek patrolowy wymagał jednak bardziej bezpośredniej formy porozumiewania się.

- Nie bądź idiotą. Jeśli bóg jest bogiem odwagi, to znaczy, że z definicji musi być dzielniejszy od każdego Yuuzhanina, od każdej żywej istoty.

- Sam nie wiem. Powiedzmy, że mógłbyś stać się nieśmiertelny jak bogowie i nigdy nie umrzeć, ale pozostać jednym z Yuuzhan Vongów. Mógłbyś wtedy być równie dzielny jak Yuuzhanie? Mógłbyś zabijać przez całą wieczność, nigdy jednak nie ryzykując śmiercią nie patrząc jej w twarz, nie wybierając miejsca i czasu własnego zgonu? Co jest lepsze, być dzielnym przez całe życie, czy zabijać przez wieczność?

- A kogo to obchodzi? Wybór nie należy do nas. Gdybym jednak miał wybierać, sądzę, że wybrałbym nieśmiertelność. Żyć dość długo, by znów się nauczyć, jak zostać odważnym niczym Yuuzhanin. Zabijać dość długo, aby nauczyć się zabijać gwiazdy.

Charat Kraal spoważniał.

- Słyszałem...

- Co?

- Że niewierni to umieli. Nauczyli się zabijać gwiazdy.

Usłyszał syk irytacji Penzaka Kraala, a villip ukazał mu niesymetryczne rysy twarzy partnera, zniekształcone jeszcze bardziej przez usta wydęte w grymasie pogardy.

- No i co z tego? Zabili ją w niewłaściwy sposób, wypaczonymi umysłami i bluźnierczymi urządzeniami. I, jak idioci, postradali tę tajemnicę. Inaczej niszczyliby światostatki jeden po drugim.

- Słyszałem także... - Charat Kraal zniżył głos; właściwie bez sensu, bo tylko Penzak Kraal mógł go usłyszeć - ..że bogowie mogą się do nich uśmiechnąć. Do niewiernych.

- Idiotyczne.

- Możesz przeniknąć umysły bogów?

- Nie mogę poznać ich umysłów, ale mogę wezwać statek bojowy wroga, aby niszczył na moją własną chwałę.

Daleko, wiele kilometrów od Borleias i skoczek w przestrzeni pojawił się statek bojowy nieprzyjaciela kierując dziób w ich stronę. Statek gnał pełną mocą rósł w oczach, zbliżając się ku nim i ku Borleias.

- Penzak, ty durniu!

- Moje słowa go nie sprowadziły, idioto. - Oblicze villipa zaćmiło się i poruszyło, odzwierciedlając zmianę wyrazu twarzy Penzaka, który włożył kaptur świadomości. Charat uczynił to samo. Wnętrze kabiny stało się nagle przejrzyste, dając mu obraz otoczenia we wszystkich kierunkach poprzez zmysły skoczka koralowego; zobaczył pędzący statek nieprzyjaciela z dokładnością zapierającą dech w piersi.

Tylko teraz to już nie był statek, lecz statki. Liczba odrażających przedmiotów z metalu rosła, wysypując się z nadprzestrzeni, a wszystkie kierowały się na Borleias. Na Charata i Penzaka.

Chwilę później Charat poczuł brzęczenie kaptura, wymowny znak, że Penzak przekazywał ostrzeżenie do dowództwa domeny Kraal na Borleias.

Pierwszy ze statków Nowej Republiki - ostry klin bieli - przepłynął nad dwoma skoczkami, zasłaniając słońce i okrywając ich mrokiem. Nie mógł się równać z yuuzhańskim światostatkiem, lecz był imponujący i tak bliski, że Charatowi wydawało się, iż gdyby wyciągnął dłoń, mógłby przesunąć palcem po kadłubie.

Penzak Kraal zanurkował swoim skoczkiem i skręcił, ruszając kursem większego statku. Charat poszedł w jego ślady. Ponad głową widział rozbłyśki silników manewrowych pod brzuchem giganta zwiastujące start znieprawionych myśliwców niewiernych.

- Jak można ich zranić najbardziej? - zapytał Charat.

- Leć za mną- poradził Penzak. - Dopóki startują. Nie wdawaj się w żadną walkę z myśliwcami, zwabiaj je, aby poleciały za nami. Wpadniemy do ich doków startowych i zniszczymy wszystko, co się w nich znajduje, a potem wypatroszymy statek od środka. - Wywinął pętlę i wzniósł się pod ostrym kątem ku lukom statku. Charat pognął za nim.

„Mon Mothma”, jeden z najnowszych krążowników floty Nowej Republiki, gwiazdny niszczyciel wyposażony w generatory studni grawitacyjnych, zdolne zakłócać krótkie skoki yuuzhańskich statków, zmierzał z punktu, w którym wyszedł z nadprzestrzeni, w kierunku Borleias. Nie było to planowe wyjście - zaplanowali kurs wprost na Borleias, ale studnia grawitacyjna planety ściągnęła ich do normalnej przestrzeni, gdy tylko znaleźli się dość blisko. A teraz niebiesko-zielony świat, który mieli wyrwać z rąk wroga, wisiał przed nimi.

- Brak oznak obecności yuuzhańskich światostatków na orbicie - zameldował oficer obsługujący czujniki, Kalamarianin o ciemnoniebieskiej skórze. - Dwa skoczki koralowe robią zwrot do starcia.

Generał Wedge Antilles, szczupły mężczyzna o pooranej troskami twarzy i wojuskowym sposobie bycia, komendant oddziału floty, której statkiem flagowym była „Mon Mothma”, skinał głową.

- Artyleria, brać ich na cel i zlikwidować, gdyby próbowali ataku. Kontrola myśliwców, nie przerywać procedury startowej eskadr.

- Tak jest.

- Tak jest.

Ekran danyh zapłonęły barwnymi punkcikami myśliwców Nowej Republiki - X-wingami, A-9, A-wingami, E-wingami i masą innych, wysypujących się z doków i kierującymi wprost ku planecie. Wedge, zajmujący pozycję kapitana w głębi obszernego mostka, w ogóle nie patrzył na ekrany. Skupił się za to na obrazie Borleias, który wypełniał główny iluminator dziobowej ściany mostka.

Mam nadzieję, że Yuuzhanie bardzo pokochali ten świat, myślał. Stracą go teraz. Niech się nauczą, jak to jest, kiedy traci się coś ukochanego.

Luke Skywalker włączył silniki napędowe. X-wing z rykiem wyskoczył z głównego doku, tracąc wysokość w stosunku do „Mon Mothmy”. Za jego plecami Eskadra Bliźniaczych Słońc, którą tymczasowo dowodził, przyjmowała formację bojową.

- Bliźniacze Słońca poza dokiem - zameldował.

- Bliźniacze Słońca, odebrałem. - To pewnie kontroler na mostku „Mon Mothmy”.

- Ostrzeżenie: dwa skoczki koralowe manewrują na kursie kolizyjnym.

Luke rzucił okiem na tablicę czujników. Dwa czerwone punkciki istotnie kierowały się ku nim z dołu.

- Eskadra za mną, dajmy im popalić.

Odpowiedział mu chór okrzyków. W niektórych głosach wyczuwało się napięcie, ale żadnego niepokoju. Wszyscy piloci Luke'a byli weteranami, ocalałymi z Eskadry Mieczy, Gorszycieli i innych, zdziatkowanych podczas wczorajszego ataku Yuuzhan Vongów na Coruscant, po których zostały trójki osłaniających, pary oskrzydłych i pojedynczy piloci. Dwoje z nich stanowiło wraz z nim trójkę osłaniającą: jego żona, Mara Jade Skywalker, oraz koreliański oficer bezpieczeństwa, pilot i Jedi w jednej osobie, nazwiskiem Corran Horn. Wszyscy piloci byli kompetentni i zdyscyplinowani. Wielu pragnęło zemsty.

Luke rozumiał ich uczucia. Yuuzhanie, wspomagani przez swoją agentkę wśród ludzi, Viji Shesh, kilka godzin temu o mało nie porwali jego małego syna, Bena. Zabili mu jednego siostrzeńca Anakina, a drugi, Jacen, zaginął w walce. Te straty - zwłaszcza ucznia, Anakina -sprawiały mu wewnętrzny ból, którego nic nie było w stanie stłumić.

W młodości Luke był krewki i szybki do zemsty, ale pozbył się tej części swojej osobowości. To był niedojrzały sposób myślenia, wiodący na Ciemną Stronę. Wiele lat minęło od czasu, kiedy był gładkolicym niewiniątkiem; twarz pokryły mu blizny bitewne i bruzdy spowodowane przez wiek, odzwierciedlające ciężar doświadczenia i spokój, który spowijał jego duszę.

Rozciągnął doznania zmysłów i poszukał nimi Mary. Znalazł ją i prawie od razu się wycofał z kontaktu, tak lodowata była jej obecność, tak całkowicie skupiona na ich misji.

Wzruszył ramionami. Chłód był wyjściem równie dobrym jak każde inne. Marą pomimo chłodnego i pełnego rezerwy sposobu bycia, była równie jak on wstrząśnięta próbą porwania Bena i śmiercią siostrzeńców. Nie byłby zdziwiony, gdyby płonęła żądzą zemsty jak włączony miecz świetlny. Jeśli jest inaczej, to dobrze, to znaczy, że nad sobą panuje.

- Płaty S do pozycji bojowej - polecił Luke i sam wykonał rozkaz, przełączając powierzchnie lotne X-winga w znajomą krzyżową sylwetkę bojową. - Pierwsze i trzecie trójki przejmują dowódcę, pozostali jego kumpla. Wolno strzelać. - Połączył lasery do poczwórnego ognia, tak aby wszystkie strzelały za jednym pociągnięciem spustu i otworzył ogień do pierwszego skoczka. Cztery czerwone strumienie niszczycielskiej energii laserów wystrzeliły w kierunku wroga...

Nie, nie cztery. Osiem. Strzał Luke'a, skierowany na sterburtę statku, nigdy nie dotarł do celu, przed nimi pojawiła się czerń, zniekształcając przestrzeń wokół energii niczym gigantyczne szkło powiększające i wciągając ogień laserów do wnętrza. Cztery lance energii po prostu wygięły się i znikły. Lecz strzał Mary, wycelowany na bakburtę, trafił skoczka w chwilę po zniknięciu strzałów Luke'a. Zaśmiał się; z pewnością Mara monitorowała go Mocą tak samo, jak on ją. Inaczej nie mogłaby tak dokładnie wyliczyć czasu strzału. Jej lasery darły powłokę nieprzyjacielskiego statku, dopóki odkształcenie znów się nie pojawiło i teraz to Luke strzelał, odłupując kawałki rufy skoczka. Corran dołączył do nich. Podobny do koralu materiał, z którego wykonano statek, przegrzał się i lasery przeorały powłokę czerwonymi smugami.

Luke skierował swojego X-winga w manewry unikowe, kierując się to w tył, to w przód, w górę i w dół, niczym latający owad. Widział, że jego cel kontratakuję jarzącym się pociskiem wystrzelonym z lufy działa plazmowego. Błysk przemknął po lewej, zbyt odległy, by mógł być groźny dla niego samego, Mary lub Corrana. Od strony eskadry również nie było słycać okrzyków strachu; żaden z punktów przedstawiający statki Nowej Republiki nie zniknął nagle i tragicznie z tablicy czujników.

- Nie dają się wciągnąć w walkę - odezwała się „Bliźniacze Słońca Jedenaście”, kobieta z Commenor imieniem Tilath Keer. - Zwrot do pogoni.

Luke ujrzał, jak świetlne punkciki „Bliźniaczych Słońc Cztery”, „Pięć” i „Sześć”, a także „Dziesięć”, „Jedenaście” i „Dwanaście” zrobiły zwrot w ślad za skoczkami, w kierunku „Mon Mothmy”.

Poczuł lekkie laskotanie; nie wiadomo, czy było to ostrzeżenie Mocy, czy doświadczenie wielu lat walki.

- Brak zezwolenia, zawracać - rozkazał. - Nie atakować. Bliźniacze Słońca, powrót na oryginalny kurs, do formacji przy „Rekordowym Czasie”. „Mon Mothma”, te skoczki należą do ciebie.

- Zrozumiałem, „Bliźniak Jeden”.

Luke zwrócił się znów w kierunku Borleias i zobaczył, jak jego piloci zaprzestają pościgu za skoczkami i manewrują, by dołączyć do eskadry. Za ledwie przestrzeń wokół skoczków oczyściła się z myśliwców, lasery „Mon Mothmy” plunęły ogniem. Jeden ze skoczków został zniszczony natychmiast, bo jego dovin basal nie był w stanie wchłonąć całej energii; w jednej sekundzie zmienił się w chmurę jarzących się, stopionych cząstek nie większych od paznokcia. Drugi, prawdopodobnie bardziej wprawiony w pochłanianiu niszczyielskiej energii przy użyciu pustki, wytrzymał atak i wirując w niekontrolowanym młynku, odleciał w dal, nie stanowiąc już zagrożenia dla niszczyciela.

Luke potrząsnął głową nad bezsensownym poświęceniem Yuuzhan Vongów i nad smutnym marnotrawstwem życia i sformował myśliwce w szyk klinowy przed dziobem „Rekordowego Czasu”.

„Rekordowy Czas” był opancerzonym transportowcem wojskowym. Miał ponad sto siedemdziesiąt metrów długości i dwie pękate główne komory; jedna, większa, mieściła mostek i kajuty personelu, a mniejsza - silniki. Obie były połączone wąską rurą, dzięki czemu statek wyglądał bardzo delikatnie, niezwykle krucho. Lecz jego właściciel

i kapitan, prywatny handlowiec - Luke przypuszczał, że raczej przemysłownik - na ochotnika oddał go w użytkowanie generałowi Antillesowi w czasie ataku na Coruscant, twierdząc, że jest to najszybszy i najmocniejszy statek tej klasy. Teraz jego ładownie nie przewoziły towarów, lecz żołnierzy.

Komunikator Luke'a zasyczał falą zakłóceń, po czym odezwał się kobiecie głos:

- „Rekordowy Czas” do dowódcy Bliźniaczych Słońc. Wszystko gotowe.

- Bliźniacze Słońca do „Rekordowego Czasu”, to wy ustalacie tempo. Nie będziemy mieli problemów z utrzymaniem się tam, gdzie trzeba.

Transportowiec ruszył naprzód, niezbyt szybko jak na standardy myśliwców, lecz wystarczająco jak na frachtowiec. Luke obliczył przyspieszenie i ustawił X-winga przed mostkiem tamtego. Mara i Corran wyrównali do niego. Druga trójka ustawiła się po bakburtie transportowca, trzecia po sterburtce, a czwarta za rufą.

Wokół Eskadry Bliźniaczych Słońc wszystkie inne eskadry myśliwców, fregaty, niszczyciele, transportowce i wahadłowce zaczęły przyspieszać do prędkości bojowej.

Luke słyszał przez kanał operacyjny głos pułkownika Gavina Darklightera.

- Eskadra Łotrów do Borleias. Wróciliśmy. Skopaliśmy wam tyłki dwadzieścia lat temu, teraz mamy zamiar zrobić to jeszcze raz.

Luke zaśmiał się cicho.

Zanim Eskadra Bliźniaczych Słońc osiągnęła granicę atmosfery, w jej kierunku mknęły już ławice skoczków koralowych. Były nieco dłuższe niż X-wingi i inne myśliwce, ale o wiele masywniejsze. Stanowiły zwartą strukturę koralu yorik, zwięzającą się ku dziobowi, rozszerzającą ku rufie. Szorstka powłoka zdradzała ich organiczne pochodzenie.

Luke stwierdził, że właściwie mogłyby być piękne. Te, które leciały im na spotkanie, i tamte dwa, które widzieli przy „Mon Mothmie”, miały taką samą paletę barw - pastelowej czerwieni i perłowego srebra, wijących się i przeplatających w skomplikowanym wzorze. Na dziobie, ukryty w niszy wyhodowanej w koralu, spoczywał okrągły czerwony kształt dovin basala, stworzenia, którego siły grawitacyjne przeciągały skoczka z jednego punktu w przestrzeni do drugiego oraz generowały pustki ochronne pochłaniające zniszczenie jak tatoońska bantha wodę. Na górnej powierzchni, tuż przed miejscem, gdzie kadłub stateczku rozszerzał się najbardziej, znajdowało się sklepienie kabiny, dla odmiany zabarwione na niebiesko.

Ich piękno było jednak mało ważne. Natychmiast, jak tylko znalazły się w zasięgu, otwarły do nich ogień z dział plazmowych, form życia plujących przegrzaną materią, która była w stanie przeżreć powłokę myśliwca.

- Rozwinąć się i walczyć, chronić transportowiec - rozkazał Luke i sam wykonał rozkaz. Zawirował w szybkiej spirali w kierunku planety i otworzył ogień, Uczęc na to, że jego towarzysze pójdą za nim, by strzelać z przesunięciem fazy i w inne części skoczka tak, aby przeciążyć i zdeorientować dovin basala. Tym razem stworzenie chroniące jego cel przechwyciło strzał Mary, oddany nieco poniżej osi statku, ale nie zdołało tak szybko odwrócić pustki, aby wchłonąć również strzały Luke'a i Corrana, które rozdarły koral wokół kabiny pilota.

Rozgrzane pacyny, wystrzelone przez towarzysza trafionego pilota, skierowały się w stronę X-winga Luke'a. Luke usłyszał wrzask przerażenia R2-D2, który siedział w swoim gnieździe za osłoną kabiny, ale uznał, że to nieważny szczegół. Nie przerywał wirującego nurkowania zmieniając prędkość obrotów i pokonywaną odległość co mniej więcej pół standardowej sekundy. Zauważył błysk plazmy pomiędzy statkiem swoim a Mary.

I nagle cała trójka znalazła się poniżej swoich celów i znów wznosiła się ku rufom skoczków. Pustki zawirowały, unosząc się nad rufami, gotowe, by wchłonąć nieskończone ilości energii laserowej.

Pierwsze potyczki pomiędzy skoczkami koralowymi a myśliwcami Nowej Republiki były porażką tych ostatnich. Nawet zaprawieni w bojach piloci byli zbici z tropu niezwykłą trwałością skoczków, bezsilnością torped protonowych i strzałów z lasera, bezpiecznie unieszkodliwianych przez próżnie i nie czyniących szkody statkom, żarłocznością pocisków plazmowych, które długo jeszcze po wystrzeleniu i trafieniu trawiły powłokę statku.

Teraz było inaczej. Ci, którzy przeżyli, dostosowywali taktykę i przekazywali informację dalej, kolejnym towarzyszom. Zasadą gry było przeciążanie dowin basali; uderzano z kilku kierunków naraz, aby któryś ze strzałów zdołał dotrzeć do powierzchni skoczka. Piloci myśliwców musieli sami unikać trafienia z broni skoczków - każdy strzał był w stanie przeżreć tarcze i zagrozić życiu.

Przez cały czas wynajdywano nowe taktyki walki, każda bitwa przynosiła kolejne. Mara wystrzeliła przed Luke'a i Corrana; leciała w umyślnie przewidywalnym rytmie, ściągając na siebie ogień obu skoczków. Nagle zmieniła taktykę, tracąc rytm, tak bezładnie, jak tylko Moc może pozwolić pilotowi. Dogoniła skoczki i znalazła się tuż za nimi. Przemknęła na lewo, a kiedy dwa strumienie z dział plazmowych pognały za nią strzał skoczka z lewej strony przebił korpus skoczka po prawej. Dwie kule ognia uderzyły w kadłub, zanim pilot po prawej zdołał zmienić kierunek strzałów.

Próżnia statku po lewej śmignęła ku dolnej części kadłuba. W tej samej chwili Mara wystrzeliła z wszystkich czterech połączonych dział laserowych.

Skoczek eksplodował, chwilowo zasłaniając statek Mary, i Luke wystrzelił przerywając serią w brzuch skoczka po prawej. Miał nadzieję, że dezorientacja pilota po zestrzeleniu własnego partnera i starania dowin basala, aby osłonić go przed atakiem Mary, na chwilę pozbawią go ochrony.

Miał rację. Jego lasery uderzyły w kadłub skoczka, rozpryskując się strumienie cieczy zamarły natychmiast w niemal całkowitej próżni.

Sprawdził czujniki. Dwa statki mniej. Mara już zawracała aby dołączyć do niego i Corrana. Diagnostyka twierdziła, że jego statek jest nieuszkodzony.

Nieco dalej dwa z myśliwców Bliźniaczych Słońc uległy uszkodzeniu. Jeden z pilotów katapultował się; Luke miał nadzieję, że kombinezon utrzyma go przy życiu, dopóki nie zjawi się wahadłowiec ratunkowy.

- Dobra taktyka, Maro - rzekł.

- Zawsze wiesz, jak sprawić kobiecie przyjemność.

Luke uśmiechnął się i ruszył ku kolejnej grupie przeciwników.

Eskadry myśliwców skoncentrowały obronę Yuuzhan Vongów w trzech punktach na orbicie. Grupa Bliźniaczych Słońc skorzystała z okazji i z rykiem pogрузzyła się w pozbawionej ochrony strefie, skręcając w kierunku punktu wystrzeliwania skoczków, widocznego na czujnikach grawitacji. Nieprzypadkowo były to te same współrzędne, które poprzednio wyznaczały położenie bazy wojskowej Nowej Republiki na Borleias. Luke nie miał wielkiej ochoty oglądać tego, co pozostało z bazy po okupacji Yuuzhan Vongów.

Opadli nisko nad baldachim drzew. Luke widział już przed sobą strefę celu. Nie miał tych samych kształtów, co te oglądane w holosześcianie. Główne budynki wydawały się o wiele niższe i bardziej rozległe.

Ponad nimi unosiły się małe odłamki koralu yorik, kierując się w ich stronę. Czujniki mówiły, że jest ich sześć.

- Bliźniacze Słońca, przed wami - odezwał się Luke. - Wciągnijcie je w walkę. „Rekordowy Czas”, od ciebie zależy, czy chcesz zostać z nami, czy ruszyć na cel bez nas.

- „Bliźniacze Słońca Jeden”, tu „Rekordowy Czas”. Jesteśmy po to, żeby walczyć. Spotkamy się w strefie lądowania.

- Zrozumiałem.

Lando Carlissian stał obok rampy w przedziale desantowym „Rekordowego Czasu” i starał się nie wyglądać na zatroskanego.

Pocił się jak diabli. Nie cierpiał się pocić. Pot miał coś wspólnego z ciężką pracą, za którą zdecydowanie nie przepadał i po prostu psuł obraz kogoś nieskończenie chłodnego, całkowicie pod kontrolą.

Rozejrzał się po oddziałach kobiet i mężczyzn w przedziale. Większość siedziała w rzędach krzeseł z wysokimi oparciami, przypięta pasami bezpieczeństwa dla ochrony przed wstrząsami, które wkrótce miały nastąpić. Ich dowódcy wędrowali wzdłuż tych rzędów, przekazując ostatnie instrukcje, porady, słowa zachęty, żarty i obelgi.

Spojrzał na swój własny oddział. Stali w kręgu, każdy z dłonią na metalowym słupie pośrodku i spoglądali na niego. Nie widać było po nich strachu ani żadnego innego uczucia.

- Gotowi? - zapytał.

- Gotowi! - odpowiedzieli chórem.

Wiedział, że kiedy już opuszczą przedział, nie ujrzy więcej wielu z nich. W przeciwieństwie do innych dowódców, cieszył się tą świadomością. Jego oddział spełnił swoje zadanie. Przedział zadygotał, gdy ogień wroga zasypał „Rekordowy Czas”. Lando zobaczył na twarzach innych żołnierzy strach, a nawet panikę. Ale nie jego oddział. Oni tylko patrzyli na niego wyczekująco.

Luke, z Marą i Corranem przyklejonymi do boków, śmignął w ślad za „Rekordowym Czasem”. Skrzywił się lekko. W starciu z pociskami plazmowymi stracił górny prawy laser i silnik. Jego zdolność manewrowa i bojowa uległa zmniejszeniu.

Przed nim „Rekordowy Czas” osiadał właśnie na koronach drzew, a może na otwartej polanie przed bazą. Z tego miejsca nie było widać. Drobne błyski światła try-skały z ziemi; bębniły w powłokę transportowca, pokrywając ją czymś czarnym. Luke'owi wydawało się, że widzi, jak krawędzie dziobowe „Rekordowego Czasu” wyginają się pod wpływem pozerających je niszczyielskich pocisków. Transportowiec nagle skręcił w prawo i Luke stwierdził, że się nie myli - część dziobowa była straszliwie uszkodzona przez pociski plazmowe. Dziwiłby się bardzo, gdyby się okazało, że transportowiec jeszcze nadaje się do lotów w próżni.

Po ostatnim wstrząsie i serii drgań Lando zorientował się, że wylądowali. Niewiele słyszał przez ryk syren alarmowych. Jeszcze raz zaczerpnął tchu i skinął na swoje oddziały, po czym uderzył w panel powłoki obok wjazdu.

Górna część wjazdu natychmiast powędrowała do góry. Dolna opuściła się łukiem, tworząc rampę. Ciepłe, wilgotne powietrze wypełniło przedział. Po drugiej stronie wjazdu widać było łąkę; sprężysta trawa sięgała do pół łydki człowieka. Za nią widniała jakaś czerwona Yuuzhańska konstrukcja, cylindryczny, długi budynek z odnogami ułożonymi w regularnych odstępach.

- Naprzód, naprzód, naprzód! - zawołał Lando i jego żołnierze odczepili się od trzymanej belki. Wydali nieartykułowany okrzyk bojowy i rzucili się w kierunku rampy, szykując karabiny laserowe.

Zaledwie dotarli do szczytu rampy, zasypał ich ogień z zewnątrz. Lando słyszał, jak tylna ściana przedziału dzwoni pod uderzeniami kul. Nie, to nie były kule, przypominał sobie, lecz stworzenia rzucane przez Yuuzhan Vongów - żuki, twarde udarowe pociski owadzie, oraz brzytwożuki, które przecinały wszystko, w co uderzały, i zawracały, kiedy chybiły, żeby wykończyć cel.

Jeden z jego żołnierzy znalazł się pod zmasowanym atakiem żuków-pocisków. Kilka z nich uderzyło go w gardło z tak wielką siłą, że przecięło szyję. Ciało żołnierza opadło, głowa z brzękiem spadła na podłogę przedziału i poturlała się wprost pod nogi Landa.

Lando przytrzymał ją stopą, jak piłkarz przechwytyjący piłkę i beznamiętnie spoj-rzał w dół. Pierwsza ofiara tego dnia. Rysy twarzy robota bojowego wyglądały nie bar-dziej wyraziście niż kilka minut temu. Uznał, że uszkodzenie nie wygląda źle. Łatwo go będzie naprawić.

Dziewiętnaście nieuszkodzonych robotów bojowych ruszyło w dół rampy i na łą-kę, kierując się w prawą stronę ku czerwonemu budynkowi. Ich okrzyk wojenny zmie-nił się ze zwykłego ryku w słowa, których Lando nie rozumiał.

Wiedział jednak, co one oznaczają. Sam polecił, aby zainstalowano ten okrzyk bo-jowy w robotach. Okrzyk ten w języku Yuuzhan oznaczał: „Jesteśmy maszynami! Je-steśmy potężniejszą od Yuuzhan Vongów!”

Na mostku „Rekordowego Czasu” oficer komunikacyjny, Rodianin o nieskazitel-nie czystej zielonej łusce, wyduł wargi otworu gębowego, znajdującego się na końcu spiczastego ryjka.

- Kapitanie, to działa. Wychodzą z ukrycia zdejmują maskowanie.

Kapitan, wysoka kobieta o miedzianych włosach upchniętych pod oficerską czap-ką dźwignęła się z fotela i wstała. Jej głowa znalazła się dokładnie w chmurze dymu zbierającego się pod sufitem mostka. Zakasłała, schyliła się i podeszła do Rodianina.

Na ekranie widoczny był panoramiczny obraz zebrany z holokamer umieszczo-nych na panczeru transportowca. Pokazywał on cały teren wokół „Rekordowego Cza-su”, dżunglę po lewej i otwarte pole po prawej burcie.

Roboty bojowe Landa Carlissiana zbiegły już z rampy i szarżowały przez łąkę, otaczając się gęstym ogniem. Yuuzhańscy wojownicy wyskakiwali spomiędzy traw i z dżungli: pędzili na oślep, ignorując całkowicie transportowiec i rzucając się jak oszalałe zwierzęta ku robotom, które obrażały ich słowem i samą swoją obecnością.

- Prześlij tę wizję do wszystkich statków i pojazdów w strefie walki - poleciła ka-pitan. - Przekaż na „Mon Mothme”, że taktyka podziiałała. A potem powiedz... a niech to!

Na ekranie pojawiła się ogromna masa, która wychynęła z odległej części budynku z promienistymi odnogami i teraz okrążała go powoli. Była to żywa istota, mgliście spokrewniona z gadami, wielka jak dom. Jej skóra była niebieskozielona, ale na łbie i wzdłuż kręgosłupa wyrastały łaty czerwonego i srebrnego korala yorik. Z grzbietu wy-rastały ogromne, podobne do żagli płyty, a z yorika wystawały jak kolce działa pla-zmowe.

Głos pani kapitan wzniósł się do krzyku.

- W tej chwili wyprowadzić oddziały ze statku. Personel niestrategiczny za oddzia-łami. Wszystkie rodzaje broni na cel. Strzelać według uznania. I odprowadzić ten cho-lerny dym, musimy oddychać, żeby walczyć.

Musiała to być jedna z tych istot, które walczyły w potyczce na Dantooine. Kapi-tan miała paskudne przeczucie, że „Rekordowy Czas” nigdy już nie wzniesie się w atmosferę.

ROZDZIAŁ

2

Okupacja Borleias, dzień drugi

Żywi żołnierze wysypali się z luków „Rekordowego Czasu”, wydając z siebie nieartykułowane okrzyki wojenne. Lando skierował swojego ochroniarza, również robota bojowego, w ślad za głównym oddziałem, pozostali zaś ruszyli w stronę głównego budynku. Ustawiali się na obwodzie lub przystawali, aby rozstawić sprzęt.

Jego roboty na czele oddziałów wciąż znajdowały się pod gęstym ostrzałem; zbroje z laminanium były poryte drobnymi dziobami od uderzeń żuków i splamione posoką brzytwożuków, które rozbijały się na nich nieszkodliwie. Lando obserwował, jak yuuzhański wojownik w ciemnej, lecz lśniącej zbroi z kraba vonduun rzucił się pomiędzy dwa roboty. Śmignął amphistaffem w tył i na prawo. Sztynny amphistaff smagnął powietrze w okolicy pasa robotą ale ten chwycił go wolną dłonią ruchem szybkim jak myśl, po czym wycelował ciężki miotacz i wystrzelił. Promień energii przeorał ciało Yuuzhanina, który rzucił się w tył, drgając konwulsyjnie pod strumieniem energii laserowej, i opadł na ziemię w chmurze pary.

Uderzenie nie dość mocne, aby pochodziło od żuka udarowego, rzuciło Landem o grunt.

- Padnij, panie - usłyszał jak przez mgłę głos swojego ochroniarza. Robot otworzył ogień. Lando uniósł głowę i zobaczył yuuzhańskiego wojownika który zbliżał się zakolami, aby uniknąć promieni miotacza.

Wymierzył z kolana na prawo od biegnącego napastnika i strzelił, rozpylając energię lasera na otwartej przestrzeni, po czym przerzucił ogień na lewo. Jego strzały otaczały ogień robota. Yuuzhański wojownik, teraz już tylko o pięć kroków od nich, wpadł mu wprost pod lufę i oberwał w kolano. Upadł twarzą naprzód i czołgał się w kierunku Landa i robota z wijącym się amphistaffem w dłoń.

Lando wstał. On i robot wycofali się w przeciwnych kierunkach, nie przestając strzelać do powalonego wroga. Wojownik wstał. Jego zbroja była już poczerniała w wielu miejscach. Zamachnął się, jakby chciał coś rzucić, ale strzał - Lando nie był pewien czyj, jego czy robota - trafił go w krtań, powalając w tył.

Lando skinął głową w kierunku ochroniarza.

- Jestem biznesmenem - rzekł tytułem wyjaśnienia.
- Tak jest, proszę pana.
- Wiesz, co to znaczy.
- Nie podoba się panu tutaj, proszę pana.
- Trafiłeś w sedno. - Okrążali dymiące ciało, wycofując się w stronę oddziału Landa.

Pancerna bestia była już widoczna zza węgła budynku. Mięśnie wokół pancernych łusek zafalowały, a działa plazmowe na grzbiecie gada zmieniły położenie, celując wprost w Landa. A może tak mu się tylko zdawało.

Padł na ziemię i otworzył ogień.

Luke, Mara i Corran śmignęli nad terenem bazy, przez ułamek sekundy mogąc podziwiać budynek Yuuzhan Vongów, „Rekordowy Czas”, ogromną bestię plującą plazmą na burtę transportowca.

Luke westchnął. Ostatnim razem, kiedy miał okazję zetknąć się z jedną z tych bestii, które Jaina Solo określiła mianem „potworów” -ich yuuzhańską nazwę „rakamaŋ” poznano dopiero później - taktyka, której użył do jej zniszczenia, wyłączyła go z walki na dobrych parę godzin. Teraz nie mógł sobie na to pozwolić.

- Zobaczmy, co można zrobić, żeby odwrócić uwagę tego paskudztwa od piechoty - powiedział. - „Lot Dwa”, „Lot Trzy”, „Lot Cztery”... kiedy tylko uporacie się z tymi skoczkami, zatrudnimy was tutaj, gdzie się walczy.

Poprowadził Marę i Corrana ciasną pętlą w kierunku miejsca potyczki. Wszystkie trzy X-wingi zaczęły strzelać, zanim jeszcze wyminęły zasłonę dżungli, i natychmiast powietrze wokół nich zaroilo się od pocisków plazmy. Wystrzelił połączonymi laserami w kierunku potwornej bestii i stwierdził, że zarówno jego strzał, jak i strzały jego towarzyszy zostały wchłonięte przez próżnię istoty. A potem znów znaleźli się nad dżunglą.

Lando na łokciach i kolanach pełznął do przodu, lamentując:

- Jestem na to za stary, jestem biznesmenem, jestem na to za stary - powtarzał w kółko. - Ja chcę drinka! - Rytm własnych słów pozwalał mu na chwilę zapomnieć o ściekających mu po twarzy kroplach potu, o emanującym z jego ciała strachu, kiedy pociski plazmowe śmigły mu kilka metrów nad głową waląc w burtę „Rekordowego Czasu”. Smugi ognia krzyżowały się ze wszystkich kierunków, wśród nich również potężne wstęgi ciężkich dział laserowych, od których pewnie by wyparował, gdyby go choć musnęły. Robot nie opuszczał go, idąc powoli, aby Lando miał czas go dogonić.

Wczołgał się w krąg żołnierzy, zanim się zorientował, gdzie jest -było ich sześciu, pięciu ludzi i jeden Twi'lek, ale tylko trzech miało broń ręczną.

- Gdzie macie miotacze? - zapytał.

Czerwonoskóra Twi'lekanka przytuliła się mocniej do osłony, jaką tworzył jej plecak.

- Jesteśmy saperami - wyjaśniła.

Mężczyzna o długiej twarzy, uzbrojony w karabin laserowy, powtórzył:

- Oni są saperami - i wystrzelił w kierunku odnóży ogromnego stworzenia, które toczyło się w ich kierunku.

- Saperami? - dopytywał się Lando. - Takimi, co mają materiały wybuchowe? Kobieta skinęła głową.

- Chowasz się za stertą materiałów wybuchowych? Skinęła znowu głową z miną świadczącą że doskonale rozumie bezsens tej sytuacji.

- Zaczynij kopać - polecił Lando. - Wykop płytką dziurę. Na tyle dużą żeby zmieściły się w niej materiały wybuchowe.

- Po co? - odparł żołnierz z karabinem. - Po prostu tu zostawimy i wyniesiemy się gdzie indziej.

- Nie, będziemy kopać. - Lando obejrzał się na kobietę, która siedziała nieruchomo z dłonią w pół drogi do saperki, wodząc oczami od niego do żołnierza i z powrotem.

Żołnierz obdarzył Landa pobłażliwym uśmiechem.

- Jestem tylko oficerem, nawet nie sztabowym, ale to i tak jest więcej niż cywil, przynajmniej na polu walki. Wynosimy się.

Lando złapał go za klapę tuniki i przyciągnął do siebie. Żołnierz nie miał pewnie nawet dwudziestu lat, choć wyraźnie nie grzeszył pokorą.

- Słuchaj no ty, bancie łajno - wycodził Lando. - Rozpieprzyłem Gwiazdę Śmierci, zanim tata z mamą mieli cię w planach. W ciągu dwudziestu sekund skontaktuję się z generałem Antillessem, który rozwalił Gwiazdę Śmierci razem ze mną i za chwilę będę znowu generałem Calrissianem, a ty zakończysz swoją militarną karierę, czyszcząc wychodki na Kessel. Oczywiście, możesz jeszcze zacząć kopać. Co wybierasz?

Żołnierz przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a przez ten czas smugi plazmy nad ich głowami zmieniły się w linie ciągłe.

- Sądzę, że będziemy kopać.

- Słusznie. - Lando puścił go, spojrzął na TwiMekankę i wskazał jej żołnierza. - Daj mu saperkę.

- Tak jest.

Lando wyciągnął rękę, wziął karabin od żołnierza i zajął jego miejsce na obwodzie kręgu. Oddał kilka strzałów do odległych yuuzhańskich wojowników i jeden do zwierzęcia. Potem obejrzał się i powiedział do swojego robota:

- Widzisz, stary, uwielbiam właśnie tak prowadzić negocjacje z pracownikami.

- Tak jest - skinął głową robot.

Kolejny przelot Luke'a i jego towarzyszy nad polem bitwy, podczas którego próżnia na ciele rakamata znów pochłonęła kilka strzałów, a kilka innych trafiło w budynek Yuuzhan Vongów, ukazał ich oczom grupę żołnierzy okopujących się w kręgu położonym dokładnie na drodze potwora. Z zapałem kopali głęboki dół.

- Jak sądzisz, co oni robią? - usłyszał głos Mary. - Pogięło ich?

- Może mają pieczonki? - podsunął Luke.

- Też myśl.

Luke poprowadził Marę i Corrana z powrotem w kierunku bazy Yuuzhan Vongów. W chwilę później trzy kolejne „Bliźniacze Słońca” zrównały się z nim w szyku.

- Miło was widzieć - rzekł Luke. - Rozdzielić się i podejść do bazy od drugiej strony, żebyście znaleźli się nad kopułą w pół sekundy po nas. Spodziewają się tylko trzech. Gotowi, rozdzielić się.

Ziemia była miękka, więc szybko wykopali dół i ładunek materiałów wybuchowych od trzech saperów znalazł się w nim w ciągu pół minuty standardowej. Cała ósemka odpełzła w kierunku „Rekordowego Czasu” byle dalej od dołu.

Twi'lekanka leżała płasko na plecach na końcu kolumny, manipulując zdalnym detonatorem, a robot Landa włókł ją za nogi. Utrzymał przy tym nieprzerwany ogień w kierunku tyłów, rakamata oraz głównego pola walki pieszych oddziałów.

Lando czołgał się na czele kolumny, a w uszach miał ryk silników zawracających X-wingów. Wiedział, że maszyny daremnie atakują bestię, ale wdzięczny był za ich nawroty, dzięki którym ani on sam, ani jego oddział nie byli narażeni na ciągły ogień.

Trzy X-wingi śmignęły z lewej strony, zasypując prawy bok rakamata ciągłym ogniem. Pustki nadążały za ich atakami, koncentrując się na drodze promieni, Landowi wydawało się, że naprawdę widzi, jak czerwone promienie myśliwców zaginają się i skręcają zanim zostaną pochłonięte.

Kolejne trzy X-wingi nadleciały z prawej, plując ogniem w lewy bok bestii. Sześć myśliwców wyminęło się jak na pokazie lotnictwa wyczynowego i znikło nad dżunglą.

Lando widział, jak korał yorik rozgrzewa się i eksploduje, wyrwany z ciała, które pod wpływem ognia natychmiast zamieniło się w parę.

Ciemna krew spłynęła po prawym boku zwierzęcia. Istota ryknęła głosem, który brzmiał jak skrzyżowanie trzęsienia ziemi z odległym grzmotem, plując ogniem plazmowym w ślad za sześcioma myśliwcami. Ale wciąż parla naprzód, w kierunku „Rekordowego Czasu”.

- Mam - odezwała się pani saper.

- Przygotuj się - mruknął Lando. - Spróbujemy zgrać to z kolejnym przelotem myśliwców, jeśli zdążą wrócić.

Twi'lekanka zaczęła pełznąć, uwalniając robota Landa.

Nagle Lando natknął się na dwa pnie, które zagradzały mu dalszą drogę. Podniósł wzrok i przekonał się, że to nie pnie, lecz nogi yuuzhańskiego wojownika, zakutego w zbroję z kraba vonduun. Amphistaff wojownika był sztywny jak dzida, stożkowaty ogon wycelowany dokładnie w plecy Landa. Wojownik podnosił go właśnie, szykując się do zadania ciosu.

Ostrze opadło i nagle ciemny kształt osłonił Landa przed ciosem, przed oślepiającą feerią energii plazmowej i laserowej na niebie. Lando usłyszał ludzki krzyk i nagle Yuuzhanin wylądował na plecach w trawie. Jego stopy wierzgały konwulsyjnie o centymetry od nosa Carlissiana. Jeden z żołnierzy leżał na nim, ale już bezwładny, z amphistaffem w plecach.

Ze swojej pozycji Lando miał dobry widok na to, co znajdowało się pod płatanami zbroi Yuuzhanina, który odepchnął trupa i próbował wstać. Lando wycelował pistolet laserowy i strzelił w miejsce, którego nie chroniła ani spódniczka zbroi, ani osłony ud.

Tym razem to Yuuzhanin ryknął z bólu. Wojownik wił się i skręcał, miotany bólem, który najwidoczniej wykraczał daleko poza granice wytrzymałości nawet jego gatunku.

Robot-goryl Landa wylądował pomiędzy nim a wojownikiem. Kopnął amphistaff, odrzucając broń daleko poza zasięg rannego, choć samo zwierzę, nagle odzyskując elastyczność, zdołało jeszcze ukąsić robota. Atak, szybszy niż mogło odnotować oko Landa nie przebił zbroi robota, choć nawet gdyby się to udało, i tak nie zdołałby uszkodzić maszyny. Amphistaff odleciał o kilkanaście metrów.

Robot stanął nad wojownikiem, wycelował starannie i otworzył ogień.

Lando odwrócił się. Potężna bestia za ich plecami, choć ociekająca krwią nabrała prędkości. Wiedziała, że jest ranna, może umierająca i z rozmysłem szarżowała na „Rekordowy Czas”.

Twi'lekanka kciukiem muskała przycisk detonatora.

- Czekaj - poleci! Lando.

Spojrzała na niego niespokojnie, ale nie dyskutowała.

Ryk powracających myśliwców wprawił w drgania wszystkich i wszystko na łące. Lando obserwował niebo kątem oka, resztę uwagi poświęcając zbliżającej się bestii. Jej przednie łapy znajdowały się już nad zakopanymi materiałami wybuchowymi, a zaraz potem za nimi. Korpus zwierzęcia powoli zaczął mijać rozkopaną ziemię, znaczącą miejsce ich ukrycia.

Lando przełknął ślinę. Jeśli mu się uda, bestia, choć właściwie niewinna, zginie. Lando poczuł ból, obserwując jej powolny marsz ku śmierci.

Obwiniął o to Yuuzhan Vongów. Było to lepsze, niż przyjąć na siebie całą odpowiedzialność za zabicie wspaniałego zwierzęcia, które nigdy by mu nie zagroziło, gdyby nie jego właściciele.

Ryk silników myśliwców przybrał na sile; działa plazmowe na ciele zwierzęcia przeniosły strumienie ognia z „Rekordowego Czasu” w powietrze. Lando zobaczył, że statki przemykają teraz z dwóch innych stron, z północy i z południa, nie zaś jak przedtem, ze wschodu i z zachodu. Widział czerwone smugi laserów pochłaniane przez pustki zwierzęcia i przeciwogien plazmy, wżerający się w podbrzusza X-wingów.

Nagle myśliwce znikły, ścigane pociskami plazmowymi, które siały ognistą śmierć na swojej drodze.

- Teraz! - zawołał.

Nie zauważył nawet, kiedy kobieta wcisnęła przycisk. Widział jedynie ogień kłębiący się pod brzuchem bestii, żółty i paskudny jak wszystko, co stworzyli Yuuzhanie. Płomień objął zwierzę, porażając Landa gorącym i hukiem. Lando ukrył twarz w trawie, żeby go nie widzieć.

W chwilę później mógł już patrzeć. Zwierzę leżało na boku z brzuchem rozprutym i poczerniałym od eksplozji. Krew spływała strumieniem, lecz co dziwniejsze, istota żyła nadal, przynajmniej na razie; jej boki unosiły się ciężko w walce o oddech.

Już nie strzelała ani do X-wingów, ani do transportowca. Lando usłyszał, że transportowiec znów otwiera ogień laserowy, tym razem nie musząc się skupiać na stworzeniu. Zamiast tego wybijał metodycznie pojedynczych yuuzhańskich wojowników, którzy znajdowali się w zasięgu wzroku.

Robot Landa również strzelał. Lando obejrzał się i zobaczył, że jego ochroniarz raz za razem umieszcza kolejne salwy w ciele Yuuzhan Vonga, który go omal nie zabił. Wojownik dawno nie żył, a górna część jego korpusu i głowa były poczerniałe od ognia laserów.

- Jeden-Jeden-A, możesz już przestać strzelać - polecił. - Co się dzieje? Czy twój układ rozpoznawania zagrożeń dostał drgawek?

Robot spojrzał na niego.

- Tak jest, proszę pana. Sądzę, że tak jest, proszę pana. Wciąż rejestruję tę istotę jako zagrożenie.

- Obejście regulacji dwadzieścia siedem a-a sześć, oflaguj ten cel jako nieszkodliwy.

- Zrozumiałem, proszę pana. - Robot przestał strzelać.

- Weźmiemy cię na warsztat - rzekł Lando. - Ale nie przejmuj się. Dobrze ci poszło.

- Tak jest, proszę pana.

Zanim Wedge wylądował na powierzchni planety w swoim wahadłowcu, sytuacja wokół bazy była już właściwie pod kontrolą. Przelatywał teraz nad dawną lokalizacją bazy Nowej Republiki na Borleias.

Kiedyś była to baza Imperium, mieszcząca myśliwce TIE i szturmowce, zbudowana, by chronić niedalekie zabudowania laboratorium biologicznego, zarządzanego przez generała Imperium Evira Derricote'a. Następnie Eskadra Łotrów, wówczas pod dowództwem samego Wedge'a, przybyła z misją która wydarła kontrolę nad tym światem z rąk Derricote'a. Baza imperialna stała się wtedy bazą Sojuszu rebeliantów, a następnie, kiedy rebelianci przejęli Coruscant i stali się legalnym rządem w tej części galaktyki, bazą Nowej Republiki.

Teraz leżała w gruzach. Wedge wątpił, czy choć jedna część oryginalnej bazy miała wysokość dwóch metrów.

Tam, gdzie kiedyś był główny budynek, teraz stała całkiem inna konstrukcja, pastelowo-czerwona i perłowa, wysoka na wiele pięter, jak okrągły rdzeń, z którego wyrastało osiem dość równo rozmieszczonych odnóg, jak ramiona morskiego potwora. Wedge nie musiał pytać, żeby się zorientować, że to coś organicznego - żywa istota wyhodowana przez Yuuzhan Vongów, by służyć im za mieszkanie. Czy została opuszczona na starą bazę, wgniatając ją w ziemię, czy wyrosła na jej gruzach? Wedge nie wiedział.

Obok leżało gargantuiczne stworzenie, kolejny fragment uzbrojenia Yuuzhan Vongów, gad, o którego istnieniu zameldował „Rekordowy Czas”. Leżało na boku, w ogromnej kałuży krwi. Oddziały Wedge'a donosiły, że jest martwe, a jego śmierć należało przypisać Landowi Carlissianowi i grupie saperów.

Główny budynek otaczały liczne mniejsze obiekty, ukształtowane jak kręte muszle znajdujące na grzbietach morskich skorupiaków czy lądowych ślimaków. Każda miała wielkość małego domku, przyjemnego dla oka dzięki pastelowej kolorystyce i łagod-

nym, falistym liniom, dopóki się nie pamiętało, że zamieszkują je istoty bez wahania odbierające życie innym i z lubością poddające się samookaleczeniu.

Reszta starej bazy leżała w ruinach - doki i przybudówki obrócone w perzynę i po-czerniałe, poskręcane szkielety. Wedge miał wrażenie, jakby służyły za cel treningowy działom plazmowym skoczków koralowych.

Teraz jednak cały teren roił się od wojsk Nowej Republiki. Martwi mężczyźni i kobiety w mundurach leżeli na ziemi w różnych miejscach, przemieszani z trupami yuuzhańskich wojowników. Wedge widział, jak żołnierze odprowadzają więźniów na otwarte placyki, strzeżone przez innych żołnierzy. Wielu z więźniów to byli ludzie; na ich czołach, nawet z tej odległości, wyraźnie było widać bliźniacze koralowe wyrostki oznaczające, że są niewolnikami Yuuzhan Vongów. Inni więźniowie byli Yuuzhanami, ale o gładkiej skórze, nie-ozdobionej ani tatużami, ani bliznami, jakie widywał na ciałach pilotów. Wedge przypuszczał, że to Zhańbieni, członkowie kasty pariasów społeczeństwa Yuuzhan Vongów, których ciała odrzucały modyfikacje, przez co nie mieli szans, aby wspiąć się do wyższych sfer hierarchii społecznej Yuuzhan Vongów.

Baza była stracona, cioć została zdobyta. Wedge nie sądził, aby zabudowania Yuuzhan Vongów nadawały się na naziemne centrum dowodzenia. Mogły się znajdować niezliczone pułapki i zagrożenia dla lokatorów z Nowej Republiki, co z pewnością nie ucieszy uchodźców, którzy, jak się spodziewał, wkrótce napłyną tu z Coruscant.

Włączył komunikator

- „Lotr Jeden”, tu Antilles. Daj mi eskortę. Musimy zwiedzić laboratorium biotyki.

- Nie ma sprawy.

W kilka chwil później dwa X-wingi, jeden należący do Gavina Darklightera, drugi do jego partnera Krala Nevila, znalazły się u jego boków. Wedge skręcił w stronę laboratorium i włączył silniki manewrowe. Wkrótce wisiał już nad terenem bazy.

Laboratorium biotyczne generała Derricote'a było pojedynczym, długim, wielopiętrowym budynkiem: jego wschodnia ściana spadała pionowo, od zachodu zaś tworzyła łagodny, przyjemny dla oka stok. Górne piętro stanowiło wąską galerię, dość szeroką aby pomieścić korytarz i jeden rząd pokoi. Niższa kondygnacja była już szersza, kolejna jeszcze szersza, aż cała budowla zdawała się gigantycznym klinem, skierowanym w niebo. Oficjalnie było to miejsce, gdzie Derricote studiował i przechowywał rzadkie gatunki roślin ze świata Alderaana. W istocie produkowano tu śmiertelną chorobę, wirusa Krytos, który zakażał i zabijał przedstawicieli ras nieludzkich. Wirus został rozprzestrzeniony przez siły Imperium, kiedy Sojusz przejął Coruscant.

Z tej wysokości Wedge mógł stwierdzić, że budynek wciąż jest nietknięty. Dżungla zarosła go wokół, drzewa podchodziły pod ściany, bluszcz oplatał turkusowe okna widokowe, które nawet nie były stłuczone. Wedge nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że Derricote użył transpastali zamiast innego, delikatniejszego materiału.

Przekazał obraz miejsca z holokamery, dodając do strumienia danych jego współrzędne.

- „Mon Mothma”, to będzie nasza baza naziemna. Potrzebuję desantu i inżynierów z rezerw możliwie jak najszybciej. Niech wypalą dżunglę w pasie kilometra od strony północnej, wschodniej i południowej, a dwóch kilometrów od zachodu. Skoro Yuuzha-

nie pouciekali do dżungli, potrzebuję sporej strefy ochronnej. Następnie niech oddziały naziemne wkroczą na teren bazy i oczyszczą ją z Yuuzhan Vongów i innych drapieżników, Potem służby porządkowe posprzątają uruchomią generatory i tak dalej. Pole po stronie zachodniej będzie naszym lądowiskiem. Wydać też rozkaz, żeby wszyscy martwi Yuuzhanie zostali pozbawieni uzbrojenia, które należy przekazać do analizy, ale ciała należy pozostawić tam, gdzie są.

Nie była to zniewaga ze strony Wedge'a. W przeszłości Yuuzhanie wiele razy demonstrowali, jak bardzo zależy im na odzyskiwaniu ciał zabitych. Pozostawiając ciała, Wedge miał nadzieję, że automatycznie zmniejszy liczbę napaści, na jakie będą narażone wojska, ponieważ nikt nie będzie próbował odbijać zabitych.

- Niech jedna grupa trzyma wartę przy bazie Yuuzhan, a druga, plus ludzie Danni Quee i roboty Landa, przeszukają czy nie zostali tam jacyś więźniowie i Yuuzhan Vongowie. Po zakończeniu ewakuacji bazy saperzy mają ją wysadzić.

Westchnął cicho. Po krótkiej przerwie znów zagłębia się w administracyjnej robocie. Chyba pójdzie na emeryturę albo wróci do czynnej służby.

Okupacja Borleias, dzień drugi

Następnego dnia budynek biotyki był już zabezpieczony i gotów do użytku.

Siły okupacyjne nie znalazły żadnych Yuuzhan ukrywających się w budowlu, lecz widać było, że nieprzyjaciel działał tu nieraz, niszcząc maszyny i rozbijając meble - jak to wojownicy wandalę. Gorszą sprawą był rozbity generator. Na razie obok budynku postawiono mały frachtowiec, a ciężkie kable wychodzące z jego maszynowni zasilają rozdzielnię w piwnicy budynku i generatory pola ochronnego zabezpieczające cały kompleks.

Budynek otaczało teraz sześć kilometrów kwadratowych ogołoconej z dżungli ziemi. Żołnierze używali ognia, laserów, defoliantów, wszystkiego, co wpadło im w ręce. Laboratorium biotyki, dom ukrytych okropności, otoczone było obecnie szpetotą jawną. Wyjście z budynku oznaczało wkroczenie w upalne, wilgotne środowisko cuchnące spaloną roślinnością w krajobraz, który oferował jedynie widok spalonej ziemi, statków przygotowanych do naprawy i odległej dżungli.

Luke, powracający z patrolu wokół siedziby Yuuzhan - patrolu, podczas którego nie spotkali nikogo, ale po zachowaniu fauny Borleias mieli prawo podejrzewać, że Yuuzhanie gdzieś tam się kryją - dowiedział się, że Wedge zażądał jego obecności na spotkaniu starszych oficerów i osobistych sojuszników. Dołączył więc do tłumu wypełniającego korytarz laboratorium biotyki. Mara już tam była, z małym Benem w ramionach. U jej stóp stało dziecięce nosidełko, zaimprovizowane z plecaka. Miała gips na kostce, unieruchamiający złamanie, którego doznała w czasie twardego lądowania po klęsce Coruscant.

Luke ruszył w jej stronę, ale Wedge skinął na niego, wskazując mu siedzenie u szczytu stołu. Luke uśmiechnął się do Mary przepraszająco i podszedł do Wedge'a.

- Nie zostaniecie tu długo - przemówił Wedge do całego zgromadzenia. - Ale i tak dłużej, niż byśmy chcieli. Spodziewamy się dalszych walk. Chciałbym, abyście mieli w

rękawach parę trików, którymi moglibyście poczęstować Yuuzhan Vongów, gdyby nagle wrócili. Pomyślcie o tym. Przekazujcie pomysły waszym dowódcom, a dowódcy przekażą je mnie... i wolałbym, żeby nie trzeba ich było za bardzo poprawiać. Nie ma czasu na konserwatywne myślenie.

Oficer marynarki, nieznaną Luke'owi kobietą w mundurze porucznika, poprosiła o głos.

- Generale, chciałabym zapytać...

- Słucham - odparł Wedge.

- Dlaczego musimy tu zostawać? Garnizon Yuuzhan Vongów na pewno powiadomił już dowództwo, że zostali pokonani. Wkrótce tu wrócą.

Wedge skinął głową.

- No cóż, powodów jest wiele. Po pierwsze dlatego, że Borleias, a właściwie układ słoneczny Pyrii, jest ważnym skrzyżowaniem wielu dróg nadprzestrzennych. wygodnym przecięciem wielu tras i znajduje się w komputerach nawigacyjnych wielu istot. Jest pewne, że uchodźcy z Coruscant lub ci, którzy tam przybyli i stwierdzili, że Yuuzhanie już zajęli planetę, zjawiają się tu na zakończenie pierwszego etapu ucieczki. Ktoś musi im pomóc. Wielu z nich może mieć uszkodzone statki. Nie możemy pozwolić, aby blokowali nasze warsztaty naprawcze w przestrzeni, ponieważ są potrzebne do naprawy statków bojowych. Dlatego powinni wylądować tu, na planecie. Po drugie, musimy złapać oddech. Uciekliśmy z Coruscant, nie mając nic oprócz statków. Musimy zrobić inwentaryzację, zebrać zapasy... i podsumować potworny bilans katastrofy, jaką właśnie przeżyliśmy.

Przez twarz Wedge'a przebiegł krótki grymas bólu. Luke wyczuł go także poprzez Moc. Wedge nie zdołał skontaktować się z żoną, Iellą i z córkami, Syal i Myri, zanim obowiązki nakazały mu opuścić Coruscant. Nie wiedząc, co się z nimi dzieje, zgnębiony tym, że nie potrafi jednocześnie i równie dobrze wypełniać roli głowy rodziny i swoich obowiązków względem Nowej Republiki, musiał przeżywać okropne cierpienia.

Wedge przełknął ślinę, ułożył mięśnie twarzy w dobrze wyćwiczony wyraz obojętności i ciągnął dalej.

- Po trzecie... tak, Yuuzhanie przybędą tutaj. Nie mogą pozwolić, aby garnizon nieprzyjaciela znalazł się tak blisko planety, którą właśnie zdobyli. A jeśli uda nam się zająć ich na chwilę, uciekinierzy z Coruscant zyskają więcej czasu, aby się oddalić, inne zaś floty, pod dowództwem Bela Iblisa i Kre'feya, zdążą się przegrupować. Po czwarte i ostatnie wreszcie, to kwestia morale. Nasi ludzie dostali właśnie potężnego kopniaka: stracili Coruscant. Teraz my oddamy tego kopniaka. Jeśli uciekniemy przed nieprzyjaciółmi, nie będą nas szanować. Zaczną nas ścigać, a wreszcie zabiją. Macie szansę przeżyć, jeśli dotrzymacie im pola. Jeśli się tu zaprzemy i damy w pysk Yuuzhanom, być może zachwieje to ich morale, naszemu zaś trochę pomoże. Luke, byłbym wdzięczny, gdybyście wy, Jedi, nie tylko byli możliwie jak najbardziej aktywni, lecz również postarali się rzucać w oczy, stanowiąc stałe przypomnienie dla naszych ludzi, jaką przedstawiaicie sobą siłę i możliwości.

- I przyjdzie im na myśl jedna z naszych najważniejszych ról - dodał Luke. - Obrońców ludności. Jesteśmy twoi, generale.

Luke pominął fakt, że zwiększona rola Jedi będzie oznaczać więcej strat z rąk Brygady Pokoju i mniej możliwości skorzystania z dróg ucieczki, które przygotowywali Han i Leia. Było to ryzyko konieczne.

- Dziękuję. - Wedge odwrócił się od Luke'a i przemówił do reszty zgromadzonych: - Pułkownikowi Darklighter, chciałbym, aby utrzymywał pan przez jakiś czas Eskadrę Łotrów w pełnej gotowości na orbicie Borleias.

- Tak jest, sir.

- Kapitanie Deewis... potrzebuję co najmniej dwóch statków z dobrymi systemami czujników w korytarzu Coruscant-Borleias; jeden od strony punktu działania studni grawitacyjnej Borleias, który powoduje wyjście statków z nadprzestrzeni, drugi w odległości, którą postaramy się odgadnąć na podstawie informacji o dotychczasowych punktach wyjścia z nadprzestrzeni floty Yuuzhan Vongów. - Powiedział wzrokiem po zebranych oficerach i cywilach, nie czekając na potwierdzenie swojego rozkazu. - Kapitanie Birt, w czasie, kiedy będziemy naprawiać „Rekordowy Czas”, wasi ludzie zajmą się rannymi. Znajdźcie część budynku, gdzie będziecie mogli przeprowadzić segregację rannych, urządzić salę operacyjną i oddziały szpitalne. Skontaktujcie się z „Przystanią Jace”, naszą fregatą medyczną. Lando, reszta budynku jest twoja. Musisz ją wyposażać i będziesz pełnił rolę kwatermistrza. Booster, ty się zajmiesz komunikacją. Upewnij się, że wszystkie urządzenia zostaną wykorzystane jak najlepiej. Skoordynuj się z „Błędnym Rycerzem”. Danni... czy jest tutaj Danni Quee?

- Jestem! - Luke zobaczył ramię wzniesione w głębi sali.

- Ty zajmiesz się wszystkim, co dotyczy Yuuzhan. Pozbierasz więźniów, sprzęt i pojazdy, które zarekwirowaliśmy po ich garnizonie. Moim zdaniem najważniejszą sprawą jest teraz uwolnienie więźniów od tych cholernych wyrostków koralowych. Corran Horn?

- Tutaj! - Kolejna dłoń uniosła się z głębi sali. Horn nie był wyższy od Luke'a i często niełatwo go było dostrzec w większej grupie ludzi.

- Corran, Gavin dostał twoją prośbę o wstąpienie do Eskadry Łotrów. Obaj bardzo się z tego cieszymy, ale na razie mam dla ciebie inne zadanie. Wiemy, że Yuuzhanie są w dżungli. Chciałbym, żebyś pomógł nam stworzyć ochronę tego budynku. Łączysz w sobie doświadczenie Jedi, koreliańskich służb bezpieczeństwa i pilota gwiazdowego myśliwca, a tego właśnie nam dziś potrzeba. Na razie możesz latać z Bliźniaczymi Słońcami, potem przeniesiemy cię do Łotrów.

- Rozumiem.

- Tycho, ty jesteś odpowiedzialny za myśliwce. Ja pozostaję bezpośrednim zwierzchnikiem floty przestrzennej. Proszę o przesłanie wstępnych raportów o stanie floty wprost na mój notatnik w ciągu pół godziny, a za dwie godziny odbędzie się spotkanie oficerów i dowódców dywizjonów w sali konferencyjnej. Lando powie wam, gdzie jest ta sala - Wedge klasnął w dłoń. - Do roboty, proszę państwa.

Tłum rozproszył się z wojskową dyscypliną, pozostawiając na miejscu jedynie Wedge'a, Tycha. Luke'a i Marę. Mara podeszła do pozostałej trójki.

Luke starał się, aby jego głos brzmiał łagodnie.

- Nie przydzielileś mi żadnej roboty. Owszem, poprosiłeś, abym zajął się czymś, czym i tak miałem się zająć, ale nie masz dla mnie żadnego szczególnego zadania ani obowiązku.

Wedge spojrział na niego w zadumie.

- Wiesz, Luke, w mniejszym lub większym stopniu to ty jesteś światłem przewodnim tej całej operacji. Nie chodzi tylko o moją flotę. Wszystkie trzy grupy szukają pomocy i rady właśnie u ciebie. Nie mogę żądać od ciebie ani od Jedi niczego więcej.

- Możesz żądać wszystkiego od przyjaciół.

Wedge zamrugał i uśmiechnął się blado.

- To prawda. I chętnie to uczynię. - Przepraszając wzruszył ramionami. - Jesteśmy tak splukani z zapasów, że poprosiłem, aby „Błędny Rycerz” pozostał tutaj. Uzgodniłem to już z Boosterem. Ale to oznacza, że jeśli uczniowie Jedi zostaną na pokładzie...

- Wiem, wiem... przestanie być dla nich bezpiecznym miejscem. Zajmę się tym. Mam kilka pomysłów, gdzie możemy umieścić uczniów.

Otchłań, pomyślał. Otchłań ze swym labiryntem czarnych dziur i szaleńczych interakcji grawitacyjnych, z sekretną bazą Jedi w budowie, będzie dla nich najlepszym schronieniem.

- Zajmij się więc naszymi siłami specjalnymi i ich działaniami. Maro, wiem, że wiele żądam od kobiety z małym dzieckiem, ale...

Mara wyprostowała się i mocniej przytuliła Bena.

- Wierz mi, moja skłonność do awantur ani trochę się nie zmniejszyła.

Wedge uśmiechnął się szeroko.

- Nie widziałem w tłumie żadnego z wyższych oficerów wywiadu. Ucieszyłbym się, gdybyś przez jakiś czas popracowała jako nasz szef wywiadu. Kiedy przyślą nam kogoś z góry, będziesz mogła przenieść się do wydziału Luke'a, do służb specjalnych i awantur.

Luke zawahał się, zanim zadał następne pytanie.

- Wedge, miałeś jakieś wiadomości od Ielli i dziewczynek?

Wedge potrząsnął głową.

- Nie. Ale jeśli w całej Nowej Republice jest ktoś, kto potrafi prze-szmugłować poza planetę siebie i dzieci...

- Tą osobą jest Iella, wiem. Nic im nie będzie. Wedge.

- Czy ty... - szepnął Wedge z nagłą chrypką- chcesz powiedzieć, że się czegoś dowiedziałeś? Dzięki zmysłom Jedi?

- Przykro mi, ale nie - pokręcił głową Luke.

- Cóż... - Wedge znów zmusił się do przybrania obojętnego wyrazu twarzy, ale Luke'owi wydało się, że właśnie pogrzebał kolejną nadzieję. Ogarnął go przytłaczający wstyd, że przez sekundę dał mu fałszywą nadzieję, choć uczynił to niechcący.

Wedge wstał.

- Tak. Wiem, że nic im nie będzie- rzucił i wyszedł z pokoju. Tycho podążył za nim.

- Trudno się z nim rozmawia - mruknęła Mara. - Jak on to znosi?

Luke wzruszył ramionami.

- Jakoś się trzyma. Uczepił się dyscypliny wojskowej, ale troska o rodzinę zżera go od środka.

- Chodź, sprawdzimy, co wywiad i służby specjalne mogą tu znaleźć dla siebie. Przydałby nam się też ktoś, kto zajmie się dzieckiem w czasie naszej nieobecności.

Mara pokręciła głową.

- Nie przyjmę żadnych zadań, które rozdzieliłyby mnie z Benem. Już nigdy. Wczorajszy lot był tym ostatnim. Następnego nie będzie.

- Maro...

- Nie, farmerze, teraz ty będziesz słuchał. Nikomu, z wyjątkiem ciebie i Karrde'a, nie ufam bardziej niż Leii. Ale nawet ona nie potrafiła ochronić Bena. Viki Shesh zabrała go na Coruscant i odzyskaliśmy go tylko dzięki niewiarygodnemu szczęściu. Już więcej nie spuszcze z niego oka. Kropka. A jeśli ktoś będzie miał na niego chrapkę, zabije go osobiście.

Luke spojrział na nią, zachwycony jej opanowaniem i kłębowiskiem emocji, jakie się pod nim kryło, emocji, które wyczuwał poprzez więź Mocy. Zrozumiał, że tej dyskusji nie wygra. Jakby na potwierdzenie tych słów, Ben otworzył oczka i wydał z siebie potężny wrzask rozpacz.

- Pogadamy o tym kiedy indziej - mruknął Luke.

Mara obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

- Jasne, jeśli masz ochotę na powtórkę z dyskusji i powtórkę z jej wyniku.

ROZDZIAŁ

3

Yuuzhański światostatek. Orbita Coruscant

Dwaj yuuzhańscy strażnicy mieli odprowadzić ją na ostatnie przesłuchanie. Przesłuchanie, na którym zostanie skazana na śmierć.

Bała się ich, ponieważ każdy oddzielnie mógłby ją zabić, gdyby miał na to chęć, a żadnemu nie zależało, aby utrzymać ją przy życiu.

Gardziła nimi, bo były to paskudne, anonimowe stworzenia, upiory, których imion nikt nigdy nie pozna. Kiedyś, może już niedługo, zginą w boju i pogrążą się w niepamięci.

Zazdrościła im. Zostało im niewiele życia, to fakt, ale i tak więcej niż jej.

Ona była Viqi Shesh, niegdyś senatorką przedstawicielką Kuat w Nowej Republice, a później również szpiegiem Yuuzhan Vongów, przekazującym im istotne informacje na temat planety Coruscant i działań rządu Nowej Republiki. Długo i wiernie służyła swoim nowym panom.

Lecz długa i wierna służba niewiele dla nich znaczyła. Kiedy rozpoczęła się inwazja Yuuzhan Vongów na planetę Coruscant, Viqi próbowała wykonać jedno ze swoich ostatnich zadań - porwać małego Bena, syna Luke'a i Mary Jade Skywalker. Poniosła klęskę. Jej wrogowie wyprzedzili ją o krok i sprzątnęli jej bachora sprzed nosa. Ścigała ich, była już o kilka metrów od dzieciaka, ale kontratak Landa Calrissiana i jego robotów bojowych pozbawił ją honoru i przyjaciół i zostawił w szponach Yuuzhan Vongów, których zawiodła.

Do tej chwili ufnie spodziewała się z ich rąk wielkich nagród i zaszczytów za wierną służbę. W nagrodę została jednak aresztowana i uwięziona w Domenie Dal, na światostatku, który służył Tsavongowi Lahowi, wojennemu mistrzowi Yuuzhan Vongów, za okręt flagowy.

Cierpiała. Neathlaty, coś w rodzaju żywego bandaża, przylgnęły do jej prawego przedramienia w miejscu, gdzie noghryjski goryl księżniczki Leii zatopił zęby po samą kość, oraz do pleców, gdzie miecz świetlny Leii rozorał i spalił ciało. Neathlaty przyspieszały gojenie ran, ale nie łagodziły bólu. To nie byłoby po yuuzhańsku. Przeciwnie, drażniły zakończenia nerwów, powodując jeszcze większe cierpienie.

Nie miała już sprzymierzeńców. Nikt się za nią nie ujmie. Nie udało jej się dostarczyć Yuuzhanom Bena Skywalkera, jej zdrada wobec Nowej Republiki już dawno stała się publiczną tajemnicą nawet pośród uchodźców z Coruscant.

Nie była jednak bezbronna. Dopóki zachowała inteligencję i polityczne doświadczenie, wciąż miała broń, którą mogła wycelować w Tsavonga Laha.

Strażnicy poprowadzili ją długim korytarzem. Jego ściany nie były całkiem pionowe, narożniki nie miały zupełnie prostych kątów, powierzchnia miała kolor ceglastej czerwieni i przypominała surowe mięso. I tak samo cuchnęła. Viqi zmusiła się, aby ukryć odrazę.

Znajdowała się głęboko w trzewiach yuuzhańskiego światostatku. Z pewnością bardzo daleko od centrum dowodzenia, ponieważ korytarz był prawie pusty. Viqi cieszyła się, że wciąż potrafi myśleć analitycznie.

Dotarli do dużego pomieszczenia o ścianach identycznych jak ściany korytarza, z podwójnymi drzwiami o barwie kości słoniowej w drugim końcu. Strzegła ich odpowiednio dobrana para strażników Praetorite Vong. Strażnicy otworzyli drzwi, aby ich przepuścić.

Za drzwiami znajdowała się ogromna owalna komnata o barwie tej samej ceglastej czerwieni. Jej podłoga łagodnie opadała w dół, do najniższego punktu, którym był okrągły otwór o średnicy mniej więcej trzech metrów. Otwór wypełniała ciemność. Viqi stwierdziła, że nie potrafi skupić na niej spojrzenia. Wydawała się jakby zamglona i unosiła się ćwierć metra nad podłogą.

Obok czeluści stał Tsavong Lah, wielki strateg i przywódca inwazji Yuuzhan Vongów na tę galaktykę. Pokryty strasznymi bliznami i tatuażami egzemplarz wysokiej rangi Yuuzhanina miał wargi pocięte w strzępy, które drgały lekko przy każdym głębszym oddechu, a na całym ciele krwistoczerwone łuski i implanty - świadectwo jego statusu. Lewe ramię od łokcia było zastąpione szponem radanka, pokrytym czerwoną łuską i kolcami, o palcach zginających się w miejscach całkiem innych niż dłonie gatunku Yuuzhan Vong czy ludzkiego. Kolce i łuski wyrastały również z ciała nad łokciem, a małe czarne punkciki, zjadacze padliny, roily się wokół miejsca połączenia. Viqi z trudem stłumiła dreszcz odrazy. Pomimo wszystkich zniekształceń i okaleczeń uważała Tsavonga Laha za dość atrakcyjnego - potęgą i ambicją u samców zawsze ją pociągały, były jej tajemną słabością - lecz gangrena, która go dotknęła, grożąca utratą zarówno ramienia ze szponem radanka, jak i stanowiska, napawała ją wstrętem.

Strażnicy i Viqi zatrzymali się w niewielkiej odległości od Tsavonga Laha, który odwrócił się i uważnie spojrzał jej w twarz.

- Możesz się uważać za zaszczyconą- odezwał się mistrz wojenny. - Nie leży w moim zwyczaju eskortowanie śmieci na wysypisko.

Patrzyła na niego, a potem znów na ciemność wylewającą się z czeluści. W plamie mroku, na samej krawędzi, ujrzała nagle dziwnie znajomy wzór. Były to roje małych kropeczek - tych samych padlinożerców, które pokrywały ramię Tsavonga Laha.

Z trudem opanowała odruch wymiotny.

- Czy to jest los, który mi zgotowałeś?

- Właśnie. - Mistrz wojenny skinął na jednego ze strażników. - Dema Ku cię zabije. Jeśli w ciągu tych kilku ostatnich chwil życia będziesz miła, pozwolę ci wybrać sposób śmierci. Dema Ku może ci skrócić kark, przebić cię amphistaffem lub kazać mu cię ukąsić. Potem twoje ciało zostanie wrzucone do dołu. Stworzenia które go zamieszkują przez pewien czas będą je ignorować, dopóki nie zaczniesz wydzielać woni rozkładu. Dopiero wtedy się nim zajmą i zjedzą je doszczętnie, choć powoli. Znikniesz w mroku, Viqi Shesh, przestaniesz istnieć, jakbyś się nigdy nie narodziła.

Viqi poczuła ucisk w żołądku, ale zachowała pozbawiony emocji, spokojny wyraz twarzy.

- A dlaczego nie mogę sama tam wskoczyć? Utopię się w tych robakach, gdy wypełnią moje płuca. W ten sposób ci dwaj bezimienni żołnierze nie będą musieli brać w tym udziału.

Wyczuła gniew strażników, rozpoznała to uczucie po nagłym zeszywnieniu ich ciał, ale Tsavong Lah tylko lekko wytrzeszczył oczy. Wydawał się zaskoczony.

- Tak spieszo ci odpokutować za porażkę?

- Oczywiście. Zrobię to, jeśli mi rozkażesz. Moim obowiązkiem jest służyć ci. Ale jeszcze bardziej spieszo mi do chwili, kiedy przestaniesz mnie okłamywać. Aby zakończyć tę szczególną torturę, wskoczę w otwór tu i teraz.

- Kłamstwo. Interesujące oskarżenie. Umyślna obraza... - Tsavong Lah uśmiechnął się znów. -- Tak się zachowuje osoba, która sądzi, że nie może jej spotkać nic gorszego oprócz śmierci. Jeśli tak sądzisz, to się grubo mylisz.

- Twierdzą, że kłamiesz, ponieważ mam po temu powód. Nie pozbywasz się mnie z powodu porażki. Inni też cię zawiedli, a pozwoliłeś im żyć... ponieważ wciąż pozostawali lojalnymi sługami, na których mogłeś polegać. Zamierzasz mnie zgładzić, ponieważ sądzisz, że już ci się nie przydam. Już nie jestem dla ciebie atutem.

Twarz Tsavonga Laha przybrała zamyślony wyraz na tyle, na ile to było w ogóle możliwe.

- Jestem pod wrażeniem. W pewnym sensie masz rację. Chcę cię zabić, ponieważ nie jesteś już dla mnie pożyteczna, Viqi.

- Ależ jestem. Wciąż jeszcze mam przy sobie najpotężniejszą broń, jaką dysponuję, mistrzu wojenny. Mój rozum. Używałam go przez cały czas, siedząc w celi. Odkryłam zagrożenie dla twojego panowania nad Yuuzhanami, dla twoich planów wobec tej galaktyki, dla wszystkiego, co uważasz za cel. Jesteś w niebezpieczeństwie, z którego nawet sobie nie zdajesz sprawy. Tylko ja odkryłam jego tajemnicę.

- Nazwij je zatem.

- O nie. - Obejrzała się na strażników. - Nie tu, gdzie ci niegodni mogliby usłyszeć moje słowa. Nie tu, gdzie ktokolwiek oprócz ciebie mógłby je usłyszeć.

Tsavong Lah skinął dłonią. Strażnicy Viqi podnieśli ją i pozornie bez wysiłku przytrzymali nad czeluścią. Czarne kropki poderwały się w górę, osiadły na jej stopach i kostkach. Kilka odskoczyło z powrotem.

- Mogą wysłuchać wszystkiego, co masz mi do powiedzenia - rzekł Tsavong Lah. - To ostatnie chwile twojego życia.

Viqi odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem. Jeszcze potrafiła opanować strach na tyle, by nie przeniknąć do jej głosu.

- Ty i ja jesteśmy jedynymi osobami w tej komnacie, o których wiem, że nie są twoimi wrogami. Nie powiem tego, co wiem, przy obcych, ponieważ może to oznaczać twoją zagładę. Jeśli teraz umrę i zabiorę mój sekret ze sobą pewnie sam kiedyś do tego dojdiesz i przeżyjesz. Ja cię nie zdradzę. Możecie mnie teraz wrzucić. - Dumnie podniosła głowę, a jej gniew nie był już udany. Prawdziwy strach podsycił równie prawdziwą furję.

Tsavong Lah przez chwilę rozważał jej słowa, po czym machnięciem ręki odprawił strażników. Cofnęli się o krok, postawili Viqi na podłodze i puścili. Upadła niezgrabnie, omal nie mdlejąc. Jeszcze krok, potknięcie i mogła znaleźć się w czeluści nawet bez ich pomocy. Strażnicy zrobili zwrot i opuścili komnatę.

Viqi poczuła pierwsze słabe drgnienie nadziei. Teraz to ona panowała nad sytuacją przynajmniej przez chwilę. Jeśli zdoła utrzymać tę przewagę, przeżyje.

Tsavong Lah wbił w nią uważne spojrzenie.

- Słucham.

- Twoje ciało odrzuca ostatnie modyfikacje - zaczęła, a dalsze słowa same cisnęły jej się na usta. - Wiem, co sobie myślisz. Sądzisz, że to twoi bogowie przemawiają że każą ci szukać właściwej drogi, aby uzyskać ich aprobatę. Ale to nie to. Ktoś cię zdradził, mistrzu wojenny. Ktoś ci wszczępił chorą kończynę. Dzięki niej masz szansę stać się Zhañbionym. Wkrótce zaczną ci radzić, jak działać... na polu militarnym, potem także politycznym. A kiedy zaczniesz robić to, co ci każą, problemy z twoim ramieniem uspokoją się trochę. Ale za każdym razem, kiedy przestaniesz stosować się do żądań mistrzów przemian, pojawią się nowe. Będziesz ich niewolnikiem, mistrzu wojenny.

Tsavong Lah milczał. Jego spojrzenie było nieodgadnione.

Ty nędzny, przewidywalny głupcze, pomyślała. I tu cię mam. Viqi stłumiła falę uniesienia, która ją ogarnęła - nie mogła pozwolić, aby zdradził ją wyraz twarzy.

Siedząc w celi, wykorzystwała wszystkie swoje zdolności, aby stworzyć i przewidywać spisek - nie po to, by odkryć źródło problemów trapiących Tsavonga Laha, ale by wymyślić takie oskarżenie, które by wyjaśniało ich istnienie. Historię, której rozwikłanie i zdementowanie wymagałoby wiele czasu i wysiłku. A ona mogłaby ten czas wykorzystać na zaplanowanie ucieczki z rąk Yuuzhan Vongów.

- Ciekawa uwaga - odezwał się w końcu mistrz wojenny. - A co, jeśli się mylisz?

- Nie myślę się. - Viqi zaprezentowała obojętną minę. - Proszę tylko o możliwość sprawdzenia mojej teorii. Potem możesz mnie zabić, jeśli zechcesz. Przynajmniej umrę zwycięsko.

Tsavong Lah przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Potem skinął powoli głową.

- Zobaczymy. Dam ci pracę, którą będziesz wykonywać, dopóki nie zdobędę do wodu... albo nie wyczerpie się moja cierpliwość.

Krzyknął kilka słów w swoim języku i strażnicy powrócili. Stanęli obok Viqi, wzięli ją znów za ramiona, obrócili dookoła i wyprowadzili z pomieszczenia.

Z każdym krokiem odległość między nią a czeluścią rosla. Każdy krok sprawiał, że dławiący ucisk strachu w jej sercu słabł. Każdy krok był werblem, akompaniującym triumfalnej pieśni słów wypełniających jej umysł. „Żyję, żyję. Jeszcze żyję”.

Okupacja Borleias, dzień trzeci

Komunikator Wedge'a zapiszczał, budząc go z drzemki. Stopy w ciężkich butach zsunęły się z biurka i uderzyły o podłogę o wiele za głośno. Usiadł, zastanawiając się przez chwilę, gdzie jest i co tu robi.

W biurze panował mrok. Usnął, zanim zdążył dotrzeć do tymczasowej kwatery. Chwycił komunikator i postawił przed sobą.

- Co jest? - Przetarł zaspane oczy, zastanawiając się, ile też minut odpoczynku udało mu się skraść.

- Generale, tu „Mon Mothma”. Jeden z naszych patroli zameldował transportowiec z eskortą myśliwców u wejścia do systemu.

- Yuuzhanie czy uchodźcy?

- Ani jedno, ani drugie, sir. Ich oficer łącznościowy twierdzi, że to oficjalny transport Rady Nowej Republiki. Ich kod identyfikacyjny się zgadza.

Wedge zmarszczył brwi. Nie do pomyślenia żeby rada działała jeszcze w jakikolwiek sposób. Do momentu upadku Coruscant prezydent Borsk Fey'lya sam wybierał doradców, którzy mieli stanowić bufor pomiędzy nim a rządem. Wedge myślał, że po śmierci Fey'lyi w czasie upadku Coruscant, a potem załamaniu się i ucieczce Senatu Nowej Republiki, rada rozproszyła się po szlakach przestrzennych i każdy jej członek popędził do domu, szykując się do ucieczki przed Yuuzhanami.

- Czy zrobili coś, oprócz zażądania pozwolenia na lądowanie?

- Tak, sir. Zażądali... eee... jak najszybszego widzenia się z panem i pańskim sztabem. Mówią że przywieźli rozkazy.

Wedge skrzywił się niemilosiernie. Tylko tego mu było trzeba żeby nic nieznaczące w tej chwili ugrupowanie polityków wydawało mu rozkazy.

- W porządku. Ustaw dwie eskadry myśliwców w krąg, żeby oświetlały lądowisko jak najdalej od budynku. Powiedz radzie, że to parada honorowa na ich cześć. Jeśli powiedzą że nigdy o czymś takim nie słyszeli, wyjaśnij, że to tradycja Eskadry Łotrów. Myśliwce mają zezwolenie na atak bez dalszych rozkazów, gdyby się okazało, że to jakaś sztuczka Yuuzhan. Jeśli tak nie jest, jak najszybciej przyprowadź radę tutaj, do sali konferencyjnej. Natychmiast zacznijcie naprawiać i wyposażać ich transportowiec. Wprowadź tam przy okazji paru techników, niech sprawdzą statek, czy nie ma dla nas jakichś niespodzianek. Wszystko jasne?

- Wszystko jasne, sir.

- Bez odbioru. - Wedge poczuł lekki niepokój. Miał dziwne przeczucia które nawiązywały go zawsze, ilekroć politycy szykowali mu jakąś niespodziankę. I prawie nigdy go nie zawiodły.

Kiedy Luke i Mara dotarli do sali konferencyjnej - on z kubkiem parującej czekolady w jednej i filiżanką kawy dla Mary w drugiej ręce, ona z Benem w ramionach - sala

była już niemal pełna doradców i oficerów Wedge'a. Zajmowali miejsca wzdłuż prawie całego głównego stołu, nieraz w kilku rzędach. Siedzenia znajdujące się najbliżej wejścia pozostawały znacząco puste. Wedge siedział u szczytu stołu, twarzą do wejścia; Tycho zajął miejsce obok niego. Rozmawiali przyciszonymi głosami, choć Wedge zauważył wchodzącego Luke'a i dał znak ręką aby mistrz Jedi zajął miejsce obok niego.

Twarze większości obecnych wskazywały na to, że zostali wyciągnięci z łóżek. Luke wiedział, co czują.

Mara klapnęła na krzesło najbliżej siedzenia zarezerwowanego dla Luke'a, obok Landa. Lando miał zbolalą minę, zmarszczone czoło i zaczerwienione oczy.

- Kac? - zapytał Luke.

- Przestań wrzeszczeć - skrzywił się Lando.

- Gwizdnę dla ciebie trochę kawy.

- Jeśli zaczniesz gwizdać, rozerwie mi łeb i wszędzie będzie pełno resztek mózgu.

Mara ze śmiertelną powagą pokręciła głową.

- Nie będzie żadnego mózgu. Tylko odłamki czaszki.

Lando obrzucił ją pełnym wyrzutem spojrzeniem. Luke uśmiechnął się, poczekał, aż Mara ulokuje Bena na kolanach i podał jej kawę. Potem podszedł do Wedge'a i Tycha.

Z holu rozległ się hałas, tupot wielu stóp i do sali konferencyjnej weszło dziesięciu czy dwunastu ludzi.

Luke wielu z nich znał z widzenia.

Pwoe, pierwszy z rady, który znalazł się w sali, był Quarrenem. Quarrenowie, mniej więcej humanoidalni, nieraz denerwowali ludzi i nie ludzi swoim wyglądem. Ten wodny gatunek, o głowach podobnych do krewetek, miał cztery macki wyrastające z miejsca, gdzie powinna się znajdować dolna część ludzkiej twarzy. Quarrenowie jako społeczeństwo nie zasługiwali na taką reakcję, lecz Luke uważał, że z radnym Pwoe było inaczej. Znał go jako chciwą drapieżną politycznie istotę, nieprzyjazną Jedi. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że Pwoe ma coś wspólnego - bezpośrednio lub pośrednio - z utworzeniem Brygady Pokoju, kolaboranckiej organizacji, która porывała Jedi i przekazywała Yuuzhanom. Dziś Pwoe był ubrany w długą do ziemi zieloną szatę, ładnie kontrastującą z pomarańczową skórą. Wszedł do sali, turkusowymi oczami uważnie powiódł po zebranych, trafił na Luke'a, przez chwilę przyglądał mu się uważnie, po czym ruszył dalej i zajął miejsce dokładnie naprzeciwko Wedge'a.

Chelch Drawad z Korelii usiadł po prawicy Pwoe'a, a Fryor Rodan z Kommenoru zaraz obok. Ci dwaj mężczyźni, obaj w średnim wieku, emanowali sztuczną pewnością siebie, typową dla polityków; częściej patrzyli na Pwoe'a, niż pozwalali sobie na kontakt wzrokowy z resztą obecnych.

Niuk Niuv, czwarty radny, który wszedł do sali, był Sullustaninem. Gdyby kiedyś, dawno temu, inżynierowie próbowali stworzyć istotę podobną do wypchanej zabawki, nie zdołaliby stworzyć nic lepszego. Sullustanie mieli okrągłe głowy, duże okrągłe uszy, miękkie taffe i wdzięczne, choć nieludzkie rysy pyszczków. Tylko Ewok zdołałby chyba wzbudzić większy zachwyt dziecka. Lecz, podobnie jak Ewoki, Sullustanie potrafili być niebezpiecznymi wrogami, a Niuk Niuv był niebezpieczny nawet jak na Sul-

lustanina. Był również zagorzałym przeciwnikiem Jedi od chwili wstąpienia do rady. Usiadł po lewej stronie Pwoe'a.

Niuv był ostatnim członkiem rady, który wszedł do sali. Inni z tej grupy wydawali się albo adiutantami, bo w rękach mieli notatniki, a na twarzach troskę, albo gwardzistami o nieruchomych twarzach, z karabinami laserowymi w pozycji przygotowanej do strzału.

Luke wstał, podobnie jak pozostali, w zwyczajnym geście szacunku wobec członków senatu i rady. Wyczuł falę irytacji i urazy, emanującą z osób obecnych w sali. Tylu gwardzistów mogło oznaczać jedynie to, że rada nie ufała Wedge'owi i jego służbom bezpieczeństwa. Była to obelga, Luke nie wiedział tylko, czy przypadkowa, czy umyślna.

Wedge odezwał się pierwszy.

- Radni, witamy na Borl...

Pwoe podniósł rękę.

- Generale Antilles, zwraca się pan nie tylko do rady, ale i do prezydenta.

Wedge zamrugał i przeniósł wzrok na broszkę spinającą szatę Pwoe'a. Była wykonana ze złota i przedstawiała symbol Nowej Republiki w otoczeniu gwiazd. Borsk Fey'lya nosił ją od czasu do czasu. Luke widział, że Wedge walczy ze sobą - awans Pwoe'a na stanowisko prezydenta żadną miarą nie mógł być legalny, choć w tych niepewnych okolicznościach mógł okazać się przykrym faktem.

- Gratuluję pozycji - powiedział Wedge. Skinął w kierunku pozostałych, aby usiedli i sam również to uczynił. - Czy mogę spytać, gdzie radni Cal Omas i Triebakku?

Pwoe rozłożył ręce w geście bezradności.

- Niestety, nie wiemy. Podejrzewamy, że zginęli w czasie napaści na Coruscant.

- Dwie tragedie więcej...

- W istocie.

Nie były to dobre wieści. Omas, senator reprezentujący przeniesiony lud Alderaanu, i Triebakku, Wookie z Kashyyyku, byli rozsądnymi istotami nieodczuwającymi nieracjonalną nienawiść w stosunku do Jedi. Mieli łagodzący wpływ na radę; teraz, jeśli istotnie zginęli, wszyscy członkowie rady, jacy pozostali, byli zdecydowanymi przeciwnikami Jedi. Często głosowali, aby załagodzić stosunki z Yuuzhanami i zakończyć wojnę na drodze negocjacji.

Luke zaczął mieć brzydkie podejrzenia. Czy dwaj radni naprawdę zginęli na Coruscant, czy też ci interesowni urzędnicy pozbyli się ich urny; nie - a może nawet po drodze tutaj wypchnęli ze służby? Potrząsnął głową żeby odpędzić te myśli.

Mara pochyliła się, prawie dotykając czołem jego czoła.

- Poczulałam - szepnęła. - Mnie też się tak wydaje.

Lando przysunął do nich głowę.

- Na to nawet Mocy nie potrzeba - szepnął. - Luke miał to wypisane w oczach.

- Cicho bądź - szepnął Luke. - Albo zacznę hałasować.

Lando wyprostował się pospiesznie.

Pwoe nie spuszczał wzroku z Wedge'a, całym ciałem wyrażając zniecierpliwienie.

- Powinniśmy już zaczynać.

- Zacniemy za chwilę - rzekł Wedge. - Moi oficerowie sztabowi jeszcze nie dotarli.

Na jego twarzy zastygł lekki uśmiech. Luke wiedział, że to tylko maska ukrywająca irytację i zdenerwowanie. Pwoe spojrział na Wedge'a karcać.

- Sądziłem, że będziecie czekać w gotowości. Czas nagli.

W holu znów rozległy się kroki. Wszedł Booster Terrik, ze zmarszczonym czołem podszedł do stołu i usiadł obok Tycha. Znów rozległy się kroki, tym razem kogoś biegnącego. Przez drzwi wśliznęła się Danni Quee z całym naręczem notatników i przenośnych ekranów; jej jasne włosy, jak zwykle rozczochrane, były spięte w niedbały, asymetryczny koński ogon. Przysiadła na krześle przy drzwiach, tuż za Corranem Hornem, i spojrziała na Wedge'a.

- Przepraszam - mruknęła.

- Nie ma za co - odparł Wedge i skierował wzrok na jednego z gwardzistów rady. - Drzwi.

Gwardzista spojrział na Pwoe'a, który przyzwalającą skinął głową i zamknął drzwi.

- Teraz możemy zacząć - oznajmił Wedge.

- Tak, oczywiście - zgodził się Pwoe. - Po pierwsze, chciałbym was zapewnić, że rząd Nowej Republiki jest całkowicie zdolny do działania. Korzystając z kompetencji kryzysowych, które wymusiła na nas śmierć Borska Fey'lyi, i tymczasowego rozprzężenia panującego w tej chwili w senacie, rada postanowiła przejąć władzę. Przygotowujemy właśnie plany reorganizacji naszych sił zbrojnych i odbicia Coruscant. Mamy łączność z rządami planetarnymi w całej Nowej Republice, które przyjęły już nasze zwierzchnictwo i oczekują rozkazów.

Luke i Mara wymienili spojrzenia. Mara pociągnęła łyk kawy i skrzywiła się niemiłosiernie, jakby napój okazał się wyjątkowo gorzki.

Wedge przyjął to oświadczenie skinieniem głowy.

Pwoe czekał, jakby spodziewając się czegoś więcej. Po chwili niezręcznej ciszy ciągnął dalej:

- Pragniemy panu pogratulować sukcesu na Borleias, generale.

- Dziękuję... ale na razie nie odnieśliśmy żadnego sukcesu. Przejeliśmy bazę dzięki przeważającym siłom, co nie świadczy nic o sile żadnej ze stron konfliktu.

- No tak, oczywiście. Jednak chętnie posłucham dokładniejszej relacji z tego, czego tu dokonaliście.

Z nieprzeniknioną twarzą i bez zbędnych słów Wedge zrelacjonował członkom rady sytuację na Borleias. Luke zauważył, że w czasie gdy Wedge mówił, radni kiwali głowami i szepotali coś do siebie.

Kiedy Wedge skończył, odezwał się Pwoe:

- Dobrze pan zrobił, przejmując inicjatywę. Przewidział pan potrzeby Nowej Republiki i działał zgodnie z nimi. Nie oznacza to, że się tego po was nie spodziewałem. Teraz jednak musicie wrócić pod rozkazy struktur Nowej Republiki. Niezbędna będzie koordynacja z resztą naszych działań podejmowanych po tej katastrofie. Sień Sow zostaje głównodowodzącym naszych sił zbrojnych i teraz będzie pan znowu dostawał rozkazy od niego. A oto pierwsze z nich.

Niuk Niuv pchnął w kierunku szczytu stołu kartę danych. Wedge chwycił ją i wsunął do notatnika.

- Widzę, że otaczają nas pańscy zaufani doradcy, więc przekażę im również te rozkazy - rzekł Pwoe.

Wedge spojrział na niego. Twarz miał nieprzeniknioną ale w oczach czaił się ostrzegawczy błysk. Ogłaszanie rozkazów podwładnym w taki sposób oznaczało kwestionowanie kompetencji dowódcy, pozbawiało go możliwości właściwego przekazywania informacji. Pwoe udał, że nie zrozumiał tego spojrzenia i ciągnął:

- Generale Antilles, będziemy od pana żądać, aby Borleias stała się fortecą broniącą nas przed Yuuzhanami, nawet wówczas, kiedy strumień uchodźców z Coruscant się wyczerpie. Yuuzhanie nie zniosą świadomości, że baza wojskowa pod kontrolą Nowej Republiki znajduje się tak blisko Coruscant i na tak ważnym skrzyżowaniu szlaków przestrzennych. Wkrótce wrócą tu, żeby na was napaść. To da nam czas niezbędny do przegrupowania i będziemy wam mogli przyjść z pomocą. Potem wykorzystamy Borleias do przygotowania ataku na Coruscant. Musicie utrzymać tę planetę za wszelką cenę. Czy możemy na was liczyć?

Zamiast odpowiedzi, Wedge zapytał:

- A jakie siły i środki dostanę do dyspozycji? Pwoe zamrugał.

- Większość Trzeciej Grupy Floty jest nieobecna, prawda?

- Tak. Są w głębokiej przestrzemi, w akcji, koordynują się z innymi grupami i tak dalej. Będę musiał ściągnąć ich tu po kawałku, jeśli mam przeprowadzić taką akcję.

- Wcale nie. Nie docenia się pan, generale. Pozostawimy wam dużą część środków, jakie macie w systemie Pyria. To powinno wystarczyć do przybycia posiłków. Oczywiście, może pan objąć dowództwo nad dodatkowymi siłami przybywającymi z Coruscant oraz przejąć jednostki pomocnicze, które zechcą się do pana przyłączyć.

Wedge spojrział na niego twardo.

- Radny Pwoe, obawiam się, że będę musiał odmówić wykonania rozkazu.

Wszystkie szeptane rozmowy w sali konferencyjnej ucichły nagle. Luke poczuł się nagle jak w odrealnionym świecie. Od wielu lat był świadkiem, jak Wedge dowolnie interpretuje rozkazy i dostosowuje je do swoich działań w kierunku najlepszym dla Sojuszu i Nowej Republiki, ale nigdy przedtem nie odmawiał ich wykonania.

Pwoe wyprostował się na całą wysokość; wyglądało to, jakby rozdał się w fotelu. Jego głos stał się głębszy, dźwięczniejszy, lepiej dochodził do najdalszych nawet kątów sali.

- Być może popełniłem błąd, formułując to, co powiedziałem, jako prośbę. Generale Antilles, powinien pan to zrozumieć jako rozkaz.

Wedge skinął głową.

- A jednak odmawiam jego wykonania.

- Jako oficer Nowej Republiki, nie może pan tego zrobić.

- Składam rezygnację ze stanowiska.

- W okresie kryzysu można to zrozumieć jako akt zdrady - rzekł Pwoe. Luke wyraźnie wyczuwał oburzenie emanujące z Quarrena. ale także jego intencje. Pwoe był

oburzony, że ktoś mu odmówił, a nie dlatego, że rzeczywiście wierzył w oskarżenie o zdradę.

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia zebrania Wedge uśmiechnął się. Luke'owi wydawało się, że zaraz parsknie śmiechem. Ale był daleki od wesołości. Nagle Luke wyobraził sobie poprzez Moc, jak Wedge jednym płynnym ruchem wyciąga miotacz i strzela Pwoe'owi prosto w twarz. Drgnął i automatycznie sięgnął do rękojeści miecza, zanim zdał sobie sprawę z tego, że to, co wyczuł, nie było zamiarem Wedge'a... a jedynie jego pobożnym życzeniem. Dopiero teraz zrozumiał, jaką burzę uczuć tłumi w sobie Wedge.

Antilles odezwał się spokojnie:

- Zdrada... to ciekawy zbieg okoliczności. Ale nie będziemy w to wnikać. Podobnie jak w legalność pańskiego tytułu prezydenta. Zamiast tego zaproponuję układ, radny Pwoe. Przypominam o grupie sił zbrojnych i o przywilejach. Proszę mi je przekazać w celu wykonania zadania, a ja je przyjmę. W przeciwnym razie przedstawię panu rezygnację ze stanowiska, zanim zdąży pan przejść sto kroków.

Oburzenie stłumiło głos Pwoe'a.

- Nie możecie dyktować warunków zwierzchnikom.

- W obecnych okolicznościach niestety mogę.

Pwoe zwrócił się do Tycha, który siedział obok Wedge'a.

- Pułkownik Celchu, awansuję pana do rangi generała. Pańskie zadanie będzie takie samo, jak to, które opisałem temu zdrajcy... - Urwał, kiedy Tycho stanowczo pokręcił głową.

Pwoe odetchnął głęboko. Rozglądał się po wszystkich twarzach, oceniając kolejno wszystkich oficerów zgromadzonych wokół stołu. Wreszcie odetchnął i rozparł się w fotelu.

- W porządku. W duchu współpracy gotów jestem wysłuchać, co macie do powiedzenia.

Wedge zaczął odliczać na palcach:

- Po pierwsze, wszystkie zapasy i uzbrojenie, które obecnie znajdują się w systemie Pyria, łącznie z siłami zewnętrznymi, które przejęliśmy w czasie ucieczki z Coruscant, jak również wszystkie, które są już w drodze tutaj, pozostaną pod moimi rozkazami przez cały czas tej operacji.

Luke zauważył to, czego nie mogli dostrzec radni - Wedge lekko kopnął Tycha pod stołem. Tycho otworzył notatnik i zaczął wstukiwać dane, od czasu do czasu zerkaając na Wedge'a kątem oka, jakby zapisywał jego słowa ale Luke był pewien, że pułkownik robi coś zupełnie innego.

- Po drugie, chcę „Lusankye”.

Pwoe prawie poderwał się z fotela.

- Najpotężniejszy statek, jaki nam pozostał? Nie sądzę...

- A ja sądzę. A skoro nie wiadomo, jak będzie z zaopatrzeniem, kiedy Yuuzhanie rozpoczną oblężenie, potrzebuję trzymiesięcznych zapasów żywności, sprzętu medycznego, paliwa i uzbrojenia dla wszystkich. Daję panu trzy dni od chwili opuszczenia tego

systemu, aby to wszystko znalazło się tutaj. Jeśli tak się nie stanie, wynosimy się stąd. I jeszcze jedno.

Głos Pwoe'a brzmiał lodowato.

- Zawsze jest jakieś „jeszcze jedno”.

- Żądam prawa bezpośredniej komunikacji z wszystkimi oficerami sił zbrojnych, do zapraszania ich, aby się do nas przyłączyli, a także prawa przyjęcia ich do moich oddziałów bez potrzeby zwracania się do dowódcy.

- Antilles, jesteś bez wątpienia stuknięty! Już dawno powinieneś się znaleźć na emeryturze.

- Byłem, Pwoe. Trzeba było mnie tam zostawić. A gdyby rada prowadziła swoją część wojny z Yuuzhanami w sposób kompetentny, mógłbym tam pozostać. - Wedge podniósł ręce dłońmi na zewnątrz, jakby mówił: „Proszę bardzo”. - Więc jak?

- Odmawiam, oczywiście.

- Wedle życzenia. Po zakończeniu spotkania rozkażę naszym siłom opuścić Borleias. Zanim sprowadzicie tu kolejny garnizon, Yuuzhanie odbiorą sobie ten świat. I zapewniam, że wcale nie blefuję.

Pwoe wbił wzrok w oczy Wedge'a i w sali konferencyjnej rozległy się szepty. Wreszcie radny rzekł:

- Chwileczkę.

- Nawet dwie.

Pwoe szepciem zaczął się naradzać z innymi członkami rady. Wedge zwrócił się do Tycha. Szepty były coraz głośniejsze. Luke przechylił się w kierunku Mary i Landa.

- Nieraz chciałbym mieć instynkt polityczny mojej siostry albo wasz - mruknął. - Co Wedge kombinuje?

- Pwoe kłamie - wyjaśniła Mara. - Chce, aby Wedge został na Borleias tak długo, aż przyjdą Yuuzhanie. Ale nie przyśle posiłków. Nikt nie przyśle. Borleias padnie, a wszyscy tutaj umrą.

Luke zmarszczył brwi.

- Więc po co go w ogóle bronić?

- Daje to członkom rady czas na powrót do domu i przygotowania. Przygotowania do wojny albo do możliwie jak najlepszego interesu, jaki uda im się ubić z Yuuzhanami. Ten sam czas dostaną ci z członków senatu, którzy przeżyli. A jeśli zrobią dobrą robotę i uda im się przekonać Wedge'a, aby walczył odpowiednio zażarcie, może nawet Yuuzhanie nabiorą do nich takiego szacunku, że zaoferują lepsze warunki w negocjacjach.

Luke obrzucił Wedge'a spojrzeniem.

- A więc wynegocjował tylko tyle, że utrzymamy się nieco dłużej.

- Właśnie.

- Czyli wszyscy ci, którzy tu zostaną, tak jakby już byli martwi. Tyle że nastąpi to trochę później.

- Właśnie.

- Żałuję, że zapytałem.

Mara przywołała na wargi lekki uśmiech.

- Jeśli negocjuje, to znaczy, że coś kombinuje. Wiesz o tym.

Skupieni blisko siebie członkowie rady wyprostowali się i Pwoe znów się zwrócił w stronę Wedge'a. Rozmowy w sali ucichły natychmiast.

- Generale, pańskie metody i arogancja są godne pożałowania. Nie sądzę, aby mógł się pan spodziewać dalszego ciągu militarnej kariery po zakończeniu tego zadania.

Wedge skinął głową. Miał łagodny, pełen troski wyraz twarzy - Luke przypuszczał jednak, że była to tylko ironia.

- Więc zgadza się pan?

- Tak. Zgadzamy się. Z radością pozbawię pana dowództwa Grupy Trzeciej Floty, nawet jeśli będę musiał pozostawić panu stopień i dowództwo tego garnizonu.

- W chwili, kiedy pańskie rozkazy potwierdzające naszą ugodę zostaną ogłoszone w HoloNecie i przekazane siłom zbrojnym, pan również może uznać, że podjąłem się zadania. - Wedge zerknął na notatnik Tycha. - Radziłbym się pospieszyć. Eskadra Łotrów melduje o pojawieniu się obiektu, który może być statkiem zwiadowczym Yuuzhan Vongów. Wkrótce ta planeta może znów stać się polem bitwy. - Wyprostował się i rozejrzał wokoło. - Zamykam spotkanie. Za pięć minut spotkamy się jeszcze, żeby omówić najbliższe działania. - Skinął w stronę Luke'a, Mary, Landa, Boostera i kilku innych osób, co miało oznaczać, że spodziewa się ich obecności.

Członkowie rady, nagle pozbawieni zajęcia, wstali i nieco niepewnie spojrzeli na Wedge'a, który udał, że ich nie widzi. Gwardzista, który wcześniej zamykał drzwi, teraz otworzył je znowu i radni jeden po drugim wyszli z sali z Pwoe'em na czele. Luke wyczuwał u Quarrena zarówno irytację, jak i dziwne zadowolenie z siebie.

Pokręcił głową. Zadowolenie z siebie? Pewnie, Pwoe mógł być zadowolony, bo wiedział, że Wedge wkrótce zginie. Luke wyzbył się teraz gniewu - nie zmuszał się do spokoju, pozwolił jedynie, by złość ulotniła się sama.

Mara uśmiechnęła się lekko.

- Wyczułam cię.

- Trudno przez cały czas być dostojnym mistrzem Jedi.

- Wcale nie chcę, żebyś przez cały czas był dostojny, farmerze!

Gavin Darklighter przysunął się do Wedge'a i usłyszał, jak generał pyta Tycha:

- I co?

Tycho szepciem odpowiedział:

- Wszystkie statki Trzeciej Grupy Floty w promieniu czterech godzin lotu są już w nadprzestrzeni i lecą tutaj.

- Dobra robota.

Gavin pochylił się nad dowódcą również zniżając głos.

- Generale, żaden z Łotrów na patrolu nie zgłosił mi zbliżania się statku zwiadowczego Yuuzhan Vongów.

- Ależ zgłosili. Cztery czy pięć godzin temu, na orbicie wokół Borleias.

Gavin zmarszczył brwi, wysilając pamięć.

- Zaraz, zaraz... Przecież to była tylko wypalona skorupa skoczka koralowego, tego, którego załatwiliśmy przed przybyciem tutaj...

- No właśnie. Ale taki skoczek może być wykorzystany w charakterze statku zwiadowczego.

- Pewnie...

- A Eskadra Łotrów naprawdę zgłosiła jego obecność.

- Rozumiem. - Wyraz zaskoczenia znikł z twarzy Gavina, ustępując miejsca niewesołemu uśmiechowi. Pilot spojrział w kierunku wyjścia, gdzie znikali właśnie ostatni członkowie rady. W ich zachowaniu widać było pośpiech i zdenerwowanie. - Sir, nie mam pojęcia, jak można mówić nieprawdę, nie posuwając się przy tym do kłamstwa.

W kilka minut po tym, jak wahadłowiec rady opuścił orbitę, Wedge kazał zamknąć drzwi sali konferencyjnej i postawił przed nimi straż-lików. Powiódł wzrokiem po twarzach tych, których tu zaprosił - Tycho, Luke, Mara, Lando, Booster, Danni, Gavin, Corran.

- Czy ktoś z was nie zrozumiał, co się przed chwilą stało?

Pierwszy odezwał się Luke.

- Czy możemy być pewni, całkowicie pewni, że przeznaczono las na mięso armatnie?

- Ujmijmy to w ten sposób - odparł Wedge. - Pwoc właśnie przekazał mi największy z ocalałych statków wojennych floty i dość zasobów, aby znacznie osłabić zdolność Nowej Republiki do obrony przed Yuuzhanami. Patrząc na to z punktu widzenia politycznego wyrachowania, czy życie uchodźców z Coruscant lub znaczenie militarne Borleias usprawiedliwia takie zachowanie?

- Na pewno nie - pokręcił głową Luke.

- A zatem jedynym wnioskiem, jaki możemy wyciągnąć z postępowania rady, jest to, że ta tak zwana rada właśnie położyła krechę na łożu Republice. Ta banda cwaniaków doszła widać do wniosku, że i tak przegramy, a Yuuzhanie staną się najpotężniejszą rasą w całej galaktyce. Oni już się poddali. A że mają nadal duże znaczenie polityczne, ich poddanie się oznacza klęskę całej Nowej Republiki.

- Też tak sądzę - przytaknął Luke.

- Wracając do tematu Borleias... Jesteśmy w gorszej sytuacji, niż sądziliśmy - ciągnął Wedge. - Przedtem byliśmy pewni, że możemy wyrwać się z tej skały, dołączyć do Bela Iblisa i Kre'feya, a potem zaplanować odrodzenie się Nowej Republiki. Teraz nie możemy nic zrobić. Bardzo chciałbym wysłuchać pomysłów, jak zapobiec katastrofie, którą radośnie zgotowała nam rada, i jak przeżyć... i tu, na Borleias, i w ogóle w całej galaktyce.

- Zanim się tym zajmujemy... - Luke zmarszczył brwi, spoglądając na starego przyjaciela. - Wedge, skoro z tego zadania nie wyniknie nic dobrego, po co je przyjąłeś?

- No cóż, w pewnym sensie rada ma rację. Pyrię trzeba utrzymać za wszelką cenę. Yuuzhan należy powstrzymać. A jeśli pozwolisz mi na odrobinę zrozumiałstwa, to z pewnością nie znaleźliby na moje miejsce nikogo równie dobrego. Ciekawe, który dowódca słuchałby ich rozkazów z taką ślepą lojalnością w zamian spodziewając się jedynie śmierci z rąk Yuuzhan Vongów - Wedge wzruszył ramionami. - Nie zamierzam

tu umrzeć, Luke. Nie sądzę wprawdzie, aby udało mi się utrzymać Borleias, ale może uda mi się wsławić swoje imię na tyle, żeby Yuuzhańskie dzieci płakały na sam jego dźwięk. - Spojrzął na pozostałych. - Wracam do mojego pytania.

Początkowo nikt nie próbował się odzywać. Wreszcie Luke odchrząknął i zaczął.

- Istnieją dwa podstawowe style walki: twardy i miękki. W czasach Sojuszu Rebeliantów walczyliśmy stylem miękkim. Nowa Republika przeszła na styl twardy. Od was także się oczekuje, że zostanieie tutaj i będziecie twardo walczyć. Ale zdaje się, że tym razem żaden twardy styl nic tu nie poradzi. To spostrzeżenie dotyczy również naszej polityki. Jeśli dalej będziemy stosować twardy styl, sami skazemy się na zagładę.

Wedge skinął głową z aprobatą.

- A więc chcesz powiedzieć... - odezwał się Lando - ..co właściwie chcesz powiedzieć?

- Chcemy powiedzieć, że powinniście przestać atakować Yuuzhan Vongów w imieniu Nowej Republiki - odezwała się Mara. - Zaczynajcie z nimi walczyć w imieniu Sojuszu Rebeliantów. Zarówno tu, jak i na szerszym polu walki.

- Ale Sojusz Rebeliantów nie istnieje - szepnęła Danni. - To z niego powstała Nowa Republika.

Luke skinął głową.

- To prawda. A zatem proponuję... - zacerpnął głęboko tchu -.. proponuję stworzenie nowego Sojuszu Rebeliantów. Najwyższy czas na stworzenie struktur nieskrępowanych tradycjami i krótkowzrocznym myśleniem obecnego rządu Nowej Republiki.

- To zdrada - odezwał się Booster. - Ale mi się podoba.

- Ruch oporu - poprawił Wedge. Spojrzął ostro na Luke'a. - Ale będzie to tajny ruch oporu. Nie możemy tak po prostu zadeklarować odłączenia się od Nowej Republiki i ruszyć do walki z Yuuzhanami. Tajne jednostki w ukrytych bazach. Operacje niezgadniane z najwyższym dowództwem Nowej Republiki.

- Bardzo dobrze - odparła Mara. - Jeśli jednak się na to zdecydujemy, ty będziesz słabym ogniwem, Wedge.

Tycho zmierzył ją wzrokiem.

- Może lepiej wyjaśnij, co masz na myśli.

- Ponieważ z prawnego punktu widzenia jest to zdrada, Tycho. Wedge już pokazał, że chętnie nagina zasady do potrzeb; przejął potężną część sił zbrojnych Nowej Republiki i zamierza je wykorzystać w sposób niezgodny z rozkazami. I nie tylko to. Przejmuje też uzbrojenie i zaopatrzenie i przekazuje to wszystko, nie pożyczając, do celów prywatnych. Nawet jeśli zwyciężymy, może to się skończyć dla niego oskarżeniem o zdradę nawet w zapisach historycznych. Dla ciebie też. Mam rację, Wedge?

Wedge, zakłopotany, nie odpowiedział od razu. Pozostali też milczeli.

Wreszcie Wedge spojrzął w oczy Mary, a po chwili na pozostałych obecnych.

- Uważam, że jesteśmy na granicy unicestwienia. Nie tylko rząd; cała kultura, cała nasza historia. Jeżeli Yuuzhanie zwyciężą, niekoniecznie muszą nas zlikwidować... raczej nas wchłoną. Strawią. Staniemy się Yuuzhanami i wszystko, o co walczyliśmy, wszystko, do czego dążyliśmy, zniknie tak, jakbyśmy byli tylko hologramem, któremu

ktoś odciął zasilanie. Znikniemy bez śladu. - Zniżył głos do chrapliwego szeptu. - Nie pozwolę, aby spotkało to moje córki albo wasze dzieci. Oto co proponuję.

Wyjął miotacz i pchnął na środek stołu.

- Ktoś może potrzebuje miotacza? Ten jest mój. Chętnie go odkładam, ponieważ nie ma w tym pomieszczeniu nikogo, komu zawahałbym się go oddać albo złożyć moje życie w jego ręce. Tak właśnie zbudujemy nasz ruch oporu. Na razie nie wtajemniczajcie nikogo, komu nie zawierzylibyście życia własnego lub swoich dzieci. Ustanowimy kontakty, bazy i komórki na modłę starego sojuszu. Skoro Nowa Republika uderza nieprzyjaciół w najsilniejsze miejsca, my poszukamy tych najsłabszych. A jeśli... lub kiedy... Nowa Republika ostatecznie upadnie, będziemy już czekać i uderzymy na Yuuzhan na oba sposoby: twardy i miękki. - Czy jesteśmy zgodni? - Po kolei zaglądał każdemu w oczy.

Wszyscy kolejno przytakiwali lub unosili rękę. Wszyscy z wyjątkiem Boostera, który wymamrotał:

- Tak mi się zdaje.

Wybuchnęli śmiechem.

- Doskonale. - Wedge wyprostował się. - Od tej chwili jesteśmy Wewnętrznym Kręgiem. To, o czym będziemy tu mówić, nie wyjdzie na zewnątrz. Wszyscy pomyślą, że jesteście moją grupą doradców, a nie rodzącym się ruchem oporu. Jeśli znajdzie się ktoś, kto naszym zdaniem godny jest usłyszeć o naszej zdradzie, poradźcie się wszystkim... będziemy głosować za lub przeciw przyjęciu go do Wewnętrznego Kręgu. Ci, których znamy i którym ufamy, jak rodzina Solo, dołączą do nas, kiedy tu trafią. A teraz zastanówmy się nad „miękką” walką Yuuzhanie uderzana nas tu, na Borleias. Musimy ich wciągnąć w walkę i dać im zwycięstwo, na które nie zasługują żeby nauczyli się polegać na naszej taktyce i odgadywać kolejne posunięcia. Taktykę zawsze można zmienić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Będę potrzebował siebie i będę potrzebował ich - zwrócił się do Tycha. Tycho odetchnął głęboko.

- Cóż, mogę być nimi i pewnie mógłbym być tobą. Ale, oczywiście, ty będziesz sobą lepiej, niż ja byłbym tobą. Ale jeśli ty będziesz nimi, a ja tobą wszyscy będą myśleć całkiem na odwrót.

- Dobry pomysł - skinął głową Wedge.

- A ja się zgubiłem. Słowo daję - jęknął Lando.

Wedge zaśmiał się.

- Gra taktyczna, Lando. Jeśli Yuuzhanie zdecydują się przeciwstawić nam prawdziwego dowódcę... nieważne, teraz czy później, po kilku walkach, ten dowódca będzie analizował naszą taktykę, żeby samemu zastosować jak najskuteczniejszą strategię. Innymi słowy, aby mieć pojęcie, co on wymyśli, musimy się zorientować, jak wiele z naszego sposobu myślenia i taktyki jest w stanie przewidzieć. Gdybyśmy zatem dali mu dokładnie to, czego od nas oczekuje, i wzmocnili jego przekonania na temat naszych umiejętności strategicznych...

- .. .będziesz mógł później zmienić taktykę i zaskoczyć go - dokończył Lando.

- Właśnie. Dlatego podczas naszych narad Tycho będzie generałem Antillesem, a ja odegram rolę tego, kto akurat dowodzi Yuuzhanami. Zobaczmy, do jakiego stopnia można wyprowadzić go w pole.

- Chyba chwytam - mruknął Lando. - Może nawet lepiej, niż myślisz. Gracie w sabaka.

Wedge zadumał się nad tym stwierdzeniem.

- Chyba masz rację. I to o większą stawkę niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ

4

Okupacja Borleias, dzień czwarty i piąty

Po raz pierwszy od wielu lat Luke stanął twarzą w twarz z przeciwnikiem, który samą swoją naturą wystawiał na próbę jego zdecydowanie i odwagę: z biurokracją.

Bodaj najpotężniejszą bronią tego przeciwnika były zebrania. Spędzał jedną, dwie, trzy godziny z pułkownikiem Celchu i zespołem doradców militarnych na dyskusjach na temat antyvangowskich taktyk myśliwców, po czym pędził na długie, nudne i męczące spotkanie z naukowcami, którzy po raz kolejny deliberowali nad przyczyną nieobecności Yuuzhan Vongów w Mocy. Luke nauczył się wkrótce rozładowywać swoje frustracje, przejmując prowadzenie zebrań, co pozwalało mu urozmaicić je innymi czynnościami - inwentaryzacją ćwiczeniami, sesjami szkoleniowymi dla uczniów Jedi na pokładzie „Błędnego Rycerza”.

A jednak planowanie posuwało się do przodu. Wewnętrzny Krąg zbudował ostateczną strukturę ruchu oporu, pozwalającą na ukrycie go głęboko do czasu przybycia Yuuzhan Vongów, a następnie szybkie uruchomienie, kiedy nadejdzie czas, by wypruć im flaki.

Ruch oporu, podobny w zamyśle do podziemia Jedi, które organizowali Han i Leia, sięgał jednak szerzej i obejmował większe grupy. Wewnętrzny Krąg wysyłał jednego lub dwóch zaufanych członków na każdy z dostępnych światów, aby przygotowali komórki ruchu. Każda taka komórka pączkowała następnymi. Żaden z członków nie znał tożsamości więcej niż dwóch towarzyszy poza swoją własną komórką, co znacznie ograniczało straty w razie wpadki.

Każda z komórek miała się starać stworzyć bazę, której nie potrafiliby wykryć Yuuzhanie; miejsce, gdzie można by trzymać pojazdy, broń, narzędzia, roboty, wszystko, co może być ruchowi potrzebne, kiedy przyjdzie czas, żeby stawić czoło Yuuzhanom.

O istnieniu Wewnętrznego Kręgu wiedziała jedynie grupa Wedge'a. Nazwano ich Wtajemniczonymi, ale panowało ogólne przekonanie, że są oni po prostu grupą doradców wojskowych. Jej prawdziwy cel pozostał tajny.

Luke dzielił się swoją wiedzą i umiejętnościami taktycznymi najlepiej jak umiał i okazało się, że nie doceniał sam siebie.

Przez czas, jaki upłynął od dnia, w którym stał się mistrzem Jedi - a przez wszystkie te lata był jedynym mistrzem Jedi w całej galaktyce - niestrudzenie poszukiwał wiedzy na temat Jedi i tego, czym byli, zanim Imperator Palpatine doszedł do władzy. Palpatine i jego prawa ręka - ojciec Luke'a - Darth Vader systematycznie wybili Jedi i starali się zniszczyć całą wiedzę o ich istnieniu. Luke próbował przywrócić tę wiedzę. Szukał pozostałych śladów Jedi, zbierając tu strzępy wspomnień, tam pogłoski; nauczył się też podążać za tymi tropami do końca. Wiele z nich prowadziło donikąd - Jedi, których poszukiwał, albo zniknęli definitywnie, albo udawało im się ukryć na jakiś czas, by potem i tak zginąć z rąk sług Palpatine'a.

Dowiadując się, co robili Jedi, którym udało się przetrwać pierwsze czystki Imperatora - jak się przyczaili, zniszczyli swoje oficjalne tożsamości, ukrywali zdolność władania Mocą przemycali miecze świetlne i uciekali przed łowcami - Luke nieświadomie przyswoił sobie ogromną choć wyłącznie teoretyczną wiedzę na temat technik konspiracji. Teraz, w czasie zebrań i narad, hojnie dzielił się tymi informacjami, które doskonale uzupełniały szkolenie wywiadu prowadzone przez Marę i innych; czuł się trochę jak rozdział podręcznika na temat tworzenia komórek oporu, podobnie jak przedtem, kiedy wraz z przyjaciółmi przygotowywał w całej galaktyce podziemie Jedi.

Ostatecznie jednak Luke przyzwyczał się do zebrań, a nawet je polubił, skoro tylko zrozumiął, jak wiele znaczą one dla sprawy ruchu oporu. Poza tym pozwalały mu one nie myśleć o sprawach, które budziły w nim troskę i ból.

Ponad dwadzieścia pięć lat temu, kiedy wuj Luke'a, Owen, i jego ciotka Beru ponieśli śmierć na odległej i mało znaczącej planecie Tatooine, Luke został całkiem sam - otoczony nowymi przyjaciółmi, ale bez rodziny. Z czasem jednak zebrał wokół siebie kilkoro krewnych. Nie było wśród nich jego ojca - Anakin Skywalker zginął kilka miesięcy po ujawnieniu swojej prawdziwej tożsamości. Leia jednak zawsze była dla Luke'a prawdziwą siostrą; potem przyjaciel, Han Solo, został jego szwagrem, wkrótce pojawili się siostrzeńcy - Jacen, Jaina i Anakin Solo. Związek Luke'a i Mary, rozpoczęty od morderczej nienawiści z jej strony, przerodził się w odwzajemnioną miłość - miłość i więź, zadzierzgniętą przez Moc, która zacierała granice pomiędzy ich marzeniami i nadziejami, aż wreszcie połączyła ich małżeństwem. Wreszcie zjawił się Ben, którzy przyszedł na świat kilka miesięcy temu, i oto nagle rodzina Luke'a liczyła już osiem osób, a wszyscy oni nazywali Coruscant swoim domem.

W tej chwili „dom” był jednak polem bitwy, które zagarnął nieprzyjaciel. Rodzina, zebrana z takim wysiłkiem po wielu latach poświęceń, została rozrzucona po całej galaktyce. Anakin Solo nie żył, a wraz z nim zginęły wszystkie nadzieje, które pokładał w nim Luke. Jacen zaginał; wielu uważało, że również nie żyje. Jaina nie dotarła na Borleias - wyruszyła na osobistą krucjatę, prawdopodobnie wiedzioną chęcią zemsty. Krucjaty takie zwykle prowadzą do ruiny, na Ciemną Stronę lub do śmierci - albo wszystko naraz. Han dochodził do siebie po tragedii w tajnej bazie Jedi, a Leia czekała razem z nim. Luke'owi pozostała tylko Mara i Ben, i trzymali się razem wśród sił wroga.

Za każdym razem, kiedy do Luke'a docierała ta świadomość, starał się łagodnie usuwać ją w cień; pograżał się wtedy w medytacji, koncentrując na bezpośrednim celu, zadaniu, ukochanych osobach. Lecz techniki Jedi tylko odsuwały na dalszy plan jego troski, które istniały nadal, czekając cierpliwie, by znów ściągnąć jego uwagę i zniszczyć ufność we własne siły. Były Yuuzhanami jego umysłu.

Luke stwierdził, że znajduje się w gęstych zaroślach i przez chwilę wydawało mu się, że odbywa pieszy obchód dżungli Borleias. Zdał sobie jednak sprawę, że otaczające go powietrze jest jeszcze bardziej stęchłe niż zwykle na Borleias, a otaczające go rośliny nie pasowały do tamtego świata. Drzewa były większe, ciemniejsze, z opadającymi nisko gałęziami, a mętne kałuże wód gruntowych skrzętnie ukrywały płochliwe ruchy swoich mieszkańców.

Dagobah. Na tym właśnie świecie szkolił go Yoda -jakieś miliony lat temu.

Więc to sen? Ale w snach nigdy nie miał tak jasnego umysłu. A więc to wizja. Wizja przekazana mu przez Moc.

Odwrócił się i stanął przed wejściem do jaskini. Tu właśnie zmierzył się kiedyś z widmem Dartha Vadera - a właściwie siebie samego w charakterystycznym stroju Vadera. Teraz nie było już Yody, który mógłby go ostrzec, aby nie zabierał ze sobą broni na to miejsce konfrontacji ze złem. Luke czuł, że w tej wizji nie dozna nawet chwilowej radości ujżenia znów swojego dawnego mistrza, choć mogłoby się zdawać, że bez niego obraz nie będzie kompletny.

Stwierdził, że jest ubrany na czarno, a miecz świetlny zwisa mu u pasa. Odpiął go, położył w zagłębieniu konara i wszedł do jaskini.

Wewnątrz powitała go ciemność i cisza. Czuł, że coś tam się czai, o kilka kroków od niego, ciemniejsza plama na tle ciemności. Nie widział jej ani nie słyszał, ale czuł poprzez Moc. Ruszył w jej kierunku i poczuł, że ciemność odsuwa się na bok, okrążając go.

Musnęła go w przelocie, budząc odrazę samym dotknięciem, przywołując wspomnienie wszystkich największych nienawiści jego życia - do Dartha Vadera, do Imperatora, do siebie, kiedy zbyt daleko zaszedł mroczną ścieżką - i umknęła z jaskini. Poszedł za nią.

Powitało go światło jaśniejsze od tego, które widział przed chwilą. Tym razem otaczały go strzeliste budynki, konstrukcje tak wysokie, że niebo było widoczne jedynie jako wąski skrawek światła. Wokół piętrzyły się durabetonowe powierzchnie, szczątki ścigaczy i gigantyczne bloki nierozpoznawalnych szczątków, a wszystko pokryte zielonymi algami i falującymi trawami o bladym niezdrowym odcieniu. U jego stóp spoczywało ludzkie ciało pokryte taką samą warstwą zieleni.

Ciemność, za którą podążał, znajdowała się przed nim, w głębi wąskiej szczeliny pomiędzy drapaczami chmur, wciąż niewidzialna gołym okiem, ale równie odrażająco namacalna w Moc.

Wirowała i przetaczała się jak tornado. Rozrastała się, aż wypełniła szczelinę, dotykając budynków po obu stronach. Algi i trawy zmieniały się pod wpływem jej dotknięcia, rodząc nagle czarne, niekształtne owoce, śliskie jak zużyty olej. Za chwilę

każda powierzchnia w zasięgu wzroku była pokryta tymi owocami, które nagle zaczęły odrywać się z szypulek, spadać na ziemię i mozolnie wstawać na świeżo wyrosłe nogi, by rozleźć się na wszystkie strony jak mrowie potwornych niemowlaków.

A każdy z nich wypełniony był ciemną stroną i rozpaczą, tęskniącą za zniszczeniem.

Jeden otworzył pysk i wydał z siebie przenikliwy jęk. Za nimi następne, aż wreszcie powietrze wypełniło się rozpaczliwym wyciem.

Czyjaś dłoń spadła na ramię Luke'a. Otworzył oczy. Mara, błada jak upiór, szarpała nim z całych sił. Powietrze wciąż wypełniał wrzask, ale był to tylko płacz Bena. Mara tuliła go w ramionach, jakby chciała bronić przed Lukiem.

- Co się stało? - zapytała.

- Miałem wizję. - Luke zapanował nad oddechem i stwierdził, że część jego wizji nie znikła; energia i zło Ciemnej Strony wciąż czaiły się w pobliżu. Ben, tak wrażliwy na Moc, jak tylko może być potomek dwojga wielkich Jedi, zapiszczał bojaźliwie.

- Na Coruscant czai się zło. Niewyobrażalne zło.

Okupacja Borleias, dzień piąty

Hologram ukazywał znajomy widok: dzienny krajobraz jakiejś części Coruscant. Ogromne strzeliste budynki i pomarańczowe, pokryte plamami chmur niebo, tak charakterystyczne dla tego świata. A że planeta oferowała niezliczone mnóstwo podobnych widoków, trudno było zidentyfikować, z której jej części pochodzą.

Tu jednak zaszły pewne zmiany. Bardziej odległe od widza drapacze chmur wydawały się jednolicie zielone, a przyczyna tego wrażenia była lepiej widoczna na bliższych budynkach - wszystko pokrywały rośliny przypominające algi. Te algi wypuszczały pędy, które wyglądały jak trawy, gałęzie drzew, parasolowate grzyby. Z bliska różniły się kolorami, dopiero z oddali wszystkie zlewały się w jednolitą zieleń.

Luke oglądał hologram z mieszanymi uczuciami. Algi i trawy były identyczne jak w jego wizji.

W zaciemnionej sali konferencyjnej do holoobrazu zbliżył się jakiś mężczyzna. W świetle rzucanym przez obraz Coruscant jego twarz aż jaśniała; zieleń alg zabarwiała jego bladą skórę, białe włosy, wąsy i brodę, nadając mu wygląd upiora. Ubrany był w jednolitą czerń, która pozostawiała obnażone tylko dłonie i głowę, co sprawiało wrażenie, jakby te części ciała swobodnie unosiły się w mroku.

Ale to nie był widmowy portret. Wielu z obecnych znało tę twarz od bardzo dawna. Wolam Tser był historykiem politycznym, którego holodokumenty skatalogowały każdy etap rozwoju Nowej Republiki od czasów, kiedy była tylko biednym, chaotycznie zorganizowanym Sojuszem Rebeliantów.

- Zatrzymałem obraz na chwilę - mówił Wolam, a jego dudniący głos i szlachetny akcent natychmiast rozpoznali wszyscy obecni - abyście mogli zobaczyć, co się dzieje na powierzchni Coruscant. Wygląda na to, że rozpoczęła się przemiana planety. To zielsko pokrywa większą część powierzchni. Rozmnaża się niewiarygodnie szybko, miejsce, które widzicie, dzień wcześniej było tylko durabetonowymi ścianami. Ciem-

niejsze fragmenty to coś w rodzaju ciastowatej szumowiny, która wydziela soki powodujące rozkład durabetonu. Grzyby są, jak sądzę, podobne do eksplodujących grzybów z Yavina Cztery; też detonują przy uderzeniu. Solidniej wyglądające porosty zapuszczają długie korzenie głęboko w podkład, na którym rosną. Krótko mówiąc, błyskawicznie niszczą wszystkie zabudowania na powierzchni Coruscant... a należy pamiętać, że budynki pokrywają każdy centymetr kwadratowy tej planety. Powietrze jest coraz bardziej trujące, choć na obrazie tego nie widać, a pozostała ludność zamieszkuje jeszcze niższe poziomy miasta, tłocząc się wokół filtrów powietrza, które dostarczają im odpowiedniej atmosfery.

- A co z Yuuzhanami? - zapytał Luke.

Wolam spojrział w jego kierunku, mrużąc oczy w daremnej próbie przebicia wzrokiem ciemności.

- Czyja słyszę charakterystyczny głos mistrza Skywalkera?

- W istocie.

- Yuuzhanie dokonują najazdów na dolne poziomy. Niektóre wydają się mieć konkretny cel, na przykład zniszczenie filtrów powietrza, inne wydają się po prostu ekspedycjami łowieckimi. Jednak najgorsze saniem napady, lecz to, co się dzieje, kiedy Yuuzhanie wycofują się z danego obszaru. Uciekają na odległość wielu kilometrów, a potem następuje to...- Wolam wyjął niewielki ręczny pilot i wcisnął jeden z wielu przycisków.

Nieruchomy obraz nagle ożył; jeszcze przez chwilę wyglądał tak jak przedtem, jeśli nie liczyć kołysania się na wietrze najbliższych roślin i błysku przecinającego odległe chmury.

I nagle wszystko się zmieniło. Część chmury pojaśniała raptownie; coś w niej eksplodowało, a mała płonąca kropka, ciągnąca za sobą smugę ognia, skierowała się w stronę planety.

Kropka znikła gdzieś w oddali, za budynkami. Przez chwilę nic się nie działo, tylko smuga dymu przecinająca niebo rozpraszała się powoli.

Błysk światła był tak potężny, że przeciążył możliwości rejestracyjne holokamery - obraz rozświetlił się na moment, po czym przygasł, ukazując nowy krajobraz.

Budynki wciąż stały - i na pierwszym, i w dalszych planach. Za nimi pojawiło się jednak coś jeszcze: wysmukła kolumna dymu, rozszerzająca się ku górze na kształt grzyba. W stronę kamery zbliżała się fala uderzeniowa. Najbliższe kolumny dymu, budynki zaćmiły się i znikły. Niszcząca fala tworząca wyraźny półokrąg przemknęła kilometry dzielące ją od kamery szybciej niż myśliwiec, zrównując z ziemią wszystko, co napotkała na swojej drodze. W miarę jak czoło strefy zbliżało się do kamery, Luke słyszał coraz więcej cichych okrzyków i obserwował, jak widzowie odruchowo cofają się, jakby próbując zwiększyć dystans.

Wizja Coruscant zakołysała się i pogrążyła w nicości.

Ktoś zapalił światło w sali, która teraz znów była przytulnym pokojem narad, zamiast teatrem apokaliptycznych wizji.

Wolam stał u końca stołu, po lewej stronie Wedge'a. Tylko on stał.

- To wydarzenie omal nie kosztowało życia mojego operatora, Tama. - Wskazał na człowieka stojącego w głębi sali; młody, potężny i niezgrabny chłopak zbył go machnięciem ręki. - Tam leżał nieprzytomny przed dwa dni, zanim do mnie wrócił, a potem długo chorował. Nawdychał się zbyt dużo toksycznej atmosfery. Wciąż odczuwa tego skutki.

- Jakiego rodzaju broni użyli, żeby uzyskać ten efekt? - zapytał Wedge.

Wolam uśmiechnął się blade.

- Naszej własnej. To była Platforma Obronna Golan. Kilka dni temu broniła jeszcze Coruscant przed Yuuzhanami. Później została strącona z orbity prosto na powierzchnię planety. Nie potrafię ocenić... - Urwał. Z jego twarzy nie można było wyczytać, co właściwie spowodowało to wahanie, ale Luke poczuł bijącą od niego nagłą falę bólu. - Nie potrafię ocenić, ile osób zginęło, kiedy spadła. Miliony, dziesiątki, setki milionów... Strefa uderzenia znajdowała się kilkaset kilometrów na południe od pałacu imperialnego. Wciąż zrzucają kolejne satelity i stacje, jedną po drugiej... A skoro tylko kilka milionów obywateli Coruscant zdołało się ewakuować, znaczna większość jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W najbliższym czasie grożą im spadające satelity, a później przemiana planety.

- Dziękujemy za te informacje - rzekł Wedge. - Próbki, których nam dostarczyliście, zostaną przekazane do zbadania specjalistom od technologii Yuuzhan Vongów. - Zajrzał do notatnika. - Czy wasz wahadłowiec został uszkodzony podczas ucieczki z Coruscant?

Wolam skinął głową.

- Jedną z przyczyn, które zatrzymały mnie tak długo, była konieczność pogrupowania uciekinierów w ten sposób, aby mieć pewną szansę w przypadku ataku myśliwców. Tam, gdzie jeden statek zginąłby niechybnie, z większej grupy przynajmniej kilka miało szansę przetrwania. - Spojrzał przepraszająco. - Mój był jednym z tych, którym się udało.

- Twój statek jest w tej chwili naprawiany i będzie gotowy za dzień lub dwa. Możemy was odesłać z następną grupą uchodźców, myśliwce będą was osłaniały.

Wolam rozejrzał się wokoło. Luke zauważył, że kierował wzrok kolejno na twarze niektórych obecnych, w tym również na niego. Po chwili Wolam zwrócił się do Wedge'a:

- Jeśli można, wolałbym zostać tutaj. Jestem historykiem. Tu właśnie tworzy się historia. Nie zużyję zbyt wielu zapasów, a kwatery mamy na wahadłowcu.

- Doskonale. - Wedge wstał. - Cóż, moi drodzy, wracamy do pracy. Przepraszam za tę porcję złych nowin, ale musimy być na bieżąco.

Po drodze do wyjścia Tam zbierał gratulacje za to, że udało mu się przeżyć, i podziękowania za cenne informacje. Kiwał głową i przełykał ślinę, wyraźnie skrepowany zainteresowaniem ze strony tak wielu osób - w dodatku sławnych - i starał się uciec jak najszybciej. Nie bardzo mógł ulotnić się dyskretnie, bo był tak wysoki, że głową sięgał górnej framugi drzwi, i na tyle potężnie zbudowany, aby wzbudzić zazdrość zawodowego piłkarza. Po drodze co chwila potykał się o nogi krzesel i nadeptywał dziesiątki

nóg, aż wreszcie wypadł z sali na korytarz, gdzie przynajmniej wszyscy szli w tym samym kierunku co on. Po chwili był już na zewnątrz, z wdzięcznością chwytając w płuca wilgotne, ciepłe powietrze Borleias.

- Chyba nie przepadasz za tłumami, co? - odezwała się młoda kobieta, która nagle znalazła się u jego boku.

Spojrzał na nią i żołądek znów podskoczył mu do gardła. Miała rację. Tłum był okropny, ale piękne samice też stanowiły niebezpieczeństwo. Przy nich także słowa więzły mu w gardle, a serce waliło jak młotem. Kobieta obok niego była smukła, o kaskadzie złocistych loków związanych w koński ogon. Niebieskie oczy były bystre i żywe, a uroczą twarz rozjaśniałaby każde pomieszczenie.

Tam musiał chwilę pomyśleć, zanim sobie przypomniał, co mówiła. Zdobył się na uśmiezek, który miał oznaczać, że czuje się swobodnie.

- To prawda. Jestem terenowym operatorem kamery, a nie miejskim chłopakiem. Nie wiem, co mnie podkuśliło, żeby wracać z Wolamem na Coruscant.

- Podejrzewam, że on ma dar przekonywania.

- A tak, ma. - Tam myślał gorączkowo, usiłując sobie przypomnieć, co w takich sytuacjach mówią normalni ludzie. Szybko wyciągnął rękę. - Tam Elgrin.

Uścisnęła ją.

- Danni Quee.

- Wiesz co, znam twoje nazwisko. Jesteś prawie sławna... - skrzywił się. - Nie to chciałem powiedzieć.

Uśmiechnęła się, bardziej rozbawiona niż urażona.

- Słuchaj, Tam... masz może jakieś nagrania, których Wolam Tser nam nie pokazał? Na przykład z Yuuzhanami?

- Ja... - Poczul narastający ból głowy, ale go zignorował. Powiedziano mu, że nie powinien pokazywać swoich nagrań. Wolam Tser mógłby się tym zdenerwować. Ale z drugiej strony... w tych wojennych czasach trzeba było się dzielić informacją z właściwymi ludźmi, więc pewnie nie miałby nic przeciwko temu. - Mam. Mam kilka fragmentów pogoni Yuuzhan Vongów. W środkowych poziomach Coruscant byłem z kilkorgiem innych ludzi. Potem przestałem nagrywać i zacząłem uciekać. Naprawdę szybko uciekać. Byłem na początku grupy, a Yuuzhanie schwytyli tych, którzy biegli z tyłu. - Wzruszył ramionami. - A ja uciekłem.

Zdjął torbę, którą zawsze nosił przy sobie. Miał w niej dwie holo-kamery, w tym jedną miniaturową zapasową, zarejestrowane filmy i puste kasety. Znalazł zapis, którego szukał, i wsunął kartę danych w dłoń kobiety.

- To ta. Proszę o zwrot.

- Skopiuję i szybko ci oddam. Nawet dziś.

- Dzięki.

- Miło było cię poznać. - Uśmiechnęła się do niego i pobiegła w kierunku budynku.

- Mnie też... - wykrztusił. Wreszcie zdołał nieco uspokoić bicie serca i ruszył w dokładnie przeciwnym kierunku, jak najdalej od budynku.

W promieniu pół kilometra wypaloną przestrzeń, którą niegdyś porastała dżungla, zajmowały teraz statki i pojazdy. Właśnie wznoszono tam dwa wielkie doki, lano durabeton, ustawiano prefabrykowane metalowe ściany. Wszędzie wokół stały myśliwce i wahadłowce, śmigacze i poduszki, transportowce, a nawet jeden duży frachtowiec z poważnie uszkodzonym dziobem.

Tam wyjął holokamerę i przez chwilę nagrywał całą scenę. Pewnego dnia, jeśli Nowa Republika przetrwa, ludzie będą chcieli wiedzieć, jak wtedy było.

Ból głowy nasilił się tak nagle, jakby ktoś ugodził go nożem. Krzyknął i chwycił się za głowę. Ledwo mógł utrzymać się na nogach.

Wiedział, dlaczego ból wrócił. Dlatego że nie słuchał rozkazów. Instrukcje były wyraźne. Wrzucił holokamerę z powrotem do torby.

Chwiejnym krokiem zaczął przedzierać się pomiędzy statkami, aby dotrzeć do swojego wahadłowca... a właściwie wahadłowca Wolama.

Oczywiście, był to wahadłowiec tylko z funkcji, a nie pod względem konstrukcji. Karierę rozpoczynał jako zaprojektowana i zbudowana przez Sienara kanonierka „Ski-pray”, czteroosobowy wojenny statek Imperium. Niezgrabnie wyglądający pojazd miał dziób podobny do przekładni mimośrodowej z najwyższym punktem wycelowanym do przodu i poszerzonym przez parę skrzydeł, pod kątem ostrym skierowanych w dół. Dziób przechodził od razu w rufę, która nie była niczym więcej, jak tylko wielką osią. Zamontowano na niej płyty stabilizujące i skrzydła, które można było postawić w pion do lotów atmosferycznych albo sprowadzić do poziomu przy lądowaniu.

Kiedy wahadłowiec był jeszcze machiną wojenną miał ciężkie uzbrojenie. Ale przed wielu laty, kiedy Wolam ukradł go, uciekając z budynku bazy imperialnej z zapisami, które Imperium bardzo chciało zachować, statek zaczął przechodzić pierwsze modyfikacje. Lufy wyrzutni torped protonowych i rakiet udarowych usunięto, co znacznie powiększyło ładownie i kajuty statku. Zlikwidowano również wieżyczkę, zastępując ją kopułką z transpastali, dzięki czemu z kabiny można było obserwować gwiazdy. Sterowanie uproszczono, i teraz optymalna liczba członków załogi wynosiła dwie osoby zamiast czterech.

Pod kabiną pilotów znalazło się miejsce - uprzednio przeznaczone na stojaki dla rakiet - gdzie urządzono dwie niewielkie kajuty, jedną dla Wolama, a jedną dla operatora holokamery.

Tam ze sztucznym uśmiechem machnął ręką mechanikom spawającym metalowe płyty maskujące dziury w skrzydłach i naprawiającym uszkodzenia poniesione w chwili, gdy jeden ze statków towarzyszących wahadłowcowi eksplodował od strzałów skoczaków. Wspiął się na lewe skrzydło dziobowe do głównego wjazdu i zszedł do środka. Utrzymał ból na znośnym poziomie, jeśli się bardzo pośpieszy.

Nie zatrzymał się koło mostku, tylko pomknął do tylnego korytarza. W dwóch krokach dopadł ciasnej kajuty. Wbiegł do środka - szybko, szybko - i dokładnie zamknął drzwi.

Podniósł materac na koi, odsłaniając niewielką skrytkę, w której spoczywał duży zaokrąglony kawałek skały.

- To pamiątka z Korelii - wyjaśnił kiedyś Wolamowi.

Oczywiście skłamał. Musiał kłamać.

Podniósł kamień, który był lżejszy, niż na to wyglądał, ustawił go na koi i trzykrotnie poskrobał paznokciem powierzchnię. Potem jeszcze dwukrotnie powtórzył gest.

Kamień pękł wzdłuż niewidocznego szwu. Otworzył się jak oceaniczny małż, ale zamiast ukazać dwa płaty ciała i może nawet perłę, odsłonił amorficzną, ciastowatą masę na dnie skorupy.

Tam poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła na myśl o ponownym dotknięciu tego przedmiotu, ale wyciągnął rękę i odnalazł niewielką wypukłość na wierzchu bryłki. Poglaskał ją czując, jak żywa istota reaguje na jego dotyk. Szybko cofnął dłoń i otarł o spódnie, choć gładka substancja nie pozostawiła na jego palcach żadnych osadów.

W chwilę później ciastowatą bułą rozciągnęła się, przyjmując kształt mniej więcej ludzkiej głowy. Tam nie miał pewności, czy to głowa Yuuzhanki, ponieważ jej czoło było zbyt wypukłe, a rysy dziwnie regularne, jakby nigdy nie dotknęły ich okaleczenia.

Villip spojrział na niego obliczem tajemniczej rozmówczyni.

- Raport - zażądał głosem pozbawionym akcentu.

Tam poczuł, jak ból głowy przygasa, prawie znika, ale emocje kłębiły się nadal w żołądku i duszy. Nie doznał takiej ulgi, jakiej się spodziewał.

- Jesteśmy na Borleias... - zaczął.

Okupacja Borleias, dzień szósty, przedświt

Ktoś delikatnie zaskrobał w drzwi. Wedge podskoczył i otworzył oczy. Przez moment zastanawiał się, gdzie jest i co powinien zrobić.

Wciąż był w biurze, w fotelu, gdzie przysnął, a przecież nie mógł sobie na to pozwolić. Kiedy on sobie pofolguje, może zginąć więcej ludzi.

Przetarł powieki i odwrócił się w kierunku drzwi.

- Proszę.

Drzwi przesunęły się i znikły z pola widzenia, ale na korytarzu nie było nikogo. Wreszcie gość wychylił się ostrożnie zza framugi.

Mężczyzna był niewysoki i całkiem łysy - Wedge jednak wiedział, że po prostu ma ogoloną głowę. Wąsy i kosią brodkę miał starannie przycięte i bardzo czarne, co nadawało jego twarzy posępny wyraz, ale wesoły uśmiech zaprawiony złośliwym poczuciem humoru rozpraszał ponure wrażenie. Mężczyzna był atrakcyjny w sposób typowy dla sławnych ludzi, wyjątkowo zdolnych biznesmenów i przestępców.

Wedge wstał.

- Buźka! A już się martwiłem, że cię straciłem na Coruscant! Wchodź.

Garik „Buźka” Loran, dowódca tajnej grupy wywiadu znanej jako Widma, pokręcił głową.

- Później. Wpadłem tylko, żeby ci oddać przesyłkę.

- Jaką prze...

Wymięła Buźkę i weszła, a raczej wbiegła do biura. Była wysoka, wzrostu prawie równego z Wedge'em, smukła, o ciemnoblonde włosach teraz leciutko przetykanych

siwizną. W latach młodości była niezwykle piękna; w oczach Wedge'a zmarszczki mimiczne i kurze łapki jeszcze podkreślały jej urodę.

Niespodziewanie znalazł się po drugiej stronie biurka - nie wiedział, czy je obiegił, czy przeskoczył - i oto trzymał ją w ramionach.

- Iella...

- Tatusiu! - rozległ się wrzask, który zabrzmiał, jakby wydobył się z jednego gardła. Wedge wypuścił żonę z ramion, przykucnął i objął mocno dwie jasnowłose, niebieskookie córki, które jak diabełki z pudełka wyskoczyły z obu stron Ielli. Wstał, trzymając je na rękach - Syal na lewej, Myri na prawej.

Kilka dni wcześniej, kiedy podniósł je obie w swojej kwaterze na Coruscant, narzekał, że są coraz cięższe i niedługo nie da rady ich podnieść. Teraz, otoczony ramionami dzieci, ledwie czuł podwójny ciężar.

Przed chwilą miał tylko swoją misję. Teraz znów widział przed sobą przyszłość, którą mógł przytulić, ścisnąć, powąchać, usłyszeć. Wedge spojrział na Buźkę, ale dowódca Widm, jak przystoi prawdziwemu widmu, ulotnił się niepostrzeżenie. W miejscu, gdzie przed chwilą stał, drzwi zamykały się powoli.

Leżeli w ciemnościach w kwaterze Wedge'a. Światło księżyca przesączało się przez turkusową transpatal, zabarwiając wszystko błękitną poświatą - łóżko, ściany i skórę.

- To nie to samo, co oglądać śmierć swojego domu - szepnęła Iella z zadumą w głosie. Spojrzała w niebiesko rozświetlony sufit, jakby chciała go przebić wzrokiem, dotrzeć do samego Coruscant. - Nie można tego porównać z sytuacją, gdyby Yuuzhanie wylądowali na Korelii. Ale kiedy platformy orbitalne spadają na miasto, kiedy wiesz, że miliony giną z każdym kolejnym uderzeniem, i wiesz, że tych niewielu, którzy właśnie uciekają w przestrzeń prywatnymi statkami, pozostawiając wszystko, ma cholerne szczęście... Coruscant umiera, Wedge. Nie wiem, czy potrafię opisać całą okropność tej tragedii.

- Nie musisz - odparł. - Wiem, co czułem, zostawiając cię tam. Powtarzałem sobie: „Nie pomogę jej. Nie mogę jej pomóc. Ale mogę pomóc innym ludziom, którzy są i żyją tu, na górze”.

Odwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz.

- Nie wierzyłeś, że nas uratuje?

- Ależ tak. Ale zaufanie nie przeszkadza trochę zżerać cię od wewnątrz.

Pocałowała męża i oparła głowę na jego ramieniu.

- Co teraz?

- Właśnie awansowałaś na szefa wywiadu mojej organizacji, co pozwoli Marze poznać się nad Yuuzhanami w jej tylko właściwy uroczy sposób. Będę cię potrzebował do rozgłaszania informacji wśród naszych ludzi i sprawdzania, na ile złapią się na to Yuuzhanie, co pozwoli wykryć, czy mamy pośród nas zdrajców. Muszę to wiedzieć jak najszybciej, żeby ich wykorzystać do własnych celów i wyeliminować zagrożenie.

- Czy będę pracować tu, czy gdzie indziej?

- Tutaj. - Opowiedział jej o wizycie radnych.

Przez dłuższą chwilę milczała, przetrawiając usłyszane informacje.

- Wedge, robisz coś, czego nie cierpisz: walczysz na dwóch frontach. Yuuzhanie z jednej strony, a rada z drugiej.

Wedge uśmiechnął się.

- Rada nie wie, że toczę z nimi wojnę.

- Za to wie, że sami toczą wojnę z nami, tylko się nie orientują że my o tym wiemy. Ale mogą na to wpaść szybciej, niż ci się wydaje. Nawet bez Borska jest tam sporo politycznych cwaniaczków, którzy ich poprowadzą. Oznacza to, że szpiegzy Yuuzhan Vongów nie są jedynymi, których się musisz obawiać. Jednym z moich zadań będzie organizowanie kontrolowanych przecieków informacji i sprawdzanie, jak reagują na nie nasi tak zwani przyjaciele... abyśmy mogli ich wykorzystać do własnych celów.

- Wiedziałem, że mam jakiś powód, żeby cię tu zatrzymać.

- Co najmniej dwa powody.

- Nie łaskocz.

ROZDZIAŁ

5

Yuuzhański światostatek, orbita Coruscant

Villip patrzył na Viqi Shesh ludzką twarzą grubokościstą, skrzywioną w wyrazie bólu i przerażenia.

- Nie jestem upoważniony do wysłuchiwania tajemnic- protestował. - Chodzę tylko za Wolamem Tserem i rejestruję jego obserwacje i wywiady.

Viqi zniżyła głos do szeptu. Miała nadzieję, że villip będzie w stanie przekazać subtelność tego tonu. Taki głos podniecał mężczyzn, sprawiał, że jej pragnęli. Bawiła ją już sama myśl o torturze, jaką przeżyje ten człowiek, pożądam jej.

- Poznałeś Danni Quee. Zaprzyjajnij się z nią. Zostań jej kochankiem, jeśli jesteś do tego zdolny. Przekonaj ją żeby ci się zwierzała. Zgłaszaj się na ochotnika do innych zadań, kiedy Tser ciebie nie potrzebuje. Potrafisz wykonywać proste naprawy, prawda?

- Tak - odparł Tam zbolalym głosem.

- No to się tym zajmij. Umieszczaj rejestratory i czujniki we wszystkich urządzeniach, które będą rozlokowane w krytycznych punktach bazy. Iella Wessiri jest dość dobra, żeby znaleźć wszystko, gdziekolwiek to upchniesz, więc nie próbuj nawet zbierać informacji, które te urządzenia będą rejestrować. Instaluj podobne obiekty w miejscach, gdzie posądzenie może paść tylko na członków ich dowództwa ludzi, którym Antilles i Skywalker jeszcze w pełni nie ufają. Wzbudź wśród nich paranoję. Wiesz, co to znaczy?

- Wiem.

- Udowodnij to, głupku. - Viqi pogładziła villipa, który natychmiast się skurczył i przeciął łączność.

Westchnęła i przeciągnęła się. Skóra na plecach, wciąż niezabliźniona do końca, zaprotestowała bólem, ale Viqi nie pozwoliła, aby to drobne cierpienie sprawiło jej przykrość. Odwróciła się, a plastyczny materiał, z którego zrobiony był jej fotel, dostosował się do nowej pozycji. Spojrzała na swojego zwierzchnika.

Był ubrany w przepaskę biodrową wojownika, w dłoni trzymał amphistaff. Nos miał zmiażdżony dziwnie symetrycznie jak na okaleczenie Yuuzhanina. Oderwany kawałek górnej wargi odsłaniał zęby. Cała skóra była pokryta tatuażami.

Największym okaleczeniem Yuuzhanina była pojedyncza nabrzmiała blizna gdzieś wściekle czerwona, w innych miejscach przechodząca w ciemny brąz. Na całej długości wyraźnie odcinała się na tle skóry. Rozpocząła się na czubku łysej czaszki, wiała się po prawym policzku aż do podbródka i znów do góry, a potem skręcała ostro w dół poniżej lewego oka. Biegła zygzakiem po szyi i piersi, żeby zniknąć pod przepaską i znowu wyłonić się na prawym udzie, otaczając pętlą kolano. Była to chyba jedna z wcześniejszych ozdób wojownika, ponieważ tatuaże otaczały ją, nigdy nie przecinając.

Nazywał się Denua Ku i z kilku słów, jakie z nim zamieniła, zorientowała się, że nie ma pojęcia o działaniach wywiadowczych. Był tu, aby jej strzec, a nie pomagać w pracy. Obdarzyła go uśmiechem wgardliwym i drwiącym zarazem.

- Gotowe - rzekła.

- Teraz wrócisz do swojej kwatery. - Jego głos, nawet za pośrednictwem tizowyma, organicznego tłumacza Yuuzhan Vongów, który miała w uchu, brzmiał wzmątną pogardą.

- Mam dość mojej kwatery. Przez pół godziny dziennie kieruję tym półgłówkiem, a resztę czasu spędzam w pomieszczeniu, które śmierdzi jak niedogotowane flaki z banthy. Chciałabym coś zrobić.

Denua Ku nie odezwał się ani słowem. Viqi przyjęła to za dobry znak. Gdyby miał ściśle rozkazy, żeby trzymać ją w przydzielonej kwaterze, natychmiast zażądałby, żeby się tam udała. Ale nie miał też zamiaru zaproponować jej żadnej rozrywki - tym musiała zająć się sama.

Wiedziała, że nigdy nie zgodzą się na zajęcia, które zaprowadziłyby ją bodaj w pobliże statku lub miejsca szkolenia pilotów, będzie więc musiała sama wpaść na pomysł, jak dostać się do innych części światostatku. Mogłaby tam spotkać innych Yuuzhan, a może nawet ich więźniów.

- Chciałabym się dowiedzieć, jak powstają skoczki koralowe, budynki i broje. Jak hodujecie to wszystko. Pewnie będę musiała się czegoś nauczyć, kiedy Yuuzhanie już wszystko podbiją i nie będą potrzebowali wywiadu.

Denua Ku nie odpowiedział, więc dodała:

- Przekaż moją prośbę mistrzowi wojennemu. Sądzę, że się na to zgodzi.

Nadeszła godzina padlinożerców, a przynajmniej tak myślał o niej Tsavong Lah; pora, kiedy pozwalał przybywać do siebie gościom, kiedy rozwiązywał przyziemne problemy swoich podwładnych, żeby się nie zaśmierdły jak padlina. Odegnął tę myśl, ponieważ zbyt przypominała mu o problemach z nowym ramieniem.

Pierwszy pojawił się wojownik Denua Ku, aby przedstawić prośbę Viqi Shesh. Tsavong Lah udzielił przyzwolenia. Kobieta i tak nigdy nie zmieni swoich manipulacyjnych przyzwyczajęń, żeby nauczyć się przyzwoitego zawodu.

Następny w niewielkiej komnacie audiencyjnej pojawił się Maal Lah, krewniak i jeden z lepszych doradców militarnych Tsavonga. Rysy miał zaskakująco regularne, szczękę całą, ale twarz była starannie udekorowana czerwonymi i niebieskimi zawijającymi.

- Słucham, mój sługo - rzekł Tsavong Lah.

- Dowiedziałem się ciekawej rzeczy - zaczął Maal Lah. - Flota niewiernych, która przejęła Borleias, jeszcze nie zaczęła się wycofywać. A pozostali wojownicy domeny Kraal twierdzą, że narzędziowcy okopują się jak do oblężenia.

- Z punktu widzenia militarnego nie ma to wiele sensu - odparł mistrz wojenny. - Nie mogą mieć nadziei na utrzymanie planety. Nie mogą mieć nadziei na posiłki. - Zadumał się nad tym zagadnieniem. - Wyślij flotę Wyrpuuka Cha, żeby ich zmiążdżył. Domena Kraal pogardza domeną Cha. Przyznanie się do długu wdzięczności wobec Cha będzie dla nich dodatkową karą za to, że nie bronili Borleias jak należy.

- Tak jest, mistrzu wojenny.

- Czy coś jeszcze?

- Nie, mistrzu wojenny. - Maal Lah wycofał się.

Kolejnym petentem był Takhaff Uul, duchowny. Zajmował wysokie stanowisko w zakonie Yun-Yuuzhanina, najwyższego boga Yuuzhan Vongów. Takhaff Uul był młody jak na swoje stanowisko; inni w jego wieku i w tej samej sekcji pełnili zaledwie funkcje szeregowych kapłanów, sług i pomocników. On tymczasem był już szanowanym głosicielem woli boga. Jego tatuaże nie były geometryczne ani nie podkreślały zniekształceń. Przedstawiały gałki oczne, szponiaste rączki, macki, a wszystko przedstawione tak realistycznie, jakby miało sugerować, że w swoim krótkim życiu kapłan miał już wiele przeszczerpów. Skłonił się nisko przed mistrzem wojennym.

- Mów - rzekł Tsavong Lah.

Takhaff Uul wyprostował się.

- To niestosowne, że pomijam najwyższego kapłana i wygłaszam moje słowa bezpośrednio przed tobą, dlatego jestem przygotowany na śmierć, gdyby te słowa były ci niemiłe.

- Zawsze powinieneś być przygotowany na śmierć, kiedy tu przybywasz - odparł Tsavong Lah. - Nie możesz przewidzieć, kiedy twoje słowa mi się nie spodobają.

- Tak jest, mistrzu wojenny.

- Mów, co masz do powiedzenia.

- Nie moje to słowa, lecz wola Stwórcy, Yun-Yuuzhanina. Miałem wizje o nim podczas snu ostatniej nocy, które doprowadziły mnie do pewnych rozważań na temat ciebie i twojej... dolegliwości.

Tsavong Lah uniósł dłoń ze szponem radanka i uważnie przyjrzał się palcom. Tą kończyną byłby w stanie rozedrzeć gardło yuuzhańskiego wojownika, o ile nie odpadnie przy okazji całe ramię...

- Co mówił o mnie?

- Tylko tyle, że twoja wojna przynosi wiele rozkoszy sercu zabójcy Yun-Yammka.

- Nie widzę, jaki to ma związek z moim ramieniem.

- Chodzi o to, czego nie powiedział, mistrzu wojenny. Czulem... a była to jedynie intuicja kapłana... że Stwórca czuje się oddzielony od chwały, jaką zdobywasz. Że nie otrzymuje należnego mu udziału. I to budzi jego niezadowolenie.

- A jak sądzisz, co może zmienić tę sytuację?

- Poświęcenie, mistrzu wojenny. Dar, ofiarowany samemu Yun--Yuuzhaninowi. Cały świat poświęcony Stwórcy, jego kapłanom i wyznawcom.

- Ale kapłani Yun-Yuuzhanina są wszędzie, we wszystkich domenach i koloniach.

- Tak, mistrzu wojenny, wiem, że masz rację. Ale któż zgłębi serce boga? Mogę tylko interpretować swoje sny z nadzieją że mam rację.

- Rozważę to. - Tsavong Lah odprawił go niedbałym gestem szpona radanka i młody kapłan odszedł.

Zaledwie odwrócił się plecami, Tsavong Lah skinął na jednego ze swoich zaufanych strażników i wykonał gest, który znają tylko mistrz wojenny i jego gwardia osobista. Strażnik poszedł za Takhaffem Uulem do samych drzwi komnaty i poczekał, aż znajdzie się w korytarzu. Potem powiedział coś cicho drugiemu strażnikowi i wrócił na swoje miejsce u boku Tsavonga Laha.

Mistrz wojenny załatwił jeszcze kilka spraw administracyjnych, zanim strażnik, który poszedł za Takhaffem Uulem, powrócił i stanął przed swym panem.

- No i co?

- Udał się do komnat Ghithry Dała, mistrza przemian - rzekł strażnik.

Tsavong Lah siedział w zadumie przez dłuższą chwilę. Ghithra Dal był tym mistrzem przemian, który wszczepił mu szpon radanka.

Viqi Shesh może mieć rację.

Będzie musiał to sprawdzić.

Okupacja Borleias, dzień dziewiąty

Flota Wyrpuuka Cha zwolniła, wchodząc w zewnętrzne granice systemu Pyrii. Odległe słońce systemu było doskonale widoczne przez bursztynową skorupę, która pełniła na mostku rolę iluminatora, lecz Wyrpuuk Cha nie zwracał na to uwagi, koncentrując się na chmarze świetlików, które wisiały w półkulistym wgłębieniu w tylnej części pomieszczenia.

Owady te, zdolne do trwania nieruchomo w powietrzu, a także do włączania światła i gaszenia go na myślowe polecenie yamoska floty, układały się w świetliste wzory i kształty. Kuliste ich skupisko przedstawiało słońce systemu. Inne owady zbiły się w mniejsze kulki, przedstawiające planety, a niezliczone jarzące się muszki pokrewnego gatunku, zbyt małe, by było widać cokolwiek poza błękitnym światłem, krzyżowały się w szlaki jonowe zdobiące układ słoneczny i wskazywały, gdzie jeszcze niedawno przelatywały zniechęcone metalowe statki wroga.

Inne świetliki wisiały samotnie lub tworzyły niewielkie nieregularne plamy. Wyrpuuk Cha wiedział, że są to skupiska nieprzyjacielskich statków. Informacja o ich położeniu pochodziła z transmisji nadawanej przez villipy uciekinierów Yuuzhan Vongów z Borleias i z grawitacyjnych zmysłów yamoska, lecz była niekompletna. Elementy floty zbyt bliskie studniom grawitacyjnym nie były widoczne, podobnie jak statki ułożone w odległych punktach lub poza systemem słonecznym. Wróg może tam mieć nawet setki statków; wiele czasu i ofiar pochłonęłoby ich wykrycie i zniszczenie.

Wyrpuuk czasu miał dość, a mrowie wojowników gotowe było do wszelkich ofiar. Zależnie od sił wroga i umiejętności jego dowódców walka może okazać się ciężka, ale Wyrpuuk Cha zdoła odbić system.

Pytanie tylko, czy zdoła tego dokonać dość szybko i skutecznie, aby zadowolić mistrza wojennego Tsavonga Laha. Nie mógł sobie pozwolić na to, by spędzić tu zbyt wiele czasu i zmarnować za dużo zasobów. Strategicznie rzecz biorąc, powinien odsłonić brzuch, kusząc wroga, aby ten zaatakował, po czym wybebeszyć go w chwili, kiedy będzie w niewygodnej pozycji, bez możliwości zachowania równowagi. Może sobie pozwolić na jedną najwyżej dwie wolty.

- Nie odbudowali platform osłonowych na orbicie planety - odezwał się kobiecy głos należący do Kadlah Cha, analityka militarnego z jego własnej domeny.

Spojrzał na Kadlah. Jej tatuaż był szokujący nawet jak na standardy Yuuzhan Vongów. Ciemne plany wokół oczu i poniżej dolnej wargi sprawiały wrażenie, jakby rysy były groteskowo powiększone. Ozdoby skopiowano z jego własnych, choć w lustrzanym odbiciu. Jednak u Wyrpuuka ich podstawę stanowiły blizny wojenne i cięcie na górnej wardze, otwierające ją prawie po sam nos i odsłaniające zęby jak sztuczna zająca warga.

- Z pewnością umieścili na orbicie wokół Borleias pole minowe i zasymulowali tarcze przy użyciu swoich metalowych statków.

- Nie, dowódcu. - Kadlah podeszła do wgłębienia mieszczącego świetliki. Część z nich przepędziła przyzywając ku sobie kuliste skupisko przedstawiające Borleias. Pozostałe świetliki weszły w skupisko przedstawiające sferę, powiększając ją i uzupełniając szczegóły poprzez dodanie statków wokół planety. - Widzisz? Mają główne statki na orbicie, która wygląda na geosynchroniczną do jednego punktu planety, niedaleko od miejsca lądowania domeny Kraal, a inne statki na normalnych, typowych orbitach. Nic innego. A Kraalowie twierdzą, że na samej planecie także nie wybudowano generatorów tarczy, co znaczy, że znajdują się one tylko w tym miejscu.

- Obrona jednej lokalizacji... - Wyrpuuk Cha dokonał ponownej oceny sytuacji. Sięgnął w głąb otworu, gestem przywołując poprzednią skalę obrazu. - Spójrz tutaj. Niedawno zaobserwowano wielokrotne podróże na orbitę szóstej planety, odpowiadającą położeniu jednego z księżyców. Ale ani śladu statków. Jakaś ukryta baza? Nie chronią głównego świata przed intruzami, którzy mogliby zrzucić na nią materiał do przemiany planety, więc chyba sama planeta ich nie interesuje... tylko to, co znajduje się w tym jednym miejscu. Musimy się dowiedzieć, co oni tam chronią. Tam i na tym księżycu.

Alarm wyrwał Wedge'a i Iellę ze snu - przenikliwy, zawodzący dźwięk, nie taki, jakie zwykle instaluje się w budynkach wojskowych. Kiedyś pewnie był to jakiś rodzaj ostrzeżenia przed skażeniem, który stanowił część oryginalnego wyposażenia stacji. Wedge wymacał komunikator na stoliku i stwierdził, że go wzywają chociaż dzwonek zginął w sygnale alarmu.

- Słucham, Antilles.

- Mamy tu gości, Yuuzhan Vongów. Dużo gości. - Głos oficera łącznościowego, leniwy i senny, nie pasował do wagi przekazywanej informacji. - Dziesiątki dużych statków wchodzi do systemu na jego obrzeżach, z kierunku Coruscant. Nie zaobserwowano ataku skoczków koralowych.

- Alarm dla całego systemu. Zaraz tam będę. - Wedge wstał i zaczął się ubierać. Umysł miał już całkowicie jasny i skoncentrowany na bieżącej sytuacji.

Stwierdził, że Iella wyprzedziła go o jedną warstwę kombinezonu. Właśnie zapinała główny zamek.

- To jakie plany na dzisiaj?

- Kiepska taktyka. Pozostawiamy lukę w osłonie stacji czujników na czwartym księżycu Pyria Sześć. Zlikwidujemy wszystko, co się zapłacze na Borleias, ale pozwolimy, żeby nas wypędzili z księżyca. Będę koordynował walkę z bazy naziemnej, tak żeby się w tym zorientowali. To spotęguje wrażenie, że ukrywamy tu coś ważnego.

Pomogła mężowi dopiąć kombinezon i szybko cmoknęła go w policzek.

- Zła jestem, że to ty musisz przegrać, nawet jeśli to celowe.

- Dlaczego?

- Bo kompletnie nie umiesz przegrywać.

Wyszczerzył zęby.

- W końcu okaże się, że rzeczywiście nie umiem i nie lubię przegrywać.

ROZDZIAŁ

6

Okupacja Borleias, dzień dziewiąty

Saba Sebatyne, rycerz Jedi rasy Barabel, wstukiwała kolejne pozycje listy kontrolnej największej kanonierki Dzikich Rycerzy. Jej palce poruszały się niezwykle zwinnie, jak na tak wielką i potężnie zbudowaną istotę. Barabelowie przypominali gady, mieli ciało pokryte łuskami i wielkie oczy chronione ciężkimi wystającymi łukami brwiowymi, a ich twarze nie wyrażały wielu uczuć.

Danni Quee dyskretnie obserwowała Sabę. Pozycja Danni na pokładzie statku - operatora czujników i czasami strzelca - nie wymagała specjalnych przygotowań. Sprawność i szybkość Saby nie uległa pogorszeniu, choć Danni wiedziała, że Barabelka przeszła ostatnio bardzo wiele - najpierw straciła swoją mistrzynię Eelysę, która na Korelii padła ofiarą yuuzhańskiego potwora zwanego voxynem, a potem, w czasie owocnej, choć kosztownej misji Anakina, dzięki której zginęła królowa - twórczyni voxynów - śmierć poniosło dwoje współpiskląt jej syna. Barabelowie bardzo jednak różnili się od ludzi sposobem wyrażania bólu, nie starając się budzić współczucia. Danni nie potrafiła nawet złożyć Sabie kondolencji.

Wreszcie Barabelka doszła do końca listy.

- Stanowisko pilota gotowe - zameldowała.

- Stanowisko czujników gotowe - automatycznie odpowiedziała Danni. Inni Dzicy Rycerze na pokładzie również kolejno meldowali swoją gotowość. W gruncie rzeczy Danni nie była Dzikim Rycerzem, nie była też rycerzem Jedi, jak reszta, ale ostatnio latała z nimi przy tak wielu okazjach, że wreszcie uznała pokład kanonierki Dzikich Rycerzy za swoje miejsce w czasie, gdy nie była zajęta ważnymi pracami naukowymi.

Saba zameldowała gotowość eskadry i natychmiast odebrała rozkazy. Ze wściekłym sykiem odwróciła się od ekranu, jakby chciała zapomnieć o jego istnieniu.

- Co się stało? - spytała Danni. - Oczywiście, jeśli możesz nam powiedzieć.

- Mamy się bronić, przegrać i uciec z pola bitwy - odparła Saba. - Być tarczą. Taktyka zachowawcza. Ona jest łowcą. Ona nie umie ani się bronić, ani uciekać.

- Ona jest naukowcem - odrzekła Danni. - Ona kiedyś nie umiała zabijać.

Saba spokojnie popatrzyła na Danni, po czym odwróciła się do ekranu.

- Danni może znowu używać ludzkiej gramatyki - powiedziała.

Eskadra Bliźniaczych Słońc, Eskadra Łotrów i Dzicy Rycerze wystartowali z powierzchni Borleias. Paliwo zużyte w drodze na orbitę nie zrobiło znacznego ubytku w ogólnej pojemności myśliwca, lecz mogło go później zabraknąć w najmniej odpowiednim momencie dzisiejszej bitwy. Luke jednak zgodził się z Wedge'em, że Yuuzhanie powinni wykrzyć start trzech największych eskadr Nowej Republiki z powierzchni planety, co wzmocni ich przekonanie o ważności tego miejsca.

Zaledwie dotarli na wysoką orbitę, roboty astromechaniczne i komputery pokładowe otrzymały szczegółowe rozkazy. Luke zapoznał się z nimi i skinął głową. Bliźniacze Słońca miały pozostać na orbicie geosynchronicznej z laboratorium biotyki i likwidować wszystko, co im wpadnie pod łufę. Eskadra Łotrów ulokuje się nad księżycem Borleias i skoczy na pierwszy obiecujący cel, jaki się nadarzy. Rycerze mieli wspomagać stację księżycową na Pyrii Cztery.

- Bliźniacze Słońca na stanowisku - zameldował. - Łotry, Rycerze, pomyślnych łowów.

- Pomyślnych łowów - odezwała się Saba Sebatyne głosem jeszcze bardziej chrapliwym niż zwykle, dzięki kiepskiemu komunikatorowi. Jej myśliwce i kanonierki skręciły w stronę Pyrii Sześć. Gavin Darklighter odpowiedział kliknięciem komunikatora i Eskadra Łotrów zawróciła w stronę księżyca Borleias.

Luke obejrzał się za siebie, potem zerknął na prawo i na lewo. Po lewej czekał Corran Horn, spokojny jak nigdy przedtem, odkąd był pilotem myśliwca. Spokój ten można było osiągnąć tylko, stając się rycerzem Jedi. Po prawej stronie, w miejscu, gdzie powinna być Mara, leciała Zindra Daine. Koreliańska pilotka była kompletnie zielona, ledwie wyrosła z podlotka i nie była Jedi. Luke skrzywił się na samą myśl, jak razem z Corranem będą musieli pilnować nowicjuszkę i odwalić za nią robotę. Szybko i boleśnie odczują dzisiaj nieobecność Mary. Wprawdzie rozumiał, że chciała zostać z małym Benem i chronić go przed wszelkimi możliwymi zagrożeniami, ale miał nadzieję, że szybko zrozumie bezsens i bezcelowość takiego działania- a także dojdzie do wniosku, że jej nieobecność na polu walki może kosztować życie zbyt wielu dobrych pilotów.

Wedge stał przed hologramem pośrodku centrum dowodzenia. Była to brzydka romboidalna sala z kopulastym sufitem, położona dwadzieścia cztery metry poniżej budynku biotyki. Kiedyś zbudowano ją jako schron przeciwbombowy, ale teraz pełna była ruchomych konsoli i ich operatorów.

Durabetonowe ściany pomieszczenia nie były wygłuszone i odbijały wszystkie hałasy - głosy oficerów wykonujących swoje zadania, pikania i skrzek komputerów domagających się uwagi operatorów, przekazy na żywo z pola bitwy. Wedge starał się ich nie słyszeć i koncentrował uwagę na nieustannie aktualizowanej holograficznej mapie taktycznej.

Pokazywała ona Pyrię, za nią Borleias, trochę dalej Pyrię Sześć, a po przeciwnej stronie - obrzeża systemu słonecznego. Czerwone błyski przedstawiające siły Yuuzhan

Vongów skupiły się w tym właśnie miejscu, powoli rozprzestrzeniając się ku pozostałym.

- Łotry na stanowisku - zameldował Tycho. Podobnie jak Wedge, cierpiał na chroniczną niezdolność do jakiegokolwiek pracy w pozycji siedzącej i stał teraz przy konsoli koordynacji myśliwców. - Myśliwce na księżycu docelowym w pogotowiu. Wtargnięcie Yuuzhan przewidywane za dwie minuty.

- Niech wystartują™ polecił Wedge. - I każ im latać bezładnie, tak jakby ich zaskoczono. W razie potrzeby szybko się sformują.

- Załatwione. - Tycho odwrócił się do ekranu.

Uwaga Wedge'a skupiała się na hologramie. Niektóre statki czekały, jakby uspio- ne, daleko od centrum działań, monitorując sytuację za pomocą czujników, gotowe wkroczyć do akcji w razie potrzeby. Fregaty, krążowniki i inne duże jednostki znajdowały się nad Borleias. Myśliwce manewrowały tak, aby odciągnąć zbliżających się Yuuzhan.

Główna część sił Yuuzhan Vongów pozostawała zgrupowana w pobliżu punktu, w którym zjawiała się w przestrzeni jako rezerwa. Statki kierujące się naprzeciw floty Nowej Republiki były jedynie zwiadowcami sprawdzającymi siłę defensywy i Wedge dobrze o tym wiedział. W tej bitwie nie chodziło o to, by wygrać lub przegrać, lecz o zebranie informacji na temat sił wroga.

- Pyria Sześć melduje o kontakcie - zawiadomił Tycho.

Kapitan Yakown Reth czuł się nieszczęśliwy.

Ze wszystkich dobrze zapowiadających się oficerów pozostających pod rozkazami Wedge'a Antillesa on właśnie otrzymał niewdzięczne zadanie pilnowania wahadłowca pełnego naukowców, inżynierów i specjalistów budowlanych, którzy przygotowywali podpowierzchniowy kompleks mieszkalny na pozbawionym powietrza księżycu. To prawda, dostał dwie pełne eskadry myśliwców do obrony bazy, ale jego E-wingi nie zostały wyposażone w torpedy protonowe - szarża mówiła, że akurat tej broni brakuje - i Reth nie miał nawet prawa wiedzieć, co kombinuje personel naukowy.

A teraz w jego stronę sypały się jak kamienie skoczki koralowe Yuuzhan Vongów i tylko patrzeć, jak zetrą w proch tę idiotyczną budowlę. Pułkownik Celchu wyprowadził go w pole, rozkazując kolejnym parom startować dopiero po drugim przejściu sekwencji startowej. W rezultacie jego oddziały pętały się po przestrzeni jak niezdyscyplinowana banda. Jeśli generał Antilles to zobaczy, pomyśli, że Reth jest skończonym idiotą.

Wreszcie nadciągająca chmura iskierek weszła w zasięg ognia myśliwców. Dwa ostatnie E-wingi Zielonej Eskadry mozolnie ustawiły się w formacji i zameldowały gotowość.

- Pamiętajcie, żadnych indywidualnych popisów - uprzedził Reth. - Mamy przela- mać ich obronę, a wzmocnić naszą. Na mój rozkaz podzielić się na klucze. Trzy, dwa, jeden... już. - Sam wykonał własny rozkaz, zniżając się o kilkaset metrów w kierunku najeżonej skałami i nieprzyjaznej powierzchni księżyca, którego bronił. „Zielony Dwa”, „Trzy” i „Cztery” poleciali za nim w luźnej, nieporządnej formacji. Nie było to zaska-

kujące w grupie, która została byle jak sklecona ze szczątków oddziałów ocalałych po obronie Coruscant. Ale denerwujące. Musiał wyglądać na mięczaka.

Skoczki koralowe były zbyt daleko, żeby spostrzec ostrzał. W kierunku Zielonej Eskadry poleciały smugi czerwonego żaru. Reth zbliżył się do „Zielonego Dwa”, swojego partnera, a „Trzy” i „Cztery” zaraz do nich dołączyły, prawie stykając się tarczami. Reth skrzywił się. Tak bliska współpraca z nieznanymi pilotami była mu równie niemiła, jak myśl o wymianie z nimi nieupranej odzieży.

- Pełne przyspieszenie - polecił. - Przebijamy się i wracamy. Lasery na ogień przezywany. Wskazuję cel, wszyscy ognia za mną. Uwaga. .. cel. - Naprowadził siatkę celowniczą na nadlatującego skoczka, nie pierwszego w szeregu, lecz dopiero trzeciego, i wypalił.

Czerwone promienie lasera wystrzeliły z dziobu i skrzydeł E-winga jak nieregularny prysznic, a nie snopy skoncentrowanej energii. Strzały jego towarzyszy zasypały cel. Reth nie znosił takiej konfiguracji ogniowej. Wiedział, że ta metoda uszkadza pustki obronne tych cholernych skoczków, ale nie pozwala na osiągnięcie żadnej przyzwoitej mocy.

Nadlatujący strumień kul plazmy przeciął jego formację. Trzy lub cztery pociski trafiły w nakładające się pola E-wingów. Czujniki interpretujące drgania jako sygnały dźwiękowe odnotowały uderzenia jako głośne stuki. Diagnostyka się nie zapaliła, a czujniki pokazały cel ciągnący za sobą jak kometa ogon odłamków koralu, odbijanych przez nieprzerwany strumień ognia.

Mimo to skoczek wciąż nie był uszkodzony. Reth zmienił cel, przenosząc strumień laserów swoich i towarzyszy na inny stateczek. Ten skoczek kierował się wprost pod ich lufy i był doskonale widoczny. Reth widział, jak lasery wżerają się w jego boki i kopułkę. Choć pustka zdołała pochłonąć znaczną część ognia, reszta zakrzywiła się wokół skoczka i przebiła powierzchnię. A potem statek rozjarzył się jak słońce Pyrii i znikł.

- Czujniki pokazują formację okrążającą księżyc w naszym kierunku. - Głos, spokojny i opanowany, należał do Corrana i dochodził z prywatnego komunikatora Luke'a, nie zaś ze wspólnej sieci zamontowanej w X-wingach. Statek Corrana znajdował się kilkaset kilometrów poza formacją Eskadry Bliźniaczych Słońc, na orbicie księżycy, i służył jej za tylną straż.

Luke skinął głową. Główny przekaznik czujników ze stacji naziemnych pokazywał kolumnę skoczków koralowych i odpowiedników fregat kierującą się wprost na Borleias, ale Yuuzhanie wykryli już widocznie Bliźniacze Słońca i wysłali w ich kierunku oddział z drugiej strony księżycy, żeby wziąć ich w dwa ognie.

- Wracaj tu - powiedział do Corrana. - Przygotuj ciemną bombę.

Pozostali piloci Bliźniaczych Słońc nie byli Jedi i nie mogli zrzucić ciemnych bomb - torped protonowych z wymontowanymi układami napędowymi, popychanych jedynie mocą umysłu Jedi - więc nie musiał im przekazywać tego polecenia. Włączył komunikator myśliwca na częstotliwość eskadry.

- Przygotujcie się i za mną- polecił i przełączył się znów na kodowaną częstotliwość, dzieloną z Corranem i Zindrą. - Trzydzieści sekund po wejściu pościgu w zasięg ognia przyspieszamy wprost w kierunku kolumny wroga... a ja pozostawiam im ciemną bombę.

Corran i Zindra odpowiedzieli kliknięciami komunikatorów.

Czujniki pokazywały w pewnym oddaleniu yuuzhańskie statki, przecinające płaszczyznę orbity w drodze do Borleias. Luke widział odległe sygnały świetlne lub jakieś ich organiczne odpowiedniki na yuuzhańskich fregatach. Corran był jeszcze bliżej, nadlatywał bardzo szybko i teraz Luke dostrzegał już pierwsze ogniki oddziału za ogonem Corrana.

- Rzucić ciemną bombę - rozkazał i włączył akcelerator, sam uwalniając drugą.

Eskadra Bliźniaczych Słońc runęła z orbity w prostym podejściu do głównej kolumny wroga. Ich kurs musiał być idealnie prosty, żeby sztuczka zadziałała.

Luke zaprzestał postrzegania Mocą i nie spuszczał wzroku z czujników, które pokazywały odległe, lecz zbliżające się z każdą chwilą ogniki pościgu Yuuzhan oraz zakodowane transmisje komunikatorów zamontowanych na pozostawionych z tyłu ciemnych bombach. Widać też było na nich kolumnę obcych z przodu, coraz bliższą i bliższą.

- Strzelają- zauważyła Zindra piskliwym z podniecenia głosem nowicjusza i Luke ujrzał na skraju własnego pola widzenia błyski odległych i chybionych strzałów z wyrzutni plazmy.

Zaczął wywijać ósemki i młynki, dzieląc uwagę pomiędzy sterowanie myśliwcem a ciemną bombę, którą właśnie wystrzelił.

Tylna grupa skoczków koralowych liczyła około trzydziestu statków, z tej odległości trudno było dokładnie je policzyć. Zbliżały się właśnie do miejsca, gdzie Jedi pozostawili ciemne bomby. Leciały w wąskim szyku, przewidzianym do szybkiego przemieszczania się. Luke delikatnie ustawił ciemne bomby w linię prostą jedna od drugiej odległa była o kilka kilometrów, i teraz obserwował, jak ich plamki rozdzielają się i ustawiają na powitanie nadlatujących statków.

Nie wyczuł, kiedy skoczki zbliżyły się do pierwszej ciemnej bomby -jego postrzeżenie w Mocą nie było w stanie ich wykryć. Ale czujniki wskazywały linię skoczków najpierw dochodzącą, a następnie nakładającą się na linię bomb. Czekał, aż pierwszy skoczek dotrze do pierwszej bomby, sięgnął Mocą i delikatnie nacisnął.

Na ekranie czujników czysta linia skoczków stała się skłębioną masą i zaczęła znikać. Z trzydziestu skoczków w grupie pewnie połowa odpadała właśnie z punktu detonacji, szukając tajemniczego statku, który ich zaatakował.

Luke wzdygnął się i wrócił do rzeczywistości. Statek Zindry był dokładnie nad nim, odgradzając go od bezpośredniego obrazu bitwy, ale wiedział, że są właśnie w samym środku kolumny skoczków. Musiał się tam wmanewrować wtedy, kiedy całą uwagę skupił na manipulowaniu bombami. Corrana miał po lewej, a jego tarcze nakładały się na tarcze Luke'a i dostarczały dodatkowej ochrony. Horn czekał cierpliwie, aż Luke otrząśnie się z transu i będą mogli zająć się nieprzyjaciółmi.

Głos Zindry zaskrzeczał w komunikatorze:

- Świetny strzał! Eee... a co zrobimy z tą fregatą przed nami?
 Luke z trudem opanował chęć zazgrzytania zębami.
 - Zajmiemy się nią. Ja prowadzę - zarządził, uruchomił silniki manewrowe i razem z Corranem wysunęli się przed Zindrę. - Za mną.
 Szerokim łukiem ruszył w kierunku fregaty. Corran i Zindra za nim.

Saba wystrzeliła i impuls z dział jonowych Dzikich Rycerzy omiółt ciasną formację skoczków koralowych, powodując ich bezładne wirowanie; jednostki oddaliły się z głównego pola walki nad księżycem Pyria Sześć.

Kanierka zadygotała. Saba sprawdziła ekran diagnostyczny i nic nie zobaczyła. Obejrzała się na Danni, która stała przy głównych czujnikach.

Danni pokręciła głową.

- Nie ma uszkodzeń. Ale... cóż, to dobra wymówka. Saba syknęła z irytacją, ale mruknęła:

- Zrób to.

Danni uaktywniła kontrolkę na konsoli. Saba z nieszczęśliwą miną wprowadziła kanierkę w lekkie niekontrolowane kołysanie i zawróciła w stronę kolejnej grupki skoczków.

- „Dzicy Rycerze Jeden”, tu dowódca Zielonych. Traciecie atmosferę, słyszycie mnie? Powtarzam, traciecie atmosferę. Słyszycie? Odbiór.

Saba ze smutkiem patrzyła na czujniki. Oczywiście, że tracą atmosferę. Specjalnie zamontowali w tylnej części kanierki kilka nowych zaworów - tylko po to, aby wypuszczały strumień mieszanki tlenu i azotu, gdyby powłoka uległa przebiciu.

Danni włączyła komunikator.

- Dowódca Zielonych, tu „Dziki Jeden”. Dostaliśmy kilkoma grutchinami... tracimy powietrze... przeżerają się w kierunku silników... -W jej głosie słychać było ból, który ozdobiła jeszcze spazmatycznym atakiem kaszlu. - Mamy dym w kabinie...

- „Dziki Jeden”, wynoś się stąd. Wracajcie na ziemię. My i tak się utrzymamy.

- Dzięki, dowódco Zielonych. Dzicy Rycerze odmel... - wyłączyła komunikator, niepotrzebnie kończąc „...dowują się” i spojrzała na Sabę ze skruszoną miną.

Saba znowu syknęła i zawróciła w kierunku Borleias.

W ciągu kolejnych kilku minut pozostali członkowie Dzikich Rycerzy poszli za ich przykładem. Ponieważ prawie każdy odniósł jakieś tam uszkodzenie, zachowywał się tak, jakby jego pojazd został poważnie trafiony i kierował się teraz na planetę. Ostatecznie pozostałe jednostki broniące księżycy Pyria VI musiały opuścić posterunek z powodu zmasowanego ataku przeważających sił wroga.

Na tym polegał plan. Ale i tak czuli się, jakby ponieśli klęskę. Jakby pozostawili towarzyszy na pastwę wroga.

A tego Saba Sebatyne nie lubiła robić. Gdyby była człowiekiem, jej palce zbielałyby od wysiłku, z jakim ścisnęła stery.

Kapitan Reth wyszczerzył zęby w ślad za wiejącym dowódcą Dzikich Rycerzy. Oczywiście, ucieczka kanierki osłabiała ich pozycję, ale popatrzcie tylko - wszech-

mocny dowódca Jedi słynnej eskadry pryska z pola bitwy, aż się za nim kurzy, a on, dowódca smętnego zlepką Zielonej Eskadry wciąż walczy.

Skoncentrował uwagę na nieprzyjacielu. Nie miał ochoty na pośmiertne odznaczenie.

- Analiza - polecił Wyrpuuk Cha.

Kadlah Cha podeszła bliżej.

- Zaskoczyliśmy ich posterunki - wyjaśniła, wskazując najodleglejszą od Borleias część pola walki. - Zaniedbali wystarczającej obrony. Teraz obojętne czym nas powita, nasze jednostki floty rezerwowej dotrą tam szybciej i w lepszym stanie.

- Dobrze. Mów dalej.

Wskazała główną strefę bitwy nad Borleias.

- Tutaj sprawy nie wyglądają tak dobrze. Ich obrona centrum naziemnego jest bardzo zacięta, a my tracimy siły, zwłaszcza skoczki koralowe, znacznie szybciej, aniżeli oni tracą odpowiadające im statki.

- Czyżby pokazali jakąś nową taktykę, nową broń?

Pokręciła głową.

- Doskonale. Mają w sobie ducha walki, ale chyba niczym nas już nie zaskoczą. A teraz złamiemy im tego ducha. - Zamyślił się na chwilę. - Nie przerywamy walki, dopóki nie pokonamy obrony i nie zdobędziemy tej wysuniętej placówki. Potem zaniechamy ataku na Borleias. Wykorzystamy tę placówkę jako naszą bazę wypadową. Złamać wszystkich więźniów, których tam znajdziecie, i wydobyć wszystkie możliwe informacje i zapisy, a potem przekazać je mistrzom wojennym.

- Tak się stanie.

- Wyjście za trzy... dwie... jedną... teraz.

W chwili kiedy nawigator kończył mówić, wir linii w głównym iluminatorze „Lusankyi” wyprostował się i rozdzielił na pojedyncze nieruchome gwiazdy. Jedna z nich była odrobinę bliższa, na tyle tylko, aby wyglądała jak kula, a nie mikroskopijny punkcik światła.

Komandor Eldo Davip, prawie dwa metry kosmicznego wygi wciśnięte w pękający w szwach mundur oficerski, pokręcił głową, wyraźnie niezadowolony z efektu. Załoga mostka, w większości nowicjusze na „Lusankyi”, nie popisała się dotąd ani niezawodnością, ani kompetencją, a teraz udało im się wyprowadzić jego nowy statek z nadświetlnej do systemu Pyria o wiele dalej, niż im polecił.

Nagle zmarszczył czoło. Niektóre gwiazdy na ekranie pojawiały się, inne znikwały, jakby przesłaniały je poruszające się obiekty. Czy system Pyria ma pas asteroid? Odwrócił się do nawigatora, żeby go o to zapytać, ale w tej samej chwili mostek rozdźwięczał się dzwonekami alarmów i okrzykami zaskoczenia oficerów.

- To pułapka! - zawołał operator czujników, mężczyzna z Coruscant. Podniecenie nie zdołało zamaskować eleganckiego akcentu wyższych klas, zdradzającego jego pochodzenie. - Jesteśmy otoczeni przez Yuuzhan Vongów!

Davip odkręcił się na pięcie i wbił wzrok w ekran czujników ustawiony w pobliżu pulpitu kapitańskiego na tyłach górnego poziomu mostka. Ekran pokazywał pozycję „Lusankyi” i wyraźną kropkę światła przedstawiającą „Sokoła Millennium” poniżej, ale oba statki otoczone były iskierkami dziesiątków jednostek, głównie dużych. Wszystkie świeciły albo czerwono, zidentyfikowane jako nieprzyjacielskie, albo szybko zmieniały barwę z żółtej, nierozpoznanej, na czerwoną.

Zgroza obezwładniła Davipa, strach chwycił go za gardło, na krótką chwilę pozabawiając tchu. Po chwili jednak wykrztusił rozkaz, który powinien wydać... który musiał wydać:

- Podnieść tarcze. Wszystkie baterie ognia według uznania! Wszystkie eskadry w górę!

Zaraz po wyjściu z nadprzestrzeni Han Solo ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na przyrządy.

- Wyszliśmy o kilka sekund za wcześnie.

Leia, absurdalnie drobna w ogromnym fotelu pierwszego pilota „Sokoła Millennium”, wskazała na iluminator kabiny. Brzuch „Lusankyi” wisiał nad nimi jak fantazyjny sufit.

- To nie nasz błąd. Ich komputer nawigacyjny musiał nam przekazać złe dane.

- Nie. Widzę tutaj znaczne anomalie grawitacyjne. Zostaliśmy wypchnięci z nadprzestrzeni przez obecność... - Han wytrzeszczył oczy i rzucił się do sterów, wprowadzając dawny frachtowiec w nurkowanie połączone z wirowaniem, którego producenci nie przewidzieli w projekcie. Z przedziału pasażerskiego rozległy się okrzyki zaskoczenia i dzikiej radości.

Jarząca się smuga ognia wypłuta przez yuuzhańskie plazmowe działo przeszła przestrzeń w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się „Sokół Millennium”. Han podniósł głos, żeby było go słycać w całym statku.

- Do działa! Jesteśmy w samym środku yuuzhańskiej floty!

Wyrpuuk Cha skinął głową, zadowolony z tego, co zobaczył.

Światliki roily się, szybko zmieniając pozycję w tej części niszy, która przedstawiała flotę rezerwową. Wyrpuuk Cha zmarszczył czoło. Jakiś trójkątny obiekt, mniej więcej w kształcie zniechęconych gwiazdnych niszczycieli wroga, ale o wiele większy, znajdował się właśnie pośrodku jego floty. Wyrpuuk Cha zaczął się zastanawiać, czy światliki aby właściwie odtwarzają skalę intruza.

Spojrzał w iluminator mostka. Po lewej stronie, blisko jak na wyciągnięcie ręki, wisiał ogromny ciemny kształt, oświetlony ruchomymi błękitnymi światłkami. Wyglądał jak mocno przerośnięty gwiazdny niszczyciel.

Wyrpuuk Cha poczuł niekontrolowany przypływ paniki i już otworzył usta, aby wydać odpowiednie rozkazy, kiedy gwiazdny superniszczyciel jakby eksplodował od wewnątrz, kierując całą siłą wybuchu przez niezliczone maleńkie otworki w całej powłoce.

Wyrpuuk Cha nie znał się na liczbach, nie wiedział, ile setek baterii laserów mógł mieć na pokładzie ten olbrzym. Wiedział tylko tyle, że musi podnieść głos, aby przekrzywić wycie alarmów rozlegających się ze ścian mostka. Ich nieartykułowany wrzask wskazywał, gdzie i jak mocno został ugodzony jego matalok, odpowiednik krążownika zniechęconych kalamariańskich rzemieślników. Czuł, że pokład drży mu pod stopami, że iluminatory na lewej burcie stały się bezużyteczne z powodu natężenia ognia, którym zalewała go ta potworność, że jeśli bogowie nie udzielą mu szczególnego błogosławieństwa, to nie ma sposobu, aby pustki generowane przez dovin basale statku ochroniły jego statek przed nieobliczalną siłą rażenia, jaką przeciw niemu skierowano.

Odrzucił się, aby wydać swojemu pierwszemu pilotowi rozkaz natychmiastowego odwrotu od statku nieprzyjaciela i przesunięcia wszystkich pustek na tył statku. Zanim jednak zdołał przemówić, kątem oka odnotował oślepiający błysk i cały hałas ucichł. Wyrpuuk Cha obejrzał się na dziób.

Nie zobaczył nic, oprócz gwiazd i błysków ostrzału. Siedzenia interpretatora yammoska i oficera villipów znikły, podobnie jak ściany, podłoga i sufit mostka. Matalok kończył się zaledwie o krok od miejsca, gdzie stał Wyrpuuk Cha.

I to nie była prawda, że cały hałas ucichł. W uszach miał szum i ból - zabrakło jedynie dźwięków bitwy, które słyszał jeszcze kilka sekund temu.

Było mu zimno, tak zimno, że odruchowo zwinął się w kłębek i nagle popłynął przed siebie, mijając kilkanaście centymetrów mostka, wprost w rozgwieżdżoną pustkę.

- Dzicy Rycerze poza strefą walki - oznajmił Tycho. Wsunął rękę w głąb hologramu przedstawiającego przestrzenie wokół Pyrii i wskazał na jedno jaśniejsze skupisko kolorowych wirujących światłek.

- Yuuzhanie koncentrują siły wokół księżycy Pyrii Sześć. Są ostrożni, nie próbują niczego szczególnie odważnego, zwykła, standardowa napaść.

- Znakomicie - rzekł Wedge. Stał obok swojego fotela. Wiedział, że jego głos brzmi absolutnie obojętnie, a twarz nie ma żadnego wyrazu - zawsze tak było, kiedy dokonywał obliczeń na skalę strategiczną. Przy takim natężeniu koncentracji stawał się odległy, prawie nieludzki.

Ale teraz nie mógł się skupić. Coś było nie tak, jakiś dźwięk nie pasował i Wedge odrzucił się od Tycha, aby sprawdzić, co się właściwie dzieje.

A oto i źródło hałasu: jedna z oficerów łącznościowych. Chyba od minuty wykrzykiwała coś zmienionym głosem, niezbyt zaniepokojona, raczej chyba skonfundowana rozmową z odległym dowódcą swojej jednostki. Iella wstała i nachyliła się do niej, a pani oficer zamilkła i czekała. Obie miały bardzo zaintrygowane miny. A Wedge nie lubił rzeczy, które były w stanie zaintrygować jego żonę.

Iella pochwyliła wreszcie jego spojrzenie. Podniosła głos, żeby przekrzywić panujący tu hałas.

- Superniszczyciel „Lusankya” melduje, że jest w systemie razem z „Sokołem Millennium”. Są w samym centrum rezerwowych sił Yuuzhan Vongów. „Lusankya” wyrządziła poważne szkody wrogowi, ale sama też uległa uszkodzeniu. Potrzebuje eskorty, żeby przeprowadziła ją przez siły wroga.

Hałas w pomieszczeniu nagle ucichł prawie zupełnie. Wedge usłyszał jeszcze okrzyk Tycha:

- Co takiego?

Dopiero teraz Antilles odzyskał mowę.

- Potwierdzić identyfikację statku - wykrztusił i podszedł do Tycha. - Pokaż tę część strefy walki.

Tycho pomanipulował kontrolkami na konsoli i przedstawiony obszar przestrzeni nagle skurczył się i usunął na bok, a jedna jego część powiększyła się i wypełniła cały obraz. Wedge widział teraz zamgloną rozproszoną, lecz wciąż ciasną formację nieprzyjacielskiej floty rezerwowej; w samym środku czerwonych kropeczek tkwiła jedna wielka i zielona, a poniżej druga, również zielona, ale znacznie mniejsza.

- Potwierdzona tożsamość - zawołała Iella. - „Sokół Millenium”, Han Solo klnie, aż farba ze ścian odpada. „Lusankya” pod dowództwem komandora Davipa.

- Komandor Davip? - Wedge przełknął kolejne pytanie: dlaczego Davip, kapitan statku znany ze swojego permanentnego niezdecydowania, został komandorem, zamiast kucharzem na galerze? I dlaczego statek wielkości „Lusankyi” nie znajdował się pod rozkazami pełnego admirała?

- Kto jest najbliższej tej potyczki? Nieważne. Czy ktoś jest wolny i na tyle daleko, żeby wykonać mikroskok do tej strefy?

- „Mon Mothma” - mruknął Tycho, nie facygując się nawet, aby spojrzeć na hologram. - „Sen Rebelianta”. W ciągu jednej czy dwóch minut możemy mieć następne sześć statków gotowych do skoku.

- Danni Quee melduje o wykrzyciu dwóch trafień yammosków - wtrąciła Iella. - W odstępnie minuty. Yuuzhanie już się nie nadają do skoordynowanej walki.

- Wspaniale. - Wedge zniżył głos. - Oczywiście nie potrzeba dużej koordynacji, żeby zniszczyć „Lusankię” i „Sokoła Millenium”.

Tycho skinął głową.

Umysł Wedge'a pracował jak automat, konstruując potrzebną taktykę. W ciągu sekundy ocenił ją, przetestował jej słabe strony, odsunął jako nieistotne z powodu obecnej rozsypki, w jakiej znajdowali się Yuuzhan Vongowie, i stwierdził, że ta taktyka jeszcze może mu się przydać - może kiedyś, później.

Wsunął dłoń w hologram i wskazał fragment przestrzeni niedaleko yuuzhańskiej floty rezerwowej, tuż za skrajem strefy walki od strony Borleias.

- Niech „Mon Mothma” wykona mikroskok i wyjdzie tutaj. Po wyjściu ma nastawić nadajnik naprowadzający na otwarte częstotliwości grupowe floty i bronić się jak może. W minutę po przybyciu niech włączy generatory studni grawitacyjnej i pozostawi je włączone przez minutę. Przekazać bezpośrednio na „Mon Mothmę”.

Tycho odwrócił się do konsoli.

- Proszę o uwagę - powiedział Wedge do pozostałych, a hałas w pomieszczeniu opadł o parę decybeli. - Wszystkie statki i myśliwce z hipernapędem, które mogą pozbyć się wroga w ciągu najbliższych dwóch minut, mają to zrobić. Poinformujcie Eskadrę Łotrów i Bliźniacze Słońca, że mają przerwać obecne działania i uwolnić się. Wykonają skok w kierunku nadajnika naprowadzającego, który wykryją. Generatory studni

grawitacyjnych wyciągną je z nadprzestrzeni w strefie zaangażowania „Lusankyi” i „Sokoła Millenium”. Mają otoczyć „Lusankę” formacją i eskortować ją na Borleias. Do roboty, moi drodzy.

Tycho wyprostował się nad konsolą.

- „Mon Mothma” wykonała skok - oznajmił.

- To dobrze - westchnął Wedge i zniżył głos. - Tycho, wygląda na to, że odniesiemy miążdzące zwycięstwo, którego nie chcieliśmy.

Tycho uśmiechnął się krzywo.

- Napiszemy o tym w twojej biografii. Generał Antilles był taki dobry, że nie mógł przegrać, nawet kiedy chciał.

- Och, dzięki.

ROZDZIAŁ

7

Okupacja Borleias, dzień dziewiąty

Han postawił „Sokoła” w pionowy zjazd w kierunku „Lusankyi”. Przypominało to nurkowanie w czynnym wulkanie. Kadłub „Lusankyi” płonął salwami z dział jonowych i baterii laserów, sprawiając, że najbliższa przestrzeń była strefą rozżarzonej śmierci.

Ale była też oazą bezpieczeństwa w porównaniu z tym, co działo się na ogonie „Sokoła”. Szalało tam pół tuzina skoczków koralowych, prowadzonych przez wściekłych i żądnych krwi pilotów. Pociski z dział plazmowych śmigły w iluminatorach „Sokoła” i rozpryskiwały się na jego tylnych tarczach.

Działa „Sokoła Millennium” strzelały do tyłu, siejąc śmierć i zniszczenie pośród chmary ścigających go skoczków. Sądząc z okrzyków dochodzących z wieżyczek strzelniczych, Ganner i Alema Rar dorwali się do laserów. Prawdopodobnie Jedi w przedziale pasażerskim, wszyscy ci, którzy przeżyli wyprawę Anakina na yuuzhański świato-statek nad Myrkrem, zagrzewali ich do walki.

„Sokół” nadlatywał nad „Lusankyę” i Han nie słyszał już wiatów - strzały z laserów i eksplozje muskały statek tak blisko, że uderzały w jego tarcze. Gdzieś z tyłu jakaś część poluzowała się i z hukiem spadła na podłogę, a kiedy Han wywijał ósemki i nurkował, słyszał wyraźnie, jak pojedyncze elementy grzechotały o powłoki jak szrap-nele.

- Brzmi jakby upadło coś kosztownego - mruknęła Leia.

Han rzucił jej spojrzenie pełne wyrzutu, ale właśnie wylecieli z zabójczej strefy i znaleźli się za „Lusankyą”, gdzie smugi laserów już nie krzyżowały się nad ich głowami.

Czujniki nie wykazywały skoczków na ogonie „Sokoła”, choć niewątpliwie już nadlatywały i wkrótce znajdą się w zasięgu strzału. Han odetchnął z ulgą.

- Jeśli znowu się do nas przyczepią, wracam - stwierdził. - Chłopaki są świetne.

- Kto? - zmarszczyła brwi Leia.

- Strzelcy na „Lusankyi”. Zdjęli nam pogoń z karku i nawet nas nie drasnęli.

- Han, oni nas też próbowali zabić. Widziałam, jak baterie zwracają się w naszą stronę. Jesteśmy dla nich tylko jeszcze jedną plamą. Po prostu byłeś lepszy, a skoczki nie.

- Tak myślisz? - Han wywinał pętlę przez rufę, żeby oddalić się od nadlatujących skoczków, okrążył „Lusankyę” w prawie bezpiecznej odległości i obserwował chmurę myśliwców superniszczyciela dobierającą się do skóry Yuuzhan Vongom. - No to nie wracam.

- Właśnie.

- Masz dla nas wektor wyjścia?

Spojrzała znów na tablicę czujników.

- Jesteśmy prawie dokładnie w centrum ich floty. Najcieńsza warstwa pomiędzy nami a wolną przestrzenią jest tutaj... - Wskazała na linię kursu, którym przybyli do systemu. Zbliżyła twarz do ekranu. - Mam tu jakieś przyjazne sygnały. Jeden gwiazdny myśliwiec i kilka innych statków.

Han okręcił „Sokoła” wokół osi i naprowadził na kurs tak ostro, że oboje z Leią, a prawdopodobnie również ci, którzy byli na pokładzie, zostali wciśnięci w fotele przyspieszeniowe.

- Trzymać się! - zawołał trochę za późno.

Luke z najwyższą prędkością prowadził Eskadrę Bliźniaczych Słońc z wysokiej orbity Borleias. Kilka chwil temu był prawie szczęśliwy, jak tylko może być szczęśliwy ktoś, kto znajduje się w samym środku walki. Wróg nagle stracił koordynację, co oznaczało, że ich yammosk nie żyje i że będą musieli opuścić pole walki, Luke zaś nie stracił w walce ani jednego pilota. Miał nadzieję, że ich zadanie dobiegło już końca. Ale niezwykle nowe rozkazy, jakie otrzymał, dowodziły, że to dopiero początek.

Pisk R2-D2 zawiadomił go, że „Mon Mothma” uruchomiła swój nadajnik. Luke zrobił pętlę i skierował się w kierunku nadajnika, podczas kiedy robot astromechaniczny wykreślał kurs skoku nadprzestrzenne-go. Włączył komunikator na częstotliwość eskadry.

- Podać gotowość - rzucił i dodał: - Dowódca gotów.

- „Dwa” - Corran ustawił swojego X-winga po lewej stronie Luke'a.

- „Trzy” - Zindra przesunęła się do prawego skrzydła.

- „Sześć”.

- „Cztery”.

Kiedy cała jedenastka pilotów zgłosiła gotowość, Luke ustawił timer na pięć sekund i przekazał czas pozostałym.

- Dorwać ich, jeśli się nawiną - rzucił.

Licznik doszedł do zera. Bliźniacze Słońca wykonały skok do nadprzestrzeni i niemal natychmiast, po mniej niż dwóch sekundach, wyskoczyły w normalną przestrzeń.

Luke widział przed sobą „Mon Mothmę” spiczastym dziobem skierowaną w jego stronę, to znaczy w kierunku Borleias. Drobne rozpryski czerwieni w sąsiedztwie gwiazdnego niszczyciela sugerowały, że nękają go skoczki koralowe. Zanim jednak Luke zdołał skierować przeciwko nim swoją eskadrę, R2-D2 zapiszczał na znak, że nadeszły nowe rozkazy.

Luke zerknął na wolno pełną tekst i poprowadził eskadrę ciasną pętlą wokół floty Yuuzhan Vongów.

- W porządku, chłopaki. Musimy się dostać do „Lusankyi” i wywiercić dla niej dziurę. A jeśli ktoś nam zechce wejść w drogę, odradźcie mu.

Eskadra Łotrów zakończyła mikroskok w pobliżu „Mon Mothmy”. Eskadra myśliwców niszczyliela ubezpieczała przestrzeń wokół niego, część przyspieszała, aby znaleźć się w strefie walki wokół „Lusankyi”.

Gavin poprowadził Łotrów ciasną pętlą w tym samym kierunku. Jego komunikator zatrzeszczał.

- Cholera! Bliźniacze Słońca już nas wyprzedziły! - zawołała Volu Nyth, kobieta z Kuat, nowy Łotr.

- Żadnych zbędnych rozmów - warknął groźnie Gavin i dodał ciszej: - Ale my mieliśmy o wiele dalej od nich...

Han zmełł w ustach przekleństwo, wpuszczając „Sokoła” w serię manewrów z boku na bok i góra-dół, co znacznie utrudniało strzelanie pościgowi. Całej ósemce.

Nie chodziło już o niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się jego statek, żona i pasażerowie. Nie dlatego był taki nieszcześliwy.

Zaczynał odczuwać zmęczenie.

Dwadzieścia lat temu taka walka tylko by go wyluzowała i dodała animuszu. Teraz był cały zlany potem i drętwiał mu mięśnie ramion.

- Przyjaciele przed nami - oznajmiła Leia. Musiała podnieść głos, żeby przekrzywić ciągły huk działek „Sokoła”.

Han spojrział na czujniki i dokonał korekty kursu - niewielkiej, ale tak raptownej, że rzuciła Leią w prawo. Gdyby nie uprzył pilota, pewnie wyleciałaby z fotela. Han skrzywił się lekko. Musi wreszcie wymienić ten fotel na coś o bardziej ludzkich wymiarach.

- Przepraszam - mruknął.

Przyjazny sygnał rozdzielił się na cztery mniejsze, każdy składający się z trzech kropek - trójki oznaczały, że prawdopodobnie był to oddział X-wingów. Rozsunęły się do formacji atakującej i - w chwili gdy „Sokol” znalazł się blisko nich - zaczęły strzelać. Han miał wrażenie, że ich lasery zaraz opalą farbę na kadłubie frachtowca. W chwilę potem jednak X-wingi znikły, a wraz z nimi cztery ścigające go skoczki koralo-we.

Górna wieżyczka strzelnicza „Sokoła” także wykazała się skutecznością i nagle pościg zmałał do trzech skoczków.

- Kto to był? - krzyknął Han.

- Ja! - Głos należał do kobiety. A więc Alema była na górze, a Ganner na dole.

- Z trzema sobie poradzimy - mruknął. Teraz pamiętał, żeby zawołać: „Trzymajcie się!”, kiedy wprowadził „Sokoła” w ciasną pętlę do góry. Weisnęło go w fotel, bo nawet kompensator przyspieszenia nie zdołał nadążyć za manewrem.

W samym środku świecy, kiedy siły przyspieszenia były największe, Han spojrział na żonę, spodziewając się, że zobaczy ją wgniecioną nieruchomo w oparcie fotela, ale

Leia siedziała lekko pochylona do przodu, nic sobie nie robiąc z potwornego przeciążenia. Spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem, prawie wyniośle.

To musiała być jakaś technika Jedi, coś w stylu podnoszenia kamieni. Z trudem ukrył zazdrość i zawołał przez ramię.

- Alemo, czekaj na sygnał przed wystrzałem... raz, dwa, trzy.

- Zrozumiano!

Kiedy trzy pozostałe skoczki znów się pojawiły w polu widzenia, Han stwierdził, że dopiero nabierają wysokości w ślad za „Sokołem”. Jego manewr, przeprowadzony tuż potem jak myśliwce zdziesiątkowały pogoń, pomieszał szyki Yuuzhanom i opóźnił ich o całą bardzo istotną chwilę.

Uzbroił wyrzutnię rakiet udarowych „Sokoła” i wystrzelił do pierwszego skoczka. Z tej odległości mógł strzelić do drugiego, a później do trzeciego, zanim uderzyła pierwsza rakietka.

Wtedy właśnie rakietka eksplodowała i choć powinna roznieść skoczka na strzępy koralu, została wessana przez pustkę tworzoną przez dovin basala stateczku.

Tymczasem strzał Alemy Rar z laserów wieżyczki błysnął obok i przeorał koralo-wą powłokę skoczka. Wrogi myśliwiec rozpadł się na kawałki, gdy jego wewnętrzne mechanizmy uległy przegrzaniu, a ciecze zmieniły się w jednej chwili w parę i gaz.

Zdetonował drugą rakietę i wynik był taki sam, a strzał Alemy znów przebił bursz-tynową kopułkę, która odskoczyła, jakby pilot miał zamiar się katapultować, lecz Han wiedział, że te pojazdy nie mają katapult. Pilota zreszta też już nie było; został tylko poczerniały krater w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się jego ciało i fotel.

Trzeci pilot skoczka, obdarzony lepszym refleksem, wykreślił i zanurkował w kierunku przeciwnym do „Sokoła”, odwracając się do niego węższym profilem i manewrując tak, aby znaleźć się poza kątem ostrzału górnej wieżyczki. Eksplozja rakiety udarowej spłynęła w pustkę w rufowej części statku, a strzał laserowy Gannera przebił dolną powłokę skoczka, przecinając go prawie na pół i na wylot. Skoczek -o dziwo, nadal zdolny do lotu - przyspieszył, siejąc za sobą chmurę odłamków, które prawdopodobnie były płynami fizjologicznymi, błyskawicznie zamienionymi w lód.

- A Łotry? - rzucił Han. Czuł, że brakuje mu tchu.

- Docierają do „Lusankyi” - odparła Leia. - Znów przyjaciele przed nami.

Istotnie, przed nimi majaczył kolejny imperialny gwiazdny niszczyliel, starszy model niż „Mon Mothma”. Manewrował tak, aby zwrócić się w kierunku „Lusankyi”.

- Może przytulimy się w jego doku i odpoczniemy przez minutkę? - zagadnął Han.

- To ty jesteś kapitanem - uśmiechnęła się jego żona.

- Zauważyłem, że nigdy mi tego nie mówisz, jeśli się ze mną nie zgadzasz.

Kiedy zbliżyli się do niszczyliela Leia ze zdumieniem wykrzyknęła:

- Han, to „Sen Rebelianta”!

Han spojrział zdumiony na obcy statek. „Sen Rebelianta” był kiedyś statkiem flagowym Leii - nie pod jej rozkazami, rzecz jasna, ponieważ dowodzili nim zawsze oficerowie marynarki, ale miała go do swojej wyłącznej dyspozycji, aby dowodził jej znaczenia przy negocjacjach pomiędzy Nową Republiką a innymi systemami planetar-

nymi. „Sokół Millenium” spoczywał kiedyś w jednej z jego ładowni przez kilka miesięcy, kiedy Han prowadził kampanię wojskową przeciwko zbuntowanemu generałowi.

Leia jakby nagle odmłodziła, pogrążona w odległych wspomnieniach.

- Han, co o tym sądzisz? Wydaje się w doskonałym stanie.

- Tak, rzeczywiście.

Leia obejrzała się i stwierdziła, że jej mąż wcale nie patrzy na statek. Zarumieniła się, ale wydawała się rozbawiona.

- Han, zacznij myśleć o pracy.

- Przepraszam. Starzeję się. Łatwo się dekoncentruję. - Han starannie ukrył radość.

Na krótką chwilę udało mu się sprawić, że Leia zapomniiała o bólu zżerającym ją od czasu utraty Anakina i Jacena. Jeśli jeszcze raz mu się to uda, to może trucizna tego cierpienia nie wsączy się do jej duszy, nie rozdzieli ich znowu.

- Jasne, staruszk. Oczywiście.

- „Lusankya” ma swoją eskortę - mruknął Tycho. - A eskorta, broniąc jej przed myśliwcami i fregatami Yuuzhan Vongów, wycina sobie ścieżkę przez sam środek ich floty.

Wedge skinął głową. Hologram potwierdzał słowa Tycha w całej rozciągłości.

Przez kilka minut w okolicach „Mon Mothmy” nie pojawiły się kolejne sojusznicze jednostki, a sam statek już poradził sobie z generatorami pól zaporowych.

- Niech „Mon Mothma” sprowadzi tutaj część eskadry i trzyma się blisko. Yuuzhanie dopadną każdego marudera, na to nie potrzebują nawet yamoska.

Hologram przedstawiał yuuzhańską flotę, która rozmożyła się i rozproszyła ale teraz powoli zbierała się znowu i przesuwiała w stronę grupy skoncentrowanej wokół „Lusankyi”. Bez koordynacji yamosków Yuuzhanie nie potrafili jednak stworzyć żadnej sensownej strategii ani nawet porządnie skupić ognia na statkach Nowej Republiki. Na oczach Wedge'a liczba Yuuzhan zaczęła się zmniejszać. Wedge z niecierpliwością profesjonalisty obserwował nieprzyjacielskiego dowódcę lub może tego, kto przejął dowództwo po jego śmierci. Jeśli nie uzna walki za przegraną i nie nakaze odwrotu, może niedługo stracić całą flotę. Wtedy stało się. Najpierw odpowiednik krążownika klasy mata-lok odłączył się od strefy bitwy, po nim fregata i dwie czy trzy eskadry skoczków, i nagle cała walka po prostu się skończyła. Wszystkie statki Yuuzhan wzięły kurs na obrzeża strefy, z wyjątkiem kilku skoczków, zaangażowanych w pojedynki z myśliwcami. Ci wybrali niepotrzebną choć honorową śmierć zamiast odwrotu.

- Wydać rozkazy - rzekł Wedge. - Niech flota już wraca. Na jego twarzy pojawił się lekki, pełen gorczy uśmiech.

- Musimy uczcić zwycięstwo. Tycho spojrział na niego beznamiętnie.

- Już mi się kręci w głowie - odparł.

Han Solo zszedł z rampy „Sokoła”. Jednym ramieniem oplatał talię Leii, a drugie wznosił w odpowiedzi na wiwaty i wesołe okrzyki pilotów i załóg zgromadzonych w głównym doku Borleias.

- Z czego oni się tak cieszą? To znaczy... ja też się cieszę, ale dlaczego oni się tak zachowują, jakbym osobiście i w pojedynkę wytlukł wszystkich Yuuzhan?

Leia uśmiechnęła się leciutko; na prawdziwy śmiech nie było jej stać odkąd... Han odsunął od siebie te myśli.

- Wpadłeś w sam środek floty Yuuzhan Vongów i wyszedłeś bez szwanku - wyjaśniła mu. - Słynny Han Solo. Właśnie im przypomniałeś, że mogą zwyciężyć.

- Aha.

- Poza tym rzeczywiście każdą ze swoich walk wygrywasz osobiście i w pojedynkę. Zapytaj tylko swoich wielbicieli. Znajdę ci historyka, który nie pogardzi łapówką i już jutro będziesz facetem, który kazał „Lusankyi” wyjść z nadprzeźrzeni w tym miejscu, w którym wyszła, a potem rozwalił statek flagowy wroga z pistoletu laserowego.

- Nawet nie próbuj.

Przed nimi szli pasażerowie „Sokoła Millenium”, prowadzeni przez oficerów Wedge'a. Wielu z nich było Jedi, ale żaden nigdy wcześniej nie miał do czynienia z rozradowanym tłumem.

Pierwszy szedł Ganner, ciemnowłosa i nieprzyzwoicie przystojny rycerz Jedi. Machał tłumowi z taką samą nonszalancją jak Han, ale nie miał jego dystansu do własnej osoby; za to uśmiech, którym obdarzał niektóre panie, był wręcz olśniewający. Obok szła Alema Rar, niebieskoskóra Twi'lekanka, skuteczna i zręczna organizatorka siatki szpiegowskiej Rebelii, która wiele lat spędziła w przebraniu tancerki, a teraz witała wszystkich z wdziękiem artystki. Dalej szedł Zekk, były łobuziak uliczny, szkolony dawniej na Ciemnego Jedi, który ostatecznie dołączył do Akademii na Yavinie Cztery, a za nim Tesar Sebatyne, Barabel, potomek Saby.

Ostatni, jeśli nie liczyć Hana i Leii, szli Tahiri Veila i Tarć, dwójka kłopotliwych dzieciaków. Han popatrzył na nich i pokręcił głową. Kłopotliwi to za mało powiedziane. Ta para to chodzące nieszczęścia.

Tahiri, smukła jasnowłosa uczennica Jedi, była jedną z najbliższych przyjaciółek Anakina Solo. W ciągu ostatnich kilku miesięcy stali się nawet czymś więcej niż przyjaciółmi i bardzo się do siebie zbliżyli. Anakin uratował ją z niewoli Yuuzhan Vongów, a potem pomógł jej pokonać pranie mózgu, jakiemu została poddana, a które prawie ją przekonało, że sama jest Yuuzhanką.

A potem Anakin zginął. Han nie potrafił już tak manewrować myślami, żeby ominąć to wspomnienie. Czuł, jak coś chwyta go za serce i ściska. Ból omal nie zbił go z nóg. Ostrożnie spojrział na Leię; ona też wbijała wzrok w Tahiri, a pustka, którą odczuwał Han, widniała również w jej oczach.

Choć ubrana w szatę Jedi, Tahiri szła jednak boso, jak zwykle. W jej postawie nie było już ani śladu siły i dumy; śmierć Anakina wstrząsnęła nią do głębi, może nawet w takim samym stopniu, jak jego rodzicami. Milczała. Kiedyś, dawno temu, tylko rozkaz Luke'a Skywalkera zdołałby przerwać płynący z jej ust potok słów.

Tahiri jednym ramieniem obejmowała Tarca, prowadząc go i wspierając duchowo. Tarć, dwunastolatek z Coruscant, został wybrany przez Viqi Shesh jako element spisku zawiązanego w celu porwania małego Bena Skywalkera. Viqi zwróciła na niego uwagę, ponieważ uderzająco przypominał Anakina sprzed kilku lat. Podobieństwo było tak

wielkie, że Han czuł ucisk w żołądku za każdym razem, kiedy widział wiecznie rozczochrane brązowe włosy chłopca, chłodne niebieskie oczy i szczerą twarz.

Sam widok chłopca sprawiał mu ból, ale pozostawić go, odrzucić, byłoby okrucieństwem i niesprawiedliwością. Był to jeden z tych problemów, których Han nie mógł rozwiązać strzałem z miotacza i zęczością pilota.

Zauważył czubek jasnowłosej głowy, podskakujący wśród innych głów, kiedy jej właściciel przeciskał się przez tłum.

- Nadlatuje - mruknął.

I oto Luke Skywalker trzymał już oboje w ramionach z młodzieńczym zaraźliwym śmiechem.

- Dobry moment wybraliście na wizytę - powiedział.

- To wina twojej siostry - odparł Han. - Zapytaliśmy przez HoloNet, czy ktoś wie, gdzie jesteście, czy może jeszcze na Borleias. „Lusankya” przesłała nam potwierdzenie i zaproszenie, żeby lecieć tam razem, a twoja siostra powiedziała, że tak będzie bezpieczniej dla naszych pasażerów.

Leia obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

- Naprawdę musisz się cieszyć z tych nielicznych okazji, kiedy miewasz rację - mruknęła i chyba znów kogoś zobaczyła, bo twarz jej pojaśniała. - Mara!

Wywinęła się z uścisku brata i pobiegła na spotkanie szwagierki.

- Słuchaj - powiedział Luke - Wedge szykuje dla was kwatery. Macie czas, żeby się trochę oporządzić, ale wszyscy musimy z wami pogadać.

Han spojrzał na niego z zainteresowaniem.

- Wszyscy? To znaczy kto?

- Wtajemniczeni.

Han i Leia możliwie jak najzwięźle opowiedzieli, co działo się z nimi w Gromadzie Hapes po odjeździe Luke'a i Mary: o przerażającej podróży Jainy ku Ciemnej Stronie, o niespodziewanej pomocy Kypa Durrona, o bójce, która kosztowała Hanę pękniętą czaszkę i otarcie się o śmierć, o próbach Ta'a Chume pozbycia się synowej, Teneniel Djo, i zmuszenia Jainy do poślubienia męża Teneniel, Isoldera.

- Sytuacja jeszcze nie jest rozwiązana do końca - mówiła Leia - ale Han i ja nie mogliśmy zrobić nic więcej. Musimy wierzyć, że Jaina sama dokona właściwego wyboru.

Znajdowali się w mesie budynku biotyki, a nie w zwykłej sali konferencyjnej Wtajemniczonych. Wraz z Hanem i Leią siedzieli tu Wedge, Iella, Mara, Luke i Lando - miłe towarzystwo najbliższych przyjaciół. Wydawali się zadowoleni z widoku Hana i Leii, ale widać było po nich napięcie i roztargnienie.

- Nie zachowujesz się jak ktoś, kto właśnie odniósł wielkie zwycięstwo, Wedge - zauważyła Leia.

Antilles skrzywił się ponuro.

- Możemy za to zwycięstwo zapłacić wojną. Mielśmy nadzieję, że dowódca Yuuzhan Vongów będzie kimś o przeciętnych zdolnościach i z przeciętną flotą i chyba tak właśnie się stało. Mielśmy go zajmować tak długo, jak się da, ale okoliczności

sprawiły, że trzeba go było zlikwidować od razu. Następny, którego nam przyślą może być znacznie lepszy, a to utrudni życie nam wszystkim. Ale oboje przybyliście we właściwym momencie. Potrzebne nam wasze umiejętności.

- Chyba umiejętności Leii - poprawił Han. - Nie sądzę, aby bez niej Nowa Republika miała jakąkolwiek szansę na przetrwanie.

- Chodzi mi o umiejętności was obojga - odparł Wedge. - Nowa Republika jest martwa. To niewyobrażalna masa cielecka ze zdecentralizowanym systemem nerwowym, a jej kończyny nie wiedzą jeszcze, że serce przestało już bić.

Leia i Han wymienili spojrzenia.

- Zobaczymy, co mają do powiedzenia - szepnęła Leia.

ROZDZIAŁ

8

Yuuzhański światostatek, orbita Coruscant

Maal Lah zatrzymał się przed wejściem prowadzącym do komory badacza nerwokręga. Obejrzał się na strażnika, który przyprowadził go tutaj, jakby chciał spytać: „Czy jesteś pewny, że on tu jest?” Strażnik jednak unikał kontaktu wzrokowego, nie wiadomo, czy dlatego że nie śmiał spojrzeć w oczy swojego zwierzchnika, czy też wiedział, jaki los czeka go za barierą. Maal Lah nie potrafił tego wyczuć.

Maal Lah zrobił krok naprzód. Bariera rozstąpiła się, rybi pysk rozwarł się na jego przyjęcie i Maal Lah wszedł do środka, do miejsca wiedzy i nauki.

Badacz nerwokręgu był bliskim krewniakiem induktora nerwokręga który potrafił śledzić połączenia neuronowe osób myślących o pewnych sprawach... a potem kierować w te połączenia ból, aby osoba nie miała ochoty wracać do tych spraw. Badacz także śledził połączenia neuronowe, ale jego funkcje były inne - miał tylko sprawdzać, jak skutecznie sygnał jest transmitowany po tych połączeniach, a potem niezwykle precyzyjnie generować ból, co pozwalało pacjentowi osądzić, w jakim stopniu uszkodzona tkanka rzeczywiście się zagoiła, a w jakim pozostała uszkodzona lub zdestabilizowana.

Pomieszczenie było słabo oświetlone. Bioluminescencyjne lampy rzucały przyćmiony blask na lśniącej czerwonej i czarnej ścianach z koralu, wyglądające jak zacieki zaschniętej krwi. Stał tu jeden centralny stół z owalnym szarym blatem - starannie skonstruowany terminal badacza nerwokręga. Blat był nachylony tak, aby jeden jego koniec prawie dotykał podłogi. Obok stołu stał mistrz przemian. Tsavong Lah spoczywał na blacie, ze stopami skierowanymi ku ziemi. Był całkowicie ubrany, tylko lewe ramię leżało obnażone na skórzastej powierzchni. Maal Lah wiedział już, że wizyta mistrza wojennego miała całkowicie medyczny charakter. Badacz nerwokręgu oceniał stan szponu radanka wszczepionego w jego ramię. Ramię nie wyglądało gorzej niż ostatnim razem, kiedy Maal Lah je widział, ale i nie lepiej. Może mistrz wojenny chciał, żeby Maal Lah zobaczył, że ramię nie gnije i przekazał tę wiadomość dalej, by zdławić w zarodku wszelkie spekulacje na temat ewentualnego odrzucenia przeszczepu.

Tsavong Lah spojrzął na podwładnego, nie poruszając głową i wezwał go skinieniem. Mistrz przemian odsunął się na bok, żeby mogli porozmawiać bez świadków, ale Maal Lah czuł na sobie jego wzrok.

- Potrzebuję twojego instynktu, mój sługo - odezwał się Tsavong Lah. - Twojej interpretacji wydarzeń.

Maal Lah skinął głową bez słowa. Wolał nie mówić wiele w obecności mistrza wojennego. Ci, którzy się do tego nie stosowali, w końcu zawsze powiedzieli za dużo i narazili się na gniew Tsavonga Laha. Nom Anor był jednym ze stałych obiektów niezadowolenia mistrza.

- Wysłałem flotę Wyrpuuka Cha na Borleias, żeby odbił planetę z rąk niewiernych. Przyjęliśmy, że garnizon, który się tam znajduje, po prostu chce godnie umrzeć. Okazało się jednak, że to pułapka. Niewierni zademonstrowali niezwykłą precyzję, odwagę i zaciętość w realizacji doskonale przemyślanego i wykonanego planu. Podstawili swój największy statek, o którym nawet nie wiedzieliśmy, że należy do ich floty, w sam środek formacji Wyrpuuka Cha i wykorzystali go do zniszczenia obydwu yammosków. Statek ten stał się przynętą dla innych jednostek naszej floty, które go opadły, nie zauważając pojawienia się i ataku nieprzyjacielskich posiłków, które otoczyły nas ze wszystkich stron. - Mistrz wojenny zamilkł na dłuższą chwilę. - Flota została rozbita w drobny mak. Wyznaczony przeze mnie następcą Wyrpuuka Cha prowadzi teraz niedobitki z powrotem do nas. Pilot z domeny Kraal zabrał część tych, którzy przeżyli, żeby w dalszym ciągu nękać niewiernych. Oczywiście tamci piloci odmówili posłuszeństwa wyznaczonemu następcy, pozostając z Kraalem. Przygotowałem już plan działania - dodał mistrz wojenny - ale chętnie wysłucham twojego zdania.

Maal Lah przez dłuższą chwilę milczał. Wiedział, że musi najpierw dobrze przemyśleć swój pomysł, a Tsavong Lah nie należał do osób okazujących gniew i ponagających rozmówcę.

Wreszcie odezwał się:

- Jeśli pułapka była tak precyzyjnie skonstruowana, jak opisujesz, to bez wątpienia stanowiła dzieło ich największego taktyka, Gar-ma bel Iblisa.

- Nie. Bel Iblis jest komandorem całkiem innej floty, przebywającej gdzie indziej. Statki w systemie Pyrii należą do floty pozostającej pod rozkazami niejakiego Wedge'a Antillesa.

Mail Lah milczał przez chwilę, przetrawiając informację.

- Muszę przeanalizować raporty ocalałych, ale jednak mam wrażenie, że to bel Iblis zaplanował tę pułapkę. To znaczy, że współpracuje blisko z Antillesem i że tamto miejsce jest dla nich ogromnie ważne. Zanim je zniszczymy, musimy się dowiedzieć, co tam jest takiego istotnego. A gdy się dowiemy, zniszczymy to tak doszczętnie, aby każdy niewierny, który uśmiechał się na myśl o tamtej pułapce, zadrżał z przerażenia.

- Dobrze.

- Ale to kolei oznacza, że musisz osobiście poprowadzić podbój Borleias.

Tsavong Lah pokręcił głową.

- Nie mogę. Pochłonęłoby to zbyt wiele uwagi potrzebnej gdzie indziej. Ale masz rację. Tu potrzebna jest ręka mistrza wojennego.

Maal Lah zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. Wyprostował się, kiedy nagle dotarło do niego znaczenie słów Tsavonga Laha.

- Nie robi tego.

- Zrobi.

- Sądzę, że to wybór najlepszy z możliwych. Jeśli zdołamy go przekonać, żeby wyruszył.

Tsavong Lah skinął głową.

- Przygotuj statek, który zabierze mnie do domeny Lah.

- Tak się stanie. - Maal Lah przyjął słowa mistrza wojennego jako zakończenie rozmowy i odwrócił się.

Poczuł, że zaczynają go swędzieć stare blizny na plecach, blizny, którymi zajmował się ten sam mistrz, który dziś ofiarował swoje usługi Tsavongowi Lahowi.

Po wyjściu Maala Laha mistrz wojenny przywołał mistrza przemian i pozwolił mu podjąć pracę.

- Co na to powiesz? - zapytał.

Mistrz przemian Ghithra Dal przez chwilę układał w myśli odpowiedź, zanim wypowiedział ją na głos.

- Nie ma oznak zmiany. Tkanka w miejscu, gdzie szpon radanka łączy się z twoim ciałem, wciąż gnije i wciąż się goi.

- Żaden z innych implantów nie wykazuje oznak odrzucenia?

- Nie.

- Co to według ciebie oznacza?

- Nie wiem.

- Tam, gdzie cię zawodzi wiedza mistrza przemian, wciąż jeszcze masz osobiste przeczucia i opinie. Chcę je usłyszeć. Nie obawiaj się mojego gniewu. Potrafię odróżnić opinie od faktów.

- Gdybym miał przedstawić ci swoją opinię, mistrzu wojenny, powiedziałbym, że prawdziwa przyczyna tej choroby nie leży w naukach przemian... lecz w woli bogów.

Tsavong Lah poczuł lekki dreszcz, kiedy kolejny element układanki stworzonej w umyśle Viqi Shesh znalazł się na swoim miejscu.

- Jacy bogowie? - zapytał.

Ghithra Dal przekrzywił głowę, dając tym gestem do zrozumienia, że nie jest pewien.

- Każdy z bogów może w ten sposób zmanifestować swoje niezadowolenie. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że prawdopodobnie jest to Yun-Yuuzhanin. Gdybym jednak mógł zaproponować sposób, aby się o tym przekonać...

- Nie obawiaj się mnie, Ghithro Dalu. Mów.

- Zalecałbym, abyś porozmawiał z kapłanami wszystkich bogów i zapytał ich, którego spośród nich mogłeś rozgniewać. To pytanie do kapłana, nie do mistrza przemian.

Chyba że kapłani są w zмовie z mistrzami przemian, pomyślał Tsavong Lah. Ciekawe, jaką ci za to obiecali nagrodę? Hojną część świata, który otrzymali kapłani Yun-Yuuzhanina? Może cały kontynent?

- Rozważę to - powiedział. Wstał i pozwolił, aby Ghithra Dal przyniósł mu szaty.

Tymczasem zasięgnę opinii kogoś innego, postanowił. Znajdę kogoś, kto przemówi do mnie jako mistrz przemian... ale nie jest winien lojalności wobec starszyny.

Wezwę do siebie Nen Yim.

Okupacja Borleias, dzień jedenasty

Luke Skywalker siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przedniej ładowni „Sokola Millenium”. Ładownia była pusta-jedynie miejsce w zatłoczonej bazie wojсковej, gdzie mógł być sam, jedyne miejsce, gdzie to, co robił, nie musiało wpływać na jego syna.

Otworzył się na Moc i pozwolił jej się unieść. Nie myślał o pytaniu, na które miał nadzieję znaleźć odpowiedź - myśl przeszkadzała intuicji.

Tym razem prądy Mocy poniosły go tam, gdzie chciał się znaleźć.

Wyczuwał ciągłą manifestację Ciemnej Strony Mocy. Nie czekała na niego, nie wzywała go. Miała swoje plany, w których Luke Skywalker nie figurował. Ale w tej krótkiej chwili, zanim utracił jej świadomość, wiedział, że Ciemna Strona wciąż przemierza zrujnowane ulice Coruscant.

Han Solo obserwował, jak jego żona powoli wraca do życia.

Tak niedawno strata Anakina i Jacena załamała ją przekonała o bezużyteczności wszystkich działań i wysiłków. Dopiero kiedy -przynajmniej na poziomie intelektualnym - przekonała się, że jest inaczej, kłopoty Jaiiny w systemie Hapes przypomniały jej, że wciąż jeszcze ma obowiązki. Zaczęła je wypełniać z dawną sprawnością i skutecznością, choć bez tej iskry entuzjazmu i złośliwego poczucia humoru, który stanowił część tamtej, tak gorąco kochanej przez niego Leii.

W każdej chwili dnia i nocy myśli o Anakinie mogły powrócić do niej falą wraz ze wspomnieniami cierpienia i śmierci na yuuzhańskim światostatku ponad światem Myr-kra. Wtedy nagle brakowało jej oddechu, twarz jej bladła, a nagła słabość zmuszała do wsparcia się na ramieniu Hana lub skulenia w kłębek tam, gdzie stała dopóki ból nie minął. Han również czuł ostrze bólu, lecz trzymał się prosto, starając się niczego po sobie nie pokazywać - postanowił, że będzie stał przy żonie, że nigdy więcej nie opuści jej tak, jak wtedy po śmierci Chewiego.

Teraz jednak, kiedy Leia spędzała czas z notatnikiem połączonym z bibliotekami różnych statków i osobistym archiwum na pokładzie „Sokola Millenium” i „Snu Rebelianta” -tworząc listy polityków, którzy byli jej winni przysługę, odtwarzając procesy, które przy udziale jej i innych założycieli Sojuszu Rebeliantów stworzyły podwaliny ich ruchu prawie trzy dekady temu - w jej oczach pojawił się znowu cień dawnego entuzjazmu. Ból po stracie Anakina i niepewność co do losu Jacena wciąż dawały o sobie znać z niezmienną siłą... ale kiedy nie pochłaniały jej całkowicie, wydawała się żywsza, bardziej witalna. Powoli znów stawała się sobą.

Han z radością powitał zmianę, choć nie całkiem rozumiał jej przyczynę; wiedział przecież, że wciąż wykonywała tę samą robotę polityczną co przez ostatnie dziesięciolecia.

Okrzyk Leii wyrwał go z zadumy.

- Co tu się stało?

Obejrzał się i wyszczerzył zęby na widok jej zdumionej miny, z jaką patrzyła na puste miejsce, gdzie do niedawna znajdował się fotel Chewiego.

- Mam zamiar wstawić tu wreszcie coś bardziej na miarę Leii - uśmiechnął się szczerze, na pół rozbawiony jej zaskoczeniem, na pół maskujący głęboko ukryte uczucie bólu: wymiana fotela Chewiego, jednej z ostatnich pamiątek po Wookiem, była jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu Hana. - Skończyłaś na razie reorganizować galaktykę?

Pokręciła głową, wreszcie dostrzegając męża. Podeszła bliżej.

- Muszę jeszcze poprzestawiać kilka systemów słonecznych, a na razie robię pranie Gromady Hapes.

- Przyda się. - Han przyciągnął ją i posadził sobie na kolanach. -Możemy zacząć od Isoldera, tego chodzącego bólu głowy...

Ale uwaga Leii skupiona była gdzie indziej... na danych planetarnych wyświetlonych na ekranach komputera „Sokoła”.

- Han, co to takiego?

- Coruscant.

- Wiem, że to Coruscant, ale czemu się nim zajmujesz?

Wzruszył ramionami, jakby sam nie znał odpowiedzi. Była to gra na zwłokę - musiał zdecydować się na jedno z wymyślonych naprędce kłamstw, ale żadne nie wydawało się dość prawdopodobne, żeby je kupiła.

Wreszcie wykrztusił:

- Chodzi o bliźniaki, Leio. Bliźnięta są dla Yuuzhan święte. Uważają że Jacen i Jaina mają jakieś znaczenie dla ich bogów. A to oznacza, że jeśli masz rację i Jacen nadal żyje, to jest z pewnością w rękach ich najważniejszych dostojników. Światostatek dowodzenia znajduje się nad Coruscant. Nie trzeba być geniuszem, żeby sobie wykombinować, że planeta Coruscant albo ten światostatek są najbardziej prawdopodobnym miejscem jego pobytu.

Spojrzała mu w oczy. Z jej twarzy znikł cały spokój.

- Nie pójdziesz tam za nim.

- Nie wiem - odparł. Pójdę, pomyślał.

- Han, posłuchaj. - To nie był rozkaz, lecz gorąca prośba. - Nie zdołasz mu pomóc. Jeśli pójdziesz, stracę także siebie.

- Trudno mnie stracić, tak jak złą opinię.

Leia nie odgryzła się, nie zareagowała jedną ze swoich inteligentnych ripost, co jeszcze dobitniej świadczyło o powadze sytuacji.

- Musisz to zrozumieć. Nie widzę w Mocy Yuuzhan Vongów. Nie mogę też zobaczyć w Mocy Jacena... ale nie jestem od Mocy odcięta. Wciąż mi coś pokazuje, od

czasu do czasu miewam jakieś wizje. A kiedy widzę jedno z nas wracające na Coruscant, dopóki jest w rękach Yuuzhan, to widzę naszą klęskę. Naszą śmierć.

Zmrożony chłodem głosu Leii Han pokręcił głową.

- Ktoś musi iść.

- Luke. Luke tam pójdzie. On ma szansę. My nie.

Leia jakby oklapła, jakby przyznanie się do tego, że nie może nic zrobić dla zaginionego syna, wgniotło ją w ziemię. Po chwili jednak znów się wyprostowała.

- Nie możesz pomóc Jacenowi, ale możesz pomóc mnie.

- Jak?

- W sprawach politycznych.

- Znasz moje zdanie na temat polityki. Wiesz, jaki jestem w tym dobry.

Uśmiech powrócił na jej twarz.

- Ruch oporu oznacza, że czas na nową politykę. Teraz jeśli facet się do ciebie uśmiecha, a pod stołem trzyma wibrostrze, które chce ci wbić w plecy, ty zamiast odpowiedzieć uśmiechem, odstrzelasz mu łeb.

- Naprawdę? - Zamyślił się na chwilę. - Odstrzelić mu łeb tylko raz czy tyle razy, ile będę chciał?

- Jak długo ci wytrzymają baterie w miotaczu.

- Brzmi cudownie. Gdzie tkwi pułapka?

- Przyjęłam zadanie, o którym Wedge mówił zeszłego wieczoru. Oczywiście pod warunkiem, że i ty też się na to piszesz. Kiedy tylko przygotujemy plan, powędrujemy od systemu do systemu, tworząc komórki ruchu oporu. Będziemy egzekwować stare długi. Pewnie wmieszamy się w siły Yuuzhan Vongów i Brygad Pokoju i rozszerzymy podziemia Jedi.

- I będziemy strzelać?

- Tak.

Otworzył usta, żeby zapytać, czy aby na pewno chce to robić teraz, kiedy jedno z jej dzieci zaginęło, a drugie znajduje się nie wiadomo gdzie, prawdopodobnie na nieprzyjacielskim świecie, ale pochwycił błysk w jej oku, który tak często rozjaśniał twarz przywódczyni Sojuszu Rebeliantów, Leii Organy, w najmroczniejszych dniach pierwszej wojny z Imperium.

Najmroczniejsze dni wydobywały z niektórych ludzi najlepsze cechy... w każdym razie z ludzi takich jak Leia Organa Solo. A teraz znowu nadeszły mroczne dni. I znowu, pomimo bólu i niepewności, Leia stawiała do walki. Znowu była w najlepszej formie.

Wróciła.

- Wciągnij mnie na listę, o pani.

- Doskonale. Potrzebujemy takich lajdaków jak ty.

- Już nie muszę być miłym facetem? Pokręciła głową i nastawiła twarz do pocałunku. Zza ich pleców rozległ się nagle śpiewny głos C-3PO:

- Panie Solo, mechanicy przywieźli nowy fotel pilota!

Podskoczyli równocześnie, a Leia parsknęła bezgłośnie śmiechem.

Han zmarszczył brwi.

- Jako reaktywowany łajdak, mam prawo zastrzelić Złotą Pałkę, prawda?
- Pokręciła przecząco głową.
- A więc tu tkwi pułapka.
- Tak, właśnie tu.

Danni Quee podskoczyła i wyprostowała się. Przez krótką chwilę po przebudzeniu nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie wyrwało ją ze snu. Wtedy zabrzmiało znowu stukanie do drzwi.

- Wejść! - powiedziała automatycznie i odgarnęła włosy z twarzy.

Drzwi rozsunęły się i stanął w nich Tam Elgrin. Dłonie trzymał przed sobą jakby nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Oparł je na biodrach, ale widać uznał, że źle to wygląda, więc skrzyżował ramiona na piersi i przechylił się przez framugę. Drzwi przymknęły się częściowo z lekkim sykiem, rozpoznały go jako przeszkodę i z takim samym sykiem otwały się znowu.

- Tam, witaj. Nie wiedziałam, że możesz tutaj przychodzić.

Uśmiechnął się do niej niepewnie i wskazał chip identyfikacyjny przypięty do koszulki.

- Ja... naprawiam coś z grupą cywilów. Mogę tutaj przebywać.
- Aha.

- Masz może coś, co się popsło?

Drzwi znów spróbowały się zamknąć. Tam zignorował je. Danni pokręciła głową.

- Właściwie nie. Sama przeprowadzam co ważniejsze naprawy.

- Och. Racja. No cóż, gdyby ci jednak kiedyś zabrakło czasu, to..., wiesz, skontaktuj się ze mną.

- Oczywiście.

Tam postać jeszcze przez chwilę, przeczekał kolejną próbę zamknięcia drzwi, aż wreszcie dotarło do niego, że rozmowa raczej dobiegła końca.

- Eee... może ci coś przynieść? Coś do jedzenia albo do picia?

- Nie, dziękuję. Nie ma takiej potrzeby.

- No cóż, to chyba sobie pójdę.

- Do widzenia.

- Do widzenia. - Wyraz twarzy Tama zmienił się z zamyślnego na złośliwy. Cofnął się od drzwi i wbił palce w skroń.

- Znowu ten ból głowy się za...

Drzwi zamknęły się cicho, ucinając ostatnie słowo.

Danni westchnęła ciężko. Już po raz trzeci w ciągu trzech ostatnich dni Tam próbował ją nachodzić w ten swój niepowtarzalnie niezdarly sposób. Wygląda, że się nią zainteresował, a to była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała.

Och, nie chodziło o to, że go nie lubiła. Ale obowiązki - analiza technologii Yuuzhan Vongów - były ważniejsze. Do tego dochodziła nauka posługiwania się Mocą - i w miarę wolnego czasu okazjonalne misje z Dzikimi Rycerzami. Odbywała spotkania z Wtajemniczonymi i długie konsultacje z tymi, którzy znali się dobrze na technologii Yuuzhan Vongów, osobami takimi jak Cilghal, uzdrowicielka Jedi z Kalamaru.

Ulubionym ostatnio, choć rzadko dostępnym zajęciem Danni było spanie. Po prostu nie starczało jej czasu na całe tabuny pilotów, oficerów, techników i cywilów, którzy stwierdzali, że z pewnością miałyby ochotę poświęcić im małą godzinę.

Tam był najgorszy; patrzył na nią tymi wielkimi, wygłodniałymi oczami pełnymi emocji, których nie potrafiła do końca zidentyfikować. Nie była to ani miłość, ani sympatia, ani podziw. Raczej coś w rodzaju tęsknoty.

Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, uznałaby, że to desperacja.

Przetarła oczy w daremnej nadziei, że zdola w ten sposób zogniskować wzroki i przeniosła uwagę na przyrzady.

- Wedge, czy masz jakiś powód, żeby nie ufać Luke'owi i Marze? A może Tycho ma taki powód? - zapytała nagle Iella, przygotowując się do snu.

Wedge leżał na łóżku i krzywił się na samą myśl o codziennej porcji bólów i bólików, jakie zaraz go obsiada.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego?

- Kilka dni temu znalazłam w kwaterze Skywalkerów urządzenie podsłuchowe. Amatorska robota, przymocowane kulka z durabetonu do rury wodociągowej w komorze odświeżającej. W ten sposób byłyby przekazywane tylko rozmowy przeprowadzane w jednoosobowej kabinie prysznicowej i wyłącznie wtedy, kiedy przez rurę nie płynie woda.

Spojrzał na nią dziwnie.

- Zdaje się, że szpieguje nas ktoś, kto niedokładnie oglądał holoseriale.

Wsunęła się pod koldrę obok niego.

- Dzisiaj znalazłam aparaturę nasłuchową w kwaterze Tycha.

Wedge zachichotał.

- Podejrzewasz, że Tycho chciałby przez czternaście godzin dziennie słuchać płaczu dziecka?

- Z pewnością nie. Ale traktuję sprawę poważnie, bo nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Wiem, co robić, jeśli znajdę przesłanki, że działa przeciwko nam kompetentny i doświadczony agent. A tutaj nie wiem, jak się do tego zabrać.

- Może nasz wróg ma dwa urządzenia podsłuchowe? Jedno do podsłuchiwania, a drugie do zrzucenia winy na Tycha?

- Dobry pomysł.

- No i co z tym zrobiłaś?

- Zostawiłam nadajnik i powiedziałam Marze i Luke'owi, dlaczego nie powinni rozmawiać pod prysznicem. Przygotuję dla nich kilka fałszywych informacji do przekazania i zobaczymy, co z tego wyniknie.

- No to mamy problem z głowy - mruknął Wedge i sięgnął do wyłącznika lampki nocnej.

Okupacja Borleias, dzień piętnasty

Od dnia, kiedy przybycie „Lusanki” rozbiło w puch flotę Yuuzhan Vongów, minął prawie tydzień. Od tamtej pory eskadry, a nawet mniejsze grupki skoczków kora-

lowych, obecnie stacjonujące na przejętej stacji księżycowej nad Pyrią VI, napadały na statki Nowej Republiki na orbicie i dokonywały dość śmiałych wypadów w stronę stacji biotycznej na planecie. Jednak Yuuzhanie robili to dziwnie bez przekonania, jakby sprawdzali tylko słabe strony obrońców.

Luke Skywalker i mężczyzna nazwiskiem Kell Tainer pracowali przy X-wingu Luke'a, łatając uszkodzenia odniesione w czasie ostatniego ataku. Szkoły były w sumie niewielkie - odrapania powłoki i poluzowane elementy - ale gdyby je pozostawić, statek wkrótce mógłby okazać się bezużyteczny.

Tainer był wysoki i wysportowany; szczupła, ale muskularna budowa świadczyła o tym, że raczej korzysta z mięśni, niż się nimi szczyci. Ciemne włosy miał nieco przedzione nad czołem, ale długie i splecione w warkocz na karku. Nosił długie, zwisające wąsy i krótko przyciętą brodkę. Wyglądał jak pierwszy lepszy górnik z asteroidy lub mechanik, ale Luke znał się na ludziach.

- Sądziłem, że jesteś z wywiadu - mruknął. Cienki jak igła strumień smaru wytrysnął z silnika, przy którym pracował, dolnego na prawej burcie, pozostawiając zygzakowaty, czerwono-czarny ślad na jego policzku i czole. Luke dokręcił zacisk na przelutym wężyku i z ponurą miną rozmazał smar na twarzy. - Widmo, tak?

- Miałeś o tym nie wiedzieć. - Głos Kella brzmiał głucho, bo górna część jego ciała tkwiła w maleńkiej ładowni myśliwca, a reszta od pasa w dół zwisała z wazu pod dziobem X-winga. Wyglądało to tak, jakby myśliwiec właśnie zamienił się w mięsożernego potwora, a Kell stał się jego pierwszą pasywną ofiarą.

Luke wyszczerzył zęby.

- Właściwie dłaczego grzebiesz się w silnikach?

- Kiedyś byłem mechanikiem. Przez jakiś czas pracowałem na Sluis Van, w warsztacie, który ostatecznie został wysadzony przez oddziały Thrawna. Ale mógłbym zapytać cię o to samo. Zdawało mi się, że jesteś mistrzem Jedi. Dłaczego grzebiesz się w silnikach?

- Odpowiedź mniej więcej taka sama. Jako dzieciak musiałem konserwować wszystkie nasze urządzenia na Tatooine. Później zresztą też. A ten X-wing również jest mój.

- Włóż tu, ty mały... w porządku. Katapulta już powinna działać jak należy. Czeka, wstawię tu jeszcze tę płytę, żeby ci nogi nie wpadały do ładowni.

- Byłoby miło. Co nie znaczy, że zawsze sięgam stopami do podłogi. - Luke zakończył uszczelnianie drugiego zaworu, usunął uszkodzone rurki łączące i zaczął montować nowe.

Kell wysunął się z ładowni, jakby mięsożerny X-wing stracił ochotę na kolację. Wylądował na obu stopach, bardzo zwinnie jak na tak potężnego człowieka.

- Chcesz sprawdzić?

- Nie, dzięki.

- Śmiało, wskakuj i odpalaj. To jedyny sposób, żeby sprawdzić, czy wszystko działa.

Luke podniósł wzrok na ukośny metalowy sufit doku, mniej więcej pięć metrów nad nimi.

- Nie, jednak dzięki.

- Marudzisz. - Kell chwycił obrzeże powłoki pod kabiną owiewka była podniesiona i tylko dzięki temu mógł tam zmieścić dłoń, i podciągnął się do góry, zwisając głową w dół do wnętrza kabiny. Górna część jego ciała znów znikła z pola widzenia Luke'a.

- Ty jesteś mężem Thyrii Sarkin, tak?

- Aha, to stąd się dowiedziałeś, że należę do Widm. Tak, rzeczywiście,

- Co u niej słyhać?

Kell milczał przez długą chwilę. Luke słyszał tylko szcęk grzechotki klucza.

- Wszystko w porządku - rzekł wreszcie. - Zazwyczaj podróżuje z naszym synem, Doranem. Uczy go, jak być Jedi. Wyjeżdża tak daleko... że chyba nawet nie uświadamia sobie, dokąd już dotarli Yuuzhanie. Jesteśmy takim małżeństwem na odległość. Miesiące rozstania przeplatają się z szalonymi uroczystościami powitalnymi. Kiedy pasowałeś ją na rycerza Jedi, przez całe miesiące chodziła jak nakręcona. Ba, przez całe lata.

- Zasłużyła na to. - Luke dokończył montażu drugiej rurki i otworzył oba zawory. Rurka zeszytniała lekko, kiedy popłynął nią smar, ale wytrzymała.

Tyria Sarkin przeszła dziwną i samotną drogę, jak na Jedi. Luke wiedział o tym, ale sam także znał tę drogę. Tyrię testował ponad dwadzieścia lat temu, kiedy usłyszał o niej pierwszy raz - o młodej pilotce Nowej Republiki, obdarzonej zdolnością wyczuwania Mocy. Wkrótce przekonał się, że jej moc jest zbyt mała, a samodyscyplina niewystarczająca, aby uczynić z niej Jedi. Zrezygnował z niej bez żalu, radząc, aby zajęła się pilotażem. Po kilku latach jednak Tyria odnalazła niezbędną dyscyplinę i zrezygnowała z wojska, aby stać się Jedi. Uczyła się właściwie sama, podróżując, badając, eksperymentując i analizując, czytając komunikaty i poradniki, które wysyłał jej Luke, ale nie poświęciła ani dnia, aby pouczyć się w Akademii na Yavinie Cztery. Na szczęście nigdy nie odrzuciła pomocy i autorytetu Luke'a, tak jak uczynili to inni zbłąkani Jedi, na przykład Kyp Durronek. Po prostu uczyła się swoimi metodami i we własnym tempie. Kell zeskoczył na durabetonową podłogę.

- Gotowe.

- Tu chyba też, albo prawie. - Luke poczuł nagle nową obecność i obejrzał się w kierunku wejścia do doku.

Stała tam Iella Wessiri.

- Trzydzieści minut standardowych - oznajmiła. - Spotkanie Wtajemniczonych.

- Bantha ryczy o świetle - mruknął Kell.

Iella zamrugała oczami i spojrzała na niego pytająco.

- Co?

- No, wiesz. „Bantha ryczy o świetle”. Jaki jest odzew? - Kell wycelował w nią klucz zapadkowy, jakby to był miotacz. - A może ty w ogóle nie jesteś szefem sekcji, Iellą Wessiri? Zdejmij tego maskera ooglittha albo otworzę ogień.

Uśmiechnęła się błado.

- Mąż nigdy mi nie mówił, jaki naprawę potrafisz być wkurzający. - Odwróciła się do Luke'a. - Trzydzieści minut. Są wieści.

Kell zrobił pogardliwą minę.

- Nie ma odzewu, faktycznie. Co to za holoserial, szmira jakaś, czy co?

- Co niby masz zamiar zrobić? - zapytała Mara. Nie podniosła głosu na tyle, żeby przeniknąć przez, drzwi sali konferencyjnej, ale i tak słyhać było, że jest wściekła. Ben drgnął lekko na tę zmianę intonacji, ale zaraz popatrzył w górę, zagulgotał, obejrzał się na Luke'a i wyciągnął do niego rączki. Luke dał mu do zabawy mały palec prawdziwej dłoni.

- Wybieram się na Coruscant - powtórzył, szykując się na awanturę.

- Przez te twoje wizje?

- Stają się coraz częstsze i coraz bardziej przykre. Cokolwiek się tam dzieje, przybiera na sile. Albo zaraz zaczniesz przybierać na sile... sam nie wiem, co widzę, terazniejszość czy przyszłość.

- A może przeszłość. Może widzisz, w jaki sposób Palpatine doszedł do władzy.

Pokręcił głową.

- Wtedy wizje nie przekazywałyby takiego wrażenia napięcia.

- No to wyślij tam kogoś innego. To misja dla wywiadu. Podchody w ciemnościach. Nie pasuje do pilota myśliwca z płonącym mieczem w garści.

- Może masz rację. Może powinienem zaprosić paru gości z wywiadu. Ale skoro to sprawa Mocy, Jedi też tam musi być - uśmiechnął się do niej łobuzersko.

- Gdzieś ty się nauczył tego uśmiechu? Ćwiczyłeś przed hologramem Hana Solo? Słuchaj, nie mam nic przeciwko temu, żeby jakiś Jedi wybrał się na tę misję. Ale to nie możesz być ty. Ty nie możesz tam lecieć.

- Dlaczego?

- Bo nie możesz. Boja muszę zostać z Benem.

- To muszę być ja, Maro. Galaktyka się rozpada, Jedi potrzebują przywódcy, ale większość z nich liczy na wszystkich, oprócz mnie. Widać uważają mnie za pasywnego, przedwcześnie postarzałego mędrca ze szczytu góry. Chyba dobrze byłoby, gdyby usłyszeli, że poprowadziłem tę misję na Coruscant. Będą musieli zrewidować swoje poglądy i opinie o mnie. - Luke'owi przyszło do głowy, że Leii spodobałby się polityczny wydźwięk jego rozumowania... a potem nagle zdał sobie sprawę, że to on wkacza w jej domenę, we wszechświat polityki, w którym ona była mistrzem, a Luke tylko niezręcznym nowicjuszem.

- Nie rób tego, Skywalker.

- Muszę. Leć ze mną.

- Jestem potrzebna tutaj.

- Przemawiają przez ciebie uczucia. A co ci mówi Moc? Oczy jej zabłyśły.

- Nic mi nie mówi.

- Bo nie otwierasz się na nią. Nie masz pojęcia dokąd cię zawiedzie. Obawiasz się, że ci powie, żebyś zostawiła Bena choć na krótką chwilę.

Twarz Mary stała się nagle nieruchomą maską w łagodnej harmonii jej rysów nie znać było cienia emocji.

- Powiem ci, czego się boję. Boję się, że mój mąż stał się zasuszonym pustynnym mistykiem, wyzutym z wszelkich uczuć.

Luke westchnął i zrezygnował.

- Oferta jest aktualna, dopóki nie wyjadę. - Skinął głową w kierunku drzwi sali konferencyjnej. - Musimy dołączyć do pozostałych.

Luke zajął swoje zwykłe miejsce obok Wedge'a. Mara, wciąż zachowując kamienną twarz, usiadła obok Hana i Leii.

Nikt się nie odzywał, wszyscy wbijali wzrok w Iellę Wessiri, która powoli i rytmicznie poruszała urządzeniem elektronicznym po powierzchni ściany. Białe światelka na urządzeniu migotały łagodnym rytmem.

Wedge czekał, aż Iella skończy. Skinęła głową na znak, że pomieszczenie jest wolne od urządzeń podsłuchowych.

- Dwie godziny temu statek uchodźców przybył od strony Gromady Hapes - zaczął Wedge. - Flota została zebrana w ścisłej tajemnicy, ale Yuuzhanie przechwycili ją i ten statek uciekł jako jedyny. To się zgadza z informacją jaką uzyskaliśmy od Talona Karde'a, że Yuuzhanie stają się coraz lepsi w wykrywaniu transportów z uchodźcami. Podejrzewam, że grupy floty Nowej Republiki pod bezpośrednią kontrolą rady nie będą w stanie poświęcić temu problemowi swoich sił i zasobów. A zatem my się tym zajmujemy. Proszę o propozycje.

- Pierwszym krokiem powinno być zebranie informacji na temat działań Yuuzhan - odezwał się Luke. - Musimy sprawdzić, skąd wiedzą aż tyle o ruchach statków z uchodźcami. Niewykluczone, że wprowadzili jakiegoś Yuuzhanina do grona uchodźców... w tym przypadku pewnie będzie potrzebny Jedi, żeby przeleciał się z nimi i sprawdził, którego nie widać w Mocy.

- Racja - zgodził się Wedge. - Kto następny? Danni Quee podniosła rękę w głębi pomieszczenia.

- Mogą mieć jakieś stworzenie śledzące statki.

- Też racja - skinął głową Wedge. - Czy można coś z tym zrobić? Danni zastanowiła się szybko.

- Takie stworzenia przypuszczalnie wykorzystują zmiany grawitacji do sygnalizowania swojej obecności. Potrafię chyba zbudować urządzenie wykrywające podobne do tego, jakiego używam do śledzenia yammosków, Jeśli zamontujemy je na statku uchodźców, będzie ono rejestrowało strumień grawitacyjny i określało, czy takie stworzenie może znajdować się na pokładzie. Jeśli jednak statek nie przetrwa wyprawy i nie będziemy mogli odzyskać urządzenia, nie dowiemy się niczego.

Corran Horn podniósł rękę.

- Musimy się upewnić, że statek przetrwa. Zrobimy Yuuzhanom niespodziankę i będziemy tak długo wysyłać statek na różne misje, aż się na niego zdecydują. To ma jeszcze dodatkową zaletę: Yuuzhanie likwidują statki uchodźców właściwie bezkarnie. Jeśli ich własne jednostki przydzielone do tych misji zaczną znikać, może się dwa razy zastanowią zanim się do tego zabrają.

- Świetnie - mruknął Wedge.

- Ale jeśli statki nie korzystają z tych grawitacyjnych zwierzaków, wciąż pozostaje jeszcze kwestia dziur w ochronie siatki uchodźców, którymi przeciekają informacje. Wtedy trzeba będzie rozwiązać ten problem w tradycyjny sposób.

- No cóż, chyba przyda się trochę taktyki - stwierdził Wedge. - Zdaje się, że będę potrzebował ochotnika do koordynowania tej akcji, który będzie współpracował ze mną i z Tychem przy przygotowywaniu misji.

Ku zdumieniu wszystkich, Lando pierwszy podniósł rękę.

- Chyba najwyższy czas, żebyśmy zaczął seryjnie poprawiać urodę Yuuzhan Vongom - rzekł. - Oczywiście na mój własny niepowtarzalny sposób.

- Oczywiście - zaśmiał się Wedge.

- Potrzebuję szybkiego kanału komunikacyjnego z Talonem Karrde'em, urzędnika Danni, eskadry myśliwców, może jednego lub dwóch Jedi i morza brandy. Szczególnie ta ostatnia kwestia bardzo mi leży na sercu.

Wedge spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Chyba już załatwiliśmy wszystko, co mieliśmy tutaj do załatwienia. Czy ktoś chciałby jeszcze coś dodać?

- Ja. - Luke spojrzał na Marę przepaszajaco. - Wybieram się na Coruscant. Coś się tam dzieje. Coś, co wykracza poza działania Yuuzhan. Muszę to sprawdzić. Przypuszczam, że kiedy już się tam znajdę, zdołam wrócić, ale nie mam pojęcia, jak się dostać na planetę.

- Wywiad cię tam przeprowadzi - powiedziała Iella. - Właśnie zastanawialiśmy się nad sprowadzeniem grupy desantowej na Coruscant, bo musimy stworzyć komórki ruchu oporu również tam. Połączymy te dwie misje - uśmiechnęła się złośliwie. - Dołączysz do towarzystwa tego wyjątkowo wkurzającego mechanika.

- Nie wiem, jak ci dziękować - odparł Luke z kamienną twarzą.

Światostatek domeny Lah, orbita Myrkr

Był yuuzhańskim wojownikiem z twarzą pokrytą bliznami i tatuażami tak dokładnie, że nie było spod nich widać żadnych zmarszczek. Obszerna zbroja ze skorupy krawa vonduun ukrywała żyłaste szczupłe ciało aktywnego starca. W dłoni, niczym zwój liny, trzymał amphistaffa niezwyklego typu - dłuższego i cieńszego niż standardowa broń Yuuzhan Vongów.

Nieczęsto spotyka się tak wiekowego Yuuzhanina. Większość kończy szlachetną śmiercią znacznie wcześniej.

Spacerował pomiędzy koralowymi ławkami sali szkoleniowej, za plecami uczniów - wojowników oficerów ubranych tylko w przepaski biodrowe. W przedniej części sali świetliki odtworzyły kształt planety, jej obronnych platform i ekranów oraz atakujących sił Yuuzhan Vongów.

- Patrzcie tutaj - powiedział. - Górny prawy kwadrant świata Coruscant. Strumień statków na widocznym ekranie... widzicie, jak rozbłyskuje i znika. Te statki niosą uchodźców, naszych wrogów, a znikają dlatego, że wprowadziliśmy je w rejon przesłonięty chroniony przez pasywną obronę wroga. Kiedy już nie mogli dłużej znieść myśli

o tym, że pokrewne im niewinne istoty giną od ich własnych ekranów, opuścili je, a my wkroczyliśmy do ich świata - sanktuarium.

Świetliki zmieniły swoją konfigurację tak, że strumień statków przeszedł przez tarczę, ale teraz towarzyszyły mu błyski oznaczające statki ofensywy Yuuzhan.

- A więc, jaka była najważniejsza informacja, której potrzebowaliśmy, aby wdrożyć ten plan?

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie młody wojownik, o ciele skąpo ozdobionym bliznami i tatuażami, wstał sztywno, nie odwracając się twarzą do starego nauczyciela.

- Musieliśmy wiedzieć, gdzie znajdują się ich pasywne systemy obronne.

Starszy Yuuzhanin zamachnął się zwojem amphistaffa i strzelił nim w powietrze. Trójkątny ogon zwierzęcia wystrzelił i ugodził plecy młodego wojownika, wygryzając otwór poniżej łopatki. Starzec wyszarpnął żywy pejecz, a z rany popłynęła krew.

- Siadaj - powiedział. - Właśnie otrzymałeś znak Czulkanga Laha. Każdy, kogo uczę, dostaje ich kilka. Stają się one honorowymi odznakami, świadczącymi o tym, że przeżyłeś moje szkolenie. Ale najbardziej beznadziejni uczniowie spośród was otrzymują ich tak wiele, że nie będą już zaszczytnymi bliznami, tylko znakiem głupoty i nieuctwa. Nie powinniście więc zebrać ich zbyt wiele. A teraz kto odpowie na zadane pytanie?

Nikt nie wyrwał się z odpowiedzią.

Stary wojownik westchnął.

- Wszyscy wstać. Wszyscy, z wyjątkiem tego, który poprzednio miał odwagę udzielić odpowiedzi.

Uczniowie, oprócz jednego, który wciąż krwawił, wstali. Czulkang Lah szedł między nimi metodycznie, rytmicznie i powoli, wycinając w każdym grzbiecie po dwie dziury. Uderzeni wojownicy nie krzyczeli. Żaden z nich nie wydał głośniejszego dźwięku niż stęknienie. Ale od tej chwili będą pamiętać, że to strach przed udzieleniem błędnej odpowiedzi wywołał gniew ich nauczyciela.

Kiedy był już w połowie grupy trzydziestu uczniów, jeden z nich, który jeszcze nie został naznaczony, odezwał się:

- Musieliśmy wiedzieć, że wróg poświęci wszystko, aby uratować kilku swoich. Musieliśmy poznać ich tok myślenia.

- Siadaj. - Czulkang Lah dokończył swojego dzieła, oszczędzając tylko tego, który odezwał się jako ostatni. Kiedy już wszyscy, poza tym jednym, mieli zakrwawione plecy, polecił:

- Wszyscy siadać. A teraz wszyscy myśleć. Tudradth Dyn ma rację. Musieliśmy zrozumieć ich słabości... i ich siłę. Ich zdolność do szkolenia wspaniałych wojowników, choć wszyscy są wrażliwi na ból i śmierć. Ich zniechęconą miłość do maszyn... i prawidłową ocenę skuteczności tych maszyn. Musieliśmy wiedzieć. Inaczej nie udało by się nam pokonać ich nad Coruscant ani nigdzie indziej.

Jeden z wojowników z zakrwawionymi plecami wstał.

- Czy mogę zadać pytanie, mistrzu wojenny?

- Nie jestem mistrzem wojennym - odparł Czulkang Lah. - To nie jest dożywotnia funkcja. Ale tak, możesz zadać pytanie. Karzę za nieprawidłowe wnioski... nie za ciekawość.

- Jak można zrozumieć sposób myślenia wroga, nie nauczywszy się myśleć tak jak on? - zapytał wojownik. - A jeśli ktoś już nauczy się myśleć jak nieprzyjaciel, czy nie ulegnie skażeniu jego myślami i nie stanie się zagrożeniem dla Yuuzhan Vongów?

- Dobrze pytanie. Siadaj. - Czulkang Lah okrążył ławki i stanął przed rzędami uczniów. - Odpowiedź jest taka, jak podejrzewacie. Dla naszych taktyków myślenie kategoriami nieprzyjaciela oznacza skażenie złem. Jeśli skażenie nie zaszło zbyt głęboko, taktyk może się wyleczyć, pograżając się na powrót w naszych naukach. Jeśli jednak skażenie staje się zbyt wielkie, może zawsze znaleźć sposób, aby umrzeć z honorem, wiedząc, że jego poświęcenie nas wzbogaci. Skażenie nie jest zatem problemem, jeśli nie przekaże go innym. Pamiętajcie. .. a to właśnie jest lekcja, której nieprzyjaciel na Coruscant nie rozumiał... że ocalenie pojedynczego życia nie jest ważne. A kiedy już postawicie się pośród tych, których zamierzacie posłać na pewną śmierć, uczynicie kolejny krok w kierunku strategicznej mądrości. -Spojrzał poprzez szeregi uczniów na obcą postać, która właśnie wkroczyła do sali. - Na dziś skończyliśmy. Możecie odejść.

Wstali i wyszli prawie bezgłośnie, nie szurając bosymi stopami. Po drodze dyskretnie zerkali na przybysza, który stał pogrążony w cieniu, otulony obszernym płaszczem.

Kiedy sala opustoszała, Czulkang Lah podszedł bliżej.

- Czy to ty?

Tsavong Lah odrzucił płaszcz.

- Ojczec...

Czulkang Lah skinął głową.

- Witaj, synu. A może przyszedłeś do mnie jako mistrz wojenny?

Tsavong Lah podszedł do ojca.

- Jako mistrz wojenny i syn. Jako syn zapytam zatem najpierw, jak się miewasz?

Czulkang Lah obnażył zęby nieregularne i połamane; dopiero teraz można je było zobaczyć w całej okazałości.

- A jak ci się zdaje? Stary jestem. Gdyby nie zbroja, pewnie nie mógłbym już chodzić. Odczuwam bóle, które nie mają nic wspólnego ze znakami, jakie na siebie nakładałem przez te lata. Jestem tu niczym więcej niż więźniem honorowym, niezdolnym do dowodzenia, którego syn błaga ciągle, aby nie umierał.

- To już się zmieniło.

- Nie chcesz, żebym dalej nauczał?

- Chcę, żebyś objął dowodzenie.

Czulkang Lah nie próbował nawet ukryć zaskoczenia. Odchylił się do tyłu, jakby te kilka centymetrów dawało mu lepszą perspektywę widzenia.

- Mów.

- Zostaliśmy w pewnym sensie skompromitowani przez garnizon broniący Borleias, świata na skrzyżowaniu szlaków nadprzestrzennych. Znasz go zapewne.

- System Pyria. Punkt wyjściowy do ataku na Coruscant.

- Właśnie. Garnizon broni tego świata zażarcie i z geniuszem taktycznym. Nie jesteśmy pewni, dlaczego. Przejelśmy jedną z ich instalacji technicznych, ale jej szczegółowe badanie nie wykazało niczego poza tym, że budują jakąś broń przeciwko nam. Niestety, ich naukowcy zdołali zniszczyć większość dowodów, zanim uciekli. Zasoby, które tam zwożą, taktyka, jaką stosują, a której nie potrafię wyjaśnić, wszystko to sugeruje, że coś się tam dzieje. Potrzebuję kogoś, kto by tam poleciał, zbadał tę tajemnicę, a potem zniszczył garnizon... i aby to zrobił w tak genialny sposób, by nasza kompromitacja poszła w zapomnienie.

- Nie. Znajdź kogoś innego.

- Dlaczego?

- Jeśli odniosę sukces, będzie to tylko gorzkie i słodkie echo tego, co kiedyś umiałem. Nie zrobię tego, chyba że po zakończeniu akcji będę mógł zachować dowództwo i wrócić do tego, co potrafię najlepiej.

Tsavong Lah zawahał się, a Czulkang Lah ciągnął dalej:

- Obawiasz się, że przywłaszczę sobie lojalność oficerów i całych domen, a potem odbiorę ci rangę, którą ty kiedyś odebrałeś mnie. Ale nie zrobię tego. Kiedyś stanąłem przeciwko tobie, ponieważ sprzeciwiałem się atakowi na tę galaktykę i podbojowi niewiernych. Teraz jednak już tu jesteśmy. Nie mam powodu być twoim przeciwnikiem, spiskować przeciw tobie. Żądam tylko, abyś dał mi cel do dalszego życia.

Jego syn wahał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Kiedy Borleias padnie, zachowasz dowództwo, a opowieści o twoich nowych wyczynach dołączą do dawnych, tak jak być powinno. Na razie chcę, abyś przerzucił domenę Hul i wszystkie jej zasoby do systemu Pyrii i zrobił to, co powiedziałem.

- Tak się stanie - powiedział Czulkang Lah i po chwili dodał. - Cieszę się, że przyszedłeś z tym do mnie osobiście.

- Nasze różnice zdań nie mają znaczenia. Dla Yuuzhan Vongów i dla własnego syna pozostaniesz bohaterem. Jestem ci to winien.

ROZDZIAŁ

9

Punkt zborny w głębokiej przestrzeni

Transportowiec personelu Gallofree „Jeolocas” wyszedł z nadprzestrzeni dokładnie tam, gdzie miał wyjść, tak daleko od wszelkich systemów gwiazdnych i znanych powszechnie szlaków nadprzestrzennych, że jego pasażerowie właściwie powinni byli zobaczyć jedynie otaczającą ich rozgwieżdżoną próżnię i mgławice w pełnej krasie barw.

Kiedy jednak wirujące linie podróży nadprzestrzennej wyprostowały się i rozsypały, a „Jeolocas” znalazła się w zwykłej przestrzeni, z mostka można było dostrzec wyraźnie yuuzhański odpowiednik fregaty, obłą masę lśniącego czerwono-czarnego koralu yorik. Statek znajdował się o niecałe dwadzieścia kilometrów od nich, w odległości skutecznego strzału.

Kapitan „Jeolocas”, młody człowiek z Korelii, który wyrósł na opowieściach o wyczynach sławnych koreliańskich pilotów, takich jak Han Solo i Wedge Antilles, poczuł, że pokrewieństwo ducha, które zawsze go łączyło z tymi bohaterami, ulatnia się nagle w obliczu uświadomienia sobie własnej śmiertelności. Po raz pierwszy w życiu nie czuł ochoty, aby ujrzeć w siatce celownika wrogi statek i rzucić się w wir walki z nieprzyjacielskimi pilotami. Szczerze mówiąc, korpus handlowy, w którym służył, wydał mu się nagle wyjątkowo niebezpieczny.

- No to już jesteśmy martwi-jęknął.

Pani oficer, błękitnoskóra Twi'lekanka, stojąca obok, uśmiechnęła się.

- Niekoniecznie, chyba że bardzo tego chcesz - odpowiedziała.

- Co takiego? - Wlepił w nią wzrok, szukając na jej twarzy śladów przerażenia, zmieszania, a przynajmniej zaskoczenia. Nic nie zobaczył. Nie znał jej co prawda zbyt dobrze... przedwcześniej jeszcze nie znał jej w ogóle, ponieważ właśnie wtedy została przydzielona do jego misji na osobiste polecenie organizacji Talona Karrde'a. A teraz zrozumiał, że wszystko, co o niej wiedział - nazwisko, historia służby - wszystko to było kłamstwem. Rozejrzył się po wnętrzu kapsuły i zdał sobie sprawę, że zanim jeszcze wyszli z nadprzestrzeni, Twi'lekanka wysłała pozostałych pięciu oficerów z różnymi rozkazami, dzięki czemu byli tu teraz sami.

- Wiedziałaś, że tu będą.

- Tak, wiedziałam.

- Jesteś z Brygady Pokoju, sprzedawałaś nas!

- Nieważne, kim jestem. Ważne, żebyś robił to, co ci każe.

Wyrwał z kabury służbowy miotacz. Ćwiczył ten gest od lat, żeby był gładki jak błyszczojedwab i szybszy niż może zarejestrować oko. Chciał, żeby nawet Han Solo, jeśli kiedykolwiek go spotka, był zaskoczony jego szybkością i śmiercionośną skutecznością.

Zaledwie podniósł broń, poczuł ostry ból w przegubie.

Opuścił wzrok. Jego dłoń była pusta i zgięta pod nieprawdopodobnym kątem, a miotacz znajdował się w dłoni Twi'lekanki i wbijał mu się lufą w podbródek. Wyglądała teraz poważnie, jakby się zastanawiała, czy mu przebaczyć to niewielkie wykroczenie, jakim był zamach na jej życie. Ból z nadgarstka promieniował już do łokcia i szykował się do dalszej wędrówki aż do ramienia, a on wciąż gapił się tępo, tuląc do piersi uszkodzoną dłoń.

- Chciałbyś żyć? - zapytała kobieta.

Skinął głową.

Uśmiechnęła się znowu. Sięgnęła wolną ręką po jego czapkę i włożyła ją sobie na głowę.

- No to ukryj się i nie wychodź, dopóki cię nie zawołam.

Odrzucił się i na sztywnych nogach odszedł z mostka. Kątem oka widział przez iluminator, że od strony yuuzhańskiej fregaty zmierza ku nim mały wahadłowiec.

Nagle przestał się przejmować tym, że nie jest tak odważny jak Han Solo. Z radością pozostanie taki przez resztę swojego życia... jeśli tę resztę można będzie zmierzyć w latach, a nie w minutach.

Śluza powietrzna otwarła się i zakuty w zbroję wojownik poprowadził oddział Yuuzhan Vongów w głąb znienawidzonych metalowych korytarzy transportowca.

Czekała na niego samica z gatunku, który już kiedyś widział, jedyny oficer na tym statku. Nie umiał sobie przypomnieć nazwy gatunku, ale jej skóra miała miły błękitny odcień, o dwa tony jaśniejszy niż worki pod oczami wojownika, a bezwłosa głowa rozdwajała się z tyłu w dwa pulchne ogony. Miała na sobie szamerowany złotem kombinezon mundurowy i czapkę przystrojoną złotym otokiem. U jej stóp leżał miotacz.

- Jestem Bastori Rak - odezwał się wojownik. - Kto tu jest kapitanem?

- Ja. - Kobieta skłoniła głowę z szacunkiem, ale nie spojrzała mu w oczy ani nie okazała lęku.

Bastori Rak zawahał się. W czasie takich napaści jego podstawowa taktyka polegała na zadawaniu bólu i wzbudzaniu strachu w oficerach statku, aby wyeliminować wszelką możliwość buntu. Tym razem jednak od razu zauważył, że kobieta wie, iż jest w mocy Yuuzhan Vongów. Już zamierzał ją uderzyć - dla zasady - ale zdecydował, że ciekawiej będzie sprawdzić, jak daleko sięga jej posłuszeństwo.

Wsunął spiczasty koniec amphistaffa w uchwyt miotacza, rozciął broń i podłogę pod nią po czym strząsnął z ostrza resztki metalu.

- Jaki jest wasz port przeznaczenia i co wieziecie?

- Lecimy do Gromady Hapes z ładunkiem składającym się głównie z uchodźców. Mamy siedem osób załogi, trzystu dwudziestu sześciu uchodźców... trzystu czterdziestu, jeśli liczyć tych, którzy są w ukrytych przedziałach. Poza tym żywność, rzeczy osobiste, przedmioty na handel oraz materiały szkoleniowe Jedi. Czy mam przekazać ci kody do naszych zabezpieczeń komputerowych?

- Dobrze, a potem pójdziesz za mną... Materiały szkoleniowe *Jeedai*?

- Tak.

- Co to za materiały?

- Nie jestem pewna. Widziałam tylko zawartość jednej baryłki. Są tam chyba hologramy ćwiczeń z historii i filozofii Jedi, substancje zakaźne, które normalne istoty zmieniają w Jedi, wiele mieczy świetlnych z nowej fabryki, takie rzeczy...

Bastori Rak wytrzeszczył na nią oczy. Przez krótką chwilę napawał się wizją własnej przyszłości. Znaleźko o takim znaczeniu z pewnością przyniesie mu awans, a nazwisko okryje się od dawna zasłużoną sławą. Wreszcie wykrztusił.

- A macie tutaj *Jeedai*?

Kobieta zamyśliła się.

- Nie sądzę. Jeśli są to podejrzewam, że właśnie niszczą swoje materiały szkoleniowe.

- Zaprowadź nas tam natychmiast.

Wzruszyła ramionami i pomaszerowała długim korytarzem, prowadzącym w głąb transportowca.

Dwa poziomy niżej, w jednej z przednich ładowni, Bastori Rak i jego wojownicy z niesmakiem odkryli wysokie stopy prawie identycznych skrzyń towarowych, wszystkie produkcji mechanicznej. Kobieta prowadziła ich wzdłuż całych ścian składających się z tych bezeceństw.

W otwartej przestrzeni pomiędzy dwoma stosami skrzyń stały beczkowate metalowe pojemniki, każdy wysokości nieco ponad metr i prawie metrowej średnicy w najszerszym punkcie, ustawione w czterech rzędach po cztery. Na każdym widniała etykieta: WŁASNOŚĆ AKADEMII JEDI. NIEBEZPIECZEŃSTWO. NIE OTWIERAĆ.

Bastori Rak poczuł zawrót głowy.

- Można je przenieść bez szkody? - zapytał.

- Nie sądzę - odparła kobieta. Wyciągnęła rękę dłonią skierowaną ku górze, gestem sugerującym, że chce o coś poprosić.

- Chodź, pokażę ci coś.

Bastori Rak spojrział na nią. Teraz patrzyła mu w oczy, a na twarzy miała drwiący uśmieszek.

Kątem oka Bastori Rak zauważył srebrny przedmiot, który przeciął powietrze i wylądował w jej dłoni.

Rękojeść miecza świetlnego.

- Przywitaj się z cierpieniem, bliznogłowy! - powiedziała kobieta i włączyła miecz. Jaskrawe, srebrzyste ostrze energii zapłonęło mżącym blaskiem.

Wyraźny i łatwo rozpoznawalny syk poderwał Bastoriego do działania. Wyciągnął amphistaff i ustawił go do parady.

Cios kobiety, boczny, płaski, wyminął blokadę, ściał miniaturowego villipa z ramienia Bastoriego i wgrzył się w jego szyję pomiędzy zbroją ze skorupy kraba vondunun, okrywającą mu tors, a hełmem. Poczul oślepiający ból, zbyt wielki, by go przyjąć lub zignorować. Amphistaff wypadł z jego bezwładnych palców i Yuuzhanin zwałił się na ziemię.

Żył jeszcze i mógł widzieć. Zobaczył, jak jego zastępca atakuje kobietę, jak ona z wdziękiem paruje ciosy i usłyszał jej śmiech. Widział, jak pokrywy beczek wyginają się do góry, a ich zawartość staje na nogi i rozrywa cienką blachę.

W beczkach były roboty, roboty bojowe, z bronią naszykowaną do walki. Miotały otworzyły ogień, tnąc wojowników na kawałki.

Wzrok Bastoriego przesłoniła oślepiająca jasność. Usiłował się skoncentrować, ale już nie był w stanie. Umarł, patrząc jak jego wojownicy wiją się pod skoncentrowanym ogniem znieawidzonych robotów bojowych.

Pułkownik Gavin Darklighter, siedząc w ciemności, którą rozświetlały jedynie lampki przyrządów, włączył komunikator.

- Mam sygnał - oznajmił. - Ruszać.

Ciemność nad jego głową rozstała się, gdy kamuflaż jego X-winga - kontener przymocowany śrubami do górnej powłoki kadłuba transportowca tuż za kapsułą mostka - rozłożył się na obie strony. Wokół niego wszystkie pozostałe jedenaście myśliwców Eskadry Łotrów również były już wolne i włączały silniki, by rzucić się na fregatę Yuuzhan Vongów.

Yuuzhanie potrafili reagować szybko - Gavin musiał im to przyznać. Natychmiast, jak tylko Eskadra Łotrów wystartowała z transportowca, działa plazmowe fregaty przemówiły, kierując strumienie przegrzanego materiału na jego X-wingi.

- Płaty do pozycji bojowej - rozkazał. - Strzelać według uznania.

Skrzydła dwunastu myśliwców ułożyły się w charakterystyczny kształt X. Zanim jeszcze zostały zablokowane w nowej pozycji, Nevil i dwaj inni piloci wypuścili torpedy protonowe.

Gavin i pozostali odczekali kilka sekund, robiąc uniki przed strumieniami plazmy, po czym otworzyli ogień laserowy. Dwanaście poczwórnych laserów wypaliło, wysyłając niszczycielskie strumienie energii przez dwadzieścia kilometrów przestrzeni; wstęgi laserowego światła wyminęły torpedy protonowe, aż wbiły się we fregatę.

A raczej w pustki, wygenerowane przed fregatą. Dovin basale statku, reagując na zagrożenie pierwszego ataku, stworzyły swoje osobliwości grawitacyjne na drodze strumieni energii laserowej, polykając znaczną jej większość.

Polykały ją jeszcze, kiedy spóźnione nieco torpedy protonowe błysnęły pomiędzy nimi i wbiły się w powłokę fregaty. Spowodowały jedną dwie, potem trzy jaskrawe eksplozje. A kiedy zaczęły przygasać, Gavin mógł zobaczyć, jak potężny kadłub fregaty pęka na dwie części, z których każda wypływa rozpalone szczątki. Działa plazmowe przestały strzelać do eskadry; tylko dwa z nich wciąż pluły płonąca galaretą gdzie padło.

- Potwierdzani zestrzelenie - rzekł Gavin. - Bez strat po naszej stronie. Gotów, Hazardzisto?

Wytworny akcent Landa Calrissiana nie zmienił się nawet w komunikatorze.

- Odbiór, dowódco Łotrów. U nas to samo. Bez strat własnych. Piękna egzekucja, szczątki po całej podłodze.

- Zobaczmy się w bazie. Dowódca Łotrów bez odbioru.

Gavin poprowadził Łotrów łagodną pętlą w kierunku Borleias. W kilka chwil później eskadra wykonała skok w nadprzestrzeń.

Lando patrzył na pole niedawnej bitwy, które w normalnych warunkach było ładownią. Dwudziestu yuuzhańskich wojowników leżało trupem, niektórzy kompletnie nierozpoznawalni. Cała podłoga była zasłana ich szczątkami. Piętnaście robotów bojowych Landa oraz Ale-ma Rar, Twi'lekanka Jedi, kręcili się wokół, dobijając wijące się amphistaffy, a przy okazji brzytwołuki i żuki udarowe, które uwolniły się w czasie strzelaniny z zasobników na martwych ciałach właścicieli. Alema pogwizdywała w czasie pracy.

Lando spojrzął na swój notatnik. Wysłał właśnie sygnał do urządzenia zamontowanego w innym miejscu statku.

Niedobrze. Aparatura Danni nie wykazuje żadnych anomalii grawitacyjnych, co znaczy, że na tym statku prawdopodobnie nie ma naprowadzającego zwierzaka.

Alema skinęła głową i wyłaczyła miecz.

- Pewnie to uchodźcy zdradzają jedni drugich. Nie jestem pewna, dlaczego. Może z powodu straty ukochanych osób. Może zostali przekupieni. - Wzruszyła ramionami. - Na pewno się zorientujemy, co robią.

Lando spojrzął na swojego robota-adiutanta.

- Jeden-Jeden-A, posprzątaj tu. Usuń tylko szczątki biologiczne, nie przejmuj się żadnymi śladami po miotaczach. Egzemplarze broni i urządzeń załaduj do beczki i dokładnie zamknij, a potem przenieś do wahadłowca.

- Przyjęto - zsalutował Jeden-jeden A.

- Masz ochotę to uczcić? - To była Alema uśmiechająca się ze sztuczną skromnością.

Lando odwrócił się do niej.

- Co ci chodzi po głowie?

Uśmiechała się ciągle.

- Miła jesteś - zaprezentował najmiłszy uśmiech, na jaki mógł się zdobyć. - Czuje się zaszczycony, ale jestem żonaty - odpowiedział możliwie najłagodniejszym tonem.

Przekrzywiła głowę: widocznie w jej mniemaniu odpowiedź nie była wyczerpująca.

- Muszę odmówić - dokończył.

Wzruszyła ramionami, jakby się tym nie przejęła.

- No to zajrzę do wahadłowca.

Zaledwie wyszła, Lando zwrócił się do 1-1 A.

- Możesz mi jeszcze raz przypomnieć, jakie są zalety życia w cnocie?

- Nigdy panu tego wcześniej nie przypomniałem.

- Pytanie było retoryczne.

- Nigdy też nie mówiłem panu o tych zaletach, zanim panu o nich nie przypomniałem.

- Pytanie było naprawdę retoryczne. Chyba rzeczywiście muszę ci wmontować ulepszony moduł konwersacyjny, jeśli będziesz tak gadał przez cały czas.

Gdzieś w oddali usłyszał nawoływanie Alemy:

- Kapitanie, kapitanie! Możesz już wyjść, gdziekolwiek wlażesz!

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty

Han ocknął się i poczuł, że Leia szarpie go z całych sił. W pokoju panował mrok; od chwili, gdy położyli się spać, minęło zaledwie kilka godzin. Otumanienie spowijało Hana jak drugi koc. Przyszło mu do głowy, że Borleias może dlatego nigdy nie stało się prawdziwą kolonią że ci, którzy tu mieszkali, byli wiecznie niewyspani.

- Co się dzieje?

- Właśnie dostałam wiadomość z centrum dowodzenia - szepnęła Leia. Brakowało jej tchu z podniecenia, w jej głosie brzmiała taka radość, jakiej Han nie słyszał od dawna. - Jaina jest w systemie i zmierza w naszą stronę. Ubieraj...

Han był już na nogach; otumanienie ulotniło się jak tarcza myśliwca trafiona z działa laserowego. Rzucił się w kierunku szafki, w której trzymał ubrania.

- ...się.

Luke obserwował, jak jeden mocno poobijany X-wing i hapański frachtowiec w kształcie dysku spiralnym lotem spadają w dół i lądują na polu, które niedawno służyło za lądowisko pojazdów rady.

Jaina Solo, która odziedziczyła szczupłą sylwetkę i niedbały sposób poruszania się ojca, ale także złudnie delikatne rysy twarzy matki, okolone teraz ciemnymi włosami, przylizanymi od długiego przebywania pod hełmem, zbiegła po rampie wejściowej frachtowca i natychmiast znalazła się w ramionach rodziców. Za nią szedł Lowbacca z nosem uniesionym tak, jakby próbował w tłumie wywęszyć przyjaciół. Na widok Tahiri, Zekki i innych kolegów z akademii, którzy wyrwali się z tłumy gapiów, wydał z siebie prawdziwy, grzmiący ryk Wookie.

Kyp Durrone wysiadł z kabiny X-winga. Szczupły, ciemnowłosy, o ostrych rysach, na ogół emanujący gniewem i niezadowoleniem, lecz w tej chwili spokojny i odprężony, ubrany był nie -jak zawsze - w eleganckie cywilne ubranie, ale w anonimowy kombinezon pilota.

Luke podszedł do niego. Mara nie pospieszyła za nim - Luke wiedział, że czeka na okazję, aby pogadać z Jainą. Skinął głową kłopotliwemu Jedi z miną, która - miał taką nadzieję - mogła ujść za przyjazną.

- Witam, mistrzu Skywalkerze. - W głosie Kypa, o dziwo, nie brzmiała ironia ani gniew.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Nie jestem zmęczony - zaprzeczył Kyp. - Po prostu inny.

Przynieśli spóźnialskim zaimprovizowany naprędce posiłek i wysłuchali ich opowieści - relacji nieco bezładnej, bo Jaina, Kyp i Lowbacca cały czas przerywali sobie wzajemnie, poprawiali się i uzupełniali - o okresie, jak we trójkę spędzili na Hapes po wyjeździe Hana i Leii. Wedge, pełniąc rolę mistrza ceremonii, sprowadził jeszcze paru gości; Luke ze zdumieniem spostrzegł wśród nich Jaga Fela.

Fel był wysokim żyłastym młodzieńcem o krótkiej ciemnej czuprynie. Długa bliźna przecinała mu czoło i znikła we włosach, które w tym miejscu były całkiem białe. Był siostrzeńcem Wedge'a i świetnym pilotem, co nie było niczym niezwykłym, skoro odziedziczył refleks zarówno po Antillesach, jak i Felach, a wychowywał się wśród wojowniczych, błękitnoskórych Chissów, wśród których zamieszkali jego rodzice. Czarny mundur Fela przypominał uniformy imperialnych pilotów myśliwców TIE, ale był nieco inaczej skrojony i ozdobiony czerwonymi lamówkami na tunice i spodniach.

Han chciał usiąść jak najbliżej Jaina, za to Leia zajęła dalsze miejsce, jakby chcąc uzyskać pewną perspektywę.

- A więc Yuuzhanie zbierają się wokół Hapes, a Tenel Ka rządzi tam teraz jako królowa matka - podsumował Luke. - To i dobrze, i źle. Nawet przy zdziękowanej flocie i tak bliskim zagrożeniu, Hapes może być naszym potężnym sojusznikiem. Musimy jej zaproponować jak najdalej idącą pomoc, żeby Yuuzhanie się tam nie rozpanoszyli.

Kyp skrzywił się.

- Nie sądzę, aby Hapes dało się w ogóle zrozumieć. - Zamyślił się i dodał: - Ale ja chyba jestem ostatnią osobą, która ma prawo do wygłaszania takich opinii.

- I tak mamy szczęście, że wszystko się w miarę dobrze dla nas skończyło - odparł Luke. - Ta'a Chume wciąż jeszcze mogła być u władzy i utrudniać wszystkim życie. - Obejrzał się na Jainę. - Naprawdę nie kwestionowałem waszej decyzji, chyba to rozumiesz... nie twierdziłem, że powinnaś skakać w przepaść, bo tam byłby ślub z Isolde-rem.

Jaina uśmiechnęła się pogodnie.

- Wiem, o co ci chodzi, wujku Luke. Dokonałam właściwego wyboru.

Han nachylił się do ucha Leii.

- Zmieniła się. W ciągu tych paru dni, odkąd opuściliśmy Hapes.

Leia skinęła głową, ale tak, żeby tylko on to zobaczył.

- Podjęła chyba jakieś postanowienie, coś sobie uporządkowała. Myślę, że rozwiązała przynajmniej jeden z konfliktów, jakie ją pożerały. - Westchnęła i lekko oklapła. - Cokolwiek jednak postanowiła, nie ma to nic wspólnego ze mną. Była zupełnie sztyw-
na, kiedy ją przytuliłam.

- Na pewno znajdzie właściwą drogę i poradzi sobie ze wszystkim, wierz mi. Daj jej trochę czasu.

Wedge, wpatrzony w Jainę, zapytał:

- Jakie masz teraz plany? Wciąż jesteś na liście rezerwowej Eskadry Łotrów, ale twoja sytuacja jest... powiedzmy nietypowa, więc nie mam zamiaru cię powoływać,

jeśli wraz z Lukiem uznacie, że jesteś potrzebna gdzie indziej. Mogę cię skontaktować z jednym ze zgrupowań floty, jeśli chcesz... ale twoja umiejętność pilotażu bardzo by nam się przydała tu, na Borleias.

Jaina rozejrzała się wokoło. Han zauważył, że jej wzrok zatrzymał się na ułamek sekundy najpierw na nim, potem na Leii, a potem - o dziwo - na Kypie i Jagu.

- Zostanę - powiedziała. - Ale muszę coś zrobić. Chciałabym stworzyć nową eskadrę myśliwców, jeśli uda nam się zebrać dość pilotów i sprzętu, i ćwiczyć pewne taktyki. Koordynację opierającą się na użyciu Mocy.

Brwi Luke'a powędrowały w górę.

- Coś takiego, jak Joruus Cbaoth robił dla Thrawna?

Jaina wzruszyła ramionami.

- Nie mówię o historii starożytnej, tylko o dniu dzisiejszym. - Zauważyła kwaśne miny i mroczne spojrzenia, jakie pojawiły się na twarzach wszystkich obecnych powyżej trzydziestki. Uśmiechnęła się spokojnie. - Nie, nie o to mi chodziło. Nie mówię o czymś na taką skalę, jak to robił Cbaoth, tylko o jednej eskadrze myśliwców. Yuuzhanie uważają że jestem w jakiś sposób spokrewniona z Yun-Harlą ich boginią podstępów. Chciałabym się trochę tym pobawić... to znaczy wymyślać różne sztuczki albo to, co Yuuzhanom może się wydawać sztuczką a dla mnie oznacza Moc. Liczę też na najlepsze rady od najlepszych pilotów, takich jak wujek Luke i generał Antilles.

Wedge zamyślił się.

- Słyszałem coś nieco o tej bogini podstępów. Myślę, że to niezła metoda dla wojny psychologicznej. Jestem skłonny przychylić się do tego pomysłu. Ale jeśli mamy sprawić, by Yuuzhanie uwierzyli, że rzeczywiście jesteś krewną Yun-Harli, będziemy musieli traktować cię jak boginię.

- To brzmi okropnie. - Jaina uśmiechnęła się szeroko.

- Wcale nie żartuję. Zastosujemy specjalne traktowanie włącznie z całkowitą izolacją. Wszyscy zobaczą jak okazujemy ci szacunek, na jaki nie zasłużyłaś. Wywoła to poczucie krzywdy wśród pilotów, którzy zasłużyli na to bardziej od ciebie. Będziesz mogła rozmawiać swobodnie tylko z tymi osobami, które są wtajemniczone, oraz w miejscach, które wywiad skontroluje pod względem podsłuchu. Oddalisz się od towarzyszy.

- Żaden problem.

Luke pochylił się naprzód.

- Uważam, że jeszcze coś trzeba zrobić. Wszystkie nowe pomysły, które służą ogłupianiu Yuuzhan Vongów, są warte rozważenia. A ponieważ wybieram się w tej chwili na pewną misję i co innego mam na głowie, mógłbym przekazać Eskadrę Bliźniaczych Słońc Jainie. Oczywiście, jeśli się zgodzisz. Wedge.

Głowa Jaina obróciła się błyskawicznie w stronę Luke'a.

- Mówisz poważnie?

- Jasne. I myślę, że taka symboliczna decyzja nie pozostanie niezauważona przez Yuuzhan. Luke Skywalker przekazuje swoją osobistą eskadrę...

- Eskadrę, która ma w nazwie słowo „bliźniaczy” - dodał cichym głosem Jag.

- No właśnie - podchwycił Luke. - Została nazwana na pamiątkę Tatooine, ale oni o tym nie wiedzą.

Wedge skinął głową.

- Jainie przydałoby się trochę doświadczenia w dowodzeniu eskadrą. W dodatku wiem coś, o czym ona nie wie: że Corran Horn wrócił do Eskadry Łotrów. Oznacza to, że będziemy mieć dwie eskadry z pilotami Jedi. To może nam pozwolić na najsmielsze eksperymenty z taktyką...

- Przywiozłem z Hapes eskadrę myśliwców - wtrącił Jag. - Ale pomysł nauczania ich taktyki koordynacji z użyciem Mocy... a przy tym nakarmienie wyobraźni naszych wrogów... to intrygujące. Chyba jednak przyłączę się do Eskadry Bliźniaczych Słońc.

- Ja też - odezwał się Kyp Durronek. Han zauważył przelotny błysk zaskoczenia w oczach Luke'a.

Wedge nawet nie ukrywał zdumienia.

- Obaj jesteście tego pewni? Chcecie przyjmować rozkazy od dowódcy eskadry o znacznie mniejszym doświadczeniu w dowodzeniu niż wasze?

- Tak - odparł Jag. - Umiem przyjmować rozkazy równie dobrze, jak je wydawać. A mój zastępca, Shawknyr Nuruodo, doskonale nadaje się na dowódcę eskadry, którą tu sprowadziłem.

Kyp skinął głową.

- Uważam, że dobrze mi zrobi rezygnacja z dowodzenia. Tylko na tym skorzystam. Jeśli mi się znudzi, zawsze mogę się przenieść.

Han poczuł na uchu oddech Leii i usłyszał jej szept.

- Zdaje się, że Jaina nie jest jedyną osobą która się zmieniła.

- To na pewno fałszywy Kyp - odparł. - Odwróć jego uwagę, a ja go zastrzelę spod stołu.

Wedge posłał Jainie uśmiech z lekka tylko zabarwiony złośliwością.

- Proszę bardzo. Od tej chwili masz eskadrę, którą pewnie zechcesz przekształcić w gwardię honorową wcielenia Yuuzhańskiej bogini. Pamiętaj, że najpierw będziesz się musiała zająć czystą biurokracją. Sprawdzę, czy nie znajdę jakiegoś kandydata na pilota wśród Ewoków, żeby ci go dorzucić do paczki i utrudnić zadanie. Ani się obejrzysz, a osiwiejesz, tak jak ja.

Yuuzhański światostatek, orbita Coruscant

Nen Yim stała nad mistrzem wojennym, który spoczywał na stole. Czuła się niepewnie, bo jej życie zależało od wyniku tego badania. Tymczasem wszystko, łącznie z tym, że Tsavong Lah leżał, a ona stała, było odwrotnie niż trzeba.

Była Yuuzhanką członkinią kasty mistrzów przemian, nosiła też ich żywy kołpak, a pośród innych żywych ozdób i okaleczeń szczyciła się prawą dłonią nie tą z którą się urodziła, lecz ośmiopalczystą dłonią mistrza przemian, której każdy palec był narzędziem użytecznym dla tej profesji. Jej nauczycielka, Mezhan Kwaad, była heretyczką nieposłuszną władcom Yuuzhan Vongów, gardzącą bogami, lecz Nen Yim dzięki niej właśnie poznała wiele sekretów rzemiosła przemian. Wkrótce też została osobistą mi-

strzynią przemian Najwyższego Władcy Shimrry, który właśnie wypożyczył ją na pewien czas wojennemu mistrzowi.

Lewe ramię Tsavonga Laha spoczywało pod wypukłą soczewką -stworzeniem, które zmieniało kształt, a więc i skalę powiększenia, w zależności od dotknięcia operatora. Nen Yim studiowała je uważnie, obserwując miejsce styku ciała Yuuzhanina ze szponem radanka oraz zachowanie padlinożerców. W tym powiększeniu robaki były ogromne, wielkości kciuka, najeżone szczeciniastymi włosami; szybko przebierały ostrymi, kanciastymi łapami i zręcznie zagłębiały szczypce w ciało.

- I co? - zapytał mistrz wojenny.

Nen Yim starannie przemyślała odpowiedź. Nie miała zresztą wiele do stracenia, przekazując Tsavongowi nagą prawdę, więc zwłoka była krótka.

- Niewiele potrafię powiedzieć po tak krótkich oględzinach. Mogę jednak przekazać ci pewne fakty. Po pierwsze to, co się tu dzieje, w niczym nie przypomina żadnego odrzutu implantu, z jakim się kiedykolwiek zetknęłam.

- Dlaczego?

- Te stworzenia hoduje się po to, aby zjadały martwe ciało. Są użyteczne przy oczyszczaniu ran. Atakują martwą tkankę na połączeniu z implantem. Ale tu nie powinno być zbyt wiele martwych komórek, ponieważ zarówno szpon radanka, jak i twoje ramię regenerują się doskonale. Przy normalnym odrzuceniu, takim jakiego obserwujemy u Zhańbionych, jedna lub druga część nie chce się zregenerować, a padlinożercy rozmnażają się w tej części ciała nieszczęśnika, aż połączenie pomiędzy oryginalnym a nowym ciałem przestaje istnieć.

Mistrz wojenny nie przerywał, więc Nen Yim uznała że bezpiecznie może kontynuować.

- Po drugie, twoje ciało Yuuzhanina regeneruje się wolniej niż ciało radanka, a przy tym tylko własne ciało gnije w miejscu połączenia. W rezultacie szpon radanka rośnie, obejmując coraz większą część ramienia, twoje zaś naturalne ciało cofa się.

- To widzę.

- Ale to nie jest naturalne. Tym bardziej że szpon radanka, rosnąc, nabiera takiego samego wyglądu, jaki miałby powyżej linii przecięcia, zupełnie jakby ktoś chciał powoli regenerować całe stworzenie poprzez wchłanianie twojego ciała. Dziwna patologia.

- Gdyby jakiś mistrz przemian chciał to zrobić umyślnie, jaki byłby jego cel?

Nen Yim zabrała urządzenie optyczne znad Tsavonga Laha i położyła je na blacie zarzuconym fragmentami próbek, które pobrała.

- Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że obecność padlinożerców ma przekonać postronnych świadków i wszystkich, którzy nie są kształceni w technice przemian, że odrzucenie nastąpi wkrótce i jest nieuniknione. To właśnie wymaga poświęcenia ciała pasożytom. Ale twoje ramię jest w gruncie rzeczy zdrowe, co oznacza, że jeśli uda się zatrzymać proces, będzie tak samo sprawne, jakby przeszczep przeszedł bezproblemowo.

- Innymi słowy, załatwił mi odrzut bez szczególnej szkody dla zdrowia.

- Właśnie, mistrzu wojenny.

- Mogłabyś zrobić coś takiego? Mogłabyś sprawić, aby implant tak się zachował?

- Tak sądzę... nigdy dotąd nie poświęcałam uwagi takim zadaniom, ale czerpiąc z innych technik, technik przeznaczonych do innych celów... tak, uważam, że udałoby mi się tego dokonać.

- Co musiałabyś zrobić swojej ofierze? - Tsavong Lah usiadł, owijając się płaszczem. Znów górował nad drobną mistrzynią.

- Musiałabym sprawić, aby punkt wszczepu zareagował na pewne substancje. Po-tem, po przymocowaniu implantu, musiałabym już tylko podtrzymywać dopływ sub-stancji do tego miejsca.

Tsavong Lah pokręcił głową.

- Nie ma sposobu, aby ktoś mógł mi podać taką truciznę. Zbyt ściśle przestrzegam środków ostrożności przy przyjmowaniu posiłków.

- Czy on cię dotykał? - Słowa wymknęły się jej, zanim zdołała je powstrzymać, zanim zdążyła sobie przypomnieć, że osoba tak niskiej kondycji nie ma prawa zadać mistrzowi wojennemu pytania wprost, nie zagłębiając się uprzednio w skomplikowaną serię rytualnych wstępów. Przełknęła ślinę, nagle ogarnięta lękiem, ale brnęła dalej:

- Wybacz mi ten brak ogłady, ale przyszło mi właśnie do głowy, że gdybym miała badać taką ranę w sposób rutynowy, mogłabym wprowadzać te substancje poprzez bezpośredni dotyk. Albo przez użycie wyspecjalizowanych stworzeń, podobnych do padlinożerców, lecz hodowanych tak, aby przenosiły te substancje i wołały zdechnąć, niż zjeść martwe ciało.

Mistrz wojenny zignorował jej nietakt.

- Dotyka mojego ciała i implantu podczas badania. Czy możesz temu przeciwdzia-łać?

- Nie wiem. Nie wiem nawet na pewno, czy to działanie mistrza przemian. To mo-gą być oznaki niezadowolenia bogów.

Nen Yim wyczuła zniecierpliwienie mistrza wojennego, więc dodała:

- Przyjmując jednak, że to robota mistrza przemian, musiałabym obejrzeć twoje ramię tuż po następnej wizycie u mistrza. Wtedy będę mogła wykryć wszystkie nowe substancje i pasożyty, jakie się tam mogą znaleźć.

- Uczynię tak, jak mówisz. - Tsavong Lah wskazał jej obszerny płaszcz, pod któ-rym ukrywała twarz, kiedy wprowadzano ją do tej komnaty. - Teraz zaprowadzacie do twojej kwatery. Zrób listę rzeczy, których będziesz potrzebować. Gdyby ktokolwiek pytał, co tu robisz, powiedz, że masz przygotowywać moją sługę, Viqi Shesh, do pew-nych eksperymentów. Oczywiście, nie będziesz z nią nic robić - dodał, jakby odgadując myśli Nen Yim. - Ale takie małe kłamstwo powinno uspokoić ciekawskich.

- Jak sobie życzysz, mistrzu wojenny. - Skłoniła się i wzięła płaszcz.

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty siódmy

- Niby co miałabym widzieć? - zapytała Iella. Siedziała w biurze Danni niezado-wolona, bo Danni zabierała jej czas, potrzebny do załatwiania spraw wywiadu.

Danni wcisnęła klawisz w notatniku Ielli. Obraz pojawił się znowu - yuuzhańscy wojownicy w słabo oświetlonym korytarzu. Biegli w kierunku osoby, która niosła ho-

lokamerę, wydając przerażające okrzyki wojenne. Ich ruchy były bardzo podobne do ludzkich.

- To zapis dokonany przez Tama Elgrina. Był z grupą ludzi w budynku na Co-ruscant, kiedy patrol Yuuzhan Vongów zobaczył ich i ruszył w pogoń. Biegł na końcu grupy, kiedy to nagrywał. Potem wyłączył holokamerę, żeby skoncentrować się na ucieczce, i udało mu się. W przeciwieństwie do pozostałych.

- I co z tego?

- To nagranie jest jakieś dziwne. Tam zresztą też. Ten chłopak zachowuje się, mo-im zdaniem tak, jakby był kompletnie nieprzystosowany. Próbowałam go rozszyfro-wać. Odtwarzałam ten fragment raz za razem, najpierw szukając informacji na temat yuuzhańskiego ataku, potem na temat Tama... wreszcie doszłam do wniosku, że to wra-żenie nie ma nic wspólnego z Yuuzhanami.

- Nie nadażam.

- Trochę podziałałam za twoimi plecami i poprosiłam Widm, żeby go dla mnie sprawdzili i w wolnej chwili zrobili analizę zapisu.

- To oni mają jeszcze wolne chwile? Nie przypominam sobie, żebym im dawała wolny czas. No więc, co odkryli?

- W ścieżce dźwiękowej słychać w holu odgłosy kroków dziewięciu osób. Na na-graniu widać ośmiu Yuuzhan, więc dziewiąty musi być Tam.

- Ośmiu Yuuzhan Vongów i jeden człowiek... - Iella jeszcze raz spojrzała na na-granie, odtwarzane teraz w samopowtarzalnej pętli. -To znaczy, że Tam nie szedł z żadną grupą.

- Właśnie.

- Po co miałby kłamać? - Odpowiedź nasunęła się sama, zanim jeszcze Iella do-kończyła pytanie. - Gdyby przyznał, że był sam, miałby problem, żeby przedstawić wiarygodne wyjaśnienie, w jaki sposób uciekł przed tymi wojownikami.

- Znowu racja.

- To znaczy, że wcale przed nimi nie uciekał. Danni wzruszyła ramionami.

- Tak mi się zdaje. Aleja nie jestem w wywiadzie.

- A chcesz się przenieść? Danni uśmiechnęła się lekko.

- Chyba by mi nie pozwolili.

Iella wyjęła kartę danych ze swojego notatnika.

- Mogę sobie to wziąć?

- Jasne, zrobiłam kopię. Wiele kopii.

- Dobra robota, Danni. - Iella wstała i podeszła do drzwi. - Powiesz mi, jeśli kie-dykolwiek będziesz chciała wstąpić do wywiadu.

- Dowódca Bliźniaczych Słońc gotów - zameldowała Jaina. -Cztery silniki zapalo-ne, wszystkie zielone.

Drgania silników X-wingów, ich wycie dochodzące zewsząd w całym doku budzi-ły w niej znajome i bardzo przyjemne doznania.

- „Bliźniak Dwa”, gotów. - To Kyp. - Zaraz będę osłaniał boginię.

- „Bliźniak Trzy”, gotów. - Jag, zgodnie z przewidywaniami Jainy, darował sobie żarty i niepotrzebne uwagi.

- „Rekordowy Czas” gotów do startu.

W chwilę później ruszyli. Dwa X-wingi i szponostatek Jaga stanowiły trójkę obronną, a „Rekordowy Czas”, transportowiec uszkodzony w czasie odbicia Borleias, a później poskładany do kupy i połatany, ruszył wolno w ślad za nimi. Lekko wysunęli się z doku i wznieśli w rozgwieżdżone niebo, które właśnie zaczynało się rozjaśniać pierwszym blaskiem świtu.

Jaina zerknęła na prawą stronę, na szponostatek Jaga. Był to zmutowany myśliwiec TIE; miał podstawową kulistą kabinę i podwójne silniki jonowe w gondolach, charakterystyczne dla myśliwców TIE i przechwytyjących, ale w miejscu, gdzie silniki przechodziły w kabinę, wysuwały się cztery skrzydła matrycy solarnych w kształcie szponów. Jaina nie była całkiem pewna, czy ta artystyczna dowolność w budowie statku, który wchodził w skład eskadry składającej się głównie z X-wingów podobała jej się czy raczej ją irytowała. Próbowала jednak myśleć w taki sposób, jakby była boginią Yuuzhan Vongów. Po kilku minutach, już po wyjściu z atmosfery Borleias, przyjęli kurs na niewielki fragment przestrzeni pyriańskiej, dość odległej od wszelkich ruchów floty. Jaina włączyła komunikator.

- Kyp, przypomnij mi, żebym wydała rozkaz, że każdy pilot w eskadrze ma indywidualnie ozdobić swój myśliwiec. I żadnych mundurów. Roboty astromechaniczne też.

- Nie ma sprawy, bogini.

- Wchodzimy do strefy ćwiczeń za dziesięć, dziewięć, osiem... -odliczał Jag.

W chwilę potem myśliwce zwolniły i zawisły w przestrzeni z dala od Borleias. Dryfowały w próżni, dopóki „Rekordowy Czas” ich nie dogonił.

- Jak ozdobisz swój myśliwiec, Jag?

- Zrobię z niego czarną kulę - odparł natychmiast. - Srebrne metalowe szpony, z krwawymi plamami. Jakby cały był jakimś rodzajem broni. Metal jest po to, żeby Yuuzhanie się wściekli. Mógłbym wybrać bardziej naturalistyczny wygląd szponów.

- Wymyśliłeś to w chwili, kiedy postanowiłam, że wszyscy powinni przyozdobić swoje statki?

- Nie, postanowiłem to zrobić wiele dni temu, kiedy zacząłem podejrzewać, że wkrótce na coś takiego wpadniesz.

Wiele dni temu? Jaina aż drgnęła z zaskoczenia i irytacji. Jak on śmie tak przewidywać jej posunięcia?

W dodatku tak dokładnie?

Stłumiła w sobie wszelkie uczucia, rycerze Jedi muszą być przecież spokojni. Dowódcy eskadry też nie mogą pozwolić, żeby piloci działali im na nerwy. Nie wolno jej było dać się zaskoczyć... nawet jeśli dała się zaskoczyć. Uśmiechnęła się tylko.

- Doskonały projekt. Podoba mi się.

- Dziękuję. - W głosie Jaga brzmiał ledwie dostrzegalny cień drwiny i Jaina poczuła, że traci humor. Większość pilotów Nowej Republiki uważała, że Jag Fel zawsze zachowuje się tak, jakby był lepszy od innych. To nie była prawda. On tylko wydawał

się wykrywać wszelkie oszustwa, zawsze wiedział, co ktoś naprawdę mówi i myśli. Nikt nie lubi, kiedy się ignoruje jego drobne, acz użyteczne kłamstewka i kiedy rujnuje się jego własny wymaginowany wizerunek.

Z drugiej strony wydawało się, że Jagowi trudno będzie udawać, iż służy wcielo-nej bogini. Jaina uśmiechnęła się do siebie. Będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby poczuł się niepewnie, żeby zburzyć ten jego niewzruszony spokój.

- „Rekordowy Czas” przechodzi w tryb stacjonarny - ryknął komunikator i Jaina poderwała się, otrząsając z zadumy.

- Rozstawić cele - poleciła. - Dobra, Kyp, pokażmy Jagowi, jak to robią użytkownicy Mocy.

Z jednego z doków „Rekordowego Czasu” wypłynął strumień kontenerów. Były to najbardziej uszkodzone egzemplarze, w których dostarczano zapasy dla garnizonu, zbyt skorodowane i zniszczone, aby nadawały się do dalszego użytku. Teraz na każdym namalowano dwie czerwone strefy celu i przymocowano do nich czujniki. Wyleciały w przestrzeń wystrzelone z prędkością przybycia „Rekordowego Czasu”.

Jaina wprowadziła swoją trójkę w pętlę, która postawiła ich na kursie prostopadłym do strumienia pojemników.

- Jestem otwarty, bogini.

Jaina skrzywiła się lekko. Powinna była wiedzieć, że Kyp będzie gotów na więz Mocy, którą właśnie wypróbowywali. Powinna była go wyczuć.

Sama jednak musiała pozostać częściowo zamknięta. Tak wołała. Nie chciała być na tyle ściśle powiązana z Kypem, żeby poprzez Moc wyczuł jej udrękę, kiedy -jeśli - podąży za braćmi w krainę śmierci.

Kiedy, nie jeśli.

Pozwoliła sobie pomóc, kiedy ją zawracał z ciemnej ścieżki, na którą niedawno wstąpiła, lecz nigdy nie uznała go za swojego drugiego mistrza Jedi. Nikt nigdy nie zastąpi Mary, jej prawdziwej mistrzyni. Lepiej trzymać go trochę na dystans.

Nie mogła jednak zachowywać się tak przez cały czas, więc z pewnym zakłopotaniem wysunęła zmysły Mocy w stronę Kypa, odnalazła go i połączyła się z nim.

Nie była to więz tak ścisła ani tak skuteczna, jak więz pomiędzy Lukiem a Marą. Ale ona tego nie chciała. Taka bliskość nie mogła doprowadzić do niczego dobrego.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, skąd właściwie przyplątała się ta myśl i czy Kyp ją przechwycił. Nie wyczuła jednak żadnego przebłysku emocji z jego strony. Pewnie nic nie zauważył.

- W porządku, Jag. Kyp i ja będziemy wybierać cel i strzelać do niego. Czujniki powiedzą nam, jak bliskie są w czasie nasze strzały, to znaczy, na ile dobrze koordynujemy się poprzez Moc. Dla zabawy sprawdźmy, ile czasu zajmie cię wybicie otworu bezpośrednio pomiędzy naszymi podwójnymi strzałami.

- Uważaj to za załatwione.

Skierowali się ku jednemu celowi. Jaina i Kyp poruszali się jednocześnie, tak jak to możliwe tylko poprzez więz Mocy. Jag pozostawał na pozycji pomiędzy nimi i nieco z tyłu, ale jego manewry były też niezwykle precyzyjne, tak bardzo jak to możliwe bez koordynacji w Mocy.

Jaina wybrała cel - kontener, który kręcił się wokół własnej osi, drugi na prawo od tego, na który się kierowali, i dała ognia. Poczworne lasery jej i Kypa wypaliły - wydawało się - w tej samej chwili, trafiając w czerwone strefy celu pojemnika i zamieniając oba jego końce w popiół. W ułamek sekundy później strzał Jaga trafił w środek wirującej masy, przecinając ją na pół.

- Nieźle. - Jaina spojrzała na tablicę czujników. - Cztery setne sekundy pomiędzy naszymi strzałami. Kyp, twój strzał był drugi. Musimy zmniejszyć ten czas. Jag, ty strzeliłeś dwadzieścia sześć setnych sekundy po Kypie. Nieźle, biorąc pod uwagę, że nie wiedziałeś, który pojemnik będzie naszym celem.

- Szczerze mówiąc, wiedziałem. Miałem pewność, że to nie ten, na który lecimy. Przy wyborze kierunku więcej niż połowę razy idziesz w prawo. Uznałem, że nie wybierzesz pierwszego celu, jaki nadarzy się po prawej, więc skoncentrowałem się na drugim. Oczywiście, gdybym się mylił, trafienie w wybrany przez was cel zajęłoby mi znacznie więcej czasu.

Jaina westchnęła głęboko. Jag z wyraźnym upodobaniem znęcał się nad nią przewidując jej posunięcia. Zmusiła się jednak znowu do zachowania spokoju i tylko kliknęła komunikatorem na znak, że przyjmuje wyjaśnienie.

- Jeszcze raz - zakomenderowała.

Druga seria bardzo przypominała pierwszą. Strzały Jaina i Kypa nastąpiły w odstępach setnych części sekundy, strzał Jaga nie ustępował szybkością pierwszemu.

- Znowu zgadłeś, że tym razem pójdę na lewo od kursu, drugi cel - westchnęła Jaina.

- Owszem.

- No to jeszcze raz.

Luke skończył pakować torbę na całodzienną wyprawę, kiedy do ich wspólnej kwatery weszła Mara. Ben nie spał. Wtulony w ramiona matki ciągnął ją za włosy, które usiłował włożyć sobie do buzi. Cała uwaga Mary była skierowana na Luke'a.

- Jadę z tobą na Coruscant.

Luke znieruchomiał.

- Zmieniłaś zdanie? Dlaczego?

- Potrzebowałam czasu, żeby się uspokoić, zrozumieć pewne sprawy. Zrozumieć, że nie ma nikogo lepszego od ciebie, żeby zatrzymać wroga, który zagraża Benowi, i że nie ma nikogo lepszego ode mnie, żeby pilnować twojego tyłka. - Wzruszyła ramionami i spojrzała w dół, na twarzyczkę ich syna. - Wreszcie przyszło mi do głowy, że jeśli będę czekać, aż wrogowie Bena dotrą do mnie i dopiero wtedy spróbuję ich zabić, to znaczy, że już go zawiodłam.

Twarz Mary miała tak melancholijny wyraz, że Luke poczuł, jak wzruszenie odbiera mu mowę.

- Wychodzę teraz do dżungli z Tahiri porozstawiać czujniki grawitacyjne. Pójdziesz z nami?

Mara skinęła głową.

- Myślisz, że Leia zaopiekuje się małym?

- Podejrzewam, że będzie bardzo szczęśliwa.

Luke, Mara i Tahiri powoli przedzierali się przez dżunglę o kilkaset metrów od wycinki. W gąszczu wykonali kilka manewrów, żeby pozbyć się ewentualnych Yuuzhańskich obserwatorów i teraz właśnie docierali do pierwszej strefy docelowej.

Luke zdjął plecak i wyjął z niego ciężki młot o krótkim trzonku.

- Spójrz - podsunął go pod nos Tahiri. - To ulubiona broń Jedi przed wynalezieniem miecza świetlnego.

Zmarszczyła brwi, zielone oczy pod strzępiastą grzywką nabrały dziwnego wyrazu.

- Wyglupiasz się.

- Jasne, że się wyglupiam. Daj spokój. Młot bojowy Jedi? - Roześmiany obejrzał się na żonę. - Mara?

Mara wyjęła ze swojego plecaka potężny pał, długości dobrze ponad pół metra, wykonany z metalu i bardzo szeroki u góry. Sumiennie ustawiła go ostrą stroną w kierunku ziemi,

- Zaczynaj. Zawsze uważałam, że walenie ciężkich metalowych przedmiotów innymi ciężkimi metalowymi przedmiotami to męska robota.

Szybkimi, mocnymi uderzeniami Luke wbił pał w ziemię, aż jego głowica zrównała się z poziomem gruntu, po czym zamaskował go piaskiem i liśćmi.

- I to niby ma przenosić fluktuacje grawitacji? - z powątpiewaniem mruknęła Tahiri.

- Właśnie. - Luke włożył młot z powrotem do plecaka, który ważył teraz znacznie mniej niż wtedy, kiedy go tu położył. Udał, że tego nie zauważa, tak samo jak ściółki poruszonej wokół miejsca, gdzie leżał plecak, choć przedtem była równa.

- Gotowe?

- Gotowe - zawołała Tahiri. Mara tylko skinęła głową. Odchodząc od miejsca wbicia czujnika, Luke szepnął:

- I co?

- Chyba nas obserwowali - szeptem odpowiedziała Tahiri. - To znaczy, wydaje mi się, że powinni. Z perspektywy myślenia Yuuzhan Vongów... Ale nie jestem pewna.

- A ja tak - odparł Luke. - Nie czułaś, jak owady przycichły od strony wschodniej, tuż przed nami?

- No... - Tahiri wyglądała na zakłopotaną. - Mogłabym to wyczuć, gdybym o tym pomyślała. Ale nie pomyślałam.

- Nie przejmuj się, próbowałaś myśleć jak Vong...

- Yuuzhanin.

- ... Yuuzhanin, a nie jak Jedi. Nie jest łatwo myśleć na oba sposoby jednocześnie, co?

Pokręciła głową.

- A więc są przed nami. To raczej nie jest ta grupa, która nas obserwowała. Tamci nie mieliby czasu tutaj dojść.

- Dobra robota - odparła Mara. - Kiedy się ich spodziewamy?

- Zaczekają, aż nie będziemy w stanie usłyszeć, co pierwsza grupa robi w miejscu, które właśnie opuściliśmy - odrzekła Tahiri. - Ale będą się niecierpliwić. To może stać się w każdej chwili... na przykład teraz.

Włączyła miecz świetlny; syk oznajmił wydłużenie się rozjarzonego ostrza akurat na czas, żeby odbić żuka udarowego. Chrząszcz zapłonął i znikł z cichym skwierczeniem.

Luke podniósł miecz i odwrócił się tyłem do Tahiri. Kątem oka zobaczył, że Mara robi to samo. Cała trójka stała teraz zwrócona plecami do siebie. W tym samym momencie z dżungli wysypali się Yuuzhanie.

Było ich pięciu. Pierwszy zaatakował Luke'a. Ruszał się zbyt szybko, za bardzo chciał walczyć, jakby liczył na to, że już pierwszy żuk odwróci uwagę Jedi. Luke wywinął mieczem, żeby zablokować strzelający amphistaff, po czym przetoczył się w tył, pociągając Yuuzhanina za sobą w niekontrolowany upadek. Jest twój, pomyślał.

Mara ledwie spojrzała, wyciągnęła miecz i zatoczyła nim koło, wbijając ostrze w twarz padającego wojownika.

Następny rzucił się na Tahiri, trzymając oburącz sztywny amphistaff. Odparowała pierwszy cios, potem następny, wreszcie kopnęła Yuuzhanina w kolano, ale cios bosej stopy w zbroję z kraba vonduun nie spowolnił go ani o jotę.

Dwaj z nich jednocześnie wyskoczyli na Marę spod zwisających pnączy. Odwróciła miecz tak, że koniec rękojeści miała teraz na wysokości kciuka, a opuszczonym w dół ostrzem parowała uderzenia amphistaffów, używając miecza jak parasolki. Jeden z atakujących próbował podnieść broń i zaatakować od góry, ale pięknym, wspaniale wymierzonym kopniakiem trafiła go w szczękę i wysłała z powrotem w krzaki.

Ostatni zamierzał dopaść Luke'a. Był rozważniejszy i bardziej cierpliwy niż jego kamraci. Luke uderzył i już zaczął wyprowadzać cios od tyłu, kiedy jego przeciwnik podniósł amphistaffa... kiedy nagle coś w pozie i gestach wojownika zaalarmowało Luke'a. Jedi przykleknął na jedno kolano i trucizna, którą splunął amphistaff, przeleciała bez szkody nad jego głową.

Jednak nie całkiem bez szkody. Luke zobaczył, jak ciecz leci w stronę Tahiri. Dziewczyna cofnęła się o krok i pociągnęła przeciwnika do przodu, a trucizna rozprysła się na masce wojownika, trafiając w oczodół. Wojownik zwinął się wpół, wrzeszcząc z bólu lub ze strachu.

Luke uniósł się z kłęczek, od razu wyskakując nad głowę przeciwnika. W locie wywinął koziołka, z osłepiającą szybkością tnąc mieczem. Yuuzhanin przechwycił cios i zablokował go amphistaffem, kierując ostry koniec żywej broni w lądującego właśnie na ziemi mistrza Jedi. Luke odparował cięcie, odbił je o kilka centymetrów zaledwie i przejechał ostrzem miecza po całej długości amphistaffu. Przeciwnik odskoczył, zanim świetlista klinga zdążyła obciąć mu palce.

Oponent Tahiri leżał już na ziemi; z jednego oczodołu wypływała mu trucizną z drugiego unosił się dym. Dziewczyna skoczyła na pomoc Marze, której drugi przeciwnik już wyplątywał się z zarośli. Zaskoczony gwałtownością ataku yuuzhański wojownik dat się zepchnąć do defensywy; teraz oboje dali nura w długie pnącza.

Przeciwnik Luke'a uderzył wężową głową amphistaffa. Luke uskoczył na bok i jadowity gad, wyciągnięty jak struna, przemknął o włos od jego boku. W tym momencie amphistaffa chwyciła Mara, pociągnęła w górę i ostro szarpnęła. Yuuzhanin potknął się i poleciał do przodu, tracąc równowagę na jeden śmiercionośny moment. Luke ciął mieczem dokładnie we wrażliwą szczelinę pod hełmem wojownika. Ciało w tym miejscu jakby się zagotowało. Wojownik upadł.

Luke okręcił się na pięcie. Mara wycelowała zdobyczny amphistaff prosto w twarz przeciwnika; wojownik wzgardliwie odsunął go na bok i podniósł broń.

Luke rzucił w jego stronę wirujący miecz i zręcznym dotknięciem Mocy pokierował jego torem. Wojownik zdołał go odtrącić, ale chwila nieuwagi była zbyt długa - Mara skoczyła naprzód i swoim mieczem świetlnym przebiła mu staw prawego ramienia, odcinając je całkowicie. Zanim padł, zadała jeszcze drugi cios w twarz.

Luke skinął ręką i jego miecz świetlny, już wyłączony, wylądował mu w dłoni. Włączył go z powrotem.

- Tahiri?

- Tu jestem. - Dziewczyna wynurzyła się z krzaków, cała i zdrowa. - Patrz, co miał przy sobie mój chłopczyk.

W dłoni trzymała gruby metalowy pręt. Luke zmarszczył brwi.

- Czy to ten, który dopiero co wbiliśmy?

- Nie, inny.

Mara uśmiechnęła się.

- No to sukces.

- Idziemy - odparł Luke. - Niedługo jeszcze inni wpadną na ten sam pomysł, żeby nam złożyć wizytę.

Ruszyli do kolejnego miejsca. Tu także wbili pręt. Ten akurat nie zawierał czujnika i jego przeznaczeniem było wyłącznie wykopanie przez Yuuzhan Vongów.

Prawdziwe czujniki spoczywały w plecaku Luke'a. Każdy z nich był maleńkim robotem, wielkości tych natrętnych i nieznośnych robotów remontowych, które można było znaleźć na każdym dużym statku. Zawierały one takie same czujniki, jak te zamontowane w prętach, ale miały również motywatory nastawione na kopanie, dzięki którym mogły wysliznąć się z plecaka Luke'a przez specjalny otwór i wkopać się w miękki grunt. Yuuzhanie z pewnością zobaczą wszystkie pręty i wykopią je jeden po drugim, ale istniała spora szansa, że nie spostrzegą pojedynczego robota-kreta.

Luke często walczył z przebiegłym i pomysłowym przeciwnikiem, ale chętnie widział przebiegłych i pomysłowych ludzi również po swojej stronie barykady.

W miarę jak niszczyli kolejne cele, Jaina coraz skuteczniej wybierała takie, których Jag nie potrafił przewidzieć; wtedy czas pomiędzy strzałem Kypa a Jaga wzrastał do prawie połowy standardowej sekundy. Jaina czuła, że udało jej się osiągnąć pewne, choć niewielkie zwycięstwo. Teraz przynajmniej Jag nie mógł się szczyścić tym, że zawsze potrafi przewidzieć jej tok myślenia. Jednak odstęp pomiędzy strzałem Jaina a Kypa pozostawał cały czas taki sam.

- Trochę się już orientuję w tym. - zauważył Jag. - Wiem, o co chodzi z tą koordynacją poprzez Moc.

Jaina omal nie parsknęła śmiechem.

- Jag, nic nie wiesz o Mocy. Jesteś tak samo ślepy na Moc, jak twój wuj.

- Wiem, ale mój wujek też by na to wpadł. Widzę więc Mocy jako coś w rodzaju połączenia psychicznego pomiędzy tobą a Kypem. Przyjmując, że pozwala to na przekazywanie impulsów z prędkością światła, twój impuls w zasadzie powinien jednocześnie wyzwać odruch strzelania u ciebie i u Kypa, zgadza się?

- Może.

- A więc można by przypuszczać, że różnica w waszych wystrzałach jest różnicą w czasie reakcji fizycznej. Jesteś o wiele młodsza od Kypa. Może powinnaś odczekać króciutki moment, kiedy już podejmiesz decyzję o strzale, albo pozwolić, żeby to Kyp wybierał cele, a ty żebyś nadążała za nim.

Jaina obejrzała się przez ramię, na szponostatek Jaga, unoszący się tuż za nią i zrobiła powątpiewającą minę.

- W porządku, jasne. Spróbujmy.

Przy następnym ataku różnicy pomiędzy strzałami Jaina i Kypa wyniosły jedną setną sekundy, wciąż na korzyść Jaina. Kyp gwizdnął.

- Dobrze główkujesz, Fel. Zróbmy to jeszcze parę razy... - Chciał coś dodać, ale głos uwiązł mu w gardle.

Jaina też to poczuła. Spojrzała w przestrzeń, w kierunku gwiazdy Pyria.

- Co się stało? - zapytał Jag.

- Sama nie wiem... - Jaina przełączyła komunikator na częstotliwość floty i wywołała program nawigacyjny. Skierowała myśliwiec w stronę źródła jej niepokoju, żeby otrzymać dokładny odczyt kursu na tamten odległy punkt.

- Dowódca Bliźniaczych Słońc do Kontroli.

- Tu Kontrola - odezwał się głos mężczyzny, leniwie przeciągający sylaby.

- Zauważyliście coś w okolicy systemu, może na przybliżonym kursie na Arkanie? Kilka sekund trwała cisza.

- Nie mam żadnych odczytów.

- Coś się tam dzieje... Moja grupa rusza w tamtym kierunku. Pozostawajcie na nasłuchu. - Przełączyła się na częstotliwość eskadry. - W drogę, śmiertelnicy.

- Wedle życzenia, bogini.

Jag odpowiedział wyłączeniem komunikatora.

ROZDZIAŁ

10

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty siódmy

Jaina i jej piloci pomknęli przez przestrzeń pyriańską najszybciej, jak pozwalała na to moc silników. Polecieli pod kątem w stronę gwiazdy Pyria, nabrali momentu grawitacyjnego i rzucili się w kierunku zakłócenia, jakie wyczuwali Jaina i Kyp. Zakłócenie nie traciło na sile. Przeciwnie, stawało się coraz mocniejsze, coraz bardziej wyraźne.

Teraz Iella Wessiri przejęła komunikator od Kontroli.

- Co tam macie?

- Nie wiemy. Zakłócenie w Mocy, to wszystko.

- Wobec tego to nie mogą być Yuuzhanie.

- Może to być związane z Yuuzhan Vongami tak czy owak - wtrącił Jag.

- Fakt.

- Czy możecie skierować czujniki wzdłuż naszego kursu, żeby sprawdzić, co jest przed nami? - zapytała Jaina.

- Niestety. Pomiędzy nami a waszym kursem lata sobie takie małe słońeczko. Za to przesuniemy „Sen Rebelianta” na taką pozycję, żeby mógł was śledzić i przewidzieć wasz kurs. Powinien się znaleźć na miejscu za... już jest. - Iella zamilkła na chwilę. - „Sen Rebelianta” melduje o jednym dużym i wielu mniejszych sygnałach na dojeściu. Anomalie grawitacyjne sugerują że to Yuuzhanie. Generał Antilles prosi, żebyście się temu przyjrzeni, ale bądźcie bardzo ostrożni.

- Już tam lecimy. - Generał Antilles prosi. Jaina pokręciła głową. Wedge miał rację. Trzeba się będzie całkiem przestawić, żeby się przyzwyczaić do tej zabawy w boginię.

Wkrótce odległe anomalie pokazały się także na jej czujnikach jako wyraźne świetliste punkty. Zaczęła je również odbierać na ekranach wizyjnych.

Najbliższym obiektem był odpowiednik fregaty Yuuzhan Vongów z eskortą skoczków koralowych. Za nim, w pewnej odległości, otoczony tarczą z większych statków Yuuzhan...

Jaina włączyła komunikator.

- Kontrola, to jest światostatek, wielki nawet jak na Yuuzhańskie standardy. - Poczuli, że zaschło jej w ustach. To nie był ten sam statek, który znajdował się na orbicie wokół Myrkr, ten, na którym zginęli Jacen i Anakin, lecz na sam widok ogromnego i żywego potwora dostała mdłości.

- Rozumiem, dowódco Bliźniaczych Słońc. Proponuję, żebyście zawrócili.

- Odmawiam. - Jaina dokonała lekkiej korekty kursu tak, aby był zbieżny z kursem nadlatującej fregaty. - Musimy sprawdzić, dlaczego zaczepiają nas taką małą siłą.

- Ta mała siła to między innymi fregata - wtrącił Jag na częstotliwości eskadry. - Wystarczy, żeby narozrabiać.

- Tak, ale ja wyczuwam zakłócenie Mocy. - Stwierdziła teraz, że to zakłócenie nie charakteryzowało się nieopanowanym głodem, tak jak w przypadku voxynów. Nie, wyczuwała tu raczej ból.

Wreszcie zobaczyli fregatę i jej eskortę na własne oczy. Trzy skoczki koralowe, jedna czwarta obstawy, odłączyły się od formacji i skierowały w ich stronę.

- Trzy? - Kyp wydawał się urażony. - Spodziewają się, że trzy skoczki nas załatwią?

- Nie o to chodzi - włączył się Jag. - Mają nas jedynie spowolnić. Możemy je zignorować i dostać plazmą po tyłkach albo zająć się nimi, a fregatę przepuścić.

- Zajmiemy się nimi - zdecydowała Jaina. - Potem ją dogonimy.

Skoczki koralowe nadleciały i otworzyły ogień.

- Wypróbujmy nową taktykę. - Jaina rozciągnęła swoje postrzeżenie w Mocy; Kyp czekał na nią jak z wyciągniętą dłonią. Cała trójka ustawiła się w takiej samej formacji jak poprzednio: dwa X-wingi z przodu, szponostatek między nimi i nieco z tyłu. Skręcali, przetaczali się i uskakiwali jak jeden statek skutecznie, umykając przed nadlatującymi pociskami z dział plazmowych i grutchinami.

Jaina wybrała cel: skoczka z tyłu po prawej stronie; Kyp za to wybrał moment strzału. Dovin basale statku utworzyły pustkę dokładnie przed strzałem Jaina, ale już pocisk Kypa trafił bezbłędnie w dziób skoczka, anihilując dovin basala. A wtedy lasery Jaga przeszły stateczek od dziobu po kabinę, wycinając w koralu płonące dziury. Skoczek leciał dalej jak martwy pocisk, ale dwa pozostałe zawróciły i ruszyły do ponownego ataku.

Jaina spojrzała na tablicę czujników, wyliczając opóźnienie ataku Jaga.

- Trzy czwarte sekundy! Jag, pomyliłeś się!

- Raczej nauczyłem cię, jak się stać bardziej nieprzewidywalną. Przywołała na twarz rozbawiony uśmiešek. Osobiste tarcze Jaga bez trudu odbijały wszelką krytykę.

- No to jeszcze raz. Może przy szansach pół na pół uda ci się zgadnąć.

Kurs, jakim podążała fregata Yuuzhan Vongów, doprowadził ją blisko gwiazdy Pyria, w przeciwną stronę niż leciała Jaina. i dalej, w kierunku Borleias. Zaledwie Jaina, Kyp i Jag wykończyli wszystkie trzy skoczki wysłane, żeby ich opóźnić, rzucili się w ślad za fregatą i dogonili ją błyskawicznie.

Fregata opuściła orbitę gwiazdy i zaczęła podchodzić do Borleias po linii prostej. Tablica czujników Jaina pokazywała „Sen Rebelianta*” podążający kursem przechwy-

tującym. Transmisje łączności pozwalały stwierdzić, że eskadry myśliwców wystartowały zarówno z planety, jak i z „Lusankyi”. Nie było sposobu, żeby fregata mogła podejść do Borleias dość blisko, by zaatakować.

- Fregata zwalnia - zameldował Kyp. - Manewruje. Zmienia kurs. Wie, że to daremna próba.

- Czekaj, czekaj - zawołał Jag. - Przenieś czujniki wizyjne na dolną część kadłuba.

Jaina posłuchała go i zobaczyła długie rozcięcie w dolnej części powłoki. Było wilgotne i odrażające jak nagie zaciśnięty i otwierający się powoli pysk Hutta.

Na jej oczach ze szczeliny zaczęły wypływać drobne kształty, małe, nieregularne obiekty, podążające poprzednim kursem fregaty.

Jaina skrzywiła się. Obiekty wiły się w przestrzeni. Zdaje się, że to kolejna organiczna broń. Pewnie jacyś rzeźbiarze światów albo coś w tym stylu, skoro wypuszczano je z takiej odległości i na całą Borleias, a nie tylko na bazę wojskową.

Nagle spostrzegła, że zakłócenie w Mocy, które odczuwała, wędruje razem z tymi kształtami. Poczuli ucisk w żołądku. Zwiększyła trochę przyspieszenie i skierowała się w stronę chmury rozedrganych obiektów, ignorując fregatę i jej eskortę skoczków, które oddalały się powoli.

Wkrótce mogła już rozróżnić, co wyrzucili w przestrzeń Yuuzhanie.

Istoty rozumne. Głównie ludzie, ale także Sullustanie, Rodianie i Devaronianie. W różnym wieku, nadzy...

Nie, nie całkiem nadzy. Jaina podleciała jeszcze bliżej i stwierdziła, że ich ciała są pokryte przezroczystym tworzywem, a każdy z nich ma na głowie coś w rodzaju nadmuchanej torby. Była to zapewne jakaś odmiana ooglitów, kombinezonu kosmicznego Yuuzhan, ale chociaż niewątpliwie przeżyją dzięki niemu kilka minut dłużej w przestrzeni, całą grupę czekała pewna i nieuchronna śmierć od wyziębienia lub uduszenia; jeśli zaś zdążą dotrzeć do atmosfery Borleias, spłoną żywcem. Tak czy owak, prawie trzydzieści osób znajdowało się o krok od śmierci.

Jakaś Sullustanka zobaczyła nadlatującą Jainę, odwróciła głowę i spojrzała na nią oczami rozszerzonymi strachem, z błagalnym wyrazem twarzy. Jaina mogła tylko odpowiedzieć bezradnym spojrzeniem.

Nagle usłyszała, że Jag coś mówi.

- ...wyrzucili zakładników. Są ubrani w coś w rodzaju okrywczy ooglitów i znajdują się na kursie zbieżnym do Borleias. Nie sądzę, aby mikrogravitacja planety zaczęła ich już ściągać. Nie potrafię ocenić czasu, jaki mogą przeżyć dzięki ooglitom. Widzę dwudziestu dwóch... powtarzam, dwa-dwa. Czekam.

Te słowa, takie spokojne, klinicznie chłodne, wyrwały Jainę z odrętwienia. Spojrzała w ślad za odlatującymi skoczkami i fregatą.

- Nie rób tego - odezwał się Kyp; poczuła go przez Moc równie wyraźnie, jak usłyszała przez komunikator. - Próbują wymusić na nas jakąś reakcję.

- Spokój - szepnęła. Wydawało jej się, że gdyby powiedziała to głośniej, sam dźwięk wyrwałby z niej wzbierający, kipiący gniew. - Jedi powinien zachować spokój.

Poprzez Moc sięgnęła w kierunku Sullustanki i pociągnęła ją w swoją stronę.

Nie wykryła żadnej zmiany jej prędkości. Pociągnęła mocniej.

- Kyp, spróbujesz ich uratować? Choć kilkoro...
 - Może. Trzeba pochłonać ogromną ilość energii kinetycznej.
 Obecność Kypa w Mocy przygasła, kiedy odwrócił się od niej i zajął swoim zadaniem. Na czujnikach zobaczyła, że jeden z pędzących obiektów zwalnia.
 Jeszcze mocniej pociągnęła Sullustankę i teraz była już pewna, że ona także zwolniła.

- Jag, ty nam nie pomożesz. Wracaj na Borleias, sprowadź tu parę wahadłowców.
 - Już wezwałem wahadłowce. I powiem ci, kiedy poczuję się bezużyteczny. Proponuję, żebyście przestali ich spowalniać i poszli za moim przykładem.

Szponostatek Jaga wystrzelił przed X-wingi i delikatnie wmanewrował w chmurę ofiar, najpierw je doganiając, a następnie lekko wyprzedzając.

A potem z niewiarygodną zręcznością obrócił szponostatek i przesunął go tak, że znalazł się zaledwie o parę metrów od ciemnoskórego mężczyzny. Jag włączył na chwilę silniki manewrowe i szponostatek zwolnił, uderzając w ofiarę z prędkością najwyżej trzydziestu kilometrów na godzinę. Mężczyzna, oszołomiony, ale nie pozbawiony przytomności, zaczął wierzyć jak szalony. Leciał dalej, ale już nie w stronę Borleias.

Szponostatek obrócił się znowu, jak tylko ofiara znalazła się poza zasięgiem strumieni jonów. Jag dotknął manetki i ostrożnie przesunął statek w pobliże kolejnej ofiary. Tę również uderzył możliwie najdelikatniej; wydawało się wprawdzie, że staranowana Twi'lekanka doznała urazu ramienia, ale i ona pozełgowała w kierunku, który nie zagrażał jej już wejściem w atmosferę.

Grupa Jaińy zdołała przekierunkować wszystkie dwadzieścia dwie ofiary, nie dopuszczając do ich wejścia w atmosferę Borleias. Nie mogli uratować wszystkich - czworo zmarło z zimna, zanim wahadłowce zdążyły do nich dotrzeć, a pozostali znaleźli się w skrzydle szpitalnym laboratorium biotyki w różnych stadiach wyziębienia. Nikt jednak nie skończył jako tragiczny meteor, spalający się stopniowo w atmosferze planety.

Umiejętności, jakich wymagało uratowanie rozbitków, były tak niezwykle, że gdy w południe następnego dnia grupa Jaińy wylądowała razem z wahadłowcami, załogi naziemne przywitały ich gromkim aplauzem. Piloci jednak prawie nie zwracali uwagi na te owacje i nadal byli posepni.

Pojawiły się pogłoski, że yuuzhański światostatek pozostał na odległej orbicie, aż za najdalszą z planet Pyrii. Tkwił tam nieruchomo, otoczony statkami i skoczkami korolowymi.

Wedge obserwował przybycie Jaińy i jej pilotów przez wydzieloną linię holokamer do operacji specjalnych. Wyłączył obraz.

- Miałem rację - powiedział cicho, żeby nie było go słyszeć w gwarnym tłumie wypełniającym centrum operacyjne.

- Miałeś rację - potwierdził Tycho. - Yuuzhanie ściągnęli tu całą armadę i jeszcze kogoś, kto ma specyficzny styl prowadzenia ostrzału.

- Niech wszystkie ofiary, łącznie z tymi, którzy nie dożyli, i z wszystkimi, którzy mieli z nimi kontakt fizyczny, zostaną natychmiast poddane odkazaniu. Danni lub Cil-

ghal mogą to nadzorować. Powierzchnię powłoki szponostatku Jaga też przejrzyć dokładnie i odkazić. Mogli przewidzieć taktykę Jaga i zostawić pułapki w ciałach ofiar.

- Pracuję nad tym - skinął głową Tycho.

- Jeszcze jedno. - Wedge pochwyił spojrzenie Tycha. - Słyszałeś, co mówiła Jaina. Ona naprawdę chciała ocalić tych ludzi.

- Tak.

- To nie jest zachowanie typowe dla Ciemnej Strony, przynajmniej tak, jak ja to rozumiem. Wypytałem po cichu Kypa; on też jest prawie pewien, że Jaina wróciła ze swojego spotkania z Ciemną Stroną.

- To znaczy, że można jej ufać? - zapytał Tycho. - Może nawet na tyle, żeby została Wtajemniczoną?

- Właśnie.

Na twarzy Tycha było widać intensywny proces myślowy. Wreszcie skinął głową.

- Tak, rozum i serce tym razem się ze sobą zgadzają. Uważam, że zasługuje na nasze zaufanie. W końcu jest Solo.

- Ja też tak uważam. Wciągamy ją na listę.

Yuuzhański światostatek, orbita Pyrii

Yuuzhański pilot o absurdalnie ludzkim czole i maskujących je tatuażach stał pochylony, z ramionami kornie skrzyżowanymi na piersi, dopóki Czulkang Lah gestem nie nakazał mu się wyprostować.

- Jak się nazywasz? - zapytał pilota.

- Charat Kraal.

- Jesteś pilotem domeny Kraal i jej kolonii na najbardziej zamieszkanym świecie tego systemu.

- Tak, mistrzu wojenny.

- Nie nazywaj mnie mistrzem wojennym. Mój syn jest mistrzem wojennym. Odpowiedz mi więc, dlaczego przejąłeś część floty Wyrpuuka Cha, zmuszając pilotów do buntu przeciwko wyznaczonemu sukcesorowi?

Charat Kraal bez zmrużenia oka wytrzymał jego spojrzenie.

- Nasze cele były rozbieżne. On chciał ocalić resztki zniszczonej floty, moim zamiarem było poprawa sytuacji Yuuzhan Vongów w tym systemie. Sądzę, że mój cel miał pierwszeństwo.

- Powinieneś raczej powiedzieć, że korzystając z zasobów, jakie miałeś do dyspozycji, wyrządziłeś wojownikom i maszynom niewiernych znaczne szkody.

- Musiałbym wtedy wyznać, że szkody, jakie im wyrządziłem, były niewielkie. Takie, jak zamierzałem.

Czulkang Lah stłumił uśmiech. Charat Kraal zmierzał do egzekucji z odwagą i bezpośredniością, jak przystało na yuuzhańskiego pilota.

- Wyjaśnij.

- Najpierw przed, a później po przybyciu floty Wyrpuuka Cha wykorzystywałem moje siły, aby nękać niewiernych... nie dlatego, że spodziewałem się ich pokonać po-

siadanymi siłami, lecz po to, aby uzyskać jak najwięcej informacji na temat ich samych i ich zamiarów. - Charat Kraal wskazał na towarzyszącego mu pilota, który w przypadku, gdyby sprawy poszły złym torem, miał zanieść domenie Kraal wieść o jego śmierci. Pilot podał mu rejestrującego villipa, gąbczaste stworzenie wielkości torsu Yuuzhanina. - Jeśli mogę...

Czul kang Lah chłodno skinął głową.

Charat Kraal położył villipa na podłodze komnaty dowodzenia i pogładził go, żeby zwierzę się zbudziło. Villip rozplaszczyl się na placek i zaczął świecić ostrym, żółtym światłem. Światło płynęło w górę, rozświetlając powietrze coraz wyżej, a wreszcie zaczęło się układać w trójwymiarowe obrazy.

Charat Kraal w dalszym ciągu głaskał i poszturchiwał stworzenie, a obrazy nad nim zmieniały się powoli. Najpierw była to podobizna domu grasha, prawdopodobnie pierwszej siedziby Kraalów na Borleias, potem obraz floty nieprzyjacielskiej w trakcie ataku na planetę, wreszcie nocne wyprawy myśliwców i obce statki na orbicie.

W końcu obraz znieruchomiał. Przedstawiał teraz widok głównego gmachu niewiernych, wysokiego, łukowatego budynku z wieloma przybudówkami, otoczonego wypaloną strefą, miejscami najeżoną statkami wroga.

- To ich siedziba- wyjaśnił Charat Kraal. - Ich generał i jego sztab mieszkają właśnie tutaj. Prowadzą wszystkie operacje z tego miejsca, zamiast ze stosunkowo bezpiecznych trójkątnych okrętów. Mieszka tu też wielu *Jeedai*, którzy nieustannie patrolują dżunglę otaczającą to miejsce.

- Ilu jest tych *Jeedai*?

- Nie wiadomo... może z tuzin. Liczba zwiększa się powoli. Dwoje z nich to Luke Skywalker i jego samica Mara.

- A Jaina Solo?

- Też jest tutaj. Zdaje się, że w jej pozycji nastąpiła pewna zmiana. Przedtem to Luke Skywalker wydawał się głównym *Jeedai*. Teraz chyba ona.

- Mów dalej.

- Zainteresowanie niewiernych tym miejscem początkowo mnie zastanawiało, ale teraz zaczynam je rozumieć. Kiedy Kraalowie po raz pierwszy zajęli ten świat, przesłuchania więźniów, którzy go bronili, ujawniły, że przeprowadzano tu tajne eksperymenty medyczne. Tworzono nowe formy życia. Krótko mówiąc, był to odpowiednik domu przemian niewiernych. Myślę, że dlatego bronią go tak zawzięcie, ponieważ właśnie dokonują się tam pewne przemiany.

- Czego?

- Nie wiem. Wydaje mi się, że cokolwiek to jest, byłoby bezpieczniejsze na jednym z ich trójkątnych statków, tymczasem projekt musi być prowadzony tutaj. Oznacza to, że albo urządzenia, na których pracują są zbyt delikatne, aby je przenosić, albo stworzenie, które hodują, musi się urodzić na żywym świecie. A skoro są mistrzami w tworzeniu i obsłudze urządzeń, ta ostatnia możliwość wydaje się bardziej prawdopodobna.

Charat Kraal przesunął obrazy nad villipem o kilka kolejnych sekwencji startujących statków, po czym zwolnił, aby ukazać dziwnie wyglądający pojazd unoszący się

nad laboratorium biotyki. Nie miał gładkiej sylwetki jak większość maszyn niewiernych. Przypominał segment rury metalowej wysokości człowieka i długości około dwudziestu metrów, pośrodku zgiętej pod kątem prostym. Druga rura, metrowej średnicy i długa na pięć metrów, przecinała kąt na pół. Dwumiejscową kabinę, przypuszczalnie pochodzącą z myśliwca, umieszczono w punkcie zgięcia, tyłem do mniejszej rury, a silniki manewrowe przymocowano na dwóch szerszych częściach rury i zorientowano je w tym samym kierunku co cieńsza rura. Końce rury były zaślepione i wyglądały tak, jakby umiały się otwierać niczym oko.

- Są trzy takie statki - wyjaśnił Charat Kraal. - I jeszcze czwarty, z trzema zakończeniami wystającymi pod identycznym kątem i z czwartym, który wystaje pod kątem prostym do wszystkich pozostałych. Widziałem go, ale nie byłem w stanie zarejestrować. Moi zwiadowcy, którzy podsłuchują niewiernych za każdym razem, kiedy zdołają się zbliżyć, mówią że te jednostki są nazywane rurostatkami i że stanowią część operacji pod nazwą „Gwiezdny Włócznik”. Wszystkie te statki kiepsko latają. Kierują się w przestrzeń i lokują w konkretnych punktach, daleko jedne od drugich. Trzy statki tego typu tworzą trójkąt, a czwarty znajduje się pośrodku układu. Potem komunikują się ze sobą przez wiele minut. Nie wiem, po co.

- Pomyśl.

Charat Kraal zawahał się.

- Jestem tylko pilotem, a nie mistrzem przemian ani też jednym z naukowców niewiernych, ale poprosiłem jedną z moich doradczyń, która lepiej ode mnie rozumie ich matematykę, aby przeanalizowała to, co robią. Powiedziała, że jeśli wystająca część środkowego statku znajduje się dokładnie pod kątem prostym do płaszczyzny, w jakiej znajdują się trzy pozostałe statki ustawione w trójkąt, to na pewno wytycza kurs na system Coruscant. Może jest to urządzenie szpiegowskie, może komunikacyjne, a może to broń wycelowana w ich dawną stolicę.

- Interesujące. - Czulkang Lah przez chwilę przyglądał się pilotowi.

- O Wielki, czy mógłbym... jeśli zamierzasz skazać mnie na śmierć za moją bezczelność, proszę, abys pozwolił mi się zabić samemu, zamiast kazać ginąć z rąk innych. Wtedy zrealizuję swoją wielką ambicję: choć przez krótką chwilę będę służył Czulkangowi Lahowi.

Stary Yuuzhanin pozwolił sobie okazać zniecierpliwienie.

- Zamilcz, Characie Kraalu. Podnoszę cię do rangi dowódcy. Twój oddział zostanie uzupełniony do statusu pełnego dywizjonu. Będziesz wykonywał dla mnie specjalne misje. Jednym z twoich zadań będzie pojmanie Jaina Solo. Dostaniesz także inne rozkazy, ale zawsze będziesz podlegał wyłącznie mnie. Rozumiesz?

- Rozumiem, o Wielki! - Charat Kraal z wielkim wysiłkiem zachował niewzruszony wyraz twarzy.

- Odejdź.

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty dziewiąty

Piloci Eskadry Bliźniaczych Słońc wysypali się z X- i E-wingów, a także z jednego szponostatku. Ruszyli przez dok operacji specjalnych w kierunku głównego budynku, żartując i przepychając się, szczęśliwi, że misja obyła się bez ofiar. Odeskortowali byle jak poskładane rurostatki operacji „Gwiezdny Włócznik” w przestrzeń, doprowadzili je do precyzyjnie określonych punktów, podczas gdy ich piloci przeprowadzali kolejne testy, po czym wrócili do domu bez strat. Skoczki koralowe manewrowały wokół, podglądając, co się dzieje, ale nie atakowały... co by oznaczało, że badają działania statków operacji „Gwiezdny Włócznik”, ale jeszcze nie są gotowe do konfrontacji. Poszły zakłady, niektórzy twierdzili, że choćby nowy dowódca Yuuzhan Vongów był nie wiem jak ostrożny, wkrótce będzie musiał podjąć akcję przeciwko statkom „Gwiezdnego Włócznika”.

Jaina wlokła się powoli na końcu kolumny, zachowując pewną odległość od pilotów. Bogini nie może się spoufalać ze swoimi sługami, powtarzała sobie. A inny głos, ukryty głęboko w jej myślach, głos, którego słuchała, kiedy wokół nie było innych Jedi, szeptał: Kobieta przeklęta nie powinna zbliżać się do ludzi, którzy będą za nią tęsknić, kiedy odejdzie.

Oparła się o swojego X-winga, ignorując hałas krzątających się mechaników.

Coś tkwiło w jej wnętrzu. Jakaś obca istota, której nie mogła się pozbyć. Zimna nienawiść do nieprzyjaciela. Może była już w niej od początku inwazji Yuuzhan, od śmierci Chewiego i wpływu, jaki ta śmierć miała na jej rodzinę i ojca, ale tak naprawdę uświadomiła sobie jej obecność dopiero po śmierci Anakina. Przybycie światostatku dwa dni temu i wypuszczenie w atmosferę Borleias niewinnych istot sprawiło, że istota wewnątrz niej znów urosła.

Nienawiść nie była metodą. Jedi nie powinien jej odczuwać. A już na pewno osoba, która nie ma szans dożyć do końca wojny. Zbyt wielu wrogów sobie napytała więc pewnie szkoda tracić czas na nienawiść, skoro jest tyle innych rzeczy do zrobienia.

Z drugiej strony, może nienawiść jest normalnym uczuciem u pilota myśliwca; może pomaga się skupić, daje zapał potrzebny do walki.

Wciąż jednak było to bolesne i trudne do przyjęcia. Nie chciała nienawiści. Nie potrzebowała. Zdławiła ją w sobie, zdusiła ciężarem logiki.

Znów otwarła się na Moc i poczuła znajomą krzepiącą obecność, emanującą przyjaźnią i spokojem.

Jaina obejrzała się w porę, by ujrzeć nadchodzącą Tahiri. Uśmiechnęła się do niej, choć sama czuła, że jej uśmiech jest niepewny i blady.

Tahiri stała się dla Anakina kimś bliskim i ta więź zacieśniała się coraz bardziej, póki on żył. Pewnego dnia dziewczyna mogła nawet wejść do rodziny Solo. Teraz to nigdy nie nastąpi. Jaina nie wiedziała, czy Tahiri może tak po prostu się oddalić, jak planeta nagle pozbawiona sił grawitacji swojego słońca. Jaina przypuszczała, że powinna się tym martwić, ale to była tylko jeszcze jedna emocja, którą należało dołożyć do wszystkich innych przygotowanych do odrzucenia. Jeszcze jeden związek, który należałoby podtrzymywać - teraz, kiedy starała się odciąć od wszystkich.

Skóra ramion i nóg Tahiri, a także ubranie były pokryte zielonymi plamami - Jaina uznała, że to ślady po rozgniecionych liściach i trawie.

- Byłaś na patrolu?

Dziewczyna skinęła głową.

- Spędziłam parę godzin na zabawie w chowanego z yuuzhański-mi wojownikami w dżungli. Ale właściwie nie miałam okazji im się przyjrzeć. Chyba raz mnie spostrzegli, bo musiałam strącić żuka udarowego. Kiedy wróciłam, dowiedziałam się, że twoja eskadra właśnie wylądowała... Pomyślałam, że może chcesz pogadać.

- Nie, właściwie nie.

- A może powinnaś trochę odpocząć? Kilku chłopaków z Eskadry Łotrów przerebiło zbiornik reaktora biologicznego na podgrzewany basen. Wylecieli na patrol, więc nikt go nie pilnuje...

Jaina pokręciła głową.

- Nie mam czasu. Idę na sesję z grupą wywiadu, z Widmami. Będziemy dyskutować o wojnie psychologicznej i o Yun-Harli, bogini Yuuzhan Vongów. A potem muszę zrobić coś, na co nie mam ochoty.

- To znaczy?

- Pogadać z Kypem Durrone. Mam zamiar przekazać mu Eskadrę Bliźniaczych Słońc.

- Dopiero objęłaś dowództwo i już je oddajesz?

- Mam nadzieję, że tylko na kilka tygodni. Wybieram się... wiesz o ekspedycji wujka Luke'a?

- Tak.

- Mam zamiar się na nią wprosić.

Tahiri milczała przez chwilę, wreszcie mruknęła:

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł, Jaina.

- Mam wrażenie, że usłyszę to jeszcze nieraz. Ale ojciec i mama sądzą, że Jacen...

- Jainie nagle zabrakło tchu, aby dokończyć. Dlaczego tak trudno wypowiedzieć słowo „żyje”? Znała odpowiedź, zanim jeszcze zadała sobie to pytanie. Dlatego że desperacko chciała wierzyć w to, w co wierzy Leia, a nie mogła się na to zdobyć. Nie mogła sobie pozwolić na nadzieję. Miała więz Mocy ze swoim bratem i ta więz została zerwana. Jacen nie żył i wszelkie próby wyobrażenia sobie czegoś innego stanowiły jedynie samooszukiwanie się w chwili, kiedy wszelkie marzenia i mrzonki były zwyczajnie niebezpieczne. Odetchnęła wreszcie i ciągnęła: - Oni sądzą, że Jacen tam jest... Muszę z nimi iść, żeby udowodnić, że to nieprawda.

- Nie rób tego - ostrzegła Tahiri, a w jej głosie brzmiało ukryte napięcie.

- Muszę.

- Nie, nie musisz. Twoja obecność może tylko zwiększyć szansę, że Luke i Mara zginą.

- Chyba nie masz najlepszego wyobrażenia o moich możliwościach.

- Nieprawda. - Tahiri nie wyglądała ani na skruszoną, ani na zakłopotaną. - Gdyby chodziło tylko o możliwości, a właściwie o Moc, wysłałabyś Kypa Durrona, prawda?

- Kyp się nie nadaje. On i Luke za bardzo się różnią...

- Właśnie. I tu dochodzimy do tego, co chcę powiedzieć. Same umiejętności nie są jedynym kryterium, które musisz brać pod uwagę.

- A co ty bierzesz pod uwagę?

- Po pierwsze, pamiętaj o zamieszanu wokół bliźniąt. Yuuzhanie chcieliby mieć i Jacena, i ciebie, a nic, co dla was szykują, nie wyjdzie wam na zdrowie. - Tahiri na moment odwróciła wzrok. - Ja-ino... mnie wystarczy pomyśleć w pewien sposób i sama staję się Yuuzhanką, na tak długo, jak potrafię wytrzymać. Ta sprawa z bliźniętami to nie przypadkowe zainteresowanie. To obsesja. Tam, gdzie są bliźnięta, bogowie patrzą w dół. Bliźnięta odkształcają otaczającą ich rzeczywistość. To świętość.

- No i co z tego?

- No więc przypuścimy, że Jacen żyje. Powiedzmy, że polecisz z mistrzem Skywalkerem na Coruscant. Yuuzhanie nagle się dowiadują, że bliźnięta znajdują się razem na Coruscant. Poświęcają znacznie więcej sił, żeby odnaleźć Jainę Solo, niż gdyby to była po prostu grupka intruzów, nawet *Jeedai*... Jedi... Mam rację, czy nie?

- Nooo... masz. Ale może mnie nie rozpoznają.

- To prawda. Zaryzykujesz życie Luke'a i Mary, stawiając je na jedno „może”?

Jaina poczuła, że ogarnia ją desperacja. Zupełnie, jak w czasie pojedynków i wczesnych treningów Jedi z wujkiem Lukiem. Choćby nie wiadomo jak mocno naciskała i spychała go do defensywy... wkrótce okazywało się, że jego umiejętności zmieniają jej ataki w niezgrabne, nieskuteczne podrygiwanie.

Przegrywała i tę dyskusję. Przegrywała ją z Tahiri, która nie dość, że była o wiele młodsza od niej, to jeszcze równie ciężko przeżywała ból po stracie Anakina.

- Luke i Mara nie są tak bliscy Jacenowi jak ja. Jestem jego bliźniaczką. - W głębi duszy wiedziała, że to nie ma sensu; że Luke i Mara mają wiedzę, doświadczenie i wrażliwość na Moc wystarczającą do wypełnienia tego zadania. Skoro jednak zdecydowała się na ten argument, musiała się go uparcie trzymać.

- Więc ja pójdę zamiast ciebie.

- Ty?

Tahiri poważnie skinęła głową.

- A kto będzie lepszy, oprócz ciebie, oczywiście? Nie znam Jacena tak dobrze jak ty. Nie potrafię go tak silnie wyczuć w Mocy. Ale i tak znam go lepiej niż jakikolwiek Jedi, który nie miał z nim więzi w Mocy, jak ja na Yuuzhańskim światostatku. A już na pewno nikt, nikt, nie zna Yuuzhan i ich sposobu myślenia tak dobrze jak ja.

Jaina podniosła na nią oczy. Tym razem nie miała już nic w zanadrzu.

- Wydaje mi się... - Poczowała, jak jej chęć do dyskusji nagle się ulatnia. Prawie bez wysiłku przeszła na pozycję obronną. Była pewna, że Luke'owi spodobałaby się ta przemiana. - Chyba pozwalasz, aby zapanowały nad tobą uczucia.

- To samo mogę powiedzieć o tobie. Wracamy do punktu wyjścia. Żadna z nas nie jedzie, czy ja jadę?

Jaina westchnęła pokonana. Dziwne, ale klęska nawet jej nie rozgniewała. Zobaczyła, że Tahiri pochyła się, żeby ją przytulić, i szybko się odwróciła, zanim intencja przerodziła się w działanie. Nie chciała, żeby dziewczyna się do niej zbliżyła. Kiedy zginie, Tahiri będzie tylko jeszcze bardziej cierpiała.

- Dzięki, że o mnie pomyślałaś.

- Proszę bardzo... ale pewnie mi nie podziękujesz za to, co jeszcze mam ci do powiedzenia.

W głosie Tahiri było coś niepokojącego: Jaina odwróciła się i spojrzała na nią uważnie. Wyras twarzy dziewczyny stanowił mieszaninę troski, lęku i obawy, że ktoś zrani.

- W porządku - mruknęła Jaina z powątpiewaniem. - Nie krępuj się, wal.

- Wierz mi, rozumiem, że to, co mówię, to nie moja sprawa. Ale i tak muszę to powiedzieć. - Tahiri głęboko odetchnęła, jakby chciała sobie dodać otuchy. - Uważam, że powinnaś przestać unikać matki.

- Unikać? - Jaina spojrzała na Tahiri z niedowierzaniem. - Przecież ona jest wszędzie. Potykam się o nią z tuzin razy na dzień.

- Wiesz, o czym mówię. Nie unikasz jej jako obrończyni Borleias. Unikasz jej jako swojej matki.

- To idiotyczne. Nie zaczęłam wołać na nią „Leio”, ani „hej, ty!”, ani „żono Hana, jak-ci-tam”.

- Ale zaczęłaś mówić do niej „mamo, zamiast „mamusiu”.

- Naprawdę? - Jaina zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, czy rzeczywiście tak było.

Tahiri przyglądała jej się i Jaina miała niejasne wrażenie, że dziewczyna przenika wzrokiem wszystkie tarcze logiki, jakie wzniosła w swoim umyśle, jakby były z wypolerowanej na wysoki połysk transpatali.

Wreszcie ustąpiła.

- Wiesz co - zaczęła - kocham moją matkę. Ale jakoś nie mamy... czyja wiem... takiej więzi, jak inne córki z matkami. Często się rozstawaliśmy, kiedy byłam dzieckiem... Ona próbowała zrobić coś sensownego z rządu Nowej Republiki, a Jacen, Anakin i ja przebywaliśmy na jakichś samotnych, małych światkach z Chewbacą. A potem na Yavinie Cztery.

- Czy właśnie dlatego nie czujesz się z nią związana, czy po prostu jesteś na nią o to wściekła?

- Co za głupie pytanie.

- Skoro tak twierdzisz... Ale w każdej chwili możesz do niej wyciągnąć ręce i znów będziecie ze sobą związane. - Oczy Tahiri napęły się łzami i dziewczyna odwróciła głowę. - Istnieje taka chwila, kiedy zdajesz sobie sprawę, że twoja ostatnia rozmowa z ukochaną osobą była naprawdę ostatnia, że więcej już nie będzie. Że ta osoba odeszła. Przyszło ci to kiedy do głowy w związku z twoją mamą? Czy może jej to przyszło do głowy w związku z tobą?

Oczy Jaina również zaszyły łzami. Wszystkie postanowienia rozwiały się nagle. Wyciągnęła ramiona i przytuliła do siebie Tahiri.

- Nie o to chodzi - szepnęła, z trudem wydobywając głos ze ściśniętej krtani. - To wszystko nie tak...

- Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest. - Tahiri tuliła ją przez długą chwilę, po czym się odsunęła, unikając wzroku Jaina. - Muszę iść się umyć.

ROZDZIAŁ

11

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty dziewiąty

- Nazywam się Sharr Latt - rzekł mężczyzna. - Jestem Widmem.

Był wzrostu nieco więcej niż średniego, o włosach barwy odrobinę ciemniejszej niż czysta biel, obciętych trochę nieporządnie. Oczy miał niebieskie i roześmiane, a wyraz twarzy faceta, który lubi się popisować i rozśmieszać widzów. Miał na sobie czerwone spodnie i kurtkę, niebieską koszulę z długimi rękawami i buty tej samej barwy. Szeroka szarfa, również czerwona, służyła mu za pas - bardziej ozdobny niż funkcjonalny. Taka sama opaska okalała jego czoło. Mówił z akcentem niższych klas z Coruscant, a uśmiech na jego twarzy można było zinterpretować jako nieszczerzy lub drwiący - albo i jedno, i drugie.

Jaina zwróciła się do jego towarzysza. Był to Gamorreanin, krępy humanoid o ryjkowatym nosie i potężnych kłach sterczących z pyska. Jego pobratymcy walczyli na wojnie lub wykonywali mniej skomplikowane czynności w całej galaktyce. Ten konkretny Gamorreanin miał na sobie niczym niewyróżniający się brązowy strój ludzkiego kroju.

- Ten tutaj to też Widmo, tak? - zażartowała.

- Owszem - odpowiedział Gamorreanin.

Jaina podskoczyła. Wielu Gamorrean rozumiało wspólny, ale ich struny głosowe były tak zbudowane, że nie mogli nim mówić.

- Nazywam się Voort saBinring, ale możesz mówić do mnie Prosiak - ciągnął Gamorreanin.

W jego głosie było coś mechanicznego, co naprowadziło Jainę na przypuszczenie, że krtań Prosiaka została sztucznie skorygowana. To by wiele wyjaśniało. Aby ukryć nagle zakłopotanie, ucisnęła im obie ręce, po czym zapytała:

- To co dzisiaj robimy?

Sharr wskazał na niebieskawe szyby okna wychodzącego na dżunglę poza wypaloną strefą.

- Pójdziemy tam. Znajdziemy jezioro zasilane przez chłodne podziemne źródła i wykapiemy się. Prosiak stanie na straży, a potem zobaczymy, co z tego wyniknie. -

Wzruszył ramionami. - Możemy też porozmawiać o wojnie psychologicznej i o tym, jakie ma zastosowanie do Yuuzhan Vongów.

- Wolę wojnę psychologiczną.

Skinął głową.

- Tak też sobie wyobrażałem. A ponieważ Prosiak nie musi nas pilnować, prawdopodobnie będzie chciał cię poduczyć taktyki walki małymi jednostkami myśliwców.

Spojrzała na Prosiaka zwięzonymi oczami.

- Byłeś pilotem myśliwca?

Gamorreanin skinął głową, aż mu się zatrzęsły obwisłe policzki i fałdy tłuszczu na brzuchu.

- Tak. Służyłem pod twoim ojcem w jednej kampanii.

- Chyba opowiadał mi o tym, kiedy byłam mała. Taka historia z cyklu „możesz być kimkolwiek zechcesz, kiedy dorosniesz”. „Gamorreanin, który stał się pilotem myśliwca”. Myślałam, że to sobie wymyślił.

- Ostatnimi czasy siedziałem dość cicho. Niewiele latałem.

- Czy to aby nie znaczy, że niewiele mnie nauczysz na temat taktyki małych oddziałów?

Gamorreanin uśmiechnął się, otwierając szerzej pysk, aż ukazały się dalsze zęby - o wiele czystsze i równiejsze, niż u większości Gamorrean.

- Może cię zaskoczę - powiedział.

- Nieżle sobie poradziłaś w Gromadzie Hapes - wyznał Sharr. Cała trójka siedziała teraz na dachu budynku biotyki. Niedaleko w dole znajdowały się pola lądowiska, dalej aż po horyzont rozciągała się dżungla. Popołudniowe słońce grzało dość mocno, ale Jaina przyjęła to z ulgą po chłodzie przestrzeni, jakiego doświadczyła dziś w czasie porannej misji.

Znajdowali się dokładnie na widoku wszystkich ukrytych na skraju dżungli yuuzhańskich obserwatorów, przynajmniej tych, którym przyszłoby do głowy spojrzeć w ich stronę... ale Yuuzhanie z reguły nie zatrudniają snajperów.

- Nieżle to znaczy, że twoim zdaniem można było lepiej - podsumowała Jaina. Leżała twarzą w dół na wystającym bloku durabetonu, obserwując strefę dokowania statków i mechaników kręcących się wokół „Rekordowego Czasu”. Powierzchnia, na której leżała, drgała lekko - pod spodem znajdowała się aparatura klimatyzacyjna.

Sharr, oparty plecami o mniejszy występ, za którym mieściła się przepompownia, wlepił nos w notatnik i z nieobecną miną kiwał głową. Kilka metrów dalej na dachu leżał Prosiak. Z rękami pod głową i przymkniętymi oczami wyraźnie rozkoszował się słońcem. Zdjął koszulę, odsłaniając brzuch tak potężny, że Jaina uznała, iż bez trudu mógłby na nim wylądować śmigacz. Właśnie zaczęła się zastanawiać, czy nie warto byłoby namalować na nim pasów, jak na lądowisku...

- O ile lepiej? - zapytała z uporem.

- Pokazałaś parę dobrych sztuczek - przyznał Sharr, spokojnie patrząc w jej oczy. - Ale te sztuczki nie miały głębi. Masz jeden trik, który może ich zmylić, i to by było wszystko. Czasem stosujesz dwa takie triki. I koniec. A tu musisz wyciągać sztuczkę za

sztuczka, a zaraz potem jeszcze jedną. Tego oczekują od swojej bogini podstępów. Jest jeszcze jeden problem. Otóż Yuuzhanie w końcu wykombinują, w jaki sposób wyprowadziłaś ich w pole. Ten kawał z układami naprowadzającymi, kiedy każdy z Yuuzhańskich statków wysłał sygnał twojego statku, aż się wszyscy wzajemnie powystrzelali, to był dobry pomysł. Ale gdybyś tak jeszcze do każdego nadajnika dołożyła mały ładunek, który po eksplozji przypominałby osmalenie przez promień lasera, wtedy chyba by się nawet nie zorientowali, jak ci się udało sprawić, że do siebie strzelali. A właśnie niezrozumienie, niemożność rozszyfrowania sztuczki, napełniają ich... nas zresztą też... nadnaturalnym strachem.

- Podoba mi się określenie „nadnaturalny strach” - przyznała Jaina. Miło było uświadomić sobie, że nie czuje się urażona jego krytyką.

- Chcielibyśmy ich przekonać nie o tym, że jesteś w jakiś sposób powiązana z Yun-Harłą, nie o tym, że jesteś jej kapłanką, ale że jesteś samą boginią. - Sharr zamknął notatnik i wsadził sobie do kieszeni. - Wszystko w tobie powinno pogłębiać to wrażenie, nawet w najdrobniejszych szczegółach. Teraz na przykład zachowujesz się doskonale.

- To znaczy jak? - Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Bogini nie pracuje. A ty właśnie leżysz sobie i przewracasz się leniwie z boku na bok na oczach wszystkich pilotów i mechaników pracujących tam, w dole. Bogini się nie boi. No więc siedzisz tu sobie, na widoku Yuuzhan Vongów i nic cię nie obchodzi. Bogini przewyższa śmiertelników, więc bardzo dobrze, że leżysz na wyższym poziomie niż twój dwaj towarzysze. A mówiąc o towarzyszach, bogini może mieć bardzo dziwną asystę. Na przykład Gamorreanina i jakiegoś idiotę w pstrokatych ciuchach. - Sharr spojrzął na swój strój i wzdrygnął się z odrazą.

- Chyba chwytam - mruknęła Jaina. - Dlatego Prosiak jest tutaj, choć jeszcze nie rozmawiamy o taktyce myśliwców.

- Doskonale - skinął głową Sharr. - Od tej chwili jesteś na scenie. Codziennie, w każdej minucie. Nie będziemy opowiadać, że jesteś boginią. Będziemy cię tak traktować. A ty masz się odpowiednio do tego zachowywać.

- Nigdy nie prosz, kiedy możesz żądać - wtrącił Prosiak.

- Nic nie rób... z wyjątkiem prac, które wykonywałaby Yun-Harła - dodał Sharr. - Na przykład szykowanie sztuczek. Nie noś niczego sama. Skombinujemy dla ciebie tragarza, jeśli nie masz nikogo, kto by za tobą wszystko nosił.

- Nie bądź delikatna - zarządził Prosiak. - Rób zamaszyste gesty, jakbyś dyrygowała orkiestrą.

Jaina skrzywiła się niemiłosiernie.

- Ludzie mnie znienawidzą. Będą myśleli, że jestem okropnie zarozumiała.

- To prawda. - Sharr uśmiechnął się znowu, tym razem bardziej szczerze, choć wciąż kryła się w tym nutka drwiny.

- Ale w życiu prywatnym...

- W życiu prywatnym iluzja ma trwać - przerwał jej Prosiak. - Możesz powiedzieć prawdę tylko tym, którym absolutnie ufasz.

- Nie, nie może - sprzeciwił się Sharr.

- Właśnie, że może.

- To ja jestem tutaj ekspertem od wojny psychologicznej i twierdzą, że nie może.

- Ważę trzy razy tyle co ty i jednym kłapnięciem mogę ci odgryźć głowę. Mówię, że może!

- Przepraszam najmocniej! - Jaina pozwoliła, aby jej głos nabrał piskliwych tonów.

- Może nie zauważyliście, ale ja wciąż tu jestem!

Prosiak otworzył oczy, spojrzął na nią, i zaraz wymienili spojrzenia z Sharrem.

- Chyba nas zaskoczyła tym razem - mruknął Sharr do Jainy.

- Rzeczywiście jeszcze tu jest.

- Słuchaj, o Wielka... - zaczął Sharr.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Muszę. Wszyscy musimy. Jeśli chodzi o mówienie o tym komukolwiek...

Yuuzhanie z pewnością mają tu szpiegów. W obozie, w naszej bazie. Im więcej osób będzie wiedziało, że nie stałaś się naprawdę arogancka jak córka kuatskiego handlarza przerobiona na księżniczkę, tym prędzej szpiegzy to zauważą. Pamiętaj, że każda kolejna osoba, której się zwierzysz, zwiększa szanse na ujawnienie prawdy.

- Generał Antilles już oddzielił Eskadrę Bliźniaczych Słońc od normalnej struktury dowodzenia - przypomniał Prosiak. - To ma sens, bo przecież bogini nie może mieć formalnej rangi w hierarchii Nowej Republiki.

- To prawda. - Sharr wyjął notatnik i wprowadził kilka słów. - To znaczy, że możemy nazywać twoich pilotów najwyższymi z tytułów, jakie uzyskali, skoro i tak nie ma to wpływu na strukturę dowodzenia twoim oddziałem. Pułkownik Jagged Fel, mistrz Jedi Kyp Dur-ron... - Zmarszczył brwi. - Mistrz Jedi Kyp Durrone, Niszczyciel Światów, jest podwładnym Jainy. Dla Yuuzhan to będzie miało swoje znaczenie. - Znowu zerknął na Jainę. - Co o tym sądzisz?

Uśmiechnęła się do niego. Miała nadzieję, że ktokolwiek obserwuje ją teraz z dołu przez organiczną lornetkę, uzna ten uśmiech za tak złośliwy, jak jej się wydawał.

- Mowy nie ma - odparł Jag Fel. Nie podniósł głosu, nawet na nich nie spojrzął. Nie przestał również chrobetać kluczem po dolnym lewym szponie swojego szponostatku TIE. z milimetrową precyzją poprawiając współosiowość laserów.

Wokół nich mechanicy naprawiali uszkodzone myśliwce, piloci wzbijali się w górę na kurierskich wahadłowcach, posłańcy pędzili w śmigaczach; kakofonia głosów rozchodziła się po doku.

- Ale to ważne. - Sharr oparł się o szpon, ale na widok wyrazu, jaki pojawił się w oczach Jaga, wyprostował się szybko i odskoczył. - Nie chcę słyszeć idiotycznych usprawiedliwień, że twoja duma tego nie wytrzyma. Może od tego zależeć życie wielu istot.

Jaina stała w pewnym oddaleniu, nie racząc osobiście rozmawiać z byle śmiertelnikiem i uśmiechała się zagadkowo. Podniosła dłoń, jakby podziwiając swoje paznokcie: szpiegzy Yuuzhan Vongów nie mieli szansy zobaczyć, że są obcięte na krótko, niepomalowane i - co wreszcie zauważyła - brudne.

- Z przyjemnością będę uczestniczył w każdym planie, pod warunkiem, że jest to najlepszy plan zmierzający do osiągnięcia określonego celu - zapewnił Jag. Wyprosto-

wał się i zatrzasnął właz, który umożliwił mu dostęp do wewnętrznych obwodów szponu. Zignorował Sharra i zwrócił się bezpośrednio do Jaina. - To nie jest ten najlepszy plan, nie przemyślałaś go do końca.

Jaina zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

- Jest najlepszy. Ty po prostu nie chcesz tego zrobić.

- Bo mam lepszy pomysł. Sharr prychnął pogardliwie.

- Lepszy niż mogliby wymyślić do spółki ekspert wojny psychologicznej i rycerz Jedi? Jasne.

Jag spojrział na niego i uśmiechnął się mało przyjaźnie.

- Kyp Durrone.

Twarz Sharra pojaśniała; najwyraźniej dopiero teraz do niego dotarło.

- Dla tych wszystkich obserwatorów i szpiegów Yuuzhan Vongów - ciągnął Jag - których wszędzie widzicie, jestem po prostu nieznanym czynnikiem; po prostu pilot z miejsca, którego Yuuzhanie jeszcze nie zdążyli zbrukać. Ale jeśli zobaczą mistrza Jedi, Kypa Durrone, zgiętego w pokłonach, noszącego za boginią bagaż, czyszczącego jej paznokcie...

Jaina musiała użyć całej siły woli, żeby wściekłość, którą czuła, nie pojawiła się na jej twarzy.

- ...będą pod wrażeniem. Przed kim ukloniliby się mistrz Jedi, jeśli nie przed boginią? Tak czy nie? Powstaną plotki zarówno wśród naszych, jak i wśród waszych ludzi. - Jag odwrócił się do nich tyłem i dokręcił zatrzaśnięty właz. W ten sposób nie tylko podkreślił swój punkt widzenia, ale i zakończył dyskusję. Gdyby jednak Jaina też się teraz odwróciła i odeszła straciłaby punkt w dyskusji. Odczekała, aż uzyska pewność, że nie zadrży jej głos, i przybrała ton, którego zwykle używała Leia w dyskusjach politycznych, i powiedziała:

- Chciałabym, żebyś opracował symulację na podstawie wydarzeń sprzed dwóch dni. Może jeszcze ktoś z nas będzie się chciał nauczyć, jak ratować rozbitków za pomocą manewrów pojazdem.

Jag wsadził klucz zapadkowy do kieszeni w pasie, zwrócił się w jej stronę i zasalutował tak sprawnie i starannie, że Jaina wyczuła w tym cień złośliwości czy urazy.

- Zrobię to - zapewnił.

Oddała mu salut, okręciła się na pięcie i ruszyła do głównego budynku.

Sharr dogonił ją.

- Znam go tylko kilka minut i już zdążyłem zniechęcić - syknął.

Jaina wzniosła oczy do nieba. Pomimo całej irytacji musiała przyznać - oczywiście tylko wobec siebie - że Jag miał rację.

- Och, naprawdę nie jest taki zły - mruknęła.

Ekspedycję Luke'a na Coruscant przygotowano z oszalamiającą szybkością.

Iella zaoferowała mu pomoc Widm, najbardziej doświadczonej komórki wywiadu na Borleias. Luke spotkał się z Bużką Loranem, szefem komórki, znał już też Kella Tainera. Bużka przedstawił go innym Widmom, którzy znajdowali się na Coruscant w chwili upadku planety.

Elassar Targon był Devaronianinem w średnim wieku, ale sprężysty chód sprawiał, że wydawał się znacznie młodszy. Nosił jaskrawą wojskowego kroju kurtkę z błyszczącego czarnego materiału, ze złotymi frędzlami, czerwonymi lamówkami i rzędami błyszczących medali. Frędzle i medale kołysały się w rytm jego kroków, a on jeszcze podkreślał ten efekt, wymachując ramionami. „To żeby odegnać złe moce, wyjaśniał. Naprawdę działa. Spróbuj”. Ale Luke zauważył, że koszula, spodnie i wysokie do kolan buty Elassara są matowo czarne; podejrzewał, że Devaronianin może w każdej chwili odwrócić kurtkę na lewą stronę i stać się niewidoczny. Oczywiście, niewidoczny tam, gdzie Devaronianin nie jest niczym niezwykłym.

Baljos Arnjak, człowiek, mówił z suchym, precyzyjnym akcentem rodowitego mieszkańca Coruscant albo osoby, która miała aspiracje do przodków z tej planety. Był wysoki i szczupły, o ciemnych włosach, wąsach i brodzie, przy których jego jasna cera wydawała się całkiem przezroczysta. Miał na sobie mocno poplamiony dres pilota, co pozwalało podejrzewać, że jest mechanikiem noszącym wyłącznie używane rzeczy, ale Bużka przedstawił go jako eksperta biologa ekipy - człowieka o niemal takim samym doświadczeniu w technologii Yuuzhan Vongów jak Danni Quee.

Prosiak saBinring był gamorreaniskim pilotem przydzielonym Jainie jako instruktor spraw dowodzenia bitwą. Prawdopodobnie jako jedyny ze swojego gatunku został w dzieciństwie zmodyfikowany przez biologa pracującego dla wojennego władcy Zsinja. Biolog zmienił strukturę jego mózgu, dając mu cierpliwość i niezwykle zdolności matematyczne, co było konieczne, aby Gamorreanin mógł opanować zawilosci astronautyki i astronawigacji potrzebne pilotowi myśliwca. Sharr Latt był białowłosym mieszkańcem Coruscant, który został przydzielony do pracy z Jainą nad jej rolą wcielenia bogini podstępów. Obaj z Prosiakiem właśnie wrócili z pierwszej sesji.

Bhindi Drayson, kobieta, zachowywała się z taką samą swobodą i mówiła z identycznym bezosobowym akcentem jak poprzednia pani prezydent Mon Mothma, co sugerowałyby pochodzenie z Chandrili, rodzinnego świata Mon Mothmy. Bhindi była nieładna i chuda jak nagie wibroostrze, o ciemnych włosach i oczach, które sprawiały wrażenie gniewnych i ponurych. Luke nie wyczuł w niej jednak gniewu ani groźby, a jedynie spokojną czujność.

- Jesteś może krewną Hiram Draysona? - zapytał Bhindi. Admirał Hiram Drayson był poprzednim dowódcą wywiadu, doskonałym wojskowym i przyjacielem Mon Mothmy.

- Jego córką - odparła.

- Pochodzisz z rodziny o wspaniałej historii i tradycjach. Uśmiechnęła się lekko.

- A to tylko ta część, o której słyszałeś.

- Bhindi jest jednym z naszych dwóch ekspertów od taktyki, razem z Prosiakiem - wyjaśnił Bużka. - Uczyla się długo i pilnie wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć na temat taktyki Yuuzhan Vongów. Niestety, stracimy ją na Coruscant.

Luke zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy Bużka doznał jasnovidzenia, czy napadu wyjątkowego chamstwa, ale nagle zrozumiał, o co mu chodziło.

- Zostaniesz na planecie, kiedy my odleciemy? Skinęła głową.

- Będę tam tworzyć komórki ruchu oporu.

Luke zmartwiał. Wyprawa na Coruscant to już trudna decyzja. Ale pozostać wśród wrogów tak obcych i okrutnych, pozostać tam świadomie i umyślnie, naprawdę nie było przyjemną perspektywą. Bhindi wydawała się czerpać pewną satysfakcję z zakłopotania, w jakie wprawiła mistrza Jedi.

Widma i Luke zebrali się w pomieszczeniu ukrytym głęboko w kompleksie na Borleias. Sądząc z doskonałego stanu pokoju, Yuuzhanie nie natrafili na niego w czasie pierwszej krótkiej okupacji. Luke nie wiedział, jak Widma odkryli istnienie tego pomieszczenia - wiedział tylko, że wchodziło się do niego przez odsuwany panel w ścianie laboratorium i że tu także mieściło się kiedyś laboratorium. Na półkach wzdłuż ścian pozostawiono resztki sprzętu biomedycznego. Luke widział płytki z kulturami bakterii, inżektory, monitory neuronowe... a w kącie stał pełnowymiarowy zbiornik bacty, w tej chwili pusty. Transpastal jego głównej komory była tak podrapana i starta od ciągłego używania, że prawie nieprzezroczysta.

- No - odezwał się Bużką sadowiąc się na jednym ze stołków przy głównym stole. - Pokażmy mu, co mamy. Kell, ty pierwszy.

Potężny mężczyzna dźwignął z podłogi zieloną brezentową torbę o mniej więcej dwumetrowej długości. Rozwiązał linkę w górnej części i wyjął przedmiot przypominający płytką jednoosobową łódkę. Była wysoka na prawie trzydzieści centymetrów, wzdłuż krawędzi nieco cieńsza, mniej więcej grubości dziesięciu centymetrów. Czerwone dno wydawało się miękkie jak guma i bardzo gładkie, Luke musiał się przyglądać przez kilka minut, żeby stwierdzić, że gruba warstwa czerwonej substancji została przyklejona na stałe do gładkiej srebrzystej powierzchni. Górna część urządzenia miała matowy szary kolor i dwa półokrągłe uchwyty.

Kell podniósł urządzenie i umieścił na stole przed Bużką. Rozległ się głuchy stuk - przedmiot musiał być dość ciężki. Bużka spojrział na Kella z lekką drwiną:

- Dzięki - rzucił.

- Nie ma sprawy. - Kell zwrócił się do Luke'a. - Pracujemy nad tym już od pewnego czasu. Montujemy je w obudowach przypominających meteoryty lub kawałki wraków. Wraz z obudową stanowią jednoosobowe kapsuły atmosferyczne.

Luke spojrział sceptycznie.

- A co to właściwie znaczy? - mruknął.

- To znaczy, że jedziesz sobie z orbity przez atmosferę planety.

W czym?

- Właśnie w tych obudowach. I nic więcej nie potrzeba. Czerwona warstwa to klej, którym mocuję kapsułę do wnętrza obudowy. Nawet nie musi być hermetyczna. Mieści się w niej jeden człowiek w kombinezonie próżniowym. A tu mocujesz stopy. - Kell wskazał uchwyty. - Spód jest ablacyjną osłoną cieplną. Pomiędzy osłoną cieplną a górną warstwą znajduje się prosty układ repulsorowy i ogniwo zasilające. Repulsor umożliwia utrzymanie prawidłowego kąta spadku na powierzchnię planety. Wpadasz w atmosferę pod odpowiednim kątem i jedziesz sobie aż na sam dół. Powłoka spala się od tarcia o atmosferę, ale nie bój się, zaprojektowana jest tak, żeby ciepło tarcia nie ugotowało podróżnika. Osłona cieplna ukrywa również rzeczywistą naturę spadającego obiektu przed większością czujników, naszych i waszych. A kiedy osłona się spali,

masz jeszcze kolejną srebrną warstwę; ona też jest ablacyjna, więc złudzenie optyczne, że jesteś spadającym meteorytem, pozostaje. Innymi słowy, wyglądasz i zachowujesz się jak kawałek kosmicznego śmiecia, który uleciał w atmosferę.

- Dopóki nie zbliżysz się do powierzchni planety - dodał Bużka. - Wtedy repulsor daje z siebie wszystko i spowalnia cię tak, że spadasz na powierzchnię w całkiem przyzwoitym tempie.

- Spadasz... - powtórzył Luke.

- Całkiem powoli, naprawdę.

- Oczywiście, wszystkie zostały przetestowane z wynikiem pozytywnym.

Bużka rozejrzał się dokoła. Wydawał się nieco nerwowy.

- Nooo, jasne, były przetestowane. Pewnie. Były testowane. Za każdym razem, kiedy je testujemy, zbieramy wszelkie możliwe dane i kolejna generacja kapsuł wychodzi z upadku w coraz lepszym stanie.

- Jestem pewna, że tym razem wyszły im całkiem dobrze - mruknęła Bhindi.

Luke powiódł wkoło wzrokiem i tym razem to Bhindi pierwsza przerwała kontakt. Porzuciła zmartwioną minę i wyszczerzyła się do Luke'a.

- Już w nich schodziliśmy na planetę, słowo daję - dodał Kell przepaszajaco. - To nowość, ale Sharr i ja używaliśmy ich dwa razy, a Bużka i Elassar po trzy razy. I jeszcze nikogo nie usmażyliśmy.

Luke pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Muszę powiedzieć, że to najgorszy pomysł spośród kiepskich pomysłów w ciągu ostatniego tysiąca pokoleń.

- Jeszcze nie zapoznałeś się ze wszystkimi naszymi wynalazkami - zauważyła niewinnie Bhindi.

- Następny - przerwał Bużka i skinął ręką na Baljosa.

Naukowiec wyszarpnął spod stołu drugą torbę, wyjął z niej niewielki przedmiot i rzucił kosmiczną kapsułę. Wyglądało to tak, jakby ktoś zdarł skórę z głowy Yuuzhaniana i starannie przyczepił ją do podstawki na perukę. Podskoczyło kilka razy i znieruchomiało.

- Masker oogolith - domyślił się Luke.

- Trafiony za pierwszym razem - ucieszył się Baljos. - Ja go wymyśliłem. No, może tylko opracowałem... korzystałem z przechwyconych prawdziwych oogolithów.

- Ale ten ma gębę Yuuzhaniana.

Baljós skinął głową.

- Każdy jest inny. I każdy ma imię. Ten nazywa się Pieczętka, dlatego że większość jego okaleczeń została wykonana metodą podobną do piętnowania. Boli przy zdejmowaniu jak cholera, ale możesz go nosić przez kilka godzin, a nawet dni, i nic ci nie będzie. Nie tak jak holomaski, którym baterie wyczerpują się po kilku minutach.

- To mi się podoba - mruknął Luke. - Będziemy mogli poruszać się niezauważeni pośród nieprzyjaciół.

- Następny - wciął się Bużka.

Bhindi rzuciła na stół własny plecak. Wyjęła z niego obiekt składający się z grubej górnej tarczy, lekko wygiętej i przymocowanej do solidnej łodygi, która rozszerzała się ku dołowi. Miało to wielkość mniej więcej ludzkiej głowy.

Luke nachylił się, żeby się lepiej przyjrzeć.

- To chyba jakiś grzyb.

- Jasne. I wszyscy będziemy je mieć przy sobie - odparła.

- Na wypadek głodu?

- To nie grzyb - pokręciła głową Bhindi. - To robot.

- Chyba sobie żartujesz.

- Wygląda jak grzyby, które rosną w ciemnych wilgotnych zakątkach Coruscant-wyjaśniła Bhindi. - Mamy nadzieję, że Yuuzhanie ich nie zniszczyli, głównie dlatego, że wyglądają jak twór organiczny. W istocie ich powłoka rzeczywiście jest organiczna, to coś w rodzaju odlewu. Obwody są bardzo dokładnie ekranowane. Mają zbiornik żywic epoksydowych, żeby się przyczepić do powierzchni, jeśli ktoś spróbuje je podnieść, i rozpuszczalnik, żeby się później odkleić. Są mobilne, a ich system czujników i oprogramowanie taktyczne są bardzo precyzyjne.

- To oznacza - podsumował Elassar - że będą sobie łączyć po okolicy, wyszukiwać instalacje Yuuzhan, zakradać się do środka i przekazywać informacje jedne do drugich. Stworzą linię przekaźnikową aż na samą powierzchnię, a te, które tam się znajdują będą nadawać do tych stacji telekomunikacyjnych, którym udało się przetrwać.

- Wszystko przewidziano trochę na wyrost - dodała Bhindi - ale cóż, każda informacja w jakimś momencie może się okazać istotna. Mamy cztery różne kształty i rozmaite kolory, a jeden z typów wygląda jak yuuzhańska roślina służąca do przemiany światów. Jeśli nawet Yuuzhanie odkryją, że to robot i zniszczą wszystkie podobne rośliny, trzy inne wersje pozostaną niewykryte.

- Grzyboroboty. Zawsze sądziłem, że praca wywiadu powinna być... powiedzmy, elegancka i pełna uroku.

- No właśnie. Tak mi mówiłeś na pierwszym spotkaniu - zarechotał Buźka.

- A to my się znamy? - Luke zmarszczył brwi.

- Jasne... - Buźka wyraźnie zmienił zdanie. - Ale byłem wtedy w przebraniu. I tak byś mnie nie rozpoznał.

- Ale kiedy to było? Naprawdę mnie zaciekawiłeś!

- Nie mogę powiedzieć.

- Mamy jeszcze kilka kompletów zbroi z kraba vonduun - wtrąciła Bhindi. - I jeszcze inne, podrobione tak, że wyglądają jak prawdziwe. Jeśli podejną na tyle blisko, żeby ich dotknąć, to oczywiście rozpoznają że to plastik. No i mamy jeszcze dużo tizowymów... robaków translacyjnych.

- I materiały wybuchowe - dodał Kell. - Mnóstwo materiałów wybuchowych.

- No i Jedi - wychrypiął mechanicznym głosem Prosiak.

- Troje Jedi - poprawił Luke. - Mara i Tahiri lecą z nami. Doskonale, zastanówmy się teraz, jak dostaniemy się na orbitę Coruscant, gdzie chcemy wylądować i jakie mamy priorytety. Jeśli już mamy na tyle źle w głowie, że się w to pakujemy, spróbujmy chociaż zrobić to dobrze.

ROZDZIAŁ

12

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty dziewiąty

W budynku mieszkalnym dla starszego personelu, gdzie rezydowała większość Wtajemniczonych, Jaina natknęła się na mały tłumek - Wedge, Iella, ich córki, Luke, Mara, mały Ben, Kam i Tionna Solusarowie z Akademii Jedi, Han, Leia i C-3PO tłoczyli się w holu, wymieniając ostatnie słowa pożegnania i dobre rady.

- Nie chcę lecieć! - pisnęła Syal, starsza córka Wedge'a. Miała nie więcej niż dziesięć lat, ale nie histeryzowała raczej wyrażała swoje zdanie. Była dzieckiem nauczonym myśleć, logicznie przedstawiać argumenty i jasno wyrażać emocje.

- Wiem - odparł Wedge. Ukląkł koło córek i objął je ramionami. - Ale tam, gdzie pojedziecie, będziecie bezpieczniejsze, a ja będę mógł mniej się o was martwić i spokojnie pracować.

- Dobrze się nim zaopiekujemy - zapewniał Kam Solusar Marę i Luke'a. Mara wydawała się nie słyszeć, całkowicie skupiona na osobie synka; trzymała Bena w ramionach i coś do niego szeptała. Jaina nadstawiła uszu, ale nie mogła zrozumieć słów - przyszło jej do głowy, że może Mara w ogóle nie używa normalnego języka, tylko porozumiewa się z małym bezpośrednio przez Moc. Luke obejmował oboje, patrząc na swojego syna w zadumie.

W twarzy Mary nie było śladu złośliwości i sarkastycznego humoru, z którego była znana. Nie złagodniała całkowicie, ale z pewnością była inna, a jej obecny sposób myślenia i punkt widzenia były Jainie całkiem obce. Dziewczyna zastanowiła się nad perspektywą widzenia dziecka. Może to zależy od kąta patrzenia, jak w niektórych łąmigłówkach optycznych, które miały sens tylko wówczas, jeśli patrzyło się na nie pod odpowiednim kątem.

Przez chwilę Jaina doznała przyływu dziwnego uczucia - nie pochodziło od Mary ani dziecka, było jej własne, ale dziwnie obce. Zazdrość, pomyślała, kiedy minęło. Zazdrość? Komu zazdrościła, Marze czy dziecku?

- Hej, mała - usłyszała za plecami głos ojca, który nareszcie zauważył jej obecność. - Przyszłaś nas odprowadzić? Czy będziesz nas osłaniać?

- Eee... nawet nie wiedziałam, że odjeżdżacie. Jestem w głównych siłach zadaniowych.

Wedge z trudem oderwał się od córek i wstał.

- Jaina, to pierwsza misja, która zabiera dzieci Jedi i kilkoro cywilów do nowej strefy bezpieczeństwa. Han, Nevil i Corran będą osłaniać wasz start.

- Do licha! A już myślałem, że będę mógł udzielić swojej córce lekcji latania, której wydaje się bardzo potrzebować.

Jaina nie dała się wciągnąć w dyskusję. Wzruszyła ramionami.

- Cóż, może kiedy indziej.

Łagodnie, choć niechętnie Mara oddała dziecko Luke'owi. Pochyliła się, by ucałować czoło synka i szybko się odwróciła... jednak nie dość szybko, żeby Jaina nie dostrzegła grymasu bólu na jej twarzy. I oto szła już do swojej kwatery, stawiając długie, pewne kroki i stukając obcasami w rytmie tak spokojnym, jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego.

- Chodźcie, młodzi Kordianie. - Han odwrócił się od tłumu i zerknął kątem oka na dzieci. - Kogo podrzucić na „Sokoła Millenium”?

- Mnie! - zawołała Myri, stojąca bliżej Hana niż jej siostra. Bez wahania wskoczyła mu na plecy. Han przytrzymał nogi małej pod kolanami, żeby mogła swobodnie jechać „na barana”.

- No chodź, Złota Pało - skrzywił się w kierunku C-3PO.

- Jestem równie gotów do odejścia, jak byłem na początku tej dyskusji, cztery minuty i trzydzieści osiem sekund temu.

- Nie o to chodzi, ty puszeko oporników, rób to, co ja! - Han podskoczył lekko i zgiął się wpół, podkreślając swoją pozycję.

- Jak pan sobie życzy, ale nie wiem, co panu z tego przyjdzie... -C-3PO nachylił się posłusznie, naśladując pozycję Hana i westchnął „och”, gdy roześmiana Syal wskoczyła mu na grzbiet.

- Ślicznie - pochwalił Han. - Syal, nie bój się użyć bata, on jest narowisty i złośliwy.

- Proszę pana, protestuję. Te przymiotniki nie opisują we właściwy sposób mojego zachowania...

Han ruszył naprzód, kierując się w stronę wyjścia, ale po drodze wywrócił oczami pod adresem Jaina.

- Powinienem był przemyśleć sprawę, ona waży tyle co wampa.

- Nieprawda - wrzasnęła Myri.

Ruszyli dalej, a C-3PO i Syal podążyli za nimi. Jaina patrzyła za odchodzącymi. Ileż razy to ją ojciec tak nosił na barana... Ostatnio... kiedyż to było? Nie tak dawno, kilka lat temu. Powiedział, że jest już za duża, a on za stary. Kolejna błazenada Hana Solo.

Tłumek w holu rozprasał się powoli. Leia towarzyszyła Wedge'owi i Ielli w drodze do głównej części kompleksu.

- Muszę z tobą porozmawiać na temat pewnych dodatkowych elementów wyposażenia - zaczęła.

Luke, z Benem w ramionach, szedł za nimi, gawędząc z Kamem i Tionną.

Jaina nagle została sama. Poszła w ślad za Marą do drzwi kwatery Skywalkerów i zastukała.

- Wejść - usłyszała.

Mara stała na środku głównego pokoju. Wszystkie meble ustawiono pod ścianami i po kątach, niewątpliwie po to, by Luke i Mara mogli swobodnie ćwiczyć albo medytować. Mara prawdopodobnie właśnie przerwała jakieś ćwiczenie - włosy miała lekko rozwiane, policzki zaróżowione.

- Chyba przyszedłam nie w porę - bąknęła Jaina. Głową wskazała na drzwi i znajdujący się za nimi korytarz. - Nie wiedziałam nic o... tym.

- Nie szkodzi. Zabierają studentów Akademii Jedi do nowej kryjówki. Gdzieś, gdzie będą bezpieczni, póki „Błędny Rycerz” dokuje tutaj. Leci mały Ben, dziewczynki Wedge'a i Tarć - Mara wzruszyła ramionami i otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, ale zrezygnowała.

- Wszystko w porządku?

- Czuję się, jakby mnie ktoś kopnął w żołądek. Jakoś nie mogę złapać tchu...

Ta nagła szczerość, nasuwająca wrażenie, że Mara jest na skraju załamania, zdenerwowała Jainę. Próbowwała znaleźć jakieś słowa, które mogłyby ją pocieszyć, ale zrozumiała, że to śmieszne i bezsensowne. Sama nie знаła takich przeżyć.

Oprócz utraty Anakina i Jacena. Ale to nie to samo. Oni byli jej braćmi, a nie synami; poza tym ona straciła ich na zawsze. Otrząsnęła się z tych myśli.

- Mogłaś lecieć z nimi - szepnęła.

- Nie myśl, że nie brałam tego pod uwagę. I na pewno nie przestanę się nad tym zastanawiać, dopóki twoi rodzice nie wystartują. -Z trudem przełknęła ślinę. - Ale moja misja tutaj i wyprawa na Coruscant są ważniejsze od uczuć. Jeśli nie zostanę i nie zrobię tego, co do mnie należy, być może Yuuzhanie zrobią kolejny krok w kierunku zwycięstwa. A gdzieś tam w odległej przyszłości może to właśnie zaważy na naszym losie. Może od tego zależy, czy Ben będzie miał galaktykę, gdzie by dorastał... czy też nie. Jeśli zrobię po prostu to, czego pragnę, to znaczy pobiegnę za twoim ojcem, Ben może zginąć albo zostać niewolnikiem Yuuzhan Vongów. Nie wolno mi...

Przymknęła oczy, ale pozostała opanowana - przynajmniej na oko. Nic nie było w stanie stłumić rozpacz, która ją ogarniała.

Jaina czuła ją poprzez Moc, czuła ten gejzer bólu, który tryskał z Mary jak woda z rozerwanej tamy. Opłynął Jainę, która nagle się w nim zatraciła...

.. samotne lata, pustka kosmosu w sercu, Ręka Imperatora pomści jego śmierć i potem Luke, którego nienawidziła. Stał się Benem takim malutkim, takim malutkim, czyja też byłam taka malutką czy go jeszcze zobaczę, czy zasługuję na to, by być jego matką...

Jaina zgięła się wpół, jak od kopniaka w brzuch. Rzuciła się ku drzwiom, ale Mara, pogrążona w sobie, z przymkniętymi oczami, zdawała się tego nie słyszeć.

Dziewczyna powstrzymała pragnienie, żeby podejść do swojej mistrzyni, objąć ją ramionami, pocieszyć. Prędej czy później upomni się o nią śmierć; będzie lepiej dla Mary, jeśli nie obdarzy zbyt wielu swoją miłością. Jaina powinna teraz odejść, pozwa-

lając, żeby Mara skoncentrowała się na własnej rodzinie. Wycofała się do drzwi i wyszła na korytarz.

Drzwi się zasunęły, ale strumień uczuć i myśli Mary przekazywany przez Moc wcale nie zelżał. Jaina cofnęła się, próbując złapać oddech, lecz ból Mary wciąż ją przenikał i mieszał się z jej własnym cierpieniem po stracie braci. Dziewczyna zapragnęła nigdy więcej nie odczuwać takiego bólu.

Z każdym krokiem oddalała się od kwatery Mary i pozostawiała za sobą jej ból. Zanim doszła do końca korytarza znów była sobą... ale myśli i uczucia wciąż wirowały wokół niej jak chmury piraniożuków na Yavinie Cztery.

Nie uspokoiły się nawet wiele minut później, gdy przeprowadzała procedurę startową X-winga.

Wokół niej wszystkie myśliwce i większe statki w doku operacji specjalnych zawyły, zawarczały i ożyły. Hałas i drgania przeniknęły do Jaina pomimo izolacji, jaką stanowiła powłoka X-winga i kombinezon pilota. Zazwyczaj te wrażenia były dla niej czymś przyjemnym i znajomym, nawet uspokajającym, jak gdyby wszyscy, którzy odczuwali to samo, łączyli się w jeden umysł i jeden cel. Tym razem jednak drażniły ją nie mogła się skupić.

„Sokół Millennium” znajdował się po jej lewej stronie; mogła dostrzec w kabinie sylwetki matki i ojca. Leia zauważyła ją uśmiechnęła się i pomachała ręką. Jaina odpowiedziała machinalnym gestem i zmusiła się do uśmiechu.

Myśliwce eskadry Jaina stały wokół niej; Kyp i Jag znajdowali się tuż obok. Widziała, jak Kyp przeprowadza procedury startowe, wędrując spojrzeniem po układach kontrolnych. Jag zakończył już swoje i teraz odpoczywał, rozparty w fotelu, ukryty w anonimowym hełmie pilota myśliwca TIE.

Niektórzy z tych ludzi ją kochali. Inni przynajmniej szanowali. Będą cierpieć, kiedy pójdzie na śmierć w ślad za braćmi, ale ona sobie z tym poradzi. Musi odsunąć ich wszystkich jak najdalej, wtedy będzie im mniej przykro, kiedy odejdzie.

Może im jeszcze w tym pomóc. Kiedyś Kyp zaproponował, aby została jego uczennicą. Jeśli przyjmie propozycję, może Mara poczuje się zraniona i usunie się z jej życia. Wtedy nie dozna jeszcze boleśniejszej rany po jej śmierci. W dodatku jako uczennica Kypa będzie mogła utrzymać przyzwoity dystans pomiędzy mistrzem a uczennicą i hamować jego bardziej osobiste zapędy.

Pozostaje tylko Jag. Nie wiedziała, ile mógłby dla niej znaczyć, gdyby wszystko ułożyło się inaczej. Podejrzała, że dalsze zagłębianie się w ten problem mogłoby odsłonić powody, dla których dołączył do jej eskadry. Ale Jag był zdyscyplinowany i zbyt wiele już w życiu stracił, aby nadmiernie rozpaczać po jej śmierci. Nic mu nie będzie.

Trochę się uspokoiła. Miała już plan dotyczący wszystkich ludzi, którzy mogliby odczuć jej śmierć. Kiedy na nią przyjdzie czas, wszyscy oni przeżyją jej stratę nieco mniej boleśnie, trochę łatwiej.

Kliknął komunikator. Kyp nawiązał bezpośrednią łączność poprzez roboty astro-mechaniczne.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Po prostu skorzystałam z technik uspokajających.

- Zdaje się, że ci nie pomogły. Czuję cię aż tutaj. Cała się gotujesz.

- Nieprawda. Tak ci się tylko wydaje. - Aby uciąć ten temat, przeszła na ogólną częstotliwość.

- Dowódca Bliźniaczych Słońc do eskadry. Mam cztery silniki pod pełną parą gotowe do lotu.

- „Dwójka”, cztery grają i czekają na cel.

- „Bliźniacze Słońce Trzy”, gotów.

- „Cztery”, górny prawy wykazuje normalny przepływ, ale chyba ma ochotę potaćzyć...

W minutę później kod gotowości mignął na jej tablicy rozdzielczej. Eskadra Bliźniaczych Słońc jako pierwsza opuściła dok operacji specjalnych, otaczając niezgrabną, kanciastą sylwetkę, który obrońcy Borleias określali mianem „rurostatku”. Rozstawili się na polu startowym i czekali na sformowanie się pozostałych oddziałów.

Następna była Eskadra Łotrów, w zmniejszonej liczbie z powodu nieobecności Nevila i Corrana, razem ze swoim rurostatkiem i Dzicy Rycerze ze swoim. Czwartą była Eskadra Czarnego Księżyca, przemianowany oddział E-wingów, który strzegł kiedyś księżycy Pyrii Sześć. Pod dowództwem kapitana Yakowna Retha eskortowali trójkątny rurostatek stanowiący centralny punkt operacji „Gwiezdny Włócznik”. Ostatni opuścił dok „Sokół Millennium” wraz ze swoją obstawą dwóch X-wingów z Eskadry Łotrów i jeszcze jeden duży frachtowiec.

Jaina przełączyła komunikator na częstotliwość floty.

- Dowódca Bliźniaczych Słońc do Kontroli. Misja próbna gotowa do startu.

- Bliźniacze Słońca, tu Kontrola. Startuj w każdej chwili. Życzymy szczęścia.

Poprowadziła Bliźniacze Słońca i rurostatek łagodnym łukiem przez atmosferę Borleias. Nikt nie wiedział na pewno, jakie obciążenia mógł wytrzymać eksperymentalny pojazd. Po każdej misji próbnej mechanicy oblegali poskładane napędce statki, znosząc segmenty kątownikowe ze stacji kosmicznej, stare silniki i kabiny zdemontowane z Y-wingów, po czym szepiali je do kupy do kolejnego startu. Nikt jeszcze nie powiedział, że to bitwa z góry przegrana, ale Jaina wiedziała, że doświadczalne statki angażują ogromne zasoby remontowe i konserwacyjne. Miała nadzieję, że projekt będzie na tyle udany, by się to opłaciło.

Eskadry osiągnęły już pułap wysokiej orbity i rozdzieliły się, każda w swoją stronę systemu Pyrii - na orbicie pozostał tylko „Sokół” i jego eskorta.

Tam Elgrin doczołgał się do swojej kajuty na wahadłowcu i zaczął pospiesznie manipulować przy ukrytym villipie. Ból całkiem go obezwładnił - musiał próbować kilka razy, zanim zdołał zmusić zwierzę do otwarcia się i we właściwy sposób pogłaskać jego wnętrze, aby przekształciło się w oblicze jego kontrolerki.

- Mów - odezwała się kobieta.

- Jaina Solo właśnie wystartowała - powiedział Tam. Z każdym słowem ból głowy zmniejszał się odrobinę. - Z całą eskadrą. Udało mi się rzucić tego... tego żuka na jej X-winga, zanim opuściła dok. Przykleił się do burty, jak kazaliście.

Wykonywanie rozkazów szło mu coraz lepiej. Niedawno przeszedł się na granicę wypalanej strefy dozwolonej dla cywilów i swoją holokamerą rejestrował nudny, zniszczony krajobraz. Czekał tak długo, aż na skraju wycinki pojawili się Yuuzhanie i rzucili mu paczkę, składającą się głównie z galaretowatej bryły dygoczącej i pulsującej substancji. Były w niej zatopione rozmaite przedmioty, żuki i robale, które nie mogłyby się wydostać, gdyby nie wsadził w galaretę palców i nie wyciągał ich po kolei. Późniejsze przekazy poinformowały go, do czego służą te stworzenia.

- Doskonale. Świetnie ci idzie, Tamie.

Słowa pochwały z ust kontrolerki i ciepły ton jej głosu sprawiły, że poczuł się dużo lepiej. Nienawidził się za to.

- Było coś jeszcze? - zapytała.

- Nic więcej - odparł. Głowa przestała go boleć.

- Skontaktuj się ze mną kiedy już ocenisz morale garnizonu po pojmaniu Jainy Solo - poleciła kobieta i villip przenicował się do zwykłej postaci.

Tam zamknął pojemnik i przez chwilę stał nieruchomo, dygocząc na całym ciele.

Wiedział już, w jaki sposób został zniewolony i jak działają jego więzy. Ból zaczynał się, kiedy nie wypełniał rozkazów. Pogłębiał się w miarę jak pogarszała się jego wydajność i zmniejszał, kiedy mógł zameldować o powodzeniu. Skoro jednak kontrolerka nie mogła nic wiedzieć o jego poczynaniach, dopóki się z nią nie skontaktował, jedynym bodźcem powstawania bólu mogło być jego uczucie porażki. Jakaś część jego mózgu ożywała kiedy ogarniało go poczucie winy; do krwiobiegu przedostawał się odpowiedni hormon i indukował ból w chwili, kiedy Tam znajdował się w określonym momencie stresu.

Nie miał wątpliwości, że gdyby do tego dopuścił, ból mógłby go zabić. Tak mu powiedzieli. Niekiedy narastał do takiego punktu, że sygnalizował - lub też tak mu się zdawało - nadchodzącą eksplozję naczyń krwionośnych, śmiertelny udar lub inne zabójcze schorzenie.

Gdyby tylko potrafił ominąć ból, oddalić poczucie winy, nie przyznawać się do klęski, ból nigdy by nie wrócił... już sama ta myśl sprawiała, że skronie zaczynały mu pulsować i ból powracał.

Spuścił głowę, pokonany. Nie wolno mu nawet myśleć o czymś takim.

Był niewolnikiem i pozostanie nim na zawsze.

Z głową wbita w ramiona wyszedł z wahadłowca, aby powrócić do swoich obowiązków.

Han rozparł się w fotelu pilota i z niezwykłą u niego zadowoloną miną wpatrywał się w gwiazdy.

- O czym myślisz? - zapytała Leia z fotela drugiego pilota.

Han zerknął na nią. W fotelu na odpowiednią miarę było jej na pewno znacznie wygodniej. Przynajmniej nie będzie się ślizgać tam i z powrotem podczas ostrych manewrów.

- Znasz mnie - odparł. - Wiesz, że nie myślę.

- Znam cię - zgodziła się Leia. - To o czym myślałeś?

- Myślałem o tym, co się stanie, kiedy wreszcie uwolnimy się od Yuuzhan Vongów. Myślałem, żeby wrócić do starego zawodu.

- Czemu by nie.

- Oczywiście na zasadzie emerytowanego męża stanu. I przyszło mi do głowy, że ktoś o twoich zdolnościach i powiązaniach, Leio, mógłby stać się ogromnym atutem w takiej działalności.

Przez chwilę tylko mu się przyglądała z miną wyrażającą mieszaninę rozbawienia i oburzenia.

- Uważasz, że nadaję się na przemytnika?

- Jasne, dlaczego nie? Sama powiedziałaś, że chcesz skończyć z polityką. Może teraz to ty powinnaś pochodzić moim śladem przez kilka lat. Tak jak ja to robiłem przedtem, kiedy byłaś zajęta rządzeniem galaktyką.

- Ty nie chodziłeś moim śladem, tylko mnie odwiedzałeś.

- No cóż, już bliżej nie mogłem... Z pewnością ty będziesz w tym znacznie lepsza.

- Może już nie jestem politykiem, ale wciąż jestem... eee... uczciwa...

Pani Leio, kapitanie Solo... - przerwał im nagle melodyjny głos C-3PO.

Han i Leia podnieśli wzrok na tylną część kabiny, gdzie sterzał robot protokolarny, jak zwykle uprzejmy i jak zwykle bliski hysterii.

- Co jest? - zapytał Han.

- Chodzi o dzieci, panie kapitanie. Zastanawiam się, jaki rodzaj... eee... rozrywki im zaproponować. One się... nudzą!

- Przecież nie mogą się nudzić. Nie lecimy nawet od dwóch minut.

- Han potrzebuje na to aż trzech minut - pobłażliwie uśmiechnęła się Leia.

Mąż spojrział na nią morderczym wzrokiem.

- Rozłóż planszę do hologier.

- Próbowałem, proszę pana... mam wrażenie, że one uważają ją za cokolwiek staroświecką.

- Staroświecką? To jeden z niewielu systemów, które zostały zainstalowane na „Sokole” jako nowe... - Han zmarszczył brwi. Rzeczywiście tak było, tyle że mniej więcej trzydzieści lat temu.

Leia prychnęła na widok jego miny.

- See Threepio, młodszy niech trenują walkę mieczem świetlnym ze zdalniakami. Pewnie nie będą chcieli, bo to prawie antyk... wtedy im powiesz, że to ten sam, na którym szkolił się Luke Skywalker. I przynieś im jego wyniki, żeby mieli się na czym wzorować. Starsi... mmmm... puść im parę symulacji na poczwórne lasery i niech się tym trochę pobawią.

Han skinął głową.

- To im się może spodobać.

- Jeśli nie chcą się uczyć na takim starym sprzęcie, powiedz im, że to lekcja historii.

- Tak jest, pani Leio. - Robot zawrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Han zmierzył ją wzrokiem.

- Leio. sama się prosisz, żeby cię stąd wyrzucić...

Leia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Eskadra Bliźniaczych Słońc zawisła w pustej strefie przestrzeni pyriańskiej. Dwunastu członków eskadry rozproszyło się w cztery trójki i odsunęło od centrum strefy, pozostawiając tam tylko rurowiec, który teraz manewrował już sam, kierując się ku matematycznie wyliczonemu punktowi operacji „Gwiezdny Włóczykń”. Skierowali swoje czujniki na zewnątrz, aby umożliwić sobie możliwie jak najszybszą identyfikację nadlatujących Yuuzhan.

Z tablicy komunikatora, ustawionego na częstotliwość eskadry, dochodziły od czasu do czasu ciche komentarze pilotów. We wszystkich czterech punktach misji „Gwiezdnego Włóczyka” panował spokój - tylko rurowce ustawiały się w pozycjach roboczych.

- Podoba mi się ten projekt- odezwał się Kyp. Mówił głośniej, niż pozwalałoby na to ustawienie głośności komunikatora. Jaina spojrzała w dół i stwierdziła, że Kyp znów przesyła komunikat przez kanał łączności robotów astromechanicznych.

Obejrzała się na X-winga Kypa, który unosił się o kilka metrów na prawo od niej. On też patrzył na nią.

- Jaki projekt? - zapytała.

- Ozdobienia twojego X-winga. Jest bardzo... skuteczny.

- Och, racja. - Kazała pomalować swój myśliwiec na lśniący biały kolor, a na każdej burcie narysować pędzącego voxyna. Te podobne do gadów istoty zaprojektowane przez Yuuzhan Vongów, by wykrywały i zagryzały Jedi, zostały albo zabite, albo zniszczone przez młodych rycerzy Jedi, podczas ich wyprawy na światostatek nad Myrkr. Jaina nie wspominała ich czule - zabiły zbyt wielu jej przyjaciół i kolegów. Ale podobał jej się pomysł, który podsunął Sharr. Podobały jej się mieszane sygnały, jakie wysyłała taka dekoracja, doceniała jej dwuznaczność. Czy to znaczy, że się identyfikuje ze stworzeniami wykreowanymi przez Yuuzhan Vongów? A może chodzi o to, że jako Jedi nie boi się ich i że uczestniczyła w ich zniszczeniu? Że podziwia ich zaciekłość i spryt? Obecność voxyna w charakterze symbolu na jej statku z pewnością zastanowi Yuuzhan Vongów, podobnie jak zastanawiała wojowników i Jedi Nowej Republiki, którzy nie należeli do Wtajemniczonych.

Myśliwiec Kypa również ozdobiono w dość oryginalny sposób, prawdopodobnie równie nieprzyjemny dla niego, jak voxyn dla Jainya. Po obu stronach kadłuba było wymalowane słońce w chwili przechodzenia w supernową. Motyw ten miał służyć jako przypomnienie dla Yuuzhan, że to właśnie Kyp przed wielu laty niszczy! całe światy za pomocą superbroni zwanej niszczyicielem słońc. Wtedy Kypem powodowała wściekłość, a nie był jeszcze dość dorosły, aby dojrzałość mogła stanowić hamulec. Jeszcze dziś niektórzy ludzie uważali, że powinien zapłacić za zniszczenie tych światów, należących do Imperium - zapłacić ostateczną cenę, poświęcając życie. Luke Skywalker nie chciał się na to zgodzić, Kyp zaś w późniejszych latach znalazł w szkoleniu Jedi pewne, choć niecałkowite, odkupienie.

Jaina przez chwilę chciała odpowiedzieć: „Mnie też się podoba twoja dekoracja”. To by go poruszyło, pomogło zachować dystans. Nie umiała jednak tak boleśnie go zranić tylko po to, by zrealizować swoje postanowienie. Nie odezwała się.

- Kontakt z kierunku trzy-trzy-siedem, zbliża się - zabrzmiał stłumiony głos Gavina Darklightera na częstotliwości eskadry.

- Tu Dzicy Rycerze. Mamy cele nadlatujące od strony Rubieży - przemówiła Danni.

W chwilę później kapitan Reth zameldował kontakt na odległości czujnikowej dla Eskadry Czarnego Księżyca.

Panel czujników Jaina wciąż nie wykazywał nieprzyjaciela, ale trzy jednocześnie zbliżenia od strony pozostałych jednostek chroniących pojazdy Gwiezdnego Włóczyka pozwalały przypuszczać, że i z jej strony wkrótce pojawią się skoczki koralowe. Przełączyła się na częstotliwość eskadry.

- Mieście oczy otwarte - powiedziała.

- Ojoj - odezwał się mechaniczny głos Prosiaka, który latał teraz jako „Bliźniacze Słońce Pięć” i przeprowadzał ocenę taktyki lotów eskadry. - Chciałem jeszcze trochę pospać.

Nagle głos mu się zmienił, jakby zdał sobie sprawę, że jego żart może pozostać niedoceniony.

- Chciałem powiedzieć: słyszę i wykonuję, o Wielka.

Jaina wyszczerzyła zęby. Gdyby prowadziła tę jednostkę jak eskadrę wojskową, zaraz by go ofuknęła za niepotrzebne kłapanie dziobem na wspólnej częstotliwości, ale piloci Bliźniaczych Słońc mieli być właśnie tacy: swobodniejsi, mniej zdyscyplinowani.

- Dowódca Gwiezdnego Włóczyka do eskadr. Jesteśmy gotowi do próbnego odpalenia.

Jaina przełączyła się na częstotliwość floty.

- Dowódca Gwiezdnego Włóczyka, tu dowódca Bliźniaczych Słońc. Odpalaj, kiedy chcesz.

Kilka kilometrów za nią dwa grubsze końce rurowca rozjarzyły się i z każdego wytrysnął gruby na metr promień lasera. Zamiast zgasnąć tuż po wystrzeleniu, wiązka pozostała ciągła.

Z komunikatora posypały się potwierdzenia, że dwa pozostałe wierzchołki trójkąta Gwiezdnego Włóczyka również wypaliły. Następnie odezwały się aktualizacje:

- Szacunkowo dwie minuty do kontaktu... jedna minuta czterdzieści pięć sekund... jedna minuta trzydzieści sekund do kontaktu...

Wszystkie cztery statki Gwiezdnego Włóczyka zostały wyposażone w głosowe połączenie holokomunikacyjne, pozwalające na koordynację z prędkością transmisji powyżej prędkości światła, a ochraniające je eskadry korzystały z tej łączności „na gapę”.

Jaina wyciszyła aktualizacje i skoncentrowała się na rozmowach pilotów myśliwców. Łotry, Dzicy Rycerze i Czarne Księżyce meldowały o nadlatujących eskadrach

nieprzyjaciela, które jednak -jak się zaraz okazało - nie leciały z prędkością ataku, lecz wolniej, jakby z namysłem.

- Piętnaście sekund do kontaktu... kontakt. Mamy połączenie po obu nitkach z „Pojazdem Dwa”, z „Pojazdem Trzy”... z „Pojazdem Jeden”. Wszystkie trzy prawidłowe. Odpalić środkowe.

Za plecami Jaina rurowiec wystrzelił z trzeciej końcówki. Promień poszedł pod kątem prostym tak samo szeroki i równy. W chwili odpalenia kontroler projektu zaczął transmisję:

- Szacunkowo jedna minuta dwadzieścia dwie sekundy do kontaktu.. . minuta piętnaście...

- Dzicy Rycerze wchodzą do walki. - Głos Danni Quee brzmiał dziwnie piskliwie. - Mamy dwie eskadry skoczków.

- Tu też są dwie eskadry. - Dowódca Czarnych Księżyców, kapitan Reth, był spokojniejszy od Danni. - Standardowa taktyka.

- Łotry też. mają dwie pełne eskadry na dojsciu. - Głos Gavina Darklightera nagle poweselał. - Poprawka: dwie niepełne eskadry.

Jaina ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na tablicę czujników. Dlaczego Yuuzhanie jej nie atakują? Nie było sensu atakować trzech z czterech pozycji Gwiezdnego Włócznika. Powinni zająć się albo jedną żeby porwać rurowiec, albo wszystkimi czterema.

Nagle zobaczyła światełko na skraju zakresu czujników.

- Nieprzyjaciel nadchodzi - zameldowała. - Od tej strony też. Trójki Bliźniaczych Słońc, zbiórka w szyku wokół mnie.

Han i Leia wsłuchiwali się w rozmowy w eterze dochodzące z pozycji Gwiezdnego Włócznika... jeżeli nie tonęły akurat we wrzasku dzikiej radości dochodzącym z dalszych części „Sokoła”, gdzie młodzi Jedi ćwiczyli odbijanie strzałów ze zdalniaka i zestrzeliwali generowane komputerowo cele generowanymi komputerowo promieniami lasera, szalejąc ze szczęścia. Han i Leia słyszeli również mało skuteczne protesty C-3PO.

- Chyba już im się raczej nie nudzi - mruknęła Leia.

- Też mi się tak zdaje. - Han włączył komunikator. - Kam, Tionna, posadźcie ich i przypnijcie. Zaraz będzie skok.

W chwilę potem dobiegł go głęboki głos Kama Solusara uspokajającego rozchudzanych pasażerów.

- Mogę tu posiedzieć?

Han i Leia obejrzała się. W wejściu do kabiny stał Tarć. Wyglądał na nieszczęśliwego i onieśmiałego.

- Nie chcesz siedzieć z innymi? - zapytała Leia. - Nie będziemy mieli czasu z tobą porozmawiać, kochanie.

Tarć potrząsnął głową.

- Oni wszyscy są lepsi ode mnie. Nawet Syal i Myri.

Leia i Han wymienili spojrzenia. Han odchrząknął.

- Jasne, mały, siadaj tu za mną i przypnij się porządnie. Porządnie, rozumiesz?

Dwie eskadry skoczków koralowych wystrzeliły jak po sznurku w kierunku pilotów Bliźniaczych Słońc. Kiedy eskadra rozbiła się na cztery trójki, skoczki rozdzieliły się na cztery jednostki po sześć pojazdów.

- Standardowe procedury - poleciła Jaina i skierowała się w stronę nadlatujących skoczków. Sięgnęła poprzez Moc do Kypa, znalazła go i chwyciła tak łatwo jak przyjazną dłoń, po czym zaczęła, aż wybierze cel.

Wybrał. Wystrzelili jednocześnie, Jag po nich z opóźnieniem niemal niezauważalnym. Laser Kypa dotarł do pustki skoczka, strzał Jaina przeciął dziób, a Jaga spalił kopułkę. Minęli szczątki stateczku w pełnym pędzie, ścigani już przez pozostałą piątkę.

Skracając do kolejnego przelotu, Jaina odważyła się zerknąć na panel czujników, który pokazywał wszystkie myśliwce w starciu ze skoczkami. Z sześciu skoczków atakujących drugą trójkę, tę z Prosiakiem, pozostało już także tylko pięć, pozostałe zaś dwie grupy jeszcze były całe. Nikt nie atakował rurostatków, które wciąż wysyłały energię laserów w trzech kierunkach - a raczej w jednym kierunku, bo większe rury zostały zamknięte, pozostawiając jedynie promień z mniejszej rury skierowany do środka rozstrzelonej formacji.

Strumień pocisków z baterii plazmowych śmignął obok jej X-winga, w odległości około pięćdziesięciu metrów, dość blisko jak na standardy starć myśliwców, ale nie na tyle, żeby się nim przejmować. Piloci skoczków widocznie nie byli najlepsi z najlepszych pośród Yuuzhan Vongów. Poznała to po trudności, z jaką dotrzymywali kroku myśliwcom, po ogniu, który nie był kierowany dość celnie, żeby choć przestraszyć. Nawet rozmowy w eterze świadczyły o tym, że eskadry czuły się dość bezpiecznie: głosy Eskadry Łotrów i Czarnych Księżyców brzmiały napięciem, ale mniejszym niż w innych, trudniejszych potyczkach.

Jaina poprowadziła swoją trójkę w szeroką pętlę, dzięki czemu przez cały czas lecieli przed pościgiem, ale jednocześnie znaleźli się w zasięgu ognia statków atakujących „Bliźniacze Słońca Siedem”, „Osiem” i „Dziewięć”. Posłała Kypowi lekki potwierdzający dotyk Mocy: wybrał kolejny cel i strzelił. Skoczek zdołał umknąć i przesunąć pustkę poza węższy bok, przechwytyjąc strzały Jaina i Kypa, ale Jag, znajdujący się pod nieco innym kątem i strzelający z większym opóźnieniem, wyminął pustkę i rozdarł brzuch skoczka. Stateczek odleciał, z trudem zachowując sterowność i szeroką pętlą oddalił się poza strefę walki.

- To pułapka - rozległ się głos Prosiaka i Jaina stwierdziła, że komunikat jest znów przekazany poprzez robota astromechanicznego. Żaden inny pilot nie mógł ich usłyszeć. - Zalecałbym powrót do bazy.

Jaina zmarszczyła brwi. Pięć skoczków ścigających jej trójkę zmieniło teraz formację na klinową najśmielszy zdecydowanie wyprzedzał pozostałych.

- Wytłumacz się, Prosiaku.

Sięgnęła Mocą do Kypa, czując przez moment jego dłoń na drążku X-winga. Poruszając obydwojma sterami - swoimi i jego - zwolniła oba myśliwce i wzniosła w górę,

nabierając wysokości w stosunku do pościgu. Jag, wyłączony z więzi Mocy, skoczył do przodu.

Jaina dała Kypowi znak. Wycelował w pierwszego skoczka i wystrzelił równocześnie z nią. Jag, w bardziej zwrotnym szponostatku, odwrócił się pod takim kątem, że każdy X-wing straciłby kontrolę nad sterami, i wystrzelił w dziób skoczka. Dovin basal przeniósł pustkę i przechwycił promień lasera, ale ogień Jaina i Kypa rozdarł go na strzępy rozżarzonego koralu i rozrzucił na wszystkie strony.

Jaina i Kyp nie przestawali strzelać, koncentrując się na lewej stronie formacji skoczków; Jag przesunął się na prawo, śmigając z drugiej strony tych samych dwóch celów. Wystrzelił, a choć promienie jego laserów zostały przechwycone przez pustki, nie zdołały one pochłonąć również strzałów Kypa i Jaina. Skoczki, choć nie całkiem zniszczone, zostały porządnie przypalone i miały wyciek atmosfery. Jag zatoczył koło i znalazł się za Jainą i Kypem, którzy zawrócili i teraz lecieli za formacją skoczków.

Tymczasem Prosiak gadał i gadał.

- Słuchaj, co mówią w eterze. Zostaliśmy zaatakowani przez siły dość sprytne, żeby przypuścić jednoczesny atak na trzy pozostałe eskadry, ale ze skokiem na nas czekały, aż reszta będzie bardzo zajęta. Oni mają zamiar przyszpilić nas w jednym miejscu i spokojnie wybić co do nogi.

- Rozumiem. - Jaina przeciągnęła smugą ognia laserowego po skoczku, którego miała przed sobą. Jej połączenie poprzez Moc z Kypem osłabło, odkąd skupiła się na słowach Prosiaka.

Miał rację. Wszystko wskazywało na to, że nowy dowódca Yuuzhan Vongów jest bystry i doświadczony. Nigdy nie przypuściłby tak skomplikowanego ataku z tyle jakimi pilotami, chyba że dla zmyłki, jako blef albo pułapkę.

Ale przecież nie mogą uciekać za każdym razem, kiedy natkną się na pułapkę. Yuuzhanie szybko się zorientują że mają do czynienia z tchórzami i zaczną z tego korzystać.

- Prosiaczku, musimy im pokazać - powiedziała. - Ogłoś to ostrzeżenie w zwięzłej formie na wszystkich częstotliwościach floty. Udawaj panikę, dobrze?

- Jasne. - W chwilę później na całej częstotliwości floty zabrzmiał piskliwy, przerażony krzyk: - O Wielka, tu „Bliźniacze Słońca Pięć"! Czuje, że jesteśmy w pułapce! Musimy uciekać!

Jaina prychnęła wzgardliwie. Zbyt melodramatyczne. Udzieliła jednak właściwej odpowiedzi.

- Uspokój się, Prosiak - odpowiedziała. - Zachowaj wiarę. Poznałeś ich pułapkę. Teraz oni poznają moją.

A teraz, powiedziała do siebie, musimy się tylko domyślić, co oni kombinują, powstrzymać ich przed spełnieniem zamiaru i zrobić im coś jeszcze znacznie gorszego. Zupełny drobiazg.

Pewnie.

Promień z mniejszego otworu rurostatku znikł. Na razie jego zadanie dobiegło końca. Przełączyła się na częstotliwość eskadry.

- „Gwiezdny Włócznik Jeden", wynoś się stąd. Wracaj do bazy.

- Rozumiem. „Gwiezdny Włócznik Jeden" w drodze do bazy.

ROZDZIAŁ

13

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty dziewiąty

Strumienie energii laserowej z „Gwiezdnego Włócznika Jeden”, „Dwa” i „Trzy” zbiegły się w „Gwiezdnym Włóczniku Centrum”, rurostatku z trzema wypustkami ustawionymi pod równymi kątami. Każdy strumień wszedł do jednego otworu.

Ostatnia wypustka „Gwiezdnego Włócznika”, ta skierowana w stronę systemu Coruscant, wystrzeliła, kierując gruby na metr promień laserowy w kierunku dawnego domu Rządu Nowej Republiki, leżącego o wiele lat świetlnych dalej.

Jag sam jeden zestrzelił czysto jednego ze skoczków po prawej burcie. Zostały dwa uszkodzone i jeden sprawny z sześciu, które na nich napadły. Panel czujników Jaina wykazywał, że jeden z jej pilotów, „Bliźniacze Słońca Dziesięć”, dryfuje bez silników, ale „Jedenastka” zameldowała, że „Dziesiątka” żyje.

A potem nagle na czujnikach dalekiego zasięgu pojawiły się dwa duże czerwone echa nadlatujące z wielką prędkością z przeciwnego kierunku. Zwolniły dopiero w chwili, kiedy dotarły do strefy docelowej. Wyglądały na odpowiedniki yuuzhańskiej korwety, ale przez tę krótką chwilę, kiedy Jaina na nie patrzyła, wypuściły wiele mniejszych ech - co oznaczało nalot skoczków koralowych.

- Nadeszła druga fala - poinformowała eskadrę. - Łotry, Czarne Księżycy, Dzicy Rycerze... nadlatują posiłki.

Otrzymała trzy grupowe potwierdzenia, ale zaledwie je zarejestrowała, kiedy jej trójka błyskawicznie zaliczyła strącenie nieuszkodzonego dotąd skoczka i jednego z uszkodzonych. Ostatni yuuzhański pilot z pierwotnej szóstki zrobił zwrot w kierunku nadlatujących posiłków.

Jaina nie zatrzymywała go. Pozostali ocalali z eskadr wroga również zmykali w stronę odsieczy. Żaden nie wybierał się w pościg za spokojnie odpływającym pojazdem Gwiezdnego Włócznika ani dryfującą „Dziesiątką” z Bliźniaczych Słońc. Jaina wezwwała swoją eskadrę do zbiórki, korzystając z kilku ostatnich wolnych sekund.

- Łotry, czy wy też tam macie jakieś posiłki?

- Nie, dowódcu Bliźniaczych Słońc.

- Dzicy Rycerze mają też tylko pierwotny zestaw, choć teraz jakby się mocniej bronili.

- To samo z Czarnymi Księżycami, Bliźniaki.

- Dowódcu, to są korwety - odezwał się głos Prosiaka. - Nie przyleciały tutaj po Gwiezdnym Włóczniku. Przyleciały po ciebie.

- Wykreśl nam kurs ucieczki, Prosiaku. Najlepiej w przeciwną stronę do wektora ucieczki Gwiezdnego Włócznika.

W sekundę później nowy kurs pojawił się na komputerze nawigacyjnym Jaina. Nie prowadził przez obszar, gdzie było najwięcej otwartej przestrzeni. Jaina zastanowiła się, dlaczego Prosiak zignorował najbardziej logiczną opcję - a potem doszła do wniosku, że dla Yuuzhan Vongów ta opcja też musiała być najbardziej logiczna, więc pewnie przewidzieli scenariusz na wypadek, gdyby ją wybrała. Aby zdecydować się taki kurs, Prosiak musiał widzieć rzeczy, które ona przeoczyła.

Niezależnie od jego rozumowania, natychmiast ustawiła się na wektorze ucieczki i ruszyła naprzód pełną mocą. Pozostali członkowie eskadry gładko wskoczyli za nią. Z przodu skoczki koralowe zaczęły zbierać się dokładnie na jej drodze, z tyłu kolejne zawracały i przyspieszały, żeby nadążyć. Zgodnie z tablicą czujników, jedenastu pilotów Bliźniaczych Słońc miało przeciwko sobie pięć razy tyle skoczków.

O mikroskopok dalej, o ułamek roku świetlnego za systemem Pyria, Han i Leia wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z komunikatorów w strefie bitwy.

- Wracam - syknął Han.

Leia wyglądała na równie przerażoną jak on się czuł. Powoli pokręciła głową.

- Nie pomożemy jej.

- Jasne, że nie. Mogę wykreślić jej wektor ucieczki i wywiercić dziurę w Yuuzhanach od naszej strony, zanim się w ogóle zorientują, że nadchodzimy.

- Doskonale. Co mam powiedzieć naszym pasażerom, tym dzieciakom?

Han wydał z siebie nieartykułowane warknięcie. Siedział z zaciśniętymi zębami, wsłuchując się w eter, żeby wiedzieć, co dzieje się z jego córką.

- Spieprzyliśmy to - mruknął Wedge. Jak zwykle podczas ważnych misji, stał w sali dowodzenia obok hologramu przedstawiającego strefę działań.

Tycho z posępną miną kiwnął głową. Nawet nie próbował nic dodawać.

Nie musiał. Obaj zajmowali się misją i obaj bardzo szczegółowo zaplanowali ewentualną reakcję Yuuzhan Vongów. W pewnym momencie Yuuzhanie powinni byli próbować zagarnąć pojazdy Gwiezdnego Włócznika. Piloci obu rurostatków teoretycznie mogli odłączyć swoje kabiny wyposażone w średniej klasy silniki i uciec, niszcząc podzespoły rurostatku za pomocą prymitywnych mechanicznych urządzeń samoniszczących, których wróg nie miał szans zabezpieczyć. W ten sposób nie daliby Yuuzhanom żadnej nawet wskazówki, co się naprawdę dzieje.

Cały układ działał jednak tylko w oparciu o wyjściowe założenie, że to Gwiezdny Włócznik będzie celem ataku Yuuzhan Vongów. Okazało się jednak, że celem była Jaina Solo.

A to, że tylko eskadra Jainy została w ten sposób zaatakowana, oznaczało, że zwiadowcy Yuuzhan na terenie Borleias prawidłowo określili jej tożsamość i kurs, co z kolei znaczyło, że wiedzą o wiele więcej, niż przypuszczali Tycho i Wedge.

- Ile czasu potrwa, zanim ktoś do niej dotrze? - zapytał Wedge.

Tycho wzruszył ramionami.

- Dwie minuty, żeby ściągnąć tutaj fregatę „Księżycowy Przyływ”. To tak, jakby ją zniszczyć własnymi rękami. Pięć minut na wyjście sił zadaniowych z cienia masy Borleias.

Wedge rozważył usłyszane liczby, nie zapominając, że należało do nich włączyć również liczbę załóg zatrudnionych na statkach. Ilu ludzi warta była Jaina Solo? A co ważniejsze, ile ich będzie kosztować przyznanie się do tego, co Yuuzhanie uważają za słabość, to znaczy do ryzykanctwa i gotowości poświęcenia życia wielu istot w celu uratowania jednego czy dwóch?

- Niech „Księżycowy Przyływ” wejdzie na pozycję do skoku... ale nie skakać, dopóki nie wydam rozkazu. Mają czekać na siły zadaniowe, chyba że zmienimy rozkazy.

Tycho skinął głową i podszedł do pulpitu łączności.

Z ćwiczoną przez dziesiątki lat dyscypliną Wedge ukrył uczucia, jakie obudziła w nim ta decyzja. Modlił się, żeby nie musiał wyznać Hanowi i Leii, że to on skazał na śmierć ich córkę.

- Mogę wyprowadzić stąd eskadrę - wyrwał się Jag.

- A możesz podzielić się tą wiedzą? - syknęła Jaina.

- Za długo by to trwało, bogini. A może byś mi zaufała?

Jaina rozważała to pytanie przez krótki moment, by w końcu stwierdzić, że mu ufa. Jeśli powiedział, że potrafi ich stąd wyprowadzić, to znaczy, że tak jest.

- Oskrzydlamy cię - zapowiedziała.

- Ty i Kyp wypuście ciemne bomby. Niech lecą za mną w odległości kilku metrów, najbliżej, jak potraficie. Będziecie wiedzieć, kiedy je rzucić. Potem wypuście mnie parę kilometrów do przodu.

Nie czekając na dalsze zezwolenia i potwierdzenia, Jag przyspieszył i wysunął się przed formację Bliźniaczych Słońc.

Jaina poczuła lekki niepokój ze strony Kypa, coś jakby znak zapytania. Odpowiedziała myślowym wzruszeniem ramion. Uzbroidła i wypuściła jedną ciemną bombę, po czym Mocą wychwyciła ją i pchnęła za Jagiem. Jak przez mgłę zarejestrowała, że Kyp robi to samo; jego ciemna bomba była o wiele dalej niż jej.

Najbliższe ze ścigających ich skoczków były prawie na ogonie Jaga, ale on wykonał zwrot w prawo przez burzę, pod kątem tak zbliżonym do prostego, jak tylko pilot myśliwca TIE potrafi, i ruszył wprost na jedną z korwet Yuuzhan Vongów, stojącą pomiędzy nimi a bezpieczeństwem Borleias.

Nadlatujące skoczki rzuciły się w pogoń za Jagiem. Jaina otworzyła ogień, zasypując ich przerywanym ogniem laserów i wywinęła koziołka w ślad za Jagiem. Widziała,

jak ogień laserów pozostałych pilotów błyska w chmurze skoczków. Jeden z yuzhańskich statków eksplodował.

Ciężko było. Musiała lecieć, strzelać i na dodatek śledzić swoją ciemną bombę w Mocy - to ostatnie zadanie wydawało się wyjątkowo trudne, ponieważ Jag wywijał najrozmaitsze akrobacje, jakimi zwykle popisuje się pilot myśliwca TIE lub A, uciekając przed pociskami plazmowymi nadlatującymi z fregaty tak zręcznie i zwinnie, że raczej naraża się na niebezpieczeństwo wejścia na ich tor, aniżeli bezpośredniego trafienia. Utrzymywanie ciemnej bomby na jego ogonie było zadaniem bliskim niemożliwości. Za każdym razem, kiedy statek Jaga robił unik, jej bomba zostawała albo z lewej, albo z prawej strony.

Nagle poczuła dotknięcie Kypa poprzez Moc. Zrozumiała jego technikę: ujrzała w Mocy żywą obecność Jaga i dwie nieożywione, czyli obie bomby. Kyp połączył je ze sobą, jakby całą trójkę zamknął w niewidzialnym bąblu. Gdziekolwiek ruszył się Jag, ciągnął za sobą bombę Kypa. Kyp dostarczał energii, a Jag nieświadomie ją ukierunkowywał. Jaina próbowała zrobić to samo - stworzyć więź pomiędzy bombą a Jagiem, a choć na razie nie potrafiła osiągnąć takiego stopnia kontroli jak Kyp, to po chwili stwierdziła, że jej bomba znacznie skuteczniej przyczepiła się do Jaga.

Skoczki koralowe, w kierunku których pędzili dopiero co, teraz wykonały zwrot i ruszyły za nimi w pogoń. Jaina przerzuciła większość wolnej energii X-winga na tylne tarce i zaczęła wirować jak piraniożuk, co znacznie utrudniało wzięcie jej na cel przez pościg yuzhańskich pilotów. Pozostali piloci eskadry robili to samo.

Jag zwiększył odległość do kilku kilometrów. Ponad nimi majaczyła już potężna sylwetka yuzhańskiej korwety. Eskadry skoczków koralowych, które rozproszyły się, aby utrudnić ucieczkę Bliźniaczych Słońc, teraz zbierały się znowu, ale zaskoczył je wypad na korwetę. Oczywiście, z logicznego punktu widzenia była to najgłupsza rzecz, jaką piloci Nowej Republiki mogliby zrobić.

Jag kierował się wprost na dziób wielkiego statku, na węzeł, gdzie były skupione dovin basale jednostki - te dovin basale, które ciągnęły statek poprzez przestrzeń, produkowały pustki pochłaniające nadlatujące pociski, przekazywały fluktuacje grawitacyjne przez nadprzestrzeń, pozwalające na wyrwanie z niej przelatującego statku - i powstrzymujące najbliższe statki przed wykonaniem skoku. Dopiero teraz Jaina zrozumiała plan Jaga.

Jego manewry unikowe stały się oszczędniejsze, szybsze, bardziej przypadkowe, a kiedy zbliżył się do korwety i wszystkie baterie dział plazmowych otworzyły do niego ogień, Jaina czuła poprzez delikatną więź Mocy przenikające go ukłucia lęku i strumyk adrenaliny. Nigdy by się tego nie domyśliła, pamiętając, jak spokojny jest właściwie w każdej sytuacji.

- Dochodzimy do punktu zrzutu - powiedział Jag takim tonem, jakby zamawiał posiłek, na który nie ma wielkiej ochoty. - Trzy, dwa...

Jego szponostatek zaczął rozbrzygiwać ogień po spirali, pozwalając, aby pustki korwety łakomie go wsysały. Jaina zauważyła, że pustki koncentrują się przed szponostatkami Jaga, przewidując rozszerzenie ataku.

On jednak był tak dobry w prognozowaniu, że potrafił wykorzystać zdolność przewidywania przeciwnika przeciwko niemu samemu. Jaina pokręciła głową.

- ...jeden, rzucić.

Szponostatek znów skręcił pod kątem, na który mógł sobie pozwolić jedynie TIE, ale nie przestawał kierować ognia laserów wzdłuż burty korwety. Pustki ruszyły za nim, pojawiając się na chwilę przed kolejnymi strzałami.

Jaina pchnęła ciemną bombę, oddalając ją od Jaga, lecz pozostawiając na pierwotnym kursie w lewo. Kyp wymanewrował swoją w górę i na prawo. Przed bombą Kypa wyskoczyła pustka.

Bomba Jainy uderzyła, detonując jaskrawy błysk tuż przed węzłem dovin basali. Poczuli kolejny impuls niepokoju ze strony Jaga. ale tym razem nie zniknął od razu z jej świadomości.

Okrzyła konającą korwetę, zasypując ogniem skoczki koralowe zbliżające się od przodu i z lewej. Jej atak wspomagała cała eskadra. Dwa skoczki zmieniły się w rozżarzony koralowy gruz w ciągu paru sekund... i oto już nic nie dzieliło Jainy i jej eskadry od Borleias, jeśli nie liczyć pustej przestrzeni. Skoczki koralowe nacierały z boków, ale żaden nie dał rady wejść na kurs przechwytyjący i dogonić X-wingów. Odetchnęła z ulgą.

I nagle zabrakło jej tchu. Jej oddział składał się z dziesięciu iskierek. „Bliźniacze Słońca Trzy” nie wrócił wraz z resztą. Znalazła Jaga na tablicy czujników daleko, w okolicach umierającej korwety. Leciał pod kątem, który musiał zaprowadzić go w sam środek chmary skoczków.

- „Bliźniacze Słońca Trzy”, tu dowódca. Co się z tobą dzieje?

- Przepraszam, dowódco.- W głosie Jaga brzmiał niepokój.-Otarłem się o osobliwość grawitacyjną. Zdarło mi tarcze, a szarpnięcie zepchnęło mnie z kursu. Będę musiał was dogonić później.

To był cały Jag, hardy jak zawsze. Miał na karku prawie dwie eskadry skoczków koralowych nadlatujących na niego ze wszystkich stron. Żaden dostępny wektor ucieczki nie mógł mu umożliwić wykorzystania szybkości myśliwca i umknienia prześladowcom. Będzie musiał wywalczyć sobie drogę do wyjścia, a bez tarcz po prostu nie miał szans. Jego umiejętności pozwolą mu na przetrwanie kilku sekund, może minuty. Potem zginie.

Jaina zawahała się. Jag był jednym z jej pilotów. Nie mogła go zostawić. Po prostu nie mogła.

Kyp pozostawał z nią w kontakcie, wciąż połączony więzią Mocy. Słyszała go przez komunikator.

- Nie, Jaino. Jeśli wrócisz, zmarnujesz wszystko, co dla ciebie zrobił. Nie możesz dopuścić, żeby cię schwytali.

- Wiem - odparła. Jej samej ta odpowiedź wydała się żalosa. Widziała, jak pierwszy skoczek nadlatuje w zasięg strzału Jaga, który wrócił do poprzednich uników. Mała iskierka, przedstawiająca jego statek na tablicy czujników, zmieniała się w niewyraźną smugę, kiedy czujniki nie były w stanie za nim nadążyć.

- Lećmy już - rzekł Kyp z powagą. Czuli, że smutek w jego głosie jest prawdziwy.

- Dobrze - odparła. - Bliźniacze Słońca, kurs na Borleias. Skaczcicie, kiedy będziecie gotowi. Niech masa planety wyciągnie was z nadprzestrzeni.

Ujrzała, jak „Bliźniacze Słońca Jedenaście” skacze prawie natychmiast. Tilath kurs musiał mieć wykreślony już dawno...

W ciągu następnych kilku chwil skoczyli wszyscy. Została tylko ona i Kyp. Na ekranie kropkę przedstawiającą Jaga otaczał coraz grubszy pierścień czerwonych plamek.

- Czekam na ciebie - odezwała się Jaina, ledwie słysząc własny głos. Przed oczami miała jakby mgłę, w uszach głośny szum.

- Czekam na ciebie - powtórzył jak echo Kyp.

- No to razem. - Jaina wzięła głęboki oddech, obserwując zaciskającą się sieć skoczków koralowych wokół Jaga.- Z jednej strony krąg był znacznie cieńszy. Spychali go tam, gdzie go chcieli mieć - to znaczy w kierunku drugiej korwety. - Na trzy. Jeden, dwa, trzy... skok.

Żaden z X-wingów nie skoczył.

- Cholera, Kyp, wracaj do domu. - Jaina szarpnęła orezyk, pchając X-winga w najciaśniejszy skręt, jaki zdołała wywinąć... z powrotem w strefę walki. Z powrotem w strumień prześladowczych ją koralowych skoczków. I w tej samej chwili stwierdziła, że szum w uszach i mgła przed oczami ustąpiły.

- Jaina, nie! - Kyp dogonił ją. - Nie możesz tego zrobić. Nie uratujesz go! Możesz tylko dać się zabić.

- Och, zamknij się. - Jag jeszcze żył, jeszcze latał, jeszcze miał wyzwalacz pod palcem. I nie umrze. Jaina tam dotrze. Uratuje go.

Pierwszy z jej prześladowców zaczął strzelać. Nie używali dział plazmowych. Przestrzeń wokół niej nagle zarojła się od grutchinów, owadów, które były w stanie przeżreć korpus statku. Manipulowała drążkiem, pozwalając, aby Moc kierowała jej unikami, wzmocniła też przednie tarcze. Do tej pory jeszcze nie słyszała charakterystycznego dźwięku uderzenia grutchina.

- Jaina, tu pułkownik Celchu. Ta transmisja jest kodowana i przechodzi przez twojego robota astromechanicznego. Generał Antilles wydaje ci bezpośredni rozkaz. Nie pchaj się w strefę bitwy. Wracaj do bazy. Zrozumiałas?

Część Jainy rozumiała rozkaz; domyślała się, że Wedge Antilles uznał Jaga Fela za straconego i nie chciał sprawdzać nawet tej niewielkiej szansy, jaką zaoferowała mu Jaina Solo, aby uratować siostrzeńca. Przynajmniej tak to wyglądało.

- Nie mów mi o szansach - mruknęła prawie szeptem. Śmignęła przez pierwszą eskadrę pogoni. Zrobili dużą pętlę, żeby znaleźć się na jej ogonie, nie wchodząc w drogę drugiej eskadrze. Teraz grutchiny leciały na nią już z dwóch stron.

- Nie powiedziałem ci, jakie masz szanse. - Po raz pierwszy Tycho wydawał się zakłopotany.

- I dobrze.

Kyp wisiał uparcie u boku Jainy, prowadząc ciągły ogień, na jaki tylko pozwalał mu cykl doładowywania lasera. Jaina nie strzelała. Błądziła umysłem gdzie indziej; nie

zwracała uwagi na zagrożenie ze strony skoczków koralowych. Tylko dzięki automatycznym odruchom grutchiny jeszcze jej nie dopadły. Kyp przygwoździł jednego nadlatującego skoczka; jego lasery trafiły dowin basala i przecięły cały kadłub stateczku. Skontrolował tablicę czujników. Tylko czterdzieści dziewięć skoczków i jedna korweta do sprzątnięcia.

Teraz już czterdzieści osiem. Jedno światełko na tablicy w pobliżu Jaga zgasło. Ale za to Jag był już cholernie blisko korwety.

Nagle Kypowi przysłała do głowy pewna myśl.

- Jajno, mogę go uratować, ale potrzebuję twojej pomocy. Poczuję lekkie dotknięcie poprzez Moc.

- Jak? - spytała.

- Celuj prosto w dziób tej korwety. Pruj naprzód i atakuj tę chmurę wokół Jaga, żeby go trochę odciążyć. I osłaniaj mnie. Będę zbyt zajęty, żeby strzelać.

- Kyp, na ciemną bombę już się nie nabiorą. Będą się spodziewać...

- Nie to mam zamiar zrobić. Ufasz mi?

- Rób, co trzeba.

Zamienili się miejscami. Jaina otworzyła ogień ze wszystkich laserów. Kyp przekazał wykonywanie uników wyłącznie swoim mięśniom, bo umysł miał zajęty czymś innym.

Luke Skywalker dokonał tej sztuki tylko raz, kilka lat temu. Opowiadał o niej innym Jedi. Nikt jej po nim nie próbował, bo wiedzieli, że Luke'a prawie wykończyła, a Jedi nie mieli wielu szans, aby przeżyć tak wyczerpującą technikę.

Minęli drugą falę skoczków i kierowali się już w stronę chmury otaczającej Jaga. Niedaleko, tuż za nimi. znajdowała się druga korweta. Kyp wiedział, że inne statki już zamykają pierścień wokół niego i Jajny, ale nie miał czasu patrzeć na tablicę czujników. Nie obchodziły go na razie.

I wierzył, że ta sztuczka nie zmęczy go tak bardzo, jak Luke'a. Był silniejszy Mocą niż Luke Skywalker.

Wiedział o tym niemal od pierwszego ich spotkania- odkrył, że jego potęga jest czystszej wody niż legendarnego mistrza Jedi. Ale chyba po raz pierwszy powiedział to sobie bez lekkiego dreszczyku dumy. Był silniejszy i już. Zazwyczaj to nie ma znaczenia. Teraz miało.

Dotarli do krawędzi chmury skoczków wokół Jaga. Jaina i Kyp śmignęli przez warstwę Yuuzhan Vongów, unikając ognia, którym ich zasypano. Jaina odpowiedziała serią strzałów. Nagle znaleźli się w samym środku gromady. Szponostatek Jaga zrobił zwrot i ruszył za nimi, a korweta wisiała z przodu.

Kyp z nieobecną miną przycisnął wyzwalacz laserów. Czerwone promienie błysnęły w kierunku korwety i pustka natychmiast przeniosła się do właściwej pozycji, aby przejąć strzał.

Starał się wyczuć obecność tej pustki w Mocy, w większym zasięgu zmysłów, którym go obdarzała. Nie mógł wyczuwać Yuuzhan Vongów ani ich stworzeń, ale potrafił rozpoznać zniekształcenia w przestrzeni, drobne skupiska zła w miejscu, gdzie nie powinno być nic.

Wyczuł ich bardzo wiele, ale nie wiedział, które należą do korwety, a które do skoczków. Zresztą takie fragmentaryczne dane nie mówiły wiele ani o kierunku, ani o odległości. Pustka wyczuwana gdzieś w oddali mogła należeć do skoczka wiszącego mu na ogonie.

Uzbroił torpedę protonową i wystrzelił. Poczuję jej fizyczną obecność, kiedy w ciągu kilku sekund przemierzyła odległość pomiędzy nim a korwetą... i została wchłonięta przez kolejną pustkę. Wyczuł to wnikanie torpedy i już wiedział, która to spośród wszystkich osobliwości grawitacyjnych.

Chwycił tę pustkę, mobilizując przeciwko niej całe swoje zasoby Mocy i całą dyscyplinę.

Było to jak pchanie stojącego ścigacza cienkim metalowym prętem. Pchniesz za mocno i pręt się zegniesz, stanie się bezużyteczny. Za lekko - i nic się nie stanie. Musiał znaleźć właściwy nacisk, żeby go ruszyć, rozpędzić i sprawić, żeby sam leciał dalej...

Przez moment jedynymi istotami we wszechświecie był on, Jaina i pustka. Poruszył pustkę, obrócił ją i pchnął w drugą stronę.

I znów był sobą, siedział w kabinie, obserwując, jak burta korwety ulega powolnemu odkształceniu. Pustka wróciła i dotknęła statku, a teraz korweta wyciągała w jej kierunku wydłużony wyrostek z czegoś, o czym Kyp wiedział, że jest nieelastycznym korałem.

Części korwety znajdujące się w najbliższym sąsiedztwie pustki coraz szybciej były wysane w jej czeluść; cała konstrukcja rozdzierała się na kawałki. Strumienie gazów trysnęły w próżnię. Niewiarygodna grawitacja pustki nie pozwoliła jednak, aby resztki statku oderwały się i uwolniły. Wciągała coraz większe fragmenty korwety, ściskając je i miażdżąc, aż cały statek po prostu znikł.

Kyp czuł się tak rozbitą, jakby biegł przez kilka dni i czerpał siły z Mocy, a teraz wreszcie mógł odpocząć. Tablica diagnostyczna piszczała, więc zerknął na nią i stwierdził, że jego maszyna jest uszkodzona.

- Oberwałem - powiedział głośno. - Chyba grutchin.

Część kabiny po prawej rzeczywiście zaczęła czernieć; wydzielala żrący czarny dym. Bez pośpiechu odpiął od pasa miecz świetlny i skierował jego tarczę emisyjną w stronę czarnej plamy.

W chwilę później metal jakby się rozstał i pojawiły się owadzie oczy, a za nimi cały owadzi łeb wpełznął się do kabiny. Kyp przycisnął wyłącznik i smuga energii przebiła stworzenie na wylot. Wyłączył miecz, którego buczenie tłumiała próżnia, ponieważ przez te kilka chwil z kabiny uciekło prawie całe powietrze. Kombinezon lotniczy Kypa zadziałał, a technologia pola energetycznego utrzymywała wokół ciała pilota warstwę atmosfery.

- No i po grutchinie -- mruknął.

- Przykro mi - odparła Jaina. Jej głos też był stłumiony.

Kyp obejrzał się na tablicę czujników. Razem z Jainą i Jagiem wylatywał właśnie ze strefy starcia. Goniło ich może ze dwadzieścia skoczków.

Ale teraz na plac boju wkroczyli przyjaciele: od strony planety zbliżała się chmara iskerek z etykietką Eskadry Łotrów i kropka wielkości dużego statku oznakowana jako „Księżycowy Przyptyw”.

- Lećmy do nich - zaproponował Kyp.
- Jasne - szepnęła Jaina. - Dziękuję ci.
- Nie ma za co.

Han, sparaliżowany strachem, z poszarzałą twarzą, siedział w fotelu i zmuszał się, żeby oddychać.

Leia nie wyglądała ani trochę lepiej, niż on się czuł.

- Tak ją wychowaliśmy, Han, czy chcieliśmy, czy nie.

- Wiem, wiem.

- Nie mamy prawa jej krytykować.

- A odkąd to ktoś ustanawia prawo, że nie wolno mi zbesztać własnej córki.

Zwłaszcza za coś tak głupiego.

- Han!

- Od dzisiejszego ranka postarzałem się o dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat, Leio.

- Zaczynasz gadać jak Threepio.

- Rzeczywiście? - Skrzywił się brzydko.

- Leć już. Im szybciej dotrzemy do Otchłani, tym szybciej będziemy mogli wrócić.

ROZDZIAŁ

14

Yuuzhański światostatek, orbita Coruscant

Gruby na metr promień lasera wytrysnął z głębi przestrzeni, prosto w światostatek Tsavonga Laha.

Uderzył z mocą baterii turbolaserów, oblewając ogniem powierzchnię światostatku, przeżerając na wylot rozgrzany korał.

W pół sekundy później pojawiła się pod nim pustką wchłaniając całą energię; pozostawała tam tak długo, jak długo ogień spływał z góry. Po minucie ogień ustał, a pustka znikła.

W sterowni światostatku Tsavong Lah przyjął wiadomość o ataku z lekkim zadziwieniem.

- Zakres szkód? - zapytał.

- Minimalny - zapewnił Maal Lah. - I już się regeneruje. W ciągu dzisiejszego dnia pozostanie tylko blizna.

- I nie znalazłeś ani pojazdu, ani stacji, która go wystrzeliła.

- Nie, mistrzu wojenny. Wydaje się jednak, że wystrzelono spoza orbity najdalszej planety tego systemu i że dotarcie do światostatku zajęło sporo czasu.

- Co oznacza jedynie, że mają dość szpiegów na planecie, a ci szpiegowie mają dość sprzętu, żeby bez trudu śledzić pozycję światostatku na orbicie. - Tsavong Lah wzruszył ramionami. - Po co mieliby zdradzać się z tą wiedzą w sposób nieprzynoszący im żadnej korzyści?

- Nie wiem, mistrzu wojenny.

Tsavong Lah pogrążył się w zadumie, choć rozpraszało go łaskotanie i klucie powodowane przez pasożyty przeżerające się przez skórę jego ramienia.

Przyszła mu do głowy dziwna, niepokojąca myśl.

- Prześledź kurs tego ataku laserowego.

- Już to zrobiliśmy, mistrzu wojenny.

- Prześledźcie go poza system Coruscant. Jakie inne systemy planetarne znajdują się na tej linii?

Maal Lah skinął na jednego z analityków, który w ciągu kilku chwil przyniósł odpowiedź.

- Pyria - oznajmił Maal Lah.
- Otwórz villipa do mojego ojca. I sprowadź tu Viqi Shesh.

Okupacja Borleias, dzień trzydziesty dziewiąty

Drzwi doku operacji specjalnych były otwarte, a X-wingi Eskadry Łotrów manewrowały tak, aby się tam dostać. Jainę, Kypa i Jaga skierowano do lądowania w strefie bezpieczeństwa, zaledwie o kilkadziesiąt metrów od wejścia, w obszarze, gdzie nie było żadnych innych pojazdów. Stał tam tylko jeden oficer, a kiedy wysiedli, Jaina rozpoznała go od razu - był to pułkownik Celchu.

Serce już i tak miała w gardle, ale poczuła dreszcz.

Tycho powiódł wzrokiem po wysiadających pilotach.

- Ktoś ranny? - zapytał.

Równocześnie pokręcili głowami. Kyp, co prawda cały i zdrowy, z trudem trzymał się na nogach; ciężko oparł się o skrzydło myśliwca. Tycho przyjrzał mu się uważnie.

- Ty idziesz do łóżka - rozkazał.

- Z wielką rozkoszą. - Kyp obejrzał się na Jainę. - Jeśli pozwolisz, o Wielka.

- Odpocznij, Kyp. Tycho zwrócił się do JAINY.

- Generał Antilles chce z tobą natychmiast rozmawiać.

- Spodziewałam się tego.

- A ja? - zapytał Jag.

- Ty później - odparł Tycho. - Prosił tylko, żeby ci przekazać gratulacje za posunięcie z ciemną bombą. Strącenia nie można przyznać więcej niż dwóm pilotom, ale ja uważam, że pierwsza korweta należy się tobie.

- Zgadza się - odparła Jaina. - Ja ustępuję.

- Ja też - uśmiechnął się Kyp.

Powoli dotarli do budynku biotyki. Kypowi udało się oddalić w kierunku kwatery krokiem w miarę równym.

Tycho zostawił Jainę i Jaga przed wejściem do gabinetu Wedge'a, a sam tylko wsadził głowę przez drzwi i rzucił:

- Będę za jakieś pięć minut.

- Jasne - mruknęła Jaina.

Kiedy Tycho znikł, pozostawiając ich pod opieką robota protokolarnego Wedge'a, Jag odezwał się cicho:

- Muszę z tobą pogadać. Na osobności.

Z jego spokojnego, opanowanego zachowania nie mogła wiele wywnioskować, ale wpadła na niezły pomysł.

- Na końcu korytarza jest mała salka konferencyjna.

- Może być.

Domyślała się, co chce jej powiedzieć. Na pewno, błąd z wściekłości, tylko z siną blizną na czole zaatakuje ją słowami: „Porzuciłaś cel swojej misji dla jednego pilota.

Omal nie pogrzyłaś całej eskadry. Byłabyś udaremniła cały plan. Niczyje życie nie jest tego warte. Ani moje, ani twoje. Jesteś kompletnym zerem, jako dowódca i jako oficer".

Na pewno tak powie, a ona nie znajdzie nawet jednego argumentu na swoją obronę, ponieważ Jag będzie miał rację.

Popatrzy na nią z wyrazem twarzy stanowiącym mieszankę chłodnej kalkulacji i twardego doświadczenia, powie, co o niej myśli, a potem odwróci się i odejdzie. Znajdzie sobie oddział i obejmie jego dowództwo; oddział, który będzie postępował zgodnie z narzuconymi przez niego normami żołnierskiego zachowania.

Poczuła w brzuchu ostry ból, jakby nieświadomie połknęła wibroostrze, które włączyło się na skutek jej ruchów. Szła jednak wyprostowana. Musi mieć odwagę spojrzeć Jagowi w oczy, kiedy rozpocznie reprimendę - w końcu na nią zasłużyła.

Dotarli do salki konferencyjnej. Drzwi były otwarte, wewnątrz ciemne i chłodne; Jag włączył światła i zamknął drzwi za Jainą.

Stała zwrócona twarzą do niego, mając tylko nadzieję, że to, co czuje, nie jest za bardzo widocznie.

- Wiem, co zaraz powiesz - oznajmiła.

- Nie sądzę.

Dziwnie, ale jego twarz nie była gniewną maską, jakiej się spodziewała. Wyglądał raczej na niezdecydowanego, nie tak, jak powinien wyglądać znany jej Jag Fel.

- Powiesz mi, że zawałam. Będziesz mi to wbijał do głowy i trwał tak długo, aż nie będę mogła wytrzymać ani chwili dłużej, a potem sobie pójdziesz. - Gardło odmówiło jej posłuszeństwa; ostatnie słowa wbrew jej woli zabrzmiały dziwnie piskliwie.

- Nie o to mi chodzi. Oboje wiemy, że twoje decyzje jako dowódcy przekroczyły wszelkie normy zdrowego rozsądku i skutecznej strategii. Aleja chciałbym wiedzieć... - Zawahał się. Teraz, o dziwo, wyglądał na jeszcze bardziej zbitego z tropu niż poprzednio. - Muszę to wiedzieć. Dlaczego tak postąpiłaś?

- Nie wiem.

- Wiesz. Musisz wiedzieć. Kto ma wiedzieć jak nie ty? - Pochylił się niżej. Nie chciał onieśmielić dziewczyny; spojrzał jej głęboko w oczy, jakby miał nadzieję znaleźć w nich odpowiedź, jakąkolwiek odpowiedź, wypisaną maleńkimi literkami w źrenicach. - Odpowiedz mi...

- Ja... ja... - Ochrypla tak bardzo, że wydawało jej się, że już nigdy nie przemówi, ale w końcu słowa przedarły się przez ściśniętą krtań. Nic nie mogła poradzić, że zabrzmiało tak dziecinnie. - Wszyscy odchodzą... - Oczy zaszyły jej mgłą łez. - Odchodzą i odchodzą, a ja ich nie mogę powstrzymać. Nie chciałam, żebyś i ty odszedł.

Wreszcie łzy popłynęły. Jag stał się nagle falującą plamą czarnego munduru z falującą plamą jasnej twarzy nad nim. Nie mogła odczytać wyrazu tej twarzy, ale wiedziała, że z pewnością maluje się na niej zdumienie, niesmak, a może nawet pogarda.

Niespodziewanie ujął ją za ramiona i przytulił jej głowę do piersi. Jaina poczuła na włosach dotyk męskiego policzka. Pieszczota zaskoczyła ją tak bardzo, że miała ochotę odskoczyć. Ale nie odskoczyła. Wtuliła się w Jaga, prawie zawisła w jego ramionach, bo nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa. Ciche łzy płynęły jej po twarzy i wsiąkały w czarny mundur.

- Nigdzie nie pójde - szepnął.
 - Dlaczego?
 - Co dlaczego?
 - Dlaczego nigdzie nie pójdziesz?
 - Bo nie chcę. - Delikatnie uniół jej podbródek i pocałował usta. Jaina przylgnęła do niego tak mocno, jakby chciała się wtopić w jego ciało.

Poczuła nagle przedziwną lekkość, jakby wyskoczyła z X-winga i wzniosła się w niebo. Kamień, z którego istnienia nie zdawała sobie dotąd sprawy, a który niepostrzeżenie ją przytłaczał, teraz znikł. Uświadomiła sobie jego istnienie dopiero wtedy, gdy się uwolniła.

Gavin Darklighter właśnie wychodził od dowódcy. Wedge i Tycho podnieśli wzrok, kiedy do biura wszedł Jag i zasalutował.

- Znam Jainę Solo od niemowlęcia - zdziwił się Wedge. - Ty nią nie jesteś.
 Jag nie spuszczał wzroku z punktu na ścianie nad głową Wedge'a.
 - Przyszedłem zamiast niej, sir.
 - Poprosiła cię o to?
 - Nie, sir. Kazałem jej trochę odpocząć. Powiedziałem, że z panem pomówię i wszystko wyprostuję.
 - Wyprostujesz, tak? - Wedge wymienił spojrzenia z Tychem, ale jego zastępca miał nieprzenikniętą minę gracza w sabaka. - Czy to mnie trzeba wyprostować, Fel?
 - Tak sądzę, sir, choć nie z pańskiej winy. Czy mogę odpowiedzieć pytaniem na pytanie? Ile pan miał lat, kiedy po raz pierwszy nie zgodził się pan ze swoim dowódcą... a potem stwierdził, że miał pan rację?
 - Dwadzieścia. To znaczy wtedy, kiedy po raz pierwszy dostałem dowódcę.
 - Mam mniej więcej tyle samo lat, sir, i chciałbym panu coś podsunąć, zanim porozmawia pan z Jainą Solo.
 - Doskonale. Spokojnie, chłopcze. Siadaj. Wysłuchamy, co masz do powiedzenia.
 Jag zrobił to, co mu kazano, i wreszcie spojrzał wujowi w oczy.
 - Sir, uważam, że ukaranie jej teraz byłoby jak uderzenie w rozgrzany do białości metal.
 - To znaczy, że metal zmieniłby kształt.
 - Tak, i to nie na lepsze.
 - A co z niezawodnością w bitwie? Będę musiał zabrać ją z frontu. Ona jest kompletnie stuknięta.
 - To by oznaczało karę i prawdopodobnie wynik byłby zgodny z moim przewidywaniem. Nie zalecałbym tego.
 - Chociaż rozmyślnie odmówiła wykonania rozkazu i naraziła misję o wysokim priorytecie, aby załatwić swoje sprawy osobiste?
 - Tak, sir. - Jag odchrząknął. - Sir, jutro polecę z nią znowu, i to wcale nie z wdzięczności. Sądzę, że to, co się dzisiaj stało, było jednostkowym przypadkiem. Myślę, że to się już więcej nie zdarzy.
 - Możesz mi powiedzieć, dlaczego?

- Nie, sir.
 Zapadła niezręczna cisza, ale Wedge przeciągnął ją jeszcze o kilka sekund.
 - Wiesz, z punktu widzenia dowódcy powinienem cię zbesztać za udzielenie takiej odpowiedzi, chociaż doceniam twoje doświadczenie i liczę się z twoim zdaniem. Takie postępowanie niszczy dyscyplinę. Ale skoro mamy rozkazy, żeby Jainę traktować wyjątkowo, to trudno... Tym razem potraktuję ją wyjątkowo, bardziej wyjątkowo, niż nakazuje rozsądek, ale niech ci będzie.

- Tak jest, sir.
 - No to załatwione. Zrobię, jak mi radzisz. A na odpowiedzi sobie poczekam. - Wedge rozluźnił się nieco. - Powiedzmy, że na chwilę zdejmę te insygnia. Muszę ci powiedzieć, Jag, że cieszę się bardzo z twojego powrotu.

Jag zmusił się do uśmiechu.
 - Dzięki, sir... eee, Wedge...
 - Nieformalne zwracanie się do mnie trudno ci przechodzi przez gardło, co?
 - Noo... tak, rzeczywiście.
 - Dobrze. To mi daje jeszcze jedną okazję, żeby mojego wszechwiedzącego siostrzeńca zbić z tropu.
 Wedge westchnął ciężko.
 - Muszę wracać do pracy, ty też wracaj już do swoich obowiązków.
 - Sir... - Jag, znów wcielenie żołnierskiej poprawności, wstał, zasalutował i wyszedł.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, Tycho stwierdził:

- A to ciekawe.
 - Rozmyślnie postąpił wbrew mojemu rozkazowi - zauważył Wedge.
 - Odpowiadał bardzo wymijająco. Wedge skinął głową.
 - Powiedziałbym, że nabiera sprytu.
 - No to może jeszcze zrobimy z niego pilota w stylu Rebelii...

Otchłań

Han nawigował przez strefę zagrożenia Otchłani z intuicją i delikatną zręcznością, którą umiał się zawsze popisać, kiedy zaszła taka potrzeba - ale wołał ją demonstrować tylko wtedy, kiedy nikt nie patrzył. Takie latanie psuło mu opinię zadziornego i beztroskiego pilota. Za „Sokołem Millenium” w jednej linii leciały dwa X-wingi, precyzyjnie naśladując jego zmiany kursu.

Otchłań z oddali wydawała się wielką plamą koloru z czarnymi anomaliami grawitacyjnymi zasysającymi kolorowe gazy. Było to zbiorowisko czarnych dziur, a ich przypadkowe rozmieszczenie całkowicie zamykało w swoim wnętrzu pewien obszar przestrzeni. Skrajne zniekształcenia grawitacji i światła spowodowane przez nakładające się pola uniemożliwiały wydostanie się z tej przestrzeni, a także wyjście lub wejście do niej po linii prostej jakiegokolwiek statku. Szlaki wiodące do przestrzeni wewnętrznej były skomplikowane i kręte; stanowiły zagrożenie dzięki obszarom grawitacyjnym generowanym przez czarne dziury. Jedynie naprawdę dobry pilot był w stanie przele-

cieć jednym ze znanych podejść. I tylko jeszcze lepszy pilot potrafił znaleźć nowe podejście.

Dzisiaj Han nie bawił się w ryzyko, wołał podchodzić znaną drogą. Szlaki te znało bardzo niewiele osób. Leia wiedziała, że Han po omacku znalazłby nowe podejście, ale teraz, ze statkiem pełnym dzieci i nastolatków, z Yuuzhanami kotłującymi się w niedalekim systemie Kessel, nie był to dobry moment na wycieczki.

Ostatecznie Han dokonał ostatniej korekty kursu i skręcił w kierunku Przystani, stacji kosmicznej wyrosłej pośrodku ukrytej przestrzeni Otchłani. Odetchnął, zrzucając z ramion kilkanaście minut napięcia, i stwierdził:

- Oto i ona, proszę bardzo. Brzydsza niż zwykle.

Przystań była naprędce zmontowaną zbieraniną części zebranych przez Landa Calrissiana, a także zbieraniną doradców i bywalców, którym Han ufał. W jedną strukturę szczeplono fragmenty dawnej instalacji Otchłani i kolekcję pustych w środku planetoid, gdzie mieszkali pracownicy i technicy, którzy stworzyli pierwsze imperialne superbrownie; dołożono fragmenty starych stacji kosmicznych, moduły zebrane ze statków towarowych i inne części, których pochodzenia Leia nie umiałaby określić.

W ciągu kilku minut zostali posadzeni w oznaczonym obszarze lądowiska - kopulastej przybudówce o średnicy co najmniej czterech „Sokołów Millenium”, której powierzchnia o barwie matowego srebra z ciemniejszymi łatami rdzy sugerowała równie antyczne korzenie - którego nie było tu jeszcze podczas ich ostatniej wizyty. U stóp rampy czekała na nich wysoka kobieta. Jej elegancja i kosztowne ciemne szaty z daleka przywoływały na myśl arystokratyczne pochodzenie... a także dawne czasy, kiedy arystokraci mogli rozkoszować się swoim statusem.

Leia wyprzedziła kolumnę schodzących Jedi i objęła kobietę serdecznie.

- Tendra! Nie wiedziałam, że tu jesteś!

Żona Landa uśmiechnęła się.

- Omal się nie rozminęłyśmy. Przywiozłam trochę sprzętu i spędziłam kilka ostatnich dni na sprawdzaniu, czy działa.

- Jakiego sprzętu? - zainteresował się Han.

Tendra machnęła ręką, obejmując tym gestem cały dok oraz resztę kopuły.

- Właśnie tego. To jest moduł mieszkalny dla głębokich przestrzeni używany przez architektów światów. Ma własny generator grawitacji, a nawet prymitywny hipernapęd. Spędził na złomowisku w Sektorze Korporacyjnym całe pokolenie. Dostałam go za... eee.. mniej niż połowę wartości.

- A teraz stoi na środku Przystani przeznaczonej dla Jedi?

- Tak. Załatwiłam, żeby wszystkie pomieszczenia zwykle służące do przewożenia materiałów budowlanych na światy zostały przerobione na sale treningowe. Trochę brakuje zapasów...

- My trochę przywieźliśmy - wtrącił Han. - W „Sokole” i w tym drugim frachtowcu. Żywność, maszyny produkcyjne, paliwo, ogniwa energetyczne, zapisy... - Spojrzał na młodych Jedi, którzy wybiegli z doku, gapiąc się na dźwigi towarowe i statek Tendry, „Wytwornego Gościa”. - I bandę smarkaczy.

- Hej. - Valin Horn, syn Corrana, zatrzymał się o kilka metrów od niego i wykrzywił brzydko: - Nie jestem smarkaczem!

- Nie, to twój tata jest nieznośnym smarkaczem rodziny Hornów. Valin prychnął.

- Powiem mu to.

- Jasne, powiedz. Spadaj, mały. Idź strzelić w pysk rancora, albo co... - Han znowu spojrzął na Tendrę. - Jeśli chcesz już lecieć, mogłabyś poczekać chociaż tyle, żebyśmy zrobili szybki przegląd „Sokoła” i odprowadzili cię do wyjścia...

- Nie zostajecie?

- Na Borleias jest za dużo roboty. Pilnować twojego męża, żeby się nie wplątał w kłopoty, patrzeć, jak nasza córka wplątuje się w jeszcze gorsze... - Wymienił cierpiętnicze spojrzenia z Leią. - Dlatego zaraz wracamy.

- Będę gotowa za pół godziny. - Tendra uśmiechnięta wróciła na statek, stukając obcasami po metalowej podłodze doku.

Leia westchnęła ciężko.

- Dużo bym dała za taki wzrost.

- Stawiam tysiąc kredytów, że ona zawsze marzyła o tym, żeby być drobna. I kolejny tysiąc, że gdybyście zaczęły sobie nawzajem opowiadać, jak to jedna drugiej zażyczyła wzrostu, skończyłybyście na uskarżaniu się, jakich to macie nieznośnych mężów...

- Nie musisz się zakładać. Nasi mężowie są nieznośni.

- No dobra, to i tak były imperialne kredyty. Jesteś gotowa, żeby mi pomóc przy „Sokole”?

-- Nie, najpierw muszę się pożegnać...- Leia rozejrzała się po doku, rozpoznając każdego z obecnych po kolei. - A tak w ogóle, to gdzie jest Tarć?

- Wciąż jeszcze mam ten tysiąc kredytów i stawiam go na to, że chowa się na pokładzie „Sokoła”.

- Przestań wreszcie!

Han posłał jej taki uśmiech, o którym wiedział na pewno, że go nie cierpi, i włączył komunikator.

- Złota Pało, gdzie jest Tarć?

Zaraz rozległ się głos C-3PO, odpowiednio zasmucony.

- Jest w górnej kopułce poczwórnych laserów i chowa się w fotelu tak, żeby go nikt nie zobaczył. I, proszę pana, ja mam swoje imię...

W chwilę później stali pod drabinką wiodącą do szybu turbolaserów.

- Tarć?! - zawołała Leia. - Możesz zejść na dół?

- Nie - odrzekł chłopiec. Nawet się nie wychylił, żeby go mogli zobaczyć.

- Już czas, Tarć. - Leia starała się przemawiać łagodnym tonem. - Jeśli wcześniej ustawisz się w kolejce, możesz dostać lepszy pokój.

- I już z nimi zostaną... z tymi Jedi.

- Jedi to nic złego. Ja też jestem Jedi.

- Tak, ale ty jesteś inna. Nie taka straszna. Chcę wracać z wami na Borleias.

- Tu jest bezpieczniej, Tarć - wtrącił Han.

Chłopiec wreszcie wystawił głowę nad oparcie fotela. Spojrzał na Hana wzrokiem pełnym politowania i szczerzej pogardy, jakby chciał powiedzieć: „Chyba sam nie wiesz w to, co mówisz”.

- Nieprawda - powiedział. - Bliznogłowi szukają Jedi. Jeśli przyjadą tutaj i ich znajdą, mnie też zabiorą.

- Nie mów „bliznogłowi” - upomniała go Leia. - To nieładnie.

- Poza tym - dodał Tarć, chowając się znowu - do tych dzieci Jedi przyjadą ich rodziny, a do mnie nikt nie przyjedzie...

- Oczywiście, że przyjedziemy - zaproponował Han.

- Nie, nieprawda. Jeśli jeszcze żyję, to tylko dlatego, że wyglądam jak Anakin Solo. A was boli za każdym razem, kiedy na mnie patrzycie. Widzę to.

Han obejrzał się na Leię. Poblądła i skuliła się w sobie. Objął ją ramieniem i przytulił, czując, jak odzyskuje równowagę.

- Ty go nauczyłaś tak dyskutować? - zapytał cicho.

- Nikt nie musiał go uczyć - odpowiedziała również szeptem. - Dzieciaki dyskutują jak rasowi politycy. Za to nie wszyscy rasowi politycy potrafią płakać na zawołanie.

- No to co robimy?

Wzruszyła ramionami.

- Może faktycznie nie powinniśmy go tu zostawiać... w miejscu, gdzie inne dzieci mają Moc, której on nigdy miał nie będzie. No, może z wyjątkiem małych Wedge'a, które i tak natychmiast zawojują administratorów i dostaną wszystko, co zechcą.

- No to co mamy robić? Zabrać go na Borleias, wystawić Yuuzhan Vongom? Wyśłać go do obozu dla uchodźców, do obcych? Kama i Tin-nę przynajmniej znamy...

- Nie wiem, nie wiem, Han...

- Przecież ty wiesz wszystko.

- Tylko w porównaniu z moim mężem.

- Dzięki. - Han przestał mówić szeptem. - Hej, mały!

- Co? - Tarć znów wyjrzał zza oparcia.

- Nigdy się nie żęń.

- A co to znaczy?

- To znaczy, że masz się przypiąć. Wracasz z nami na Borleias. Oczy chłopca zrobiły się wielkie jak spodki.

- Naprawdę?

- Tylko na razie, smarkaczu. - Han pozwolił, aby przemówił przez niego prawdziwy gniew. - I przestań używać tej bzdurnej gadki „to dlatego, że wyglądam jak Anakin”. Nigdy więcej, jasne? Zrozumiałeś?

Tarć znieruchomiał.

- Tak jest, sir.

- I zapamiętaj ten wyraz twarzy, mały. On oznacza, że mówię dokładnie to, co myślę. - Han pociągnął Leię za sobą do kabiny. - Następnym razem zastanowię się, jak go przekonać.

- Tysiąc kredytów, że tego nie zrobisz...

ROZDZIAŁ

15

Okupacja Borleias, dzień czterdziesty siódmy

Był środek nocy, ale dawne laboratorium biotyki nigdy tak naprawdę nie zasypiało. Tam słyszał ruch w bocznych korytarzach, odległe rozmowy, drżenie ścian oznaczające start patrolu myśliwców gdzieś na zewnątrz.

Ten korytarz wydawał się jednak względnie spokojny. O tej porze był całkowicie pusty, ponieważ dzień i noc strzeżono go przed dostępem nieupoważnionego personelu.

Tam zatrzymał się przed drzwiami laboratorium Danni Quee i poczuł, że cały dygocze, jakby wstrząsało nim bicie własnego serca.

Zatrzymać się jednak znaczyło to samo, co nie usłuchać. Delikatne, odległe pulsowanie bólu w głowie połączyło się z rytmem jego tętna.

Zaklął i przeszedł pod przeciwległą ścianę. Wyciągnął rękę i musnął palcami powierzchnię tuż pod sufitem. Wreszcie znalazł - coś jakby śliska plama rozpylonego oleju.

To nie był olej, lecz kolejny przedmiot należący do Yuuzhan Vongów. Kolejny żywy aparat, który mu dali. W dotyku przypominał villipa - gładki i śliski. Pocierał go tak długo, aż znalazł zagłębienie, które go uruchamiało. Dotknął tego miejsca mocniej, bardziej stanowczo. Potem wytarł palce o koszulę.

Miejsce na ścianie zmieniło barwę. Wiedział, że pozostaje gładkie jak płat flimsioplastu, lecz wydawało mu się, że nabiera głębi, przekształcając się w kopię klawiatury i błękitnego wyświetlacza obok drzwi Danni.

Podobnie jak w holonagranium, w polu widzenia nagle pojawiła się ręka, wprowadzając cyfry na klawiaturze. Była to kobieca dłoń, młoda, gładka. Pewnie należała do Danni. Tam obserwował, które klawisze naciska, zapamiętując sekwencję, po czym spojrzał na wyświetlacz pokazujący wartości klawiszy.

Nie były takie same. Powtórzył litery i liczby, które zostały wprowadzone. Różniły się od odczytu w dwóch miejscach.

To by znaczyło... co? Albo że źle odczytał klawisze w miarę ich naciskania, albo że odczyt wyświetlił nieprawidłową sekwencję.

Z satysfakcją skinął głową. Kolejny środek bezpieczeństwa. Zapis wyświetlacza spowodowałby wprowadzenie hasła, które albo by nie zadziałało, albo zaalarmowałoby ochronę o wtargnięciu. Jedynie pamięć wzrokowa Tama, wyćwiczona i dokładna, będąca pierwszym powodem, dla którego został operatorem holokamery, uratowała go przed tą pułapką.

Wolał, żeby mu się nie udało. Wolał, żeby go złapali.

Ból głowy był coraz silniejszy.

Dotknął yuuzhańskiego rejestratora i przyglądał się, jak wraca do stanu przejrzystości. Następnie wprowadził w klawiaturę hasło - prawidłowe hasło - i drzwi odsunęły się na bok.

Tam zamarł. Wewnątrz pomieszczenia, o dwa metry od niego, przy swoim biurku siedziała Danni Quee, nieruchoma, ze spuszczoną głową. Kolory z monitora tańczyły na jej włosach.

Nie poruszyła się, jeśli nie liczyć rytmu jej oddechu i Tam zmusił się, aby wejść do środka.

Laboratorium było pogrążone w mroku, oświetlone jedynie przez monitory i lampy na biurkach. W pokoju była tylko Danni. Tam okrążył jej stanowisko i zatrzymał się obok, starając się niczego po drodze nie potrącić. Jeśli będzie się poruszał wystarczająco powoli, może to skompensuje jego niezdarność. Niezdarność, która sprawiła, że potknął się, uciekając na Coruscant. Niezdarność, przez którą został schwytyany i stał się niewolnikiem.

Monitor Danni pokazywał obiekt o wielu fasetach, podobny do klejnotu. Na ekranie było mnóstwo tekstu, terminologii technicznej, której nie rozumiał, zwrotów takich jak „współczynnik refleksyjności” i „wzmocnienie mocy”.

Zmrużył oczy. Wzrok miał dobry, ale musiał uprzedzić małe stworzenie siedzące w jego oczodole, że nadszedł czas, aby się zbudziło i zaczęło rejestrować. Poczul ruchy stworzenia; żołądek mu się skurczył, a fala mdłości podeszła do gardła.

Powoli krążył po laboratorium, spoglądając na każdy ekran po kolei, potem na ręcznie pisane notatki i ekrany notatników. Na stanowisku obok Danni leżał stosik kart danych; powoli, w milczeniu wyjął własny notatnik, wprowadził do niego karty, skopiował je i odłożył na poprzednie miejsce.

Nie miał tu nic więcej do roboty.

Poczul, że ból znów narasta. Nie, coś jeszcze ma tutaj tu do zrobienia. Dostał polecenie zebrania informacji... i udzielenia ogólnej pomocy Yuuzhanom, w każdy sposób, byleby tylko nie doprowadził do jego schwytania lub ujawnienia.

Była tu Danni Quee. Tam mógł ją pokonać, kiedy spała. Wyeleminowanie tak ważnego specjalisty Nowej Republiki z pewnością pomogłoby jego mistrzom.

Nie dalby rady wynieść jej z budynku, nawet z tego korytarza. Żeby wyeleminować ją jako zagrożenie, musiałby ją zabić.

Mógł to zrobić, oczywiście, i to w taki sposób, że nigdy nikt by go o to nie posądził. W jednej z kieszeni miał miękką kulkę, w której tkwił brzytwozuk. Może go wyciągnąć, uwolnić i rzucić nim w Danni. Stworzenie posiekają na strzępy.

A on wróci na wahadłowiec i dostanie pochwałę.

Stał nieruchomo, a ból głowy narastał powoli, ale stale. Przeklął pod nosem swoją słabość. Już samo myślenie, jak pomóc Yuuzhanom, sprawiło, że zobowiązał się, aby to zrobić. Teraz Danni Quee musi umrzeć.

Stanął za jej plecami. Nie zastanawiał się już, co mogłoby być, gdyby spotkali się w innych okolicznościach. Był wielkim, niezdarnym, mułowatym facetem, a ona piękną, inteligentną kobietą naznaczoną przez los. Gdyby nawet znaleźli się razem w jakimś bezludnym miejscu, nic by między nimi nie zaszło. Stałoby się najwyżej przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Tam wyciągnął rękę i najdelikatniej jak umiał musnął nią złocisty lok, teraz zabarwiony szkarłatem światła padającego od ekranu. Sięgnął do kieszeni i wyjął brzytwozuka.

Stał nieruchomo. Ból narastał do punktu, w którym nawet oddychanie zaczęło sprawiać mu trudność. Spazmatycznie chwytał ustami powietrze.

Problem polegał na tym, że choćby nie wiadomo jak pragnął, aby ból ustał, on by wciąż narastał. Danni Quee zasługiwała na to, żeby żyć. A on... on zasługiwał na śmierć.

Odwrócił się. Przeszył go taki ból, jakby ktoś jednym uderzeniem przebił mu obie skronie metalowym prętem. Zachwiał się i musiał podeprzeć ręką, żeby nie upaść.

Ból go nie zabił. Ostatnim wysiłkiem stłumił go w sobie, wstał, dotarł do drzwi. Musiał oprzeć się o nie, żeby nabrać sił na kolejny krok. Potem będzie mógł otworzyć i wyjść.

Szedł nierównym krokiem, zataczając się w rytm łomotania w czaszce. Przypominał sobie cały czas, że przecież niesie dane swojej kontrolerce. Wykonał główne zadanie. Ból się zmniejszył.

Ale tylko trochę.

Skoro tylko drzwi zamknęły się za Tamem, Danni podniosła głowę i obejrzała się za siebie.

Wystukała na klawiaturze polecenie i ekran zmienił się, pokazując teraz Tama, jak chwiejnym krokiem idzie korytarzem.

Kiedy już oddalił się poza zasięg głosu, włączyła komunikator.

- Poszedł - szepnęła. - Zapamiętywał albo rejestrował wszystko, co było na ekranach.

Odpowiedział jej głos Ielli, cichy, bo komunikator był ustawiony na małą głośność.

- Zostawił coś?

- Nie wiem. Zaraz zacznę analizować zapisy. Koniec.

- Dobra robota. Koniec.

Danni wyjęła zapis pierwszej z holokamer umieszczonych w różnych ukrytych punktach pomieszczenia. Poczula, że ciarki przechodzą jej po grzbiecie. Nie była pewna, o czym myślał Tam, stojąc za jej plecami przez tak długą chwilę. Bardzo chciała sprawdzić, czy na pewno nie pozostawił w biurze yuuzhańskiego robactwa.

Yuuzhański światostatek, orbita Coruscant

Tsavong Lah znajdował się w samym środku wydarzeń. Stał w centrum dowodzenia, otoczony analitykami i doradcami oraz rzędami strażników. Światliki kłębiły się na ekranach, ściany pulsowały żywymi rejestratorami i bateriami villipów.

Tsavong Lah słuchał raportów.

Większość z nich pochodziła od Maala Laha i Viqi Shesh. Słuchając ich, myślał sobie, że właściwie pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Zazwyczaj to Nom Anor i Vergere stawali przed nim, żeby tłumaczyć, doradzać, wymieniać docinki. On był yuuzhańskim wojownikiem, ona sprytną samicą pośledniego gatunku. Teraz i Nom Anor, i Vergere zajęci byli czymś innym, ale ich role przejęli nowi aktorzy.

- To superbroń - mówił Maal Lah, używając określenia we wspólnym, zamiast yuuzhańskiego odpowiednika. - W ich historii znane były twory mogące latać prędzej niż światło i niszczyć całe światy. To ich nowy wynalazek.

- I robota Danni Quee - dokończyła Viqi. - Na pewno. Tylko ona jedna potrafi tak zintegrować technologię Yuuzhan Vongów i Nowej Republiki. Ten idiota Tam oberwie za to, że jej nie zabił, kiedy miał szansę.

Tsavong Lah podniósł palec. Viqi przełknęła następne słowa, które miała wypowiedzieć.

- Właśnie usłyszałem herezję - rzekł. - Po pierwsze, yuuzhańskie prace nie są technologią. Nie wolno ich tak nazywać.

Viqi wydawała się wstrząśnięta. Natychmiast spuściła głowę, choć Tsavong Lah podejrzewał, że tylko udaje.

- Wybacz, mistrzu wojenny. Nie znam słowa, które mogłoby ująć obie te dziedziny.

- Może podczas odbywania kary znajdziesz takie słowo. Po drugie, nasze prace nie mogą być łączone z technologią niewiernych. Bogowie nigdy by na to nie pozwolili.

Viqi i Maal Lah wymienili spojrzenia. Teraz to Maal Lah ośmielił się zaprzeczyć mistrzowi wojennemu.

- Okazuje się, że to nieprawda. Takie zdarzenia miały już miejsce. Wiemy, że jakiś czas temu Anakin Solo naprawił swój miecz świetlny, używając lambentu. Zdaje się, że zanim zginął, przekazał wiedzę o tej technice innym. Nowe urządzenie, o którym mówimy, ma związek właśnie z kryształami lambentu.

- Mów dalej.

Maal Lah spojrział na Viqi. Odwróciła się i uaktywniła żywe rejestratory na stole obok. Każdy po kolei zajaśniał, ukazując jeden z obrazów, które zapisał Tam Elgrin.

Maal Lah wskazał obraz na ekranie Danni.

- To jest lambent, a raczej jego schemat. Zgodnie z informacją, jaką uzyskała agentka Viqi, został on sztucznie wyhodowany w laboratorium w głębi ich budynku garnizonowego. Zgodnie z informacjami, jakie możemy odczytać na tych obrazach, starali się też wyhodować kryształy na statkach, ale lambenty mogą rosnąć jedynie w prawdziwej grawitacji, generowanej przez dovin basale. Sztuczna grawitacja pochodząca od technologii niewiernych niszczy kryształy.

Tsavong Lah popatrzyła na Maala Laha z grymasem obrzydzenia.

- Więc ich *Jeedai* będą mieli więcej mieczy świetlnych? Nie dopuścimy do tego.

- Jest jeszcze gorzej, mistrzu wojenny. Schemat, który tu widzisz, przedstawia lambent wielkości jednego z naszych wojowników.

- Wielki jak... co za bluźnierstwo mogą wyprodukować dzięki... -I nagle Tsavong Lah już wiedział, co produkują. Stwierdził, że stoi, dygocząc z gniewu, a nie pamiętał, żeby wstawał.

- Przynieście mi villipa mojego ojca - wychrypiął.

Już po chwili patrzył na wygenerowaną przez villipa, niewyraźną ale rozpoznawalną symulację rysów twarzy ojca. Pospieszenie przebrnął przez wszystkie zwyczajowe formy powitalne i natychmiast przeszedł do sedna sprawy.

- Już wiem. co to za projekt, ten „Gwiezdny Włócznik”. Spójne światło, jakie te pojazdy przesyłają między sobą w pewnym punkcie jest ogniskowane przez gigantyczny kryształ lambentu, który właśnie hodują w czeluściach swojego budynku. A kiedy to się stanie, promień będzie miał moc wystarczającą do zniszczenia światostatku. Atak, który niedawno przeżyliśmy, był tylko próbą, może wykonaną po to, aby dostroić promień broni do celu.

- Interesujące - mruknął ojciec.

- Nie możemy dopuścić, aby udoskonaliło to urządzenie - ciągnął mistrz wojenny. - Teraz rozkazuję, abys poświęcił swoją uwagę zmasowanemu atakowi na tę instalację. Trzeba ją zniszczyć. Doszczętnie i natychmiast.

Czul kang Lah milczał przez dłuższą chwilę. Villip przedstawiający jego twarz znieruchomiał tak całkowicie, że Tsavong Lah przez chwilę się zastanawiał, czy zwierzę żyje. Wreszcie ojciec przemówił:

-- To byłby błąd strategiczny - oznajmił. - Nie zgłębiliśmy jeszcze ani taktyki, ani zasobów naszych wrogów. Nie znamy do końca ich repertuaru niespodzianek. W najlepszym przypadku nasze straty byłyby nieproporcjonalnie wielkie. W najgorszym taki przedwczesny atak mógłby oznaczać daremne poświęcenie ogromnej liczby wojowników... i przegraną. Za wcześniej, mój synu.

- Nie zmienię rozkazu - odparł Tsavong Lah.

Twarz ojca przybrała wyraz oznaczający: „Spodziewałem się po tobie czegoś lepszego”. Taką minę miał zawsze, gdy chciał dać do zrozumienia, że student zawiódł go po raz ostatni. Tsavong Lah nigdy przedtem jej nie widział i teraz nieświadomie cofnął się o krok.

Lecz Czulkang Lah nie wypowiedział na głos żadnych słów, które mogłyby zhańbić jego syna.

- Tak się stanie - rzekł tylko.

- Niech uśmiech bogów towarzyszy twoim poczynaniom - odpowiedział Tsavong Lah. Skinął głową jednemu z oficerów, który pogładził villipa. Stworzenie przenicowało się.

Mistrz wojenny stał przez chwilę, ciężko chwyając oddech. Ostateczna nagana ojca, tak bezlitosna wzgarda była dla niego niczym cios w twarz.

Dopiero kiedy się opanował, zwrócił się do Maala Laha.

- Wydaj takie polecenie. Kiedy Borleias padnie, nie będzie już domem domeny Kraal. Zamiast tego zostanie przekazana kapłanom Yun-Yammki, żeby być przystanią dla ich zakonu, w podziękę bogu za wszystko, co nam ofiarował.

Maal Lah skinął głową. On także powiedział:

- Tak się stanie.

A to powinno przyprawić kapłanów Yun-Yuuzhanina o atak serca, pomyślał mistrz wojenny. Jeśli rzeczywiście w ich szeregach i wśród mistrzów przemian zawiązano spiszek przeciwko mnie, wkrótce się o tym przekonam.

Spojrzał na swoje lewe ramię.

Wkrótce to odczuję.

Okupacja Borleias, dzień czterdziesty ósmy

- Wszystko wskazuje, że to jakaś duża sprawa - mruknął Tycho.

Razem z Wedge'em i Iellą stał przed ekranem holograficznym centrum dowodzenia, który pokazywał skompilowane odczyty ze wszystkich naziemnych czujników garnizonu, łącznie z czujnikami grawitacyjnymi, które Jedi Luke'a zainstalowali w dżungli poza strefą bezpieczeństwa, jak również informacje przekazywane na żywo od pilotów myśliwców.

Pośrodku wyświetlacza znajdował się duży, przyjazny sygnał oznakowany „Baza”. W odległości kilkuset kilometrów w każdym kierunku widać było roje czerwonych iskerek, Iella naliczyła szesnaście oddzielnych grup.

- Co oni robią? - zapytała.

- Jedna lub dwie grupy to personel lądowiska, pojazdy, wszystko, czego potrzebują siły inwazyjne - wyjaśnił Wedge. - Pozostali to mięso armatnie. Mamy podzielić naszą uwagę pomiędzy nie w desperackiej próbie odgadnięcia, gdzie znajduje się ich strefa lądowania. Potem powinniśmy się zdenerwować, ponieważ nam to nie wyjdzie.

- Powinniśmy... - Iella podniosła wzrok. - Czy to znaczy, że nie zamierzamy tego zrobić? Ani jednego, ani drugiego?

Wedge pokręcił głową.

- Oczywiście, wyślemy zwiadowców do wszystkich tych miejsc, ale z rozkazem, żeby się pokazali, zachowali czujność i wiali, gdyby ktoś zaczął ich gonić. Nie chcemy stracić pilotów na zbieranie informacji, których właściwie nie potrzebujemy.

- Nie interesuje cię więc, gdzie jest ich strefa lądowania?

- Nie ma to wielkiego znaczenia.

- Dlaczego?

- Ponieważ za dzień lub dwa zaatakują nas tutaj. A właśnie to chciałbym osiągnąć.

Nic więcej.

- A kiedy już to zrobią- dokończyła Iella - kogo im przeciwstawisz? Nową Republikę czy Sojusz Rebeliantów?

Wedge i Tycho spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się szeroko.

- Ani jedno, ani drugie - odparł Wedge. - Pokażemy im wroga, z którym do tej pory nie mieli nieprzyjemności walczyć. Walniemy w nich Imperium.

- Oj, Imperium im się raczej nie spodoba - zatroskał się Tycho.
I opowiedzieli jej o operacji „Młot Imperatora”.

Okupacja Borleias, dzień czterdziesty ósmy

Tym razem, kiedy „Sokół Millenium” wylądował na Borleias, pojawił się tam w środku nocy. Nie było fanfar, nie pojawił się komitet powitalny, jeśli nie liczyć grupki mechaników. Leia zauważyła, że Han odetchnął z ulgą ciesząc się z tego spokoju.

Od razu zabrał Tarca, żeby mu znaleźć jakieś lokum - pokoje, w których mieszkał poprzednio, przeznaczone dla najmłodszych dzieci Jedi. teraz zostały już przydzielone komu innemu, a Han, choć lubił chłopca nie chciał go mieć u siebie. Leia poszła na poszukiwanie córki.

X-wing Jainy stał w doku operacji specjalnych. Pracowali przy nim mechanicy, ale Leia nie znalazła córki ani w jej pokoju, ani w byłej komorze inkubacyjnej, która obecnie służyła eskadrom specjalnym -Łotrom, Dzikim Rycerzom, Bliźniaczym Słońcom oraz Czarnym Księżycom -jako nieoficjalna świetlica.

Nie mogła wezwać Jainy przez komunikator, żeby nie sprawić wrażenia, że ją śledzi, choć bardzo chciała to zrobić. Ostatecznie przyznała się do porażki i wróciła do siebie.

I właśnie tam znalazła Jainę. Leżała, wyciągnięta na boku na sofie, wciąż ubrana w kombinezon pilota. Buty i inne akcesoria rzuciła na podłogę. Spała. Leia podeszła i przez chwilę wpatrywała się w uśpioną twarz córki.

Ta dziewczyna zasiadała za sterami najbardziej śmiertelnościowego i skutecznego myśliwca Nowej Republiki, zaliczając w walce z bezlitosnym wrogiem starcie po starciu, teraz jednak sen złagodził jej rysy i wydawała się niewinna jak dziecko. A przecież nie była już dzieckiem. Była młodą kobietą a jej dzieciństwo minęło nagle i bezpowrotnie. Serce Leii ścisnął ból. Teraz powinniśmy być daleko stąd, pomyślała. Han, Jaina, Jacen, Anakin i ja. I Luke, i Marą i mały Ben. Na polu pełnym kwiatów. Na Alderaanie.

Powoli, cicho, żeby nie obudzić Jainy, Leia położyła się obok i objęła ją ramieniem. Była to ukradkowa bliskość, na którą córka nigdy by nie pozwoliła, gdyby nie spała. Wkrótce potem - zbyt szybko -rytm oddechu dziewczyny uległ zmianie i Jaina otworzyła oczy.

Spojrzała w górę, napotkała twarz Leii i uśmiechnęła się sennie.

- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

- Nie szkodzi. -Jaina mocniej zacisnęła wokół siebie ramię Leii. -Od waszego wyjazdu często tu przychodziłam, bo wiedziałam, że wszystko tu jest przesiąknięte waszym zapachem. Wiedziałam, że będziecie przy mnie nawet wtedy, kiedy jesteście daleko.

Leii udało się ukryć głębokie zdumienie. Te słowa były tak niepodobne do Jainy... do osoby, którą stała się w ciągu ostatnich kilku lat.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Jaina pokręciła głową.

- Chyba nie. - Znów przytuliła twarz do poduszki. - Chyba już nie wiem, kim jestem.

- Czy to ta historia z boginią?

- Nie. Akurat to wcale mnie nie rusza. To tylko zabawa w pewność siebie. Nie, problem w tym, że jestem Jedi, a więc muszę wiedzieć, co powinnam zrobić lub powiedzieć w danej chwili... ale dla drugiej części mojej osobowości nic nie jest jasne. - Na ile Leia mogła cokolwiek zobaczyć pod tym kątem, twarz dziewczyny była nieruchoma.

Zachichotała.

- Jaino, ja się z tym pytaniem męczę od czasu, kiedy byłam tylko troszkę starsza od ciebie. I dalej nie znam odpowiedzi. Czasem jestem Jedi, a kiedy indziej nie. Jedi powinien odwracać się od lęku. Ale jako polityk muszę go doświadczać. Nie tylko mojego własnego... Lęku moich sprzymierzeńców. Lęku moich oponentów. Gdybym nie mogła go czuć... gdybym nie stała się nim, w pewnym sensie... nie umiałabym przewidzieć, jak się zachowają, kiedy się zrobi gorąco. Nieraz nauka Jedi prowadzi w zupełnie przeciwnym kierunku niż twoje własne cele. O wiele za duże różnice w metodologii. - Łagodnie pogłaskała włosy córki, modląc się w duchu, by przestała cierpieć.

- To też ma związek - odparła Jaina. - Sporo czasu mi zajęło, żeby to zrozumieć. Boję się.

- I dobrze, że się boisz. Jesteś otoczona koszmarem. Strach pozwala ci przeżyć.

Jaina pokręciła głową.

- Nie o to chodzi. Nie boję się śmierci. Boję się dotrzeć do końca wojny i stwierdzić, że jestem całkiem sama. Że wszyscy, których znałam i kochałam, odeszli.

- Jaino, to się nie zdarzy.

- Już się zdarzyło. Kiedy umarł Anakin, to było tak, jakby ktoś odciął część mnie samej. Z Jacenem jest jeszcze gorzej. Jak sięgam pamięcią wstecz, cokolwiek się działo, cokolwiek było nie tak, zawsze mogłam wyciągnąć rękę i Jacen już tam czekał. Mogliśmy przebywać w kryjówece na zapadłym końcu wszechświata, zagubieni w czełściach Coruscant czy wędrować po tych miejscach na Yavinie Cztery, gdzie nie dotarła jeszcze żadna żyjąca istota, ale Jacen był ze mną. Nigdy się nie nudziłam, nigdy się nie bałam, nigdy nie byłam samotna. A odkąd go straciliśmy, połowa mnie umarła. - Napływały łzy, Jaina otarła je szybko.

Leia westchnęła.

- Jacen nie umarł. Wiem, że ma kłopoty, ale żyje. Poczulałabym, gdyby odszedł. Tak jak poczułam Anakina.

Napięcie w mięśniach JAINY nie zelzało, ale nawet nie próbowała się sprzeciwić.

- Wciąż sobie myślę, że powinnam coś zaplanować na przyszłość. Niedawno te myśli zaczęły mnie nachodzić jeszcze częściej. Ale nie jestem w stanie. Nie mogę planować, że będę miała dom na planecie, której jutro może już nie być, albo że zrobię karierę w służbach, które znikną z kart historii, albo że spędzę życie z ludźmi, którzy tak długo będą walczyć z Yuuzhan Vongami, że w końcu nie wrócą...

- Wiem. Ze mną było tak samo, wiele lat temu, kiedy Palpatine wydawał się niewzyciężony, a my stale uciekaliśmy, a twój ojciec był po prostu idiotycznie atrakcyj-

nym facetem, który zawsze wydawał się gotów nas opuścić. I wiesz, czego się nauczyłam?

- Czego?

- Że w takich czasach planujesz przyszłość, wprowadzając ludzi do swojego życia. Wiesz, że nie wszyscy potrafią przeżyć to co ty. Ale ci, którzy przetrwają, na zawsze zostaną częścią ciebie. Kiedy upadniesz, podniosą cię, kiedy będziesz głodna, nakarmią, kiedy będziesz cierpiała, przyniosą ci ukojenie... Dla nich będziesz zawsze taka sama. To jest twoja przyszłość. Mnie zabrali całe światy... ale nie moją przyszłość.

Jaina milczała przez dłuższą chwilę, w zadumie przetrawiając słowa Leii. Wreszcie przekręciła się na plecy i spojrzała jej w oczy.

- Właściwie cieszę się, że dziś wróciłaś. Przychodziłam tu co wieczór między innymi dlatego, że chciałam ci coś powiedzieć. Chciałam, żebyś się dowiedziała, że już rozumiem.

- Rozumiesz... Co rozumiesz?

- Kilka dni temu rozmawiałam z Marą i naprawdę poruszyło mnie to do głębi. Ale musiałam wpakować się w coś takiego, jak ta bitwa, w której omal nie straciliśmy Jaga, żeby to do mnie dotarło. Wreszcie zrozumiałam, dlaczego kiedy jeszcze byliśmy mali, zawsze nas odsyłałaś gdzieś daleko: Jacena, Anakina i mnie. Nawet kiedy byliśmy na Coruscant, musieliśmy mieszkać gdzie indziej. Nie jestem głupia, zawsze wiedziałam, o co chodzi. Obowiązkami. - Jaina przez chwilę pogrążyła się we wspomnieniach. - Ale nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, jak bardzo musiałaś wtedy cierpieć.

- Dziecinko, oczywiście, że cierpiałam. Próbowałam ci to powiedzieć raz za razem. Ale na określenie takiego bólu nie ma nawet słów...

- Wiem. Już wiem. - Jaina usiadła i Leia pozwoliła jej na to. - Muszę iść. Mam kupę raportów do napisania. Robota bogini. - Objęła Leię i przytuliła mocno, z całej siły. - Kocham cię, mamusi!

- Ja też cię kocham, JAINO.

Okupacja Borleias, dzień czterdziesty dziewiąty

Wedge w X-wingu Luke'a zatoczył leniwy krąg w próżni nad niską orbitą planety. W dole ciągnęła się nieskończona dżungla Borleias. Szarpnął mocniej drążek i łuk przeszedł nagle w ciasną pętlę. Zatoczył pełny okrąg i gwiazdziste niebo nad kabiną ustąpiło miejsca lesistej dżungli, która znów przeszła w nieboskłon. Siła odśrodkowa przekraczająca kompensację bezwładności X-winga wcisnęła go głębiej w fotel.

Uśmiechnął się i wyrównał lot.

- Miło tak sobie wyskoczyć raz na jakiś czas, nawet kiedy nie jesteś w misji, co?

Piski R2-D2 dochodzące z komunikatora wypełniły kabinę, ale nie brzmiały szczególnie entuzjastycznie.

- Nie martw się, Artoo. Luke wróci. Nie ma takiego drugiego w całej galaktyce, który wiedziałby lepiej, jak przeżyć w trudnych warunkach, niż Luke Skywalker.

R2-D2 pisnął znowu, tym razem nieco różniejszym tonem. Komunikator odezwał się nagle głosem Tycha.

- Generale, zdaje się, że mamy alarm.
 - Słucham cię.
 - Mniej więcej przez ostatnie pół godziny na tablicach mieliśmy dziwny ruch. Nie-normalne odczyty tuż poza strefą bezpieczeństwa. Są coraz częstsze.
 - Co to jest, według ciebie?
 - Powiedziałbym, że wzięli się do roboty. Nadchodzą ze wszystkich stron.
 - Najwyższy czas. Uprzedź grupę Luke'a, żeby się przygotowali do odlotu. Wy-mkną się w ferworze bitwy. A ja już wracam. - Wedge zawrócił myśliwiec w kierunku budynku biotyki.

- Jesteś tego pewien? - Luke zmierzył Landa sceptycznym wzrokiem.
 Lando skinął głową i uśmiechnął się swobodnie.
 - Jasne. Co jakiś czas muszę przypomnieć wszechświatowi, jaki to ze mnie cholernie dobry pilot. Kiedy wokół są tacy jak Han, jego córka i ty, ludzie mają tendencję do zapominania.

Stali w strefie bezpieczeństwa przed „Rekordowym Czasem”, transportowcem wojskowym, który stanowił część pierwszej fali inwazji na powierzchnię planety.

Siedem tygodni temu „Rekordowy Czas” był antycznym statkiem towarowym pracowicie nabijającym lata do emerytury. Potem znalazł się w jednej misji bojowej, wylądował na Borleias i omal nie został rozwalony na kawałki. Teraz, po tygodniach napraw w miarę wolnego czasu garnizonowych mechaników, powłoka jego dwóch głównych części była tak nieregularnie pokryta łatanami, że wyglądała, jakby miała się zaraz rozsypać na parę części, a wrażenie to potęgowały jeszcze dwie belki wzmacniające przyspawane do wąskiego odcinka łączącego obie sekcje.

- Kogo próbujesz nabrać? - Luke spojrzał na niego sceptycznie. - Ty jesteś jednym z dwóch pilotów, którzy rozwalili drugą Gwiazdę Śmierci. Nie musisz niczego udowadniać.

Lando wzruszył ramionami i wygładził tunikę. Był to rdzawy kubrak z długimi rękawami, cudownie miękki w dotyku, a kosztował więcej niż jego zarobki w czasie chudych lat. Doskonale też pasował do kremowego, sięgającego bioder płaszczka. Chciał dobrze wyglądać na swoim pogrzebie... lub podczas triumfalnego powrotu na Borleias, cokolwiek się zdarzy.

- No dobrze, tu mnie masz, Luke. Chodzi o sztukę oszustwa. Ludzie słyszą o mnie, widzą co robię, i stale myślą, że ganiam za forszą. No pewnie, lubię bogactwo i to tak bardzo, że czasem jestem nawet gotów na nie uczciwie zapracować. - Wzdrygnął się z udawaną odrazą. - Ale to drugorzędna sprawa. Najważniejsze jest to, co ubarwia wszystko. Wziąć kogoś, kto myśli, że już cię ma, przeciągnąć go przez maszynę własnych umiejętności i wypluć obranego ze wszystkiego, ale wciąż przekonanego, że cię oszwałił... tak pewnego siebie, że wciąż jeszcze będzie chciał być dla ciebie miły, nawet hojny, a ty właśnie zrobiłeś coś wielkiego. - Wskazał na statek. Jak na zawołanie otworzył się jeden z luków w okolicy górnej części mostka, obok matrycy czujnikowej. Pokrywa odskoczyła, poturlała się po pochyłym kadłubie statku i spadła na durabeton z niegłośnym brzękiem.

- To jest właśnie sztuka oszustwa. Weźmiemy ze sobą tę kupę złomu, a Yuuzhanie będą przekonani, że to nasza ostatnia nadzieja. Wysadzą go i uznają, że to samo zrobili z naszymi nadziejami. Będą robić dokładnie to, czego od nich zażądamy... na tych kilka chwil staną się naszymi osobistymi sługami... gdyby o tym wiedzieli, to by ich zabiło. I nigdy się nie zorientują, jak bardzo nam pomogli. Chyba że zechcemy im powiedzieć. Ta świadomość jest słodsza niż najlepsze wino, Luke.

- Skoro tak twierdzisz. - Luke uważnie przyjrzał się części dziobowej, widocznie utrwalając sobie w pamięci, skąd spadła pokrywa, żeby ekipa naprawcza zdążyła ją umieścić na miejscu, zanim odlecą. - Kto będzie twoim drugim pilotem?

- Żadnego drugiego pilota. Tylko oficer ochrony. YVH Jeden-Jeden-A.

Luke zmarszczył brwi.

- Czy to niejeden z twoich robotów bojowych?

- Właśnie.

- Chcesz wykorzystać tę misję, żeby przetestować robota?

- Zgadza się.

- Niespecjalnie dobry pomysł. Lando wzruszył ramionami.

- Ja jestem kapitanem tego latającego wysypiska. Do mnie należy wybór. Wedge się zgodził.

- Dlaczego nieraz mi się wydaje, że jesteś równie stuknięty jak Han? - Luke sprawdził czas. - Lepiej zbiorę moją grupę. Mam jeszcze to i owo do spakowania.

- Będę tutaj. - Lando spojrzał w ślad za Lukiem.

Nie interesowały go próby terenowe robotów w trakcie takiej misji. Po prostu nie wierzył w możliwość ujęcia z życiem z tej operacji i nie chciał pociągnąć za sobą innej żywej istoty.

To były złe, czarne myśli. Oszukał Luke'a, nie przyznał się, po co zabiera ze sobą robota. Uśmiechnął się do siebie. Luke nie był już tym młodym, naiwnym człowiekiem, którego Lando poznał wiele lat temu. Oszukiwanie go ostatnio było znacznie trudniejsze. Cóż, tym większa przyjemność.

Podszedł do rampy wiodącej do ładowni, którą wiele dni temu zajmował razem ze swoimi robotami. Stał teraz daleko, z boku, żeby nie znaleźć się w zasięgu iskier tryskających z ładowni. Nie życzył sobie, aby cokolwiek zniszczyło mu tunikę.

Ładownia została podzielona na pół tymczasową przegrodą. W przedniej części, zawieszony na metalowej belce zamocowanej do sufitu, wisiał dwumiejscowy myśliwiec typu B, stary, lecz - jak go zapewniono - w całkiem dobrym stanie.

Tyłna część ładowni wypełniona była kamieniami. No nie, właściwie nie były to prawdziwe kamienie. Na kablach wisały kawały gruzu. Niektóre z nich stanowiły fragmenty skoczków koralowych. Martwych skoczków koralowych, upomniał się w duchu. Zostały one wydrążone przez ochotników, którzy następnie stwierdzili, że nigdy więcej nie wsiądą do organicznych stateczków. Teraz były to wyłącznie skorupy, a każda mogła pomieścić jednego lub dwóch członków ekipy Luke'a. W ładowni były jeszcze inne wraki, fragmenty statków Yuuzhan Vongów i Nowej Republiki, kawały permabetonu. Przyciśnięcie guzika na pulpicie Landa lub komunikatora, który będzie miał przy sobie Luke, spowoduje odrzucenie kabli i uruchomienie kompensatora bez-

władnościowego zamontowanego w przegrodzie naprzeciwko rampy, który wypchnie gruz i grupę desantową przez wyjście.

Iskry produkowali robotnicy wykonujący ostatnie prace spawalnicze przy przegrodzie. Lando skinął głową. Chciał, żeby przegroda była solidna. Nie życzył sobie, żeby ten gruz przeleciał przez niego i zniszczył mu B-winga.

Nie znał się na B-wingach tak, jakby tego chciał, ale pojazd powinien dowieźć jego i robota do domu -jeśli zdąży dotrzeć z mostka do ładowni. Jeśli nie, katapultuje się w kapsule ratunkowej. Potem zostanie schwytyany przez Yuuzhan. Schwytyany i torturowany.

Cóż, jeśli nie zdąży dotrzeć do B-winga, nie skorzysta z kapsuły ratunkowej. Poleci we wraku korwety aż do samej powierzchni Coruscant. I przez cały czas będzie wyglądał elegancko.

Lando stał już na mostku, kiedy na rampie wiodącej do lądowiska zjawiała się ekipa Luke'a. Był tam sam Luke, Mara, Tahiri, kilkoro z grupy Widm, których prawie nie znał -łysy, wysoki Devaronianin, jakiś chudy z bródką i surowo wyglądająca kobieta. I - ostateczna niespodzianka -Danni Quee.

Nie powinien się czuć taki zaskoczony. Powinien był wiedzieć, że uparta badaczka będzie nalegała, by wziąć udział w misji, która miała sprawdzić, co złego dzieje się na przeksztalcanej planecie Coruscant i dowiedzieć się o Yuuzhanach wszystkiego, co się da.

R2-D2 czekał na dole rampy. Lando wiedział, że Luke go nie zabiera i dlatego; mały robot astromechaniczny nie był dość sprawny, żeby wędrować po trudnym terenie, jaki spodziewała się napotkać grupa desantowa i z pewnością stałby się natychmiast ofiarą wściekłości Yuuzhan.

R2-D2 przechylił się do tyłu, jakby zadzierał głowę, patrząc na Luke'a. Lando potrafił sobie wyobrazić żalose popiskiwanie i melodyjne skargi robota. Luke przystanął na szczycie rampy, wciąż w zasięgu holokamery robota astromechanicznego, i zwrócił się w jego kierunku. Pożegnał go pojednawczym, uspokajającym gestem.

- Smutne trochę, co? - mruknął Lando.

- Smutne- zgodził się jego własny robot, YVH 1-1 A, zerkając znad czujników.

Nie wydawał się szczególnie wzruszony.

- Gotów na spotkanie niebezpieczeństwa?

- Tak jest- odparł YVH 1-1 A. - Oczywiście, że jestem gotów. Jestem zaprogramowany, żeby być gotów. Zawsze gotów. Nigdy nie mam problemów z niebezpieczeństwem.

Lando popatrzył na robota, lekko marszcząc brwi. Zdaje się, że android bojowy nabrał manier robota protokolarnego, pewnie od C-3 PO. Ale YVH 1-1A nie miał modułów lingwistycznych pozwalających na tworzenie takich konstrukcji. A, co tam. Będzie się czym martwić, jeśli wróca. Przerzucił wyłącznik komunikatora.

- Kontrola Borleias, tu „Rekordowy Czas”. Gotów do startu.

- Damy ci sygnał. Atak przewidywany za pół godziny.

- Hej, jakie mam szanse, żeby eksplodować przed wyjściem z atmosfery?

- Eee... mniej więcej jedna na sto, proszę pana.

- Stawiam tysiąc kredytów, że przeżyję co najmniej do orbity.

- Przyjmuję zakład, proszę pana. Stawiam dziesięć kredytów.

- Jak odbierzesz forszę, jeśli wygrasz?

Odpowiedziało mu milczenie. Lando wyszczerzył zęby do YVH 1 -1 A, ale robot tylko tępo gapił się na niego. Widocznie nie zrozumiał dowcipu.

Alarm poruszył budynek biotyki, tymczasowe doki zbudowane wokół niego i otaczającą wszystko strefę bezpieczeństwa. Piloci ruszyli po omacku do myśliwców. Kontrolerzy misji dopadli swoich stacji i zaczęli koordynować oddziały, którymi zarządzali.

Jaina popędziła do doku operacji specjalnych; zahamowała ostro, gdy na drodze stanął jej ogromny mężczyzna i zataczając się, ruszył dalej. Był młody, niebrzydki, ale niezgrabny, o zmierzwiionych włosach i oczach nabiegłych krwią; tak czerwonych oczu nie miewała żadna znana jej ludzka istota, nawet ojciec i Lando po najdzikszej pijanej nocy.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytała. Wielki mężczyzna pokręcił głową.

- Umieram - powiedział powoli, zbolałym głosem.

- Zdecydowanie potrzebujesz pomocy. - Wyjęła komunikator. Dookoła niej piloci i całe załogi wbiegali do doku, kierując się do swoich pojazdów zaparkowanych w strefie bezpieczeństwa.

- Jestem szpiegiem Yuuzhan Vongów i umieram. Miałem cię teraz porwać, przy użyciu zuków, które mam w kieszeniach i zanieść na skraj strefy bezpieczeństwa, ale tego nie zrobię.

- Dziękuję. - Jaina włączyła komunikator. - Dowódca Bliźniaczych Słońc do Kontroli. Jestem przed dokiem operacji specjalnych. Mam tu mężczyznę, cywila. On... eee... jest w stanie silnego pobudzenia nerwowego i wymaga natychmiastowej pomocy medycznej.

- Przyjęto, Bliźniacze Słońca.

- Wygrałem. - Wielki mężczyzna uśmiechnął się szeroko i głupekowato. Z nosa nagle pociekła mu krew, spływając do ust i kapiąc na podłogę. -Nie muszę robić tego, co mi każą. Mogą mnie najwyżej zabić.

- Oczywiście. - Okrążyła go ostrożnie. Niezależnie od jego stanu musi teraz dotrzeć do X-winga.

- Wyjąłem robaka z twojego X-winga - zawołał w ślad za nią. -Nie musisz się martwić!

- Nie będę! - obiecała i odwróciła się, żeby dogonić swoich pilotów.

Tam spoglądał w ślad za nią.

Wiedział, że mu nie uwierzyła. Wszyscy widzieli uchodźców z Coruscant w stanie głębokiego szoku psychicznego, a on pewnie wyglądał tak samo jak inni.

Długo się męczył, zanim zdołał przebrnąć przez tę myśl. Z każdym uderzeniem serca jego czaszkę przeszywał kolejny kolec bólu, sięgający w najgłębsze zakamarki

jego mózgu. Nie było już miejsca dla szarych komórek. Dlatego tak trudno było mu myśleć.

Najważniejsze, żeby przynajmniej kilka osób mu uwierzyło, żeby zdołał odwrócić wszystko to, co uczynił od czasu przybycia na Borleias.

Widział już biegnący w jego stronę personel medyczny. Nigdy nie zdoła wyznać im wszystkiego, nie zdąży, zanim ból pochłonie go całkowicie, zanim go zabije. Nie musi tego robić. Sięgnął do kieszeni. Prawą ręką wyjął galaretowaty pojemnik, wciąż do połowy wypełniony yuuzhańskimi owadami. Lewą wyciągnął kartę danych, tę, na której napisał: *Na wypadek mojej śmierci*.

I nagle stwierdził, że patrzy w niebo. Nie czuł, że upada. Położył pojemnik i kartę danych na swojej piersi, gdzie z pewnością je znajdują.

Niebo wypełniło się twarzami kobiet i mężczyzn, mówiących coś, czego nie rozumiał. Uśmiechnął się do nich krzepiąco. Może oni zdołają go ocalić. A jeśli nawet nie, to ważne, żeby wiedzieli, że nie ma do nich żalu, że nie żywi urazy.

Wciąż próbował ułożyć te myśli w słowa, które mógłby wypowiedzieć na głos, kiedy pochłonęła go ciemność.

Jaina wskoczyła do kabiny swojego myśliwca. Wciąż była trochę wstrząśnięta spotkaniem z szaleńcem, ale rozpoczęła procedurę startową. Jej robot astromechaniczny, szaro-biała jednostka R2 z ciemnoczerwonymi ozdobami, siedział już w swojej gondolce.

- Hej, ty - zawołała do niego. - Nigdy cię nie pytałam, jak się nazywasz.

Komunikator zaszczebiotał i Jaina spojrzała na wyświetlacz. NIE MAM IMIENIA. MOJE OZNACZENIE TO R2-B3.

- Nie masz imienia? To okropne. Nie możesz stać się sławny bez imienia. Chcesz mieć imię?

TO BYŁOBY MIŁE.

- Może Cappie? Na cześć mojego przyjaciela, pilota imieniem Capstan.

JESTEM CAPPIE.

- Doskonale, Cappie. Podaj mi odczyty silnika...

Jaina przeprowadziła procedury z normalną szybkością. Tym razem jednak nie spieszyła się z ich zakończeniem. Wiedziała, że Jag skończy przed nią, nie musiała zaglądać do jego kabiny, żeby mieć potwierdzenie. Ale i tak spojrzała, kiedy sama skończyła. Zobaczyła go siedzącego w fotelu pilota, całkowicie zrelaksowanego. Uśmiechnęła się i podniosła kciuk.

Zdjął hełm i uśmiechnął się także. Był to właściwie półuśmiezek, uniesiony na chwilę lewy kącik ust, ale miał krzepiącą moc i był tylko dla niej. A potem znów włożył hełm i stał się jeszcze jednym anonimowym pilotem.

Z wrażenia coś jej zatrzepotało w żołądku. Musisz pamiętać, powiedziała sobie, że choć został wychowany pośród Chissów, wciąż pozostaje Korelianinem z krwi i kości...

Kyp Durrone, stojący o kilka metrów dalej, również zauważył tę wymianę spojrzeń. Odwrócił wzrok i skoncentrował się na odczytach systemów diagnostycznych.

Od czasu Hapes Jaina trzymała go na odległość. Wszystkich trzymała na odległość. A teraz okazało się, że Jag Fel ominął tę tarczę.

No i co z tego? - zadawał sobie pytanie. Pokazać mu, kto tu rządzi? Pozwolić, aby jej zainteresowanie dla niego samo się wypaliło, a potem znaleźć się pod ręką, kiedy będzie potrzebowała przyjaciela, żeby mu się wypłakać w rękaw? Wolałby nie lubić Jaga. Wtedy wszystko byłoby łatwiejsze.

W głowie pojawiła mu się kolejna myśl. Może powinieneś zastanowić się sam, czym ona jest dla ciebie, zanim podejmiesz jakiegokolwiek wiążące decyzje?

Skrzywił się lekko. Taka analiza wymagała większej uczciwości, niż miał ochotę okazać przed sobą. Wiedział przecież, że nie jest zakochany w Jainie. Po prostu lubił z nią przebywać.

Była inteligentna, utalentowana, dzielna, ładna. Silna Mocą. Ważna dla Nowej Republiki. Mógł ją uszczęśliwić.

Ale dlaczego miałby tego pragnąć? Chyba tylko dlatego, że ona po prostu nie była szczęśliwa, a jej ból, który wyczuwał poprzez Moc za każdym razem, kiedy się łączyli, był dla niego wyzwaniem. Nawet kiedy sama przed sobą udawała, że może go odsunąć, nie dopuszczając do siebie reszty wszechświata.

Ale przecież był nią zainteresowany jeszcze przed odejściem Anakina i Jacena. Więc dlaczego?

Może to przez Hana. Tak wiele mu zawdzięczał od dnia, kiedy wiele lat temu spotkali się po raz pierwszy, a Han zaofiarował mu pomoc, żeby wyciągnąć go z tego mrocznego miejsca, w którym się znalazł, kiedy niszczył całe światy. Gdyby nie Han, mógłby już nie żyć. Uszczęśliwić Jainę, uszczęśliwić Hana... To takie proste.

Poza tym przecież już spłacił dług, a przynajmniej jego część. Pomógł Jainie wrócić z drogi, którą ruszyła w kierunku Ciemnej Strony... I dalej będzie jej pomagał, zawsze, kiedy będzie go potrzebować.

- „Bliźniacze Słońca Dwa"... - Przesadnie słodki głos Jaina wyrwał Kypa z rozmarzenia.

- Tak?

- Proszę o status. Wszystkie inne Bliźniacze Słoneczka są gotowe do drogi.

- Och. Zaraz... ja... - Szybko przebiegł wzrokiem odczyty. Zakończył procedurę automatycznie, jak na autopilocie i nawet tego nie zauważył. - Gotów do lotu. Przepraszam, o Wielka.

- Start za dziesięć, dziewięć, osiem...

Kyp uśmiechnął się smutno. To tyle, jeśli chodzi o zachowanie mistrza Jedi.

ROZDZIAŁ

16

Okupacja Borleias, dzień czterdziesty ósmy

- Wszystkie eskadry operacji specjalnych wystartowały - przekrzykiwała Iella hasła panujący w centrum dowodzenia.
- Mamy kontakt - zameldował Tycho. - Yuuzhańskie statki bojowe zbliżają się do Borleias z drugiej strony planety.
- Komandor Davip prosi o zezwolenie na wyprowadzenie „Lusankyi” z geosynchronicznej i zaatakowanie Yuuzhan, zanim jeszcze dotrą do naszej lokalizacji.
- Według uśmiechnął się ciepło.
- Oczywiście, rwie się do walki. Powiedz, że nie. Przekaż mu szczegóły operacji „Młot Imperatora”.

Yuuzhański światostatek, orbita Pyrii

- Nie wysyłają reszty swoich sił na orbitę - powiedział do villipa Czulkang Lah. - Ich statki na orbicie wysyłają eskadry małych myśliwców w dół atmosfery.
- Villip o twarzy jego syna odparł:
- To znaczy, że wiedzą o zbliżaniu się twoich sił naziemnych.
- Zgadza się. Nie udało nam się zniszczyć wszystkich czujników i nie dali się oszukać.
- Nie będę ci niczego radził. Jesteś Czulkang Lah. Zniszczysz ich pomimo gotowości.
- Czulkang Lah milczał. Uczciwa odpowiedź - że według jego szacunków niewierni mają w zanadru jeszcze niejedną sztuczkę dla sił Yuuzhan Vongów i że może dzisiaj nie zwyciężyć - tylko by wprawiła wojennego mistrza w zakłopotanie.
- Po kilku minutach niezręcznego milczenia Tsavong Lah dodał:
- Dobrej walki.
- Villip odwrócił się na drugą stronę.

Eskadra Bliźniaczych Słońc zajęła pozycję o kilka kilometrów na północ od budynku biotyki, dość wysoko, by pociski Yuuzhan wystrzeliwane z ziemi potrzebowały co najmniej kilku sekund, zanim do nich dotrą. Jej piloci - znów w liczbie dwunastu, odkad Pastav Rone został wypuszczony ze zbiornika bacty - czekali.

Dzicy Rycerze sformowali się na wschodzie, Eskadra Czarnego Księżyca na zachodzie, a Łotry na południu. Inne eskadry z niszczycieli gwiazdnych właśnie nadlatywały, żeby wypełnić szczeliny w kręgu defensywy.

Jaina pilot nie lubiła czekania. Potrząsnęła głową i stała się Jainą Jedi, dla której cierpliwość była sposobem na życie.

Jednak nawet jako Jedi nie potrafiła pozbyć się pewnej drażącej myśli.

Lęk, o którym rozmawiała z Leią, powrócił. Kontrolowała go, ale wciąż był przy niej. Wraz z nim przyszła troska - o Jaga, o Kypa, o innych pilotów, jej przyjaciół, nawet o Cappiego.

Czuła go teraz wyraźnie. Podejrzewała, że jest z nią od powrotu z Hapes, ale zbudowała wokół siebie warstwę izolacyjną która utrzymywała go na dystans, tłumiała. Teraz izolacja znikła.

Dziwne, ale strach już jej nie przeszkadzał. Tam, gdzie spędziła ostatnich kilka tygodni, nie była chyba całkiem żywa, całkiem obecna. Teraz było inaczej. Troską strach, ból, jakie czuła mówiły jednocześnie, że jest pośród żywych, pośród swoich, że jest częścią wszystkiego, na czym jej zależy. Można by je nazwać uczuciami negatywnymi, ale w tej chwili stanowiły dla niej tylko miłe przypomnienie, kim jest i jak ważne jest to, co robi.

Myśl ją podtrzymywała. Przypomniało jej się wszystko, co słyszała o Yuuzhanach, których pożądanie fizycznego bólu wydawało się tak obce i niezwykle. Nagle prawie je zrozumiała. Ból stanowił dla nich dowód tego, że żyją.

- W porządku - powiedziała sobie. - Chcecie dowodów, to je dostaniecie.

Komunikator odezwał się głosem głównego kontrolera:

- Skoczki koralowe docierają właśnie do punktu geosynchronicznego. Eskadry z „Lusankyi” i „Snu Rebelianta” wchodzą do walki.

Palce Jaina drgnęły. Musiała być tam, gdzie się rozgrywała walka. Znów była Jainą pilotem.

Zmusiła się do czekania. Wiedziała, że to nie potrwa długo.

- Nieprzyjaciel wszedł w zachodni kwadrant.

Kapitanowi Rethowi nie trzeba było tego mówić. Dwa kilometry przed jego oddziałem E-wingów nad czubkami drzew kołysały się dwa szerokie grzbiety rakamatów, gigantycznych gadów, które Yuuzhanie wykorzystywali jako naziemne pojazdy bojowe i transportowce piechoty.

Reth włączył komunikator.

- Tu dowódca Czarnych Księżyców. Mamy ich. - Przełączył się na częstotliwość eskadry. - „Czarny Księżyc Dwa” do „Osium”, ze mną wykonamy parę lotów kontrolnych i zobaczymy, co będzie dalej. „Dziewięć” i „Dziesięć”, ustawcie na ich drodze zapórę ogniową i rozciągnijcie ją dookoła.

Piloci potwierdzili przyjęcie rozkazów kliknięciami. Żadnych niepotrzebnych rozmów. To mu się podobało. Włączył silniki i zaczął zasypywać nieprzyjacielskie oddziały ogniem z potrojnych laserów.

Jaina ostrzeliwała pierwszego z rakamatów zbliżających się do jej pozycji. Były trzy, z odległości dwóch czy trzech kilometrów widać było tylko ich najeżone kolcami grzbiety.

Kyp i Jag zaczęli wspomagać ją swoimi laserami. Tak samo rozgrywał' ostrzał innych rakamatów pozostałe trójki eskadry Bliźniaczych Słońc. Jaina przyspieszyła w kierunku oddziałów wroga, jej piloci podążali tuż za nią.

- Więcej pustek niż zwykle - zauważył Jag. - Te rakamaty są lepiej uzbrojone.

Przelecieli nad formacją rakamatów; wszyscy piloci Bliźniaczych Słońc zatoczyli krąg i podeszli do kolejnego ostrzału. Z ziemi od razu zasypał ich deszcz pocisków plazmowych, wystrzeliwanych zarówno z samych zwierząt, jak i wokół nich. Na początku strzały miały duży rozrzut, lecz szybko zaczęły zbliżać się do celu.

- Mają skoczki koralowe na ziemi - zauważył Prosiak, niepotrzebnie zresztą. - Korzystają z dżungli, żeby pochłaniać energię ostrzału i zamaskować swoje prawdziwe położenie.

Jaina zawiesiła myśliwiec na prawych bocznych płatach i odbiła od kursu akurat na czas, żeby uniknąć strumienia plazmowych brył.

- Co radzisz?

- Róbcie to, co robicie... albo to, co robią oni.

- Hmm... interesujące. Prosiaku, przejmij dowodzenie eskadry. Kontynuujcie ataki z powietrza. Jag i Kyp, za mną.

Skręciła, oddalając się od strefy walki i zawróciła w kierunku budynku biotyki.

- Niech to będzie szybko, komandorze. - Twarz Wedge'a wypełniała obszar hologramu w prywatnym pomieszczeniu łączności komandora Davipa. - Jesteśmy tu jakby trochę zajęci.

- Sir, ta operacja „Młot Imperatora”...

- Ma pan z nią jakieś problemy?

- Nie chodzi o sam plan. Jest... interesujący. Potencjalnie bardzo efektywny. Ale...

- Davip zebrał się wreszcie na odwagę. - Generale, nie ufam mojej załodze na tyle, żeby wiedzieć, że wykona to z wymaganą precyzją. Czegoś takiego nie robiliśmy od dwudziestu lat! Dowodzę głównie ofermami, a ten fakt może pana kosztować życie.

Wedge skinął głową z widocznym współczuciem.

- Ofermy... Rozumiem. Byłem tam.

- Nie wiem, jak dowództwo zebrało tę niewiarygodną bandę niedorajdów...

- A ja wiem. Chodziło o to, żeby tu zginęli i uwolnili Flotę Nowej Republiki od oficerów i załogi, którzy sprawiali najwięcej problemów. Z panem łącznie. Ze mną łącznie. - Wedge wrzucił ramionami. - Podtrzymuję rozkazy, komandorze. Może pan albo wymyślić, jak zmusić załogę do działania, i w ten sposób zyskamy szansę na przeżycie, albo nie, a wtedy zginie. A teraz proszę posłuchać. Dowodzenie „Lusan-

kyą" nie jest już paszportem do awansu. To bilet do zapomnienia i wcześniejszej emerytury i zasłuży pan na niego, jeśli nie nauczy się pan myśleć poza kanonami szkolenia. „Lusankya" jest pańskim ostatnim statkiem, Davip, jeśli nie wykona pan dzisiaj tego zadania. Jeszcze jakieś pytania?

Davip potrząsnął głową, nie ukrywając złołej miny.

- Nie, generale.

- Antilles wyłącza się. - Hologram generała rozpląnął się w nicości.

Davip wyszedł z sali i wrócił na mostek „Lusankyi", na zawieszony nad nim podest i popatrzył na tłumek oficerów i techników na stanowiskach.

Z podestu przez przednie iluminatory rozciągał się zapierający dech w piersi widok na bitwę skoczków koralowych z myśliwcami, która miała miejsce tuż poza zasięgiem ognia gwiazdowego niszczyciela. Sama powierzchnia podestu była zdumiewająco czysta i biała.

Dokładnie tak, jak umysł Davipa w tej chwili. Zawsze mu się podobały rzeczy czyste i surowe.

Może o to chodziło. Może właśnie potrzebował brudu, bałaganu, zamieszania i niejasności...

Wezwał głównego oficera artylerii.

- Przekaż dowodzenie jednej z baterii turbolaserów przewidzianej do akcji „Młot Imperatora" do mojego stanowiska. Niech to będzie ta, która podlega artylerzyście z najgorszym ogólnym wynikiem symulacji.

- Tak jest.

Kilku oficerów, których bieżące zadania nie wymagały całkowitego zaangażowania, spojrzęło na niego z wyraźnym zakłopotaniem. Przyszło mu do głowy, że chyba zrobił coś, co wykraczało poza wojskowe obyczaje. Wydał rozkaz, który nie miał wyraźnego i jednoznacznego sensu.

Zwrócił się do oficera łącznościowego.

- Otwórz linię do stacji artyleryjskich przewidzianych do akcji „Młot Imperatora". Chcę z nimi rozmawiać. - Wyjął komunikator.

- Tak jest, komandorze. - Oficer wystukał szybko jakieś polecenie i skinął głową.

- Tu komandor Davip. Przejmuję osobiste prowadzenie jednej ze stacji laserowych w akcji „Młot Imperatora". W czasie tej operacji każdy strzelec, którego wynik będzie gorszy od mojego, ma przechlapane. Zostanie przeniesiony na powierzchnię planety zaraz po zakończeniu bitwy i włączony do ekip sprzątających trupy na cały okres pozostawania w systemie. I nie będzie żadnych przeniesień. To wszystko. - Skinął głową łącznościowcowi na znak, że skończył.

Teraz już wszyscy oficerowie gapili się na niego tępo, jakby nagle zdali sobie sprawę, że rozkazy wydaje im gadający bantha w mundurze dowódcy.

Uśmiechnął się do nich promiennie. Gdyby wcześniej wiedział, ile satysfakcji może dać szokowanie podwładnych, zacząłby to robić wiele lat temu.

X-wingi Jaina i Kypa zaczęły się tuż nad podłożem dżungli. Stali pionowo, unoszeni na repulsorach, które, zmuszane do nietypowej pracy przy locie bocznym nad powierzchnią planety, wyły żałośnie. Dzioby myśliwców miażdżyły i łamały gałęzie i

paprociowate rośliny - Jaina pomyślała, że niezbyt dyskretnie im to wychodzi, ale przynajmniej są niewidoczni z powietrza.

Szponostatku Jaga stąd nie widzieli; czujniki mówiły, że znajduje się około dwustu metrów przed nimi i powoli zwiększa prowadzenie. Bardziej zwarty kadłub szponostatku lepiej nadawał się do przemieszczania w tym otoczeniu, bez ryzyka wplątania się w gęste listowie.

Wraz z myśliwcem Jaga, zawieszony najwyżej o cztery metry za jego ogonem leciały dwie ciemne bomby, uzbrojone i poruszane jedynie Mocą. Jaina była złana potem, bo musiała dzielić uwagę pomiędzy nietypowy lot a sterowanie bombą. Znowu pozazdrościła Kypowi swobodnego manipulowania wszelkimi przejawami Mocy.

Wszelkimi przejawami, ale nie jego własnymi pobudkami i czynami, oczywiście.

- Usiadłem w jakichś gęstych zaroślach tuż nad brzegiem rzeki - zameldował Jag. - Coś w rodzaju przesieki. Mam całkiem niezłą widoczność. Jeśli chcecie, możecie położyć bomby obok mnie. Tylko ostrożnie.

Jaina zrobiła to natychmiast, wdzięczna za ulgę.

- Jak ci się zdaje, jak blisko jesteś?

- Dość blisko. Patrzę wprost na nich. Około dwudziestu metrów z przodu, trochę na prawo. Dwie grupy reptoidalnych niewolników eskortują skoczki koralowe. Skoczki unoszą się około metra nad ziemią. Ich pustki nie są widoczne... podejrzewam, że skierowali je w stronę rakamatów, żeby je zasilać. Widzę tylko pięć skoczków, ale szyk sugeruje, że jest ich znacznie więcej... Czekajcie. - Milczał przez chwilę. - Drgania powłoki sugerują, że kieruje się w tę stronę jeden lub więcej rakamatów. Chyba namierzylimy ich dość dokładnie... - Rozległ się głośny huk i krótki śmiech Jaga. - Jeden z naszych właśnie trafił w drzewo.

- Uważaj, żeby cię nie trafili, kiedy nie masz tarcz, łamago.

- A wiesz, że to niezły pomysł? Nigdy wcześniej nie przyszedł mi do głowy. Zaczekaj no chwilę...

- Co jest?

- Widzę rakamata... chyba w zasięgu. Spora sztuka, zwała po drodze całe drzewa. No to kto pierwszy?

- Ja - wyrwał się Kyp.

- Dobra, podnieś ciemną bombę, przesun ją dziesięć metrów do przodu i opuszczaj powolutku... widzę bombę... Doskonale... Jeszcze naprzód, baaaardzo powoli... trochę na prawo... nie, mówiłem „trochę”... Stop! Cofnij o metr i troszkę w prawo.

- To się nigdy nie uda - westchnął Kyp. - Nie wyczuwam wszystkich roślin tak dokładnie, jakbym je widział. Nie potrafię wymijać różnych rzeczy.

- Ależ potrafisz - odparła Jaina. - Możesz kierować ruchami bomby za pomocą ręki?

- No pewnie, ale nic z tego nie będzie, jeśli jej nie zobaczą... Jaina uśmiechnęła się.

- Kyp, podporządkuj swoje układy sterowania Jagowi.

- W porządku... gotowe. Co teraz?

- Jag, wykorzystuj swój dźwazek sterowy jak joystick w grze. Kieruj ruchami bomby. Kyp, trzymaj rękę na dźwazku i odbieraj zwrotne informacje o jego położeniu... i kontroluj położenie bomby ruchami ręki.

- Hej! - Kyp był wyraźnie wstrząśnięty. - W porządku, wchodzę do gry.

- Miło, że jesteś taki chętny - odparł Jag. - Nie ty siedzisz o kilka metrów od uzbrojonej torpedy protonowej kierowanej przez ślepego faceta za pomocą sprzężenia zwrotnego. Proszę, już tu jest.

Jaina posadziła myśliwiec na podwoziu i splótła palce.

- Hej, to działa - zawołał Jag. - Sterowanie ma luzy, ale i tak jest lepsze niż słowne. Minąłem drzewa... zniżam się do paru centymetrów nad ziemią... Dobrze, Kyp, zgrywamy się... Naprzód, bardzo powoli... zatrzymaj tutaj, połóż. Dobrze. Widzę teraz całego rakamata, za nim idzie drugi... nieco na lewo. Pierwszy jest o trzydzieści metrów, drugi ze dwadzieścia metrów za nim, tak jak ja to widzę.

- Naprzód i bierz drugą bombę - poleciła Jaina Kypowi.

Reth poprowadził swoją eskadrę do kolejnego nalotu i zaklął. Stracił w poprzednim nalocie dwa statki, jeden w czystym zestrzeleniu, drugi z poważnym uszkodzeniem silnika pokuśtykał z powrotem do bazy. Zostało osiem. Siły naziemne Yuuzhan Vongów kierowały się w stronę zapory ogniowej; reptoidalni żołnierze, skoczki koralowe i rakamaty były wystawione na strzały, ale wysały je bezkarnie. A teraz skoczki właśnie podnosiły się na pozycje do ataku...

Dużo ich było. Dziesiątki skoczków koralowych. Setki lub tysiące gadowatych. I rakamat. Jedna eskadra E-wingów nie wystarczy, żeby ich chociaż uszkodzić.

Przełączył się na częstotliwość dowodzenia.

- Kontrola, tu dowódca Czarnego Księżyca. Znajdujemy się przed przeważającymi siłami wroga i potrzebujemy posiłków.

Odpowiedział mu głos należący do Ielli Wessiri.

- Dowódco Czarnego Księżyca, tu Kontrola. Wszystkie siły naziemne związane. Przejdź do defensywy i kieruj się do odwrotu w naszą stronę.

- Rozumiem, Kontrola. - Reth zacisnął zęby. To nie mogło się po prostu dobrze skończyć. Jeszcze jedna Hoth, jeszcze jedna Dantooine, gdzie nie mieli nawet możliwości policzyć zabitych.

Jag beznamiętnie spojrział na reptoida, który właśnie wszedł w zasięg widoczności iluminatora. Reptoid wytrzeszczył na niego oczy; pysk miał otwarty, co mogło oznaczać albo gniew, albo zaskoczenie. Teraz rozejrzył się, żeby ocenić wielkość szponostatku.

- Szacuję na jakieś dziesięć sekund, zanim Yuuzhanie zorientują się, że tu jestem.

- No to zabieraj się stamtąd. Wracaj do nas.

- Jeszcze nie. Minie ponad dziesięć sekund, zanim rakamaty znajdą się w odpowiednich pozycjach. Musimy to dokładnie zsynchronizować.

- Mowy nie ma, wracaj natychmiast. Ufasz mi?

- Nieładnie zwalczać mnie moją własną bronią.

Reptoid jakby wpadł w amok; wrzeszczał coś w kierunku nadlatującego szeregu skoczków koralowych. Jag włączył tarcze, usłyszał i wyczuł pomruk silników sygnalizujący zwiększone zużycie paliwa. Przetoczył statek w tył jak kulę, obracając go wokół osi wzdłużnej tak, że zakończył obrót skierowany w drugą stronę i prawą burtą w górę, po czym zduł silniki.

Jego niedawna kryjówka rozbłysła eksplozją pocisku plazmowego. Otaczające go drzewa zadrżały, pękając i trzaskając jak zapałki, kiedy skoczki koralowe rozpoczęły lowy.

Jaina dryfowała powoli, pozostając w luźnym kontakcie z innymi formami życia.

Czuła ich, całą zbiorowość; co chwila napływała kolejna grupa, każda o kilka metrów za poprzednią, i emanowała sekundą lub dwiema sekundami strachu na widok świata, który się rozpadał wokół nich.

Były to owady, jaszczurki, inne zwierzęta z Borleias. Jaina była pewna, że wyczuwa ich lęk, kiedy gigantyczne stopy rakamata z każdym krokiem wprawiały w drgania grunt pod ich nogami.

Czuła również, lecz już inną częścią więzi Mocy ciemną bombę, którą sterowała.

Oba odczucia zbliżały się do siebie coraz bardziej.

Poczuła dotknięcie Kypa. Jego obiekt znajdował się dokładnie na ciemnej bombie.

- Czekaj - poleciła.

Bliżej, bliżej, aż były prawie razem...

- Teraz - powiedziała i odpaliła bombę. Otworzyła oczy.

W dali niebo rozjaśniło się ogniem - wybuch wyrzucił w górę tony spalonego mięsa które do niedawna były rakamatami. Fala uderzeniowa rozprzestrzeniająca się od punktu eksplozji zdarła liście z bliższych drzew i przygięła dalsze, lecz w miejscu, gdzie stali Jaina i Kyp, była już tylko leniwym pomrukiem i drżeniem ziemi.

- Doskonale, Bliźniaki - zawołała. - Wracamy i zajmiemy się ostatnim szeregiem oraz ogonem Jaga.

- Bliźniacze Słońca, tu Kontrola- odezwał się głos Wedge'a. -Brak zezwolenia. Brak zezwolenia. Wracać do bazy. Wracać do bazy.

- Wracać do bazy, zrozumiałam. - Jaina walczyła ze sobą a po chwili przybrała najbardziej władczy ton, na jaki było ją stać. - Chcemy wiedzieć, po co wzywacie nas do bazy, skoro zwyciężamy.

- Powstrzymujecie postęp sił Yuuzhan Vongów.

W jednej chwili zapomniała o swoim boskim dostojeniu.

- Jak to? Przecież chyba właśnie to mieliśmy robić? Wedge tylko się roześmiał.

- Bogini, jak zwykle wszystko robisz aż za dobrze.

ROZDZIAŁ

17

System Coruscant

„Rekordowy Czas" wyskoczył z nadprzestrzeni w pobliżu Coruscant, dość blisko, aby planeta wypełniła większą część jego przednich iluminatorów.

Lando natychmiast rozpoczął nadawanie.

- „Komórka Ocalałych Trzydzieści Osiem", tu „Odsiecz Dwa". Zbliżamy się i jesteście gotowi do przejścia. Przygotujcie się w Strefie Docelowej A-Dziewiętnaście. Odbiór.

Nie było odpowiedzi. Oczywiście, że nie. Nie ma czegoś takiego, jak „Komórka Ocalałych Trzydzieści Osiem". Ani strefy docelowej A-Dziewiętnaście. Nikt nie monitorował tego pasma częstotliwości.

- Czujniki pokazują zbliżający się odpowiednik fregaty - oznajmił YVH 1-1 A.

- Podnieść tarcze. Rozpocząć ostrzał. - Lando wykreślił korektę kursu, która przemieściła ich dalej od Yuuzhańskiego statku w tym obszarze, kursu, który teoretycznie powinien zaprowadzić ich do skraju atmosfery Coruscant. Sprawdził liczby i skrzywił się lekko. Nadlatująca fregata dopadnie ich, zanim zdążą dotrzeć na pozycję. „Rekordowy Czas" chyba trochę oberwie.

Włączył komunikator jeszcze raz.

- „Komórka Ocalałych Trzydzieści Osiem", tu „Odsiecz Dwa". Dlaczego nie odpowiadacie? Dlaczego nie odpowiadacie? - Wyłączył komunikator i wyszczerzył zęby do robota. -No i jak ci się podobało?

Jeden-jeden A rozpoczął ostrzał, ale skrupulatnie wycelowane serie z turbolaserów statku były zbyt odległe, żeby odnieść jakiegokolwiek skutku.

- Analiza poziomu stresu przesłanych przez ciebie informacji sugeruje dużą aktywność emocjonalną. Z perspektywy schematu poszukiwań i odsieczy krzycałeś jak wysoce uczuciowy cywil - powiedział robot.

- Świetnie. A co z powtórką? Zbyt trywialne czy też może być, jak dla ciebie?

- To wykracza poza zakres mojego oprogramowania. - Jeden-jeden A strzelał dalej. - Ta fregata wyrzuca skoczki. Jednego zestrzeliłem.

- Proponuję, żebyś zestrzelił drugiego.

- Zestrzeliłem drugiego.
 - Proponuję, żebyś zestrzelił trzeciego.
 - Jeśli wolno spytać, wydajesz rozkazy podwładnemu, czy się wygłupiasz moim kosztem?

- Wygłupiam się, Jeden-Jeden A. Wszystko dla jaj.
 - Zestrzeliłem trzeciego.
 - Proponuję...
 - Zestrzeliłem czwartego.

Luke czekał w ciemnościach ładowni.

Do stóp miał przypiętą jednostkę desantową którą dostał od Widm. Jej spód przymocowany był klejem do kapsuły desantowej - kawałka skoczka koralowego, dzięki twórczemu zastosowaniu farby i durabetonu przerobionego na obłe jajo. Właz był zabity na głucho.

Miał na sobie zbroję w stylu yuuzhańskim, ale niejeden z prawdziwych kompletów zbroi z kraba vonduun, tylko elegancką podróbkę. Uznał za niewłaściwe, żeby facet z mechaniczną ręką i aż nadto użytecznym mieczem świetlnym korzystał z autentyku; przypuszczał, że będzie musiał zbyt często i zbyt szybko wyskakiwać z przebrania.

Na zbroję włożył kombinezon kosmiczny, wielki pękaty antyk, za którym nikt nie będzie tęsknił, nawet gdyby się podarł przy lądowaniu.

Sięgnął zmysłami w kierunku Mary; wyczuł ją poprzez Moc, wyczuł jej żywą obecność. Odpowiedziała mu podobnym dotknięciem -nieco nieobecnym; wiedział, że jej myśli błądzą gdzie indziej, wokół ich misji i dziecka.

W głośnikach hełmu rozległ się głos Landa:

- Wchodzimy w zasięg. - Statek zadygotał, a wraz z nim wszystko, co się znajdowało w ładowni. - Przepraszam za to. Mały plazmowy farfocel.

Teraz odezwał się robot:

- Zestrzeliłem szóstego - powiedział, po czym Lando wtrącił znowu:
 - Odrzućcie kable, dobrze? Uhm... za jakąś minutkę wejdziemy w manewr boczny i wysypimy was. Jeśli znajdziecie się w próżni wcześniej, lećcie beze mnie.
 - Zestrzeliłem siódmego.
 - Mówiłem ci...
 - Uczę się, jak się wygłupiać twoim kosztem.

Lando włożył hełm. Jego elegancka tunika i płaszcz skrywały zwyczajny strój pilota. Sprawdził wszystkie połączenia, żeby w razie utraty ciśnienia natychmiast je uszczelnić. Kawałek plazmy wypalił już dziurkę w transpastali przedniego iluminatora i powietrze uchodziło przez nią ze świstem.

„Rekordowy Czas” raz za razem dygotał pod ostrzałem. Większość szkód dosięgła tylnej części - były to pociski plazmowe wystrzelwane przez ścigające ich dwa skoczki i nieco wolniejszą fregatę, ledwie spowolnione przez osłabione tarcze. Z przodu zasypywał ich plazmą tylko jeden skoczek.

Ale byli już prawie na miejscu. Lando włączył mikrofon hełmu.

- Podchodzimy do strefy zrzutu. Piętnaście sekund. Nie będzie odliczania. Kiedy się znajdziemy na miejscu, po prostu was wyrzucę.

- Niech Moc będzie z tobą Lando.

- A z tobą szczęście, Luke. - Lando wyłączył komunikator i zajął się sterami.

Trudna sprawa. Wprowadził niezgrabny, rozpadający się frachtowiec w wolny zwrot w lewo, ustawiając prawą burtę tak, aby patrzyła na słoneczną stronę planety.

- Szykuj się, Jeden-Jeden A - powiedział i pchnął świeżo zainstalowany przełącznik z napisem START.

Kompensator bezwładnościowy statku dał kopa. Lando mocno chwycił się poręczy, a mimo to rzuciło nim w prawo. Poczł, jak cokol, do którego przykręcony był jego fotel, zatrzeszczał pod nagłym obciążeniem.

Teraz powinny eksplodować ładunki przymocowane do zewnętrznej powłoki statku. Nie były to mocne ładunki, miały akurat tyle siły, żeby wyrzucać żużel i gęsty dym we wszystkich kierunkach. Z daleka miało to wyglądać tak, jakby „Rekordowy Czas” doznał serii wewnętrznych eksplozji.

Dym i żużel ukrywały drzwi ładowni na prawej burcie, które powinny teraz odpaść na skutek utraty ciężenia i gwałtowności manewru. Lando stwierdził, że według czujników na tablicy drzwi są otwarte, że ciśnienie atmosferyczne zbliża się do zera, a jego własny tymczasowy kompensator bezwładnościowy też już się włączył.

Wyjrzał przez prawy iluminator. Chmura szczątków dryfowała z wolna za frachtowcem, kierując się wprost ku majaczącej w oddali powierzchni Coruscant.

Włączył znowu mikrofon w hełmie.

- „Komórka Ocalałych Trzydzieści Osiem”, to ostatnia transmisja „Odsiecz Dwa”. Szkoda, że nam się nie udało do was dotrzeć. Może następnym razem będziecie mieć więcej szczęścia.

Wiedział, że ten komunikat zostanie przejęty przez statek zwiadowczy Nowej Republiki na skraju systemu i przekazany do Wedge'a Antillesa. Miał oznaczać, że Luke wraz z całą grupą bezpiecznie opuścił frachtowiec.

Obejrzał się na 1-1 A.

- W porządku, zjeż...

Plazmowy pocisk, wystrzelony przez odpowiednik fregaty, uderzył w środek przęsła łączącego obie części „Rekordowego Czasu”. Statek zadygotał, przeszło pękło, a drgania rozprzestrzeniły się po całym kadłubie. Tym razem podest fotela Landa pękł, wyrzucając go w powietrze. Przy wyłączonej sztucznej grawitacji statku wciąż przypięty pasami Lando poszybował w kierunku sufitu, odbił się od niego, podskoczył i zaczął dryfować w kierunku dziury wielkości pięści w przednim iluminatorze.

- Och, to mi się faktycznie zaczyna podobać - mruknął.

Luke poczuł nagłą nieważkość i równie nagle przyspieszenie. Został wyrzucony z ładowni i miał nadzieję, że zdąży w kierunku planety.

Sprawdził odczyty czujników przyklejonych do powierzchni kapsuły tuż przed jego nosem. Pokazywały kurs prawidłowy, liczbę prawidłową, cały oddział wciąż był w komplecie. Tymczasem uaktywnił się kompensator bezwładnościowy u jego stóp, ob-

racając go tak, żeby spadał na powierzchnię planety stopami do przodu. Drobne uderzenia repulsorów miały go utrzymywać w pobliżu pozostałych.

Potrząsnął głową z niezadowoleniem. Nie lubił siedzieć w małych pojazdach, kiedy nie miał w rękę sterów. A to, w czym siedział teraz, tylko z dużą dozą dobrej woli można było w ogóle nazwać pojazdem.

Lando zdołał się odpiąć z fotela i odepchnąć od iluminatora. Ruch ten posłał go w drugą stronę, ale jednocześnie spowodował pojawienie się siateczki pęknięć w miejscu, gdzie uderzył obcasem. Pęknięcia dotarły już do dziury po plazmie i wędrowały we wszystkich kierunkach.

Jeden-Jeden A odbił się z fotela po trajektorii, która pozwoliła mu wyminąć Landa i skierować się do drzwi wyjściowych. Po drodze złapał Landa w tali, co nawet nie spowodowało większego odchylenia kierunku lotu, i usadowił się w zagłębieniu framugi. Zamocował stopy w dnie zagłębienia i wolną ręką rozwalil metalowe drzwi.

Powietrze z sykiem wdarło się do pomieszczenia, wlokąc za sobą Landa. Robot spokojnie przedostał się przez zrujnowane przejście do leżącego za nim korytarza.

- Dobra robota - mruknął Lando.

- Znowu się wygłupiasz, czy to miał być komplement?

- Ani jedno, ani drugie. W tym przypadku to oznacza „dziękuję” i naprawdę jestem ci wdzięczny. A teraz mógłbyś nas zabrać do ładowni? Zdaje się, że ostatni strzał popchnął nas w kierunku atmosfery i w ciągu mniej więcej minuty zmienimy się w pył węglowy.

- Proszę uprzejmie. - Jeden-Jeden A odbił się jeszcze raz i poszybował w dół korytarza.

Luke czuł się jak w piecu. Cokolwiek twierdziły Widma, ciepło przenikało do urzędnika desantowego i do wnętrza kapsuły, skąd przesączało się do jego kombinezonu i pod zbroję, dzięki czemu ociekał potem od czubka głowy po palce stóp.

Tablica czujników przed jego nosem zamrugała i zgasła. Zobaczył, że wewnętrzna powierzchnia kapsuły za nimi z czarnej staje się najpierw czerwona, potem żółta, aż wreszcie pojawiły się pierwsze płomienie, które szybko się rozprzestrzeniły na całą jej powierzchnię.

Kapsuła zakołysała się. Luke wiedział, że tarcie prawdopodobnie spowodowało pojawienie się otworu w dnie; atmosfera zaczęła wnikać do środka, powodując jeszcze większe tarcie i kołysanie się całego wehikułu. Pod stopami poczuł drgania repulsorów, które zwiększyły moc, żeby utrzymać go w pozycji pionowej.

Nagle błysnęło oslepiająco i górna część kapsuły znikła. Luke znalazł się w kolumnie ognia, wlokąc za sobą żółte płomienie, które tryskały spod krawędzi resztek jednostki desantowej u jego stóp wysoko w powietrze. Nie widział nic poza ogniem. Na sekundę jego umysł zdominowały wspomnienia sprzed dwudziestu pięciu lat - wizja dymiących szczątków wujka Owena i ciotki Beru, leżących na podwórzu ich domu na Tatooine.

Odepchnął od siebie to wspomnienie i starał się spojrzeć na sytuację z pewnej perspektywy. Jeśli ja to tak źle znoszę, pomyślał, to jak się czuje na przykład Tahiri? Nastolatka?

Poczuł szarpnięcie pod stopami i nagle zwolnił. Ugiął kolana, żeby zamortyzować wstrząs. Teraz zwalniał już cały czas; płomienie zaczęły zanikać i przygasać.

Już po chwili mógł poprzez nie zobaczyć najbliższe otoczenie. Mara leciała powyżej o dziesięć metrów dalej, ale nie mógł dostrzec jej twarzy, ukrytej pod kombinezonem i uuzhańską zbroją. Reszta grupy też była w pobliżu.

Znajdowali się już mniej niż dwa kilometry od powierzchni planety i wciąż spadali, ale nie z prędkością końcową. A choć Luke mieszkał na Coruscant wiele lat, powierzchnia, na którą spadał, nie była tą, jaką pamiętał. Ogromne budynki leżały w gruzach pod dziwnymi kątami, ich ściany nie harmonizowały już z resztą konstrukcji. Wszystko wokół pokryte było jadowitą trującą zielenią. Przynajmniej pomarańczowobrązowe chmury na horyzoncie, nabrzmałe deszczem i błyskawicami, były takie same -jedyne znajome i krzepiący szczegół.

- Ciekawa wycieczką farmerze. - Głos Mary w komunikatorze brzmiał czysto i wyraźnie. Interferencja spowodowana tarciem o atmosferę w czasie spadku znikła.

Luke z trudem powstrzymał prychnięcie.

- Nie było aż tak źle - odparł.

- Buźka! - Rozległ się słaby, przepełniony wzruszeniem głos Tahiri. Luke skrzywił się lekko. Będą musieli z Marą trochę dziewczynę pocieszyć i uspokoić.

- Tak?

- Ja muszę to mieć! Chcę taką kapsułę, kiedy wrócimy! Co za jazda, niech mnie pokręci! Możemy jeszcze raz?

Luke pokręcił głową. Słyszał wyraźnie śmiech Mary.

Jeden-Jeden A musiał użyć miotacza żeby otworzyć główne drzwi ładowni. Zaledwie je rozwalili, powietrze z korytarza omal samo nie wdmuchnęło ich do pomieszczenia, ale robot bojowy trzymał się mocno.

Lando wsadził głowę przez otwór. B-wing wydawał się bezpieczny. Brama na końcu rampy wciąż była otwartą może w ogóle już nie istniała a za nią widać było rozgwieżdżoną przestrzeń. W miarę jak szczątki statku obracały się powoli, pojawił się pojedynczy skoczek koralowy, który wciąż pluł ogniem w powoli spadający ku atmosferze wrak.

Lando poczuł dziwne zimno, wędrujące mu po kościach.

- Splywamy - mruknął.

Minutę później, w tej samej chwili, kiedy zewnętrzne krawędzie „Rekordowego Czasu” zaczęły nabierać czerwonej barwy, B-wing Landa śmignął z ładowni, oddalając się błyskawicznie od upartego skoczka, od fregaty i innych skoczków, które po wypełnieniu zadania wycofały się nieco dalej. Jeden-Jeden A siedział w milczeniu ma miejscu pasażera, a Lando obliczał kurs, który pozwoliłby im opuścić cień masy Coruscant i wykonać skok, jakkolwiek skok, byle do nadprzestrzeni i jak najdalej stąd.

Obejrzał się na robota bojowego i stwierdził:

- Ale przyznaj, że przez cały czas wyglądałem elegancko.
- Znowu się wygłupiasz? - ponuro zapytał robot.

Borleias

Budynek biotyki był teraz wyraźnie widoczny. Jaina widziała go doskonale, podobnie jak resztę swojej eskadry. Ocalałe myśliwce i kanonierki pozostałych jedenastu eskadr zażarcie broniły bazy. Widziała też ogniska - dziesiątki ognisk płonących w dżungli poza strefą bezpieczeństwa. Ostrzelała ogniem z laserów odległe cele: piechurów, skoczki koralowe. Jakies dwanaście kilometrów dalej, w strefie bronionej przez Eskadrę Łotrów ujrzała yuuzhańską fregatę. Fregata bluznęła ogniem i krwią gdy jedna z torped protonowych przedarła się przez zasłonę pustek. Zewsząd jednak nadciągały kolejne fregaty i inne duże statki, a wszystkie kierowały się na budynek laboratorium biotyki.

Jaina pokręciła głową. Siły Yuuzhan kierujące się w stronę bazy były zbyt liczne, obrońcy nie zdołają jej utrzymać.

Do tej pory w milczeniu przetrwała wściekłość na Wedge'a Antillesa. Za każdym razem, kiedy udawało jej się przedrzeć na pole walki i zaatakować wroga, on albo jeden z jego kontrolerów nakazywał jej cofnąć się o pół kilometra albo chociaż o sto metrów. Wyglądało to tak, jakby nie chcieli, żeby zwyciężała. Teraz jednak nie mogła nie widzieć, że zbyt duże szczęście w walce mogło spowodować jedynie odcięcie Bliźniaczych Słońc od innych jednostek i ich nieuchronną zagładę. Może i lepiej, że kazali jej się wycofywać w tym samym tempie, jak pozostałe eskadry.

I w tym momencie obudziła się w niej Jaina bogini. Jaina zmarszczyła brwi. Wycofywać się w tym samym tempie? Spojrzała na czujniki. Właśnie tak było. Siły Nowej Republiki wycofywano z miejsc, gdzie obrona była zbyt mocna i przemieszczano je do słabiej bronionych punktów. W tej chwili wszystkie żyjące oddziały tych sił znajdowały się o kilometr od strefy bezpieczeństwa.

- Jag, muszę przeprosić twojego wuja - szepnęła.
- Dlaczego?
- Później ci powiem.

- Wszystkie oddziały wycofywać się do strefy bezpieczeństwa - poleciła Iella. - Powtarzam. Wszystkie oddziały wycofywać się do strefy bezpieczeństwa. Macie piętnaście sekund. Czternaście. Trzydzieści.

Jaina poprowadziła eskadrę z powrotem, zajmując pozycję bezpośrednio nad strefą lądowania przed budynkiem biotyki; skierowała baterię laserów w stronę, z której przybyli.

- Eskadra Bliźniaczych Słońc na pozycji - zameldowała.

Za pomocą repulsorów odepchnęła się w lewo i strumień plazmy wyminął jej skrzydło, rozbryzgując się na panelach z błękitnej transpastali na budynku. Jaina skierowała ogień laserów na napastnika.

Pozostali dowódcy oddziałów zameldowali gotowość, zanim jeszcze odliczanie dobiegło końca. Ale nie wszyscy. Jaina przymknęła oczy z bólem. Nie spodziewała się,

że wszyscy przyjaciele wrócą z zabronionej strefy. Wiedziała, że tam zostali - zestrzeleni piloci, którzy być może jeszcze żyją.

- Zero - odliczyła Iella. - Pozostać na pozycjach.

Wtedy się zaczęło.

Z góry zaczęły spadać kolumny niszycielskiej energii, zmasowany ogień baterii turbolaserów znajdujących się wysoko nad ich głowami, igły jaskrawego światła zalewające dżunglę poza strefą bezpieczeństwa.

Turbolaserzy rozdzierały roślinność i niszczyły wszystko, co znajdowało się poniżej. Drzewa trafione promieniami, eksplodowały w kolumnie dymu. Jeziorka, strumienie i bajora pod wpływem ognia zamieniały się w kłęby przegrzanej pary. Promienie przenikały chmury, ale manipulatorzy pustek nie byli w stanie ich dostrzec ani przewidzieć kolejnego uderzenia.

Jaina siedziała nieruchomo, jak skamieniała. Orbitalne bombardowanie. Ten rodzaj ataku powietrznego, do którego zostały skonstruowane gwiazdne niszczyciele. Co prawda żaden gwiazdny niszczyciel pozostający pod rozkazami Nowej Republiki nigdy jeszcze nie zrobił czegoś takiego. Jaina słyszała coś niecoś na ten temat, ale zawsze myślała, że to jakiś relik z zamierzonych czasów, o którym właściwie można już zapomnieć...

A teraz oglądała to na własne oczy. „Lusankya” wypełniała zadanie, do którego została zbudowana na wiele lat przed narodzinami Jajny.

Śmierć przez cztery minuty lała się z nieba strumieniami, wyznaczając krąg dokładnie otaczający strefę bezpieczeństwa. Potem śmiercionośny deszcz ustał, a odległe grzmoty, krzyki istot, w których ciałach woda nagle zmieniła się w przegrzaną parę, wycie płonących rakamatów - wszystko ucichło i zapadła martwa cisza.

Jaina podskoczyła, kiedy zatrzeszczał jej komunikator.

- Oddziały naziemne- rozległ się głos Wedge'a- możecie zacząć sprzątanie.

Coruscant

Repulsory jednostek desantowych włączyły się na ostatni etap spadku. Wszyscy członkowie grupy Luke'a wylądowali na tym samym dachu - z wyjątkiem Kella Tainera, który wprawdzie wycelował prawidłowo, ale przebił swoim ciężarem nadwątloną konstrukcję i zatrzymał się o trzy piętra niżej.

- Hej, nic mi nie jest! - zawołał. - Zostawili tu trochę holoseriali, których jeszcze nie widziałem!

Luke zdarł z siebie osmalony kombinezon. Pozostali zrobili to samo i cała grupa rozejrzała się wokół. W pewnym oddaleniu widać było cztery skoczki koralowe. Co prawda nie wybierały się w ich stronę, ale Luke pomyślał, że skoro on je widzi, ich piloci z pewnością mogą zauważyć jego.

- Ukryjmy się - polecił. - Wrzucie wszystkie śmieci w tę dziurę, którą wybił Kell. Uważajcie na to, co na dole...

Mara zdjęła hełm i rozejrzała się wokół. W zbroi z kraba vonduun wyglądała egzotycznie. Lekko zagryzła wargę.

- Witajcie w domu - mruknęła.
- Luke pokręcił głową.
- To już nie jest nasz dom. I nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś nim będzie...

Yuuzhański światostatek, orbita Pyrii

Czulkang Lah zamrugał. Jakim cudem zdołał przeoczyć tak oczywiste zastosowanie trójkątnych statków niewiernych?

Nom Anor zdecydował. To Nom Anor przez całe dziesięciolecie był szpiegiem Yuuzhan Vongów w tej galaktyce. Jak ten idiota mógł przez wszystkie te lata nie zauważyć niezwykle istotnych faktów -choćby tego, że ludzie rodzą bliźnięta tak często, iż właściwie nie ma to dla nich większego znaczenia. Drogo ich kosztowała ta informacja - dzięki niej przeświadczenie Yuuzhan Vongów o świętości bliźniąt Solo stało się bronią w rękach niewiernych.

A teraz okazuje się, że Nom Anor zapomniał poinformować yuuzhańskie dowództwo wojskowe o niezbyt często stosowanej, ale bardzo skutecznej taktyce, jaką stosowały największe statki wroga. Niewybaczalne. Niewybaczalne.

- Odwołać wszystkie statki i skoczki koralowe zaangażowane w starciach z siłami wroga na orbicie - rozkazał. - Ta walka jest skończona.

- Nie może być skończona- szepnął oficer. - Zostaliśmy zhańbieni. Pokonani.

- Jeśli nie możesz z tym żyć, to postaraj się o śmierć - odparł Czulkang Lah. - A ja sobie znajdę adiutanta, który oprócz odwagi będzie miał również trochę rozumu.

Odwrócił się. Będzie musiał przekazać synowi niepomyślne wieści.

Borleias

Zapadła noc. Jaina zakończyła procedurę kontrolną po lądowaniu, wysiadła z myśliwca, poklepała go czule po kadrubie, pokiwała Capiemu i ruszyła w kierunku wyjścia z doku.

Jag czekał na nią przy wyjściu, jak zwykle ostatnimi czasy. Na ustach miał uśmiešek, który chyba tylko ona potrafiła dostrzec.

- Co słychać? - zapytała.

- Calrissian wrócił z Coruscant w jednym kawałku i żywy. A ponieważ to Calrissian, właśnie urządza przyjęcie dla przyjaciół, dla przyjaciół i wszystkich, którzy mają ochotę. Twierdzi, że ma brandy jeszcze sprzed inwazji. Masz ochotę pójść tam i sprawdzić?

Jaina już miała pokręcić głową, jak to weszło jej w zwyczaj tu, na Borleias, ale opamiętała się w porę. Ujęła Jaga pod ramię i szepnęła:

- Z rozkoszą!

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję przede wszystkim:

Mojemu osobistemu kręgowi wtajemniczonych: Danowi Hammanowi, Nancy Deet, Debby Dragoo, Seanowi Fallesenowi, Kelly Friers, Helen Keier, Lucienowi Lockhartowi i Krisowi Shindlerowi.

Moim Sokolim Oczom: Bobowi Quinlanowi, Lurayowi Richmondowi i Seanowi Summersowi.

Caitlin Marlow za inspirację.

Poprzednim i kolejnym autorom serii Nowa Era Jedi.

Mojemu agentowi Russowi Galenowi.

Shelly Shapiro i Kathleen O. David z wydawnictwa DEL REY oraz Sue Rostoni z Lucas Licensing.